

CHARLAINE HARRIS

MARTWY AŻ DO ZMROKU

(Przełożyła: Ewa Wojtczak)

Zysk i s-ka

2004

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Od lat czekałam na zjawienie się wampirów w naszym miasteczku, gdy jeden z nich wszedł do baru.

Odkąd przed czterema laty wampiry wyszły z trumien (jak to wesoło ujmują), spodziewałam się, że któryś z nich prędzej czy później trafi do Bon Temps. Naszą małą miejscinę zamieszkiwali przedstawiciele wszystkich innych mniejszości... dlaczego zatem nie mieli tu żyć członkowie najświeższej, czyli prawnie uznani nieumarli? Do tej pory wszakże wiejska północ Luizjany najwyraźniej niezbyt kusila wampiry. Choć z drugiej strony Nowy Orlean stanowił dla nich prawdziwe centrum... W końcu mieszkali w tym mieście bohaterowie powieści Anne Rice, nieprawdaż?

Z Bon Temps do Nowego Orleanu nie jedzie się długo i wszyscy goście naszego baru mawiają, że jeśli staniesz na rogu ulicy i rzucisz kamieniem, możesz przypadkiem trafić wampira. Chociaż... lepiej nie rzucać.

Niemniej jednak czekałam na mojego własnego nieumarłego.

Muszę wam powiedzieć, że nie umawiam się zbyt często z mężczyznami. Nie dlatego, że nie jestem ładna. Jestem. Mam blond włosy, niebieskie oczy, dwadzieścia pięć lat, długie nogi, spory biust i talię jak u osy. Wyglądam niezłe w letnim stroju kelnerki, który wybrał dla nas szef, Sam Merlotte: czarne szorty, biały podkoszulek, białe skarpetki, czarne najki.

Cierpię jednak z powodu pewnego... upośledzenia. Tak w każdym razie staram się nazywać swoje dziwactwo czy dar.

Klienci baru z kolei twierdzą po prostu, że jestem trochę stuknięta.

Jakkolwiek ująć moje problemy, rezultat jest identyczny - prawie nigdy nie chodzę na randki. Z tego też względu ogromne znaczenie mają dla mnie najmniejsze nawet przyjemności.

A on usiadł przy jednym z moich stolików... to znaczy wampir.

Natychmiast wiedziałam, kim jest. Zdziwiło mnie, że nikt inny się nie odwrócił i nie zagapił na niego. Nie rozpoznali go! Ja zaś raz tylko zerknęłam na tę bladą skórę i już wiedziałam, że to wampir.

Miałam ochotę tańczyć z radości i faktycznie wesoło zakręciłam się wokół własnej osi przy barze. Mój szef i właściciel baru „U Merlotte’a”, Sam, podniósł wzrok znad drinka, który mieszał, i posłał mi krótki uśmiech. Chwyciłam swoją tacę i notesik, po czym podeszłam do stolika wampira. Miałam nadzieję, że jeszcze nie zlizalam sobie szminki z ust, a mój koński ogon ciągle wygląda porządnie. Byłam trochę spięta, lecz czułam, że wargi rozciąga mi lekki uśmieszek.

Wampir wyglądał na zatopionego w myślach, toteż mogłam mu się dobrze przyjrzeć, zanim mnie zauważy. Oceeniłam, że mierzy nieco powyżej metra osiemdziesięciu. Miał gęste, zaczesane gładko w tył i opadające na kołnierz kasztanowe włosy, a jego długie baczki wydawały się interesująco staromodne. Oczywiście był blady, no przecież był martwy... jeśli wierzyć starym opowieściom.

Chociaż zgodnie z zasadami politycznej poprawności, które również wampiry publicznie respektowały, ten facet był jedynie ofiarą wirusa - z jego powodu pozostawał pozornie martwy przez kilka dni, a od czasu zarażenia reagował alergicznie na światło słoneczne, srebro i czosnek. Szczegóły tej teorii zmieniały się zresztą zależnie od gazety codziennej, w której pojawiał się artykuł na ten temat. A obecnie wszystkie dzienniki pełne były tekstów o wampirach.

Tak czy owak, „mój wampir” wargi miał śliczne, ostro wykrojone, ciemne brwi zaś wygięte w łuk. Jego nos przypominał mi pewną bizantyjską mozaikę przedstawiającą jakiegoś księcia. Gdy nieumarły w końcu na mnie spojrział, dostrzegłam, że tęczówki ma jeszcze ciemniejsze niż włosy, a białka niewiarygodnie wprost białe.

- Co mogę panu przynieść? - spytałam, niewysłowienie szczęśliwa.

Uniósł brwi.

- Macie syntetyczną krew w butelkach? - spytał.

- Niestety nie, przykro mi! Sam złożył niedawno zamówienie, ale pewnie dostarczą dopiero w przyszłym tygodniu.

- W takim razie poproszę czerwone wino - powiedział głosem tak chłodnym i jasnym jak strumień płynący po gładkich kamieniach. Głośno się roześmiałam. Sytuacja była niemal zbyt doskonała.

- Niech się pan nie przejmuję małą Sookie, dziewczyna jest niestety trochę stuknięta - z ławy przy ścianie dotarł do mnie znajomy głos.

Natychmiast uszła ze mnie cała radość, mimo iż na wargach nadal czułam uprzejmy uśmiech. Zaciekawiony wampir gapił się na mnie, obserwując, jak szczęście znika z mojej twarzy.

- Zaraz przyniosę pańskie wino - rzuciłam i odeszłam szybko, nawet nie zerknąwszy na zadowoloną gębę Macka Rattraya. Mack przychodził tu prawie każdej nocy wraz z żoną Denise. Nazwałam ich Szczurzą Parką.

Odkąd przeprowadzili się do wynajętej przyczepy przy Four Tracks Corner, z całych sił starali się mnie przynębić. Miałam nadzieję, że wyniosą się z Bon Temps równie szybko, jak się tu zjawili.

Gdy po raz pierwszy weszli do „Merlotte’a”, zachowałam się bardzo nieuprzejmie i podsłuchiłam ich myśli. Wiem, że to paskudne posunięcie. Czasem wszakże nudzę się jak wszyscy, więc chociaż przez większość czasu blokuję napływ wręcz wpychających się do mojej głowy myśli innych osób, zdarza mi się ulec pokusie. Wiedziałam zatem o Rattrayach kilka rzeczy, których może nikt inny nie wiedział. Po pierwsze odkryłam, że siedzieli kiedyś w więzieniu, chociaż nie znałam powodów. Po drugie pojęłam, że Macka Rattraya naprawdę bawią własne paskudne myśli

na temat ludzi przychodzących do naszego baru. A później znalazłam w myślach Denise, że dwa lata wcześniej porzuciła niemowlę, którego ojcem nie był Mack.

Poza tym Rattrayowie nie dawali napiwków!

Sam nalał kieliszek czerwonego wina stołowego, lecz zanim postawił je na mojej tacy, zerknął ku stolikowi, przy którym siedział wampir.

Kiedy ponownie spojrział na mnie, uprzytomniłam sobie, że również wie, kim jest nasz klient. Mój szef ma oczy błękitne niczym Paul Newman, moje natomiast są zamglone i szaroniebieskie. Sam jest także blondynem, ale jego mocne, gęste włosy mają odcień niemal gorącego, czerwonego złota. Zawsze jest trochę opalony i chociaż w ubraniu prezentuje się szczupło, widziałam go bez koszuli (gdy rozładowywał ciężarówkę), toteż wiem, że tułów ma całkiem muskularny. Nigdy nie słucham jego myśli, jest przecież moim pracodawcą. Wcześniej musiałam odejść z kilku miejsc, ponieważ odkryłam na temat moich szefów pewne szczegóły, których znać nie chciałam.

Teraz jednak Sam nic nie powiedział, tylko dał mi wino dla wampira. Sprawdziłam, czy kieliszek jest czysty i lśniący, po czym wróciłam do stolika mojego klienta.

- Proszę, oto pańskie wino - oświadczyłam z przesadną grzecznością i ostrożnie postawiłam kieliszek na stole dokładnie przed nieumarłym. Wampir spojrział na mnie ponownie, a ja

skorzystałam z okazji i zatonełam w jego przepięknych oczach. - Na zdrowie - dodałam z dumą.

- Hej, Sookie! - wrzasnął za moimi plecami Mack Rattray. - Przynieś nam tu zaraz następny dzban piwa!

Westchnęłam i obróciłam się, by zabrać pusty dzban ze stolika Szczurów. Zauważyłam, że Denise prezentuje się dzisiejszego wieczoru doskonale w krótkim podkoszulku i szortach. Szopę brązowych włosów uczesała w modny nieład. Denise nie była właściwie ładna, lecz tak krzykliwa i pewna siebie, że rozmówca odkrywał jej braki dopiero po dłuższej chwili.

Sekundę później spostrzegłam ku swojej konsternacji, że Rattrayowie przysiedli się do stolika wampira. Gawędzili z nim. Wampir nie mówił zbyt wiele, lecz najwyraźniej nie zamierzał też wstać i odejść.

- Popatrz na to! - rzuciłam z oburzeniem do Arlene, drugiej kelnerki. Arlene jest rudowłosa, piegowata i dziesięć lat ode mnie starsza. Cztery razy już wychodziła za mąż, ma dwoje dzieci i od czasu do czasu odnoszę wrażenie, że mnie uważa za swoją trzecią latorośl.

- Nowy facet, co? - spytała bez większego zainteresowania. Arlene spotyka się aktualnie z Rene Lenierem i chociaż mnie nie wydaje się on atrakcyjny, moja przyjaciółka wygląda na dość zadowoloną. O ile się nie mylę, Rene był wcześniej jej drugim mężem.

- Och, to wampir - odparłam, ponieważ musiałam się z kimś podzielić moim zachwytem.

- Naprawdę? Wampir u nas? No cóż, pomyślmy - oznajmiła z lekkim uśmiechem sugerującym, że zdaje sobie sprawę z przepełniającej mnie radości. - Nie jest chyba jednak zbyt bystry, kochana,

skoro zadaje się ze Szczurami. Z drugiej strony Denise nieźle się przed nim popisuje. Odkryłam, że Arlene ma rację. Arlene jest o wiele lepsza niż ja, jeśli chodzi o ocenę spraw męsko-damskich, jest przecież ode mnie znacznie bardziej doświadczona.

Wampir był głodny. Zawsze słyszałam, że wynaleziona przez Japończyków syntetyczna krew wystarcza nieumarłym za pożywienie, w rzeczywistości wszakże nie zaspokajała ich głodu i dlatego nadal zdarzały się czasem „nieszczęśliwe wypadki” (jest to wampirzy eufemizm na określenie krwawych zabójstw dokonywanych na ludziach). A Denise Rattray gładziła sobie gardło, poruszała głową, kręciła szyją... Co za suka!

Do baru wszedł nagle mój brat, Jason, zbliżył się powoli, po czym mnie uściskał. Jason wie, że kobiety lubią facetów, którzy są dobrzy dla członków swoich rodzin i uprzejmi dla osób w jakiś sposób upośledzonych, więc ściskając mnie, zyskuje podwójne punkty. Nie, żeby musiał się przesadnie starać o popularność u płci przeciwnej. Wystarczy, że jest sobą, szczególnie że przystojniak z niego. Na pewno potrafi być również złośliwy, większość kobiet jednak wyraźnie tego nie zauważa.

- Hej, siostrzyczko, jak się miewa babcia?

- Bez zmian, czyli w porządku. Wpadnij do nas, to zobaczysz.

- Wlecę. Która dziś przyszła solo?

- Och, sam poszukaj. - Gdy Jason zaczął się rozglądać, dostrzegłam tu i ówdzie pospieszne ruchy kobiecych rąk poprawiających włosy, bluzki, malujących wargi...

- O rany. Widzę DeeAnne. Jest wolna?

- Przyszła z kierowcą ciężarówki z Hammond. Facet poszedł do toalety. Uważaj na niego.

Brat uśmiechnął się do mnie, a ja się zdumiałam, że inne kobiety nie dostrzegają samolubności tego uśmiechu. Gdy Jason wszedł do baru, nawet Arlene wygładziła koszulę, a jako osóбка czterokrotnie zamężna powinna nieco lepiej szacować mężczyzn. Inna kelnerka, z którą pracowałam, Dawn, odrzuciła w tym momencie włosy i wyprostowała plecy, prezentując sterczące cycki. Jason uprzejmie jej pomachał, ona zaś posłała mu pozornie drwiący uśmiešek. Już jakiś czas temu zerwała z Jasonem, lecz Dawn nadal pragnie, by mój brat ją dostrzegał.

Byłam naprawdę zajęta - w sobotni wieczór do „Merlotte’a” wpadali choć na chwilę niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka - na moment straciłam więc z oczu mojego wampira. Kiedy w końcu znalazłam wolną chwilę i postanowiłam sprawdzić, co u niego, okazało się, że nadal rozmawia z Denise. Mack patrzył na niego z tak chciwą miną, że aż się zaniepokoiłam.

Podeszłam bliżej do ich stolika i zagapiłam się na Macka. Po chwili otworzyłam swój umysł na jego myśli i go „podśluchałam”.

Odkryłam, że Mack i Denise trafili do więzienia za „osuszanie” wampirów!

Okropnie się zdenerwowałam, niemniej jednak automatycznie zaniósłam dzban piwa i kufle do

stolika, przy którym siedziały cztery hałaśliwe osoby.

Wampirza krew podobno chwilowo łagodzi symptomy niektórych chorób i zwiększa potencję seksualną (takie skrzyżowanie prednizonu i viagry), toteż istniał ogromny czarny rynek i wielkie zapotrzebowanie na prawdziwą, nie rozcieńczaną wampirzą krew. A gdzie jest popyt, tam są i dostawcy. I właśnie się dowiedziałam, że do tych dostawców należy wstrętna Szczurza Parka. Wciągali w pułapkę wampiry i osuszali ich ciała z krwi, którą później sprzedawali w małych fiolkach, po dwieście dolarów każda. Było to najbardziej poszukiwane lekarstwo od przynajmniej dwóch lat. Niejeden klient wprawdzie oszalał po wypiciu czystej wampirzej krwi, czarnemu rynkowi bynajmniej coś takiego wszakże nie zaszkodziło.

Pozbawiony krwi wampir zazwyczaj nie egzystuje długo. Morderczy osuszacze zostawiali nieszczęsnych nieumarłych związanych, najczęściej po prostu porzucając ich ciała na dworze. Wschodzące słońce kończyło udrękę biednych istot. Od czasu do czasu czytało się o zemście wampira, który zdołał się uwolnić i przeżyć. Wówczas osuszacze ginęli straszną śmiercią.

Nagle mój wampir się podniósł i ruszył wraz ze Szczurami ku drzwiom. Mack dostrzegł moje spojrzenie. Widziałam, że jawnie zaskoczył go wyraz mojej twarzy, a jednak Rattray odwrócił się, zbywając mnie wzruszeniem ramion - gestem zarezerwowanym dla wszystkich wokół.

Jego reakcja mnie rozwścieczyła. Naprawdę mnie rozwścieczyła!

Zastanawiałam się, co robić, lecz podczas gdy ja zmagalam się z sobą, cała trójka znalazła się już na dworze. Czy wampir uwierzyłby mi, jeślibym za nim pobiegła i powiedziała mu, co wiem? Przecież prawie nikt nie wierzył w moje umiejętności. A ci, którzy przypadkiem w nie uwierzyli, reagowali na mnie nienawiścią i strachem. Nie cierpieli mnie za to, że potrafię odczytać ich sekretne myśli. Arlene błagała mnie kiedyś, bym „zerknęła” w umysł jej czwartego męża, który przyszedł po nią pewnym późnym wieczorem, podejrzewała bowiem, że mężczyzna zastanawia się, czy nie zostawić jej i dzieci. Nie zrobiłam tego jednak, ponieważ nie chciałam stracić jedynej przyjaciółki. Właściwie nawet Arlene nie potrafiła mnie poprosić wprost, gdyż musiałaby głośno przyznać, że posiadam ten dar, to przekleństwo... A pozostali w ogóle nie chcieli przyjmować owego faktu do wiadomości. Woleli uważać mnie za wariatkę. Zresztą, wcale tak bardzo się nie mylili, bo własne zdolności telepatyczne czasem przyprawiały mnie niemal o szaleństwo!

Z tego też względu teraz zawahałam się, zmieszałam, przestraszyłam i rozgniewałam równocześnie. W następnej sekundzie jednak poczułam, że po prostu muszę zadziałać. Dodatkowo sprowokowało mnie spojrzenie, które posłał mi Mack - sugerował nim, że zupełnie się dla niego nie liczę.

Przeszłam bar i dotarłam do Jasona, który podrywał DeeAnne. Tę dziewczynę powszechnie uznawano za łatwą. Kierowca ciężarówki z Hammond siedział po jej drugiej stronie i patrzył na nią spode łba.

- Jasonie - odezwałam się ostro. Mój brat odwrócił się w moją stronę i posłał mi piorunujące spojrzenie. - Słuchaj, czy łańcuch nadal leży na tyłach twojego pikapa?

- Nigdy nie opuszczam domu bez niego - odparł powoli, badawczo mi się przyglądając. Wyraźnie usiłował odgadnąć z mojej miny, czy mam kłopoty. - Będziesz walczyć, Sookie?

Odpowiedziałam uśmiechem. Przyszło mi to łatwo, gdyż w swojej pracy wiecznie się uśmiechałam.

- Mam nadzieję, że nie - odparłam pogodnie.

- Hej, a może potrzebujesz pomocy? - spytał.

Ostatecznie był moim bratem.

- Nie, dzięki - odrzekłam. Staralam się mówić spokojnym tonem. Odwróciłam się i podeszłam do Arlene. - Słuchaj - powiedziałam. - Muszę dziś trochę wcześniej wyjść. Przy moich stolikach niewiele się dzieje, możesz je za mnie obsłużyć? - Nie sądziłam, że kiedykolwiek poproszę o coś takiego Arlene, chociaż sama wielokrotnie ją zastępowałam. Arlene również zaoferowała mi pomoc. - Nie, nie, wszystko jest w najlepszym porządku - zapewniłam ją. - Wrócę, jeśli zdążę. A jeśli posprzątasz tu za mnie, ja sprzątnę twoją przyczepę.

Przyjaciółka z entuzjazmem pokiwała rudą grzywą.

Spojrzałam na Sama, potem wskazałam na drzwi dla personelu, na siebie i w końcu poruszając dwoma palcami, pokazałam, że wychodzę.

Mój szef kiwnął głową, choć nie wyglądał na zbytnio szczęśliwego.

Wyszłam tylnymi drzwiami. Próbowałam iść po żwirze jak najciszej.

Parking dla pracowników znajduje się na tyłach baru. Trzeba przejść przez drzwi prowadzące do magazynu. Na parkingu stał samochód kucharki oraz auta Arlene, Dawn i moje. Po prawej stronie, nieco na wschód, przed przyczepą Sama tkwił jego pikap.

Ze żwirowego parkingu dla personelu wyszłam na położony na zachód od baru, znacznie większy asfaltowy parking dla klientów. Polanę, na której stoi „Merlotte”, otacza las, a brzegi parkingu są głównie żwirowe. Sam dbał o dobre oświetlenie parkingu dla klientów; w surrealistycznym blasku wysokich latarni teren wyglądał dziwnie.

Dostrzegłam wgniecione sportowe czerwone auto Szczurzej Parki, wiedziałam zatem, że oboje są blisko.

W końcu znalazłam pikapa Jasona. Samochód jest czarny, po bokach przyozdobiony charakterystycznymi zawijasami w kolorach niebieskawozielonym i różowym. Tak, tak, mój brat uwielbia być dostrzegany. Wciągnęłam się przez tylną klapę i dobry moment grzebałam w części towarowej, szukając łańcucha złożonego z grubych, długich ogniwi, który Jason woził na wypadek problemów. W końcu znalazłam łańcuch i zwinęłam go. Idąc, niosłam przyciśnięty do ciała, dzięki czemu nie brzęczał.

Zastanowiłam się przez chwilę. Jedyne jako tako odosobnione miejsce, do którego

Ratrayowie mogliby zaciągnąć wampira, mieściło się na końcu parkingu, tam gdzie gałęzie drzew zwisały nisko nad samochodami. Skradałam się więc w tamtym kierunku, usiłując poruszać się szybko i cicho.

Co kilka sekund zatrzymywałam się i nadśluchowałam. Wkrótce dotarł do mnie jęk i ściszone głosy. Przepisnęłam się między samochodami i zobaczyłam wszystkich troje dokładnie tam, gdzie się ich spodziewałam. Wampir leżał na ziemi na plecach, twarz miał wykrzywioną z powodu straszliwego bólu, a błyszczący łańcuch więził jego przeguby i kostki. Srebro! Dwie małe fiolki z krwią leżały już na ziemi, u stóp Denise. Dostrzegłam, że Ratrayowa mocuje do igły nową probówkę próżniową. Opaska uciskowa wbijała się wampirowi okrutnie w ramię nad łokciem.

Osuszacze stali odwrócenii do mnie plecami, wampir zaś jeszcze mnie nie dostrzegł. Poluźniłam zwinięty łańcuch, toteż prawie metr wisiał teraz swobodnie. „Kogo zaatakować najpierw?” - zastanowiłam się. Oboje Ratrayowie byli mali, ale niebezpieczni.

Przypomniałam sobie pogardliwe spojrzenie wychodzącego Macka i fakt, że nigdy nie dał mi napiwku. Tak, Mack będzie pierwszy.

Nigdy wcześniej tak naprawdę z nikim się nie biłam i odkryłam obecnie, że cieszę się spodziewaną walką.

Wyskoczyłam zza czyjś pikapa, rozhuśtałam łańcuch i przejechałam nim po grzbiecie klęczącego obok ofiary Macka. Mężczyzna wrzasnął i zerwał się na równe nogi. Denise łypnęła na nas złowrogo, po czym zabrała się za zatykanie trzeciej fiolki. Mack sięgnął do buta, a gdy podniósł rękę, coś w niej lśniło. Przełknęłam ślinę. Mack miał nóż.

- No, no, no - mruknęłam i posłałam mu uśmiezek.

- Ty stuknięta suko! - wrzasnął. Sądząc z jego tonu, również znajdował przyjemność w naszej potyczce. Byłam zbyt przejęta, by zablokować napływ jego myśli toteż świetnie wiedziałam, co zamierza mi zrobić i fakt ten naprawdę mnie rozzłościł. Ruszyłam ku przeciwnikowi, pragnąc zranić go jak najmocniej. Niestety, Mack był przygotowany i skoczył do przodu z nożem, gdy ja jeszcze wprawiałam łańcuch w ruch. Nóż na szczęście chybił, ledwie muskając moje ramię. Szarpnęłam łańcuchem, który niczym czuła kochanka otoczył chudą szyję Ratraya. Triumfalny krzyk mężczyzny prędko zamienił się w gulgotanie. Mack upuścił nóż i zacisnął obie ręce na ogniach łańcucha. Tracąc powietrze, upadł kolanami na betonowy chodnik, wyszarpując mi przy okazji łańcuch z dłoni.

Cóż, straciłam więc łańcuch Jasona. Błyskawicznie schyliłam się jednak i sięgnęłam po nóż Ratraya, udając, że wiem, jak należy go użyć. Tymczasem ruszyła ku mnie Denise. W światłach i cieniach parkingu przypominała rozczochraną wiedźmę.

Widząc w moim ręku nóż męża, zatrzymała się w pół kroku. Klęła i pomstowała, wykrzykując straszne rzeczy. Czekałam, aż się zmęczy, po czym syknęłam.

- Wynocha. Ale to już!

Kobieta z nienawiścią wpatrzyła się w moją twarz. Spróbowała zagarnąć fiolki z krwią, ale warknęłam, każąc jej je zostawić. Pociągnęła zatem Macka do pionu. Mężczyzna nadal się dusił, gulgotał i trzymał za łańcuch. Denise niezdarnie zaciągnęła go do ich samochodu, po czym wepchnęła na siedzenie pasażera. Wyszarpnęła z kieszeni kluczyki i osunęła się za kierownicę.

Odgłos uruchamianego silnika uprzytomnił mi nagle, że Szczury mają teraz inną broń. Szybciej niż kiedykolwiek w życiu nachyliłam się i szepnęłam wampirowi do ucha:

- Wstawaj! - Złapałam go pod ramiona i z całych sił szarpnęłam w górę. Nieszczęśnik zrozumiał mnie, napiął mięśnie nóg i pozwolił się ciągnąć. Gdy z rykiem nadjechał ku nam czerwony samochód, znaleźliśmy się już w rzędzie pierwszych drzew. Denise chybiła o niecały metr, musiała bowiem zboczyć, by nie wjechać w sosnę. Później usłyszałam, że głośny warkot silnika auta

Szczurów cichnie w oddali. - Och, świetnie - sapnęłam, po czym klęknęłam obok wampira, ponieważ ugięły się pode mną kolana. Przez chwilę oddychałam ciężko i zbierałam siły. Wampir poruszył się lekko. Przypatrzyłam mu się uważnie. Ku swojemu przerażeniu dostrzegłam smugi dymu wznoszące się z jego przegubów, w miejscach, gdzie dotykało ich srebro. - Och, mój biedaku - jęknęłam. Wściekałam się na siebie, że nie zatroszczyłam się o niego natychmiast. Nadal próbując złapać oddech, zaczęłam rozwijać cienkie paski srebra, które wydawały się stanowić części jednego bardzo długiego łańcucha. - Biedne maleństwo - szeptałam, wcale wówczas nie myśląc, jak absurdalnie brzmią te słowa. Mam zwinne palce, dość prędko więc uwolniłam nadgarstki nieszczęśnika.

Zadałam sobie pytanie, w jaki sposób Szczurom udało się tak łatwo go podejść. Wyobrażając sobie tę scenkę, poczułam na policzkach rumieniec.

Wampir otoczył siebie ramionami pierś, ja zaś zabrałam się za uwalnianie ze srebra jego kostek. Nogi nieumarłego wyglądały lepiej, gdyż Rattrayowie nie owinęli gołego ciała, lecz nogawki dżinsów.

- Przepraszam, że zjawiłam się tak późno - oznajmiłam ze szczerym smutkiem w głosie. - Poczujesz się lepiej za minutkę, prawda? ...Chcesz, żebym odeszła?

- Nie. - Poczulałam się mile polechtana, w tym momencie jednak dodał: - Mogą powrócić, a ja jeszcze nie mam siły walczyć. - Jego chłodny głos był nieco chropawy, lecz nie byłam pewna, czy słyszę w nim rzeczywiście sapanie.

Zrobiłam kwaśną minę, a kiedy wampir odzyskiwał siły, zaczęłam się bacznie rozglądać. Usiadłam plecami do niego, dając mu nieco prywatności. Wiem, jak nieprzyjemnie czuje się cierpiąca osoba, gdy ktoś się na nią gapi. Przykucnęłam na chodniku i obserwowałam parking. Kilka samochodów odjechało, inne przyjechały, żaden wszakże nie dotarł do naszego końca przy lesie. Z ruchu powietrza wokół siebie wywnioskowałam nagle, że wampir usiadł prosto.

Nie odezwał się. Obróciłam głowę w lewo, by mu się przypatrzeć. Był bliżej mnie, niż sądziłam. Jego duże ciemne oczy wpijały się w moje. Kły schował, co mnie trochę rozczarowało.

- Dziękuję - powiedział drętwo.

Wcale więc nie przejął się faktem, że uratowała go kobieta. Typowy facet.

Skoro okazywał mi tak niewiele wdzięczności, uznałam, że też mogę się zachować nieuprzejmie i postanowiłam podsłuchać jego myśli.

Otworzyłam całkowicie umysł... i nie usłyszałam... nic.

- Och - powiedziałam, słysząc we własnym głosie szok. - Nie słyszę cię - dodałam bezwiednie, zupełnie nad sobą nie panując.

- Dziękuję! - powtórzył wampir głośniejszym głosem, poruszając przesadnie wargami.

- Nie, nie o to mi chodzi... Słyszę, co mówisz, tyle że... - I w tym momencie z podniecenia zrobiłam coś, czego normalnie nigdy bym nie zrobiła, ponieważ takie posunięcie było bezczelne i zbyt osobiste, a poza tym ujawniało fakt mojego „upośledzenia”...A jednak odwróciłam się do wampira, położyłam ręce po obu bokach jego białej twarzy i przypatrywałam mu się uważnie. Skupiłam całą swoją energię. I nic! Czułam się, jakbym dotąd przez cały czas musiała słuchać radia, równocześnie wielu stacji, których nawet nie trzeba było wybierać... A teraz nastawiam odbiornik na pewną długość fali i... nieoczekiwanie nie słyszę nic.

Było mi jak w niebie.

Oczy wampira przez moment rozszerzały się i ciemniały, on sam wszakże zachował całkowite milczenie.

- Och, przepraszam cię - bąknęłam straszliwie zakłopotana. Oderwałam ręce od jego twarzy i zapatrzyłam się na parking. Zaczęłam coś paplać o Maćku i Denise, cały czas myśląc, jak cudownie byłoby mieć towarzysza, którego nie mogę usłyszeć, póki nie zdecyduje się odezwać na głos. Jakież piękne było jego milczenie. - ...Więc uznałam - ciągnęłam - że lepiej wyjdę i zobaczę, czy dobrze się miewasz - podsumowałam, nie pamiętając, co mu wcześniej mówiłam.

- Przyszłaś tu mnie uratować. Postąpiłaś bardzo odważnie - oświadczył głosem tak uwodzicielskim, że DeeAnne na moim miejscu wyskoczyłaby chyba ze swoich czerwonych nylonowych majtek.

- Przestań - mruknęłam zgryźliwym tonem. Odniosłam wrażenie, że z łomotem runęłam na ziemię z chmur.

Przez kilka sekund spoglądał na mnie ze zdumieniem, później jego blada twarz ponownie zubożała.

- Nie boisz się przebywać sam na sam z głodnym wampirem?

Wychwyciłam jakąś groźną nutę pod tym pozornie żartobliwym pytaniem.

- Wcale nie.

- Wychodzisz z założenia, że skoro przybyłaś mi z pomocą, jesteś bezpieczna? Sądzisz, że po tych wszystkich latach żywię jeszcze choćby uncję sentymentalnych uczuć? Wampiry często zwracają się przeciw osobom, które im ufają. Wiesz przecież, że nie ma w nas cech ludzkich.

- Wielu ludzi również obraca się przeciwko tym, którzy im ufają - stwierdziłam. Czasem potrafię myśleć praktycznie. - Nie jestem kompletną idiotką - dodałam. Podniosłam rękę i pokręciłam głową. W czasie kiedy wampir dochodził do siebie, zdążyłam owinąć sobie wokół szyi i ramion srebrne łańcuchy Szczurów.

Na ten widok wampir wyraźnie zadrżał.

- Ależ masz rozkoszną arterię w pachwinie - oznajmił, gdy się nieco uspokoił. Jego głos znów był kuszący, a gładkością przywodził mi na myśl aksamit.

- Nie mów takich wstrętnych rzeczy - zdenerwowałam się. - Nie będę tego słuchać.

Jeszcze raz popatrzyliśmy po sobie w milczeniu. Bałam się, że już nigdy więcej go nie zobaczę. Ostatecznie, swej pierwszej wizyty w „Merlotcie” z pewnością nie mógł nazwać udaną. Staralam się więc chłonać wszystkie szczegóły tego spotkania. Wiedziałam, że zachowam je w pamięci i będę wspominać przez długi, długi czas. Będzie dla mnie czymś wspaniałym, skarbem... Miałam ochotę jeszcze raz dotknąć skóry wampira. Nie mogłam sobie przypomnieć, jaka jest w dotyku. Nie dotknęłam go jednak, nie pozwoliły mi dobre maniery. Poza tym bałam się, że nawet muśnięciem mogłabym skłonić wampira do kolejnych uwodzicielskich kłamstewek.

- Chciałabyś wypić krew, którą ze mnie ściągnęli? - spytał nieoczekiwanie. - W ten sposób okazałbym ci swoją wdzięczność. - Wskazał na asfalt, gdzie leżały zatkane fiolki. - Moja krew wzbogaci twoje życie erotyczne i poprawi ci zdrowie.

- Jestem zdrowa jak koń - odparłam zgodnie z prawdą. - A życia erotycznego w ogóle nie mam. Zrób ze swoją krwią, co chcesz.

- Mogłabyś ją sprzedać - zasugerował. Pomyślałam, że mnie sprawdza.

- Nie tknę jej - odcięłam się obrażona.

- Jesteś inna - zauważył. - Kim jesteś? - Sądząc ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, przeglądał chyba w głowie listę możliwości. Ku własnej przyjemności nadal nie słyszałam jego myśli.

- No cóż. Nazywam się Sookie Stackhouse i jestem kelnerką - odrzekłam. - A jak ty masz na imię? - Pytanie wydało mi się niewinne. Miałam nadzieję, iż wampir nie uzna, że się narzucam.

- Bill - powiedział.

Zanim zdołałam się powstrzymać, roześmiałam się tak gwałtownie, że aż usiadłam ponownie na poślądkach.

- Wampir Bill! - zarechotałam. - Sądziłam, że masz na imię Antoine, Basil albo Langford! Bill! - Od dawna tak się nie śmiałam. - No to na razie, Bill. Muszę wracać do pracy.

Na myśl o lokalu Sama Merlotte'a poczułam ponownie rozciągający moje usta zawodowy uśmiech. Położyłam dłoń na ramieniu Billa i podniosłam się. Ramię wampira okazało się twarde niczym skała, stanęłam więc na nogach tak szybko, że o mało nie upadłam do przodu. Sprawdziłam, czy mam równo podciągnięte skarpetki, później obejrzałam resztę swojego stroju, szukając plam i dziur po walce ze Szczurami. Otrzepałam pośladki, gdyż siedziałam przecież na brudnym chodniku, po czym pomachałam Billowi i dziarsko ruszyłam przez parking. Przemknęło mi przez myśl, że spędziłam bardzo interesujący wieczór. Byłam niemal tak wesoła jak uśmiech, który towarzyszył tym rozważaniom.

Tyle że... Jason strasznie się na mnie rozgniewa za utratę łańcucha.

* * *

Tej nocy, po skończonej pracy pojechałam do domu odległego od baru zaledwie nieco ponad sześć kilometrów na południe. Wcześniej, po powrocie z parkingu, nie zastałam już w barze Jasona (ani DeeAnne), co mnie dodatkowo ucieszyło. Zastanowiłam się nad zdarzeniami tego wieczoru podczas jazdy do domu mojej babci, gdzie mieszkam. Stoi on tuż przed cmentarzem Tall Pines, przy którym skręca się w wąską dwupasmową drogę gminną. Dom ten zaczął budować mój praprapradziadek, który cenił sobie prywatność, toteż aby dotrzeć do samego budynku, trzeba zjechać z gminnej drogi na dojazdową, przejechać niewielki lasek i dopiero za nim znajduje się polana, na której stoi dom.

Dom nie jest szczególnie zabytkowy, ponieważ większość najstarszych elementów usunięto w którymś momencie i zastąpiono nowymi, poza tym został oczywiście wyposażony w elektryczność, hydraulikę, izolację... i wszystkie inne nowoczesne rozwiązania. Budynek ma wszakże nadal cynowy dach, który w słoneczne dni oślepiająco błyszczy. Gdy dach trzeba było odnowić, chciałam położyć regularne dachówki, moja babcia jednak się nie zgodziła. Chociaż ja płaciłam za naprawy, dom należy do niej, więc naturalnie znów zadaszono go warstwami cyny. Historyczny czy niehistoryczny, zamieszkałam w tym budynku jako mniej więcej siedmiolatka, a wcześniej często go odwiedzałam, dlatego też bardzo kocham ten dom. Jest duży, w zamyśle miał być bowiem rodzinny, toteż wydaje mi się zbyt wielki tylko dla babci i dla mnie. Ma obszerny front z pokrytym siatką gankiem i jest otynkowany na biało, gdyż babcia jest absolutną tradycjonalistką. Tej nocy przemierzyłam duży salon zastawiony podniszczonymi meblami ustawionymi w wygodny dla nas sposób, później przeszłam korytarz i wkroczyłam do pierwszej sypialni po lewej, tej największej.

Moja babcia, Adele Hale Stackhouse, na wpół leżała na wysokim łóżku, szczupłe ramiona wspierając na licznych poduszkach. Mimo ciepłej wiosennej nocy nosiła bawełnianą koszulę nocną

z długimi rękawami. Lampka nocna wciąż była włączona, a babcia miała na kolanach książkę.

- Witaj - zagaiłam.

- Witaj, kochanie.

Moja babcia jest malutka i bardzo stara, lecz nadal ma gęste włosy; są tak białe, że wydają się nieco zielonkawe. W dzień babcia nosi je zwinięte w kok, na noc jednakże rozpuszcza je lub splata w warkocze.

Zerknęłam na okładkę książki.

- Znów czytasz Danielle Steele?

- Och, ta kobieta naprawdę potrafi opowiadać historie. - Mojej babci ogromną przyjemność sprawiało czytanie powieści tej autorki, oglądanie mydlanych oper nakręconych według tych powieści (które babcia nazywała „historiami”) oraz uczestnictwo w spotkaniach dziesiątków klubów, do których należała - jak mi się zdawało - przez całe swoje dorosłe życie. Ulubionymi klubami babci byli Potomkowie Wybitnych Poległych i Towarzystwo Ogrodnicze Bon Temps.

- Zgadnij, co mi się zdarzyło dziś wieczorem - powiedziałam.

- Co? Umówiłaś się z kimś na randkę?

- Nie - odparłam, starając się zachować na twarzy uśmiech. - Do mojego baru wszedł wampir.

- Ojej, miał kły?

Wprawdzie widziałam, jak błyskały w świetłach parkingu, kiedy biedaka osuszały Szczury, tej scenki nie zamierzałam wszakże babci opisywać.

- Och, na pewno, tyle że je schował.

- No, no, no, wampir tutaj, w Bon Temps. - Babcia radośnie wyszczerzyła zęby. - Pogryzł kogoś w barze?

- Nie, oczywiście, że nie! Po prostu usiadł i zamówił kieliszek czerwonego wina. Właściwie... zamówił wino, ale go nie wypił. Myślę, że po prostu potrzebował towarzystwa.

- Zastanawiam się, gdzie się zatrzymał.

- Prawdopodobnie nikomu nie zdradzi miejsca swojego pobytu.

- Prawdopodobnie - przyznała babcia i na moment się zadumała. - Przypuszczam, że nie.

Spodobał ci się?

Odpowiedź na to pytanie okazała się trudna. Zastanowiłam się przez chwilę.

- Sama nie wiem. Był naprawdę interesujący - odparłam ostrożnie.

- Bardzo chciałabym go poznać. - Nie zaskoczyło mnie, że babcia to powiedziała, ponieważ, choć w pewnych sprawach tradycjonalistka, niektórymi nowymi rzeczami potrafiła się cieszyć nie mniej ode mnie. A w tej kwestii nie należała do reakcjonistek, które najchętniej zabroniłyby wampirom wstępu do miasta. - Teraz jednak lepiej już zasną. Z wyłączeniem światła czekałam tylko na twój powrót do domu.

Pochyliłam się i cmoknęłam ją w policzek.

- Dobrej nocy - powiedziałam.

Wyszłam, przymknęłam jej drzwi i usłyszałam kliknięcie wyłączanej lampy. Ze swego legowiska wstała moja kotka, Tina, podeszła i otarła się o moje nogi. Podniosłam zwierzątko i przez moment tuliłam, po czym pozwoliłam mu wrócić do snu. Zerknęłam na zegar. Była prawie druga, uznałam więc, że też powinnam się położyć.

Mój pokój znajduje się po drugiej stronie korytarza. Zanim zasnęłam w nim po raz pierwszy po śmierci rodziców, babcia przeniosła meble z mojej sypialni w ich domu, dzięki czemu poczułam się tu swojsko. Nadal tu stały: pojedyncze łóżko, toaletka z pomalowanego na biało drewna i mała komoda.

Włączyłam światło w sypialni, zamknęłam drzwi i zaczęłam się rozbierać. Miałam przynajmniej pięć par czarnych szortów i bardzo dużo białych koszulek z krótkim rękawem, gdyż łatwo się brudziły. A w mojej szufladzie tkwiło mnóstwo par białych skarpetek. Z powodu tej liczby rzeczy nie musiałam w nocy robić prania. Byłam również zbyt zmęczona na prysznic. Wyszczotkowałam więc tylko zęby, zmyłam makijaż, oklepałam twarz kremem nawilżającym i zdjęłam gumkę z końskiego ogona.

Wpełzłam do łóżka w mojej ulubionej, sięgającej prawie do kolan koszuli z Myszka Miki.

Położyłam się na boku, jak zawsze, i rozkoszowałam się panującą w pokoju ciszą. Mózg prawie wszystkich osób wyłącza się w tych późnonocnych godzinach, toteż słabną dręczące mnie wibracje i nie muszę walczyć z nacierającymi myślami innych ludzi. W takiej ciszy miałam wreszcie czas pomyśleć o ciemnych oczach wampira Billa, szybko jednak z wyczerpania zapadłam w głęboki sen.

* * *

Nazajutrz w porze lunchu siedziałam na frontowym podwórku i opalałam się na aluminiowym, składanym leżaku. Ubrałam się w moje ulubione białe bikini bez ramiączek, które okazało się nieco luźniejsze niż ubiegłego lata, z czego ucieszyłam się jak dziecko.

Potem usłyszałam odgłos nadjeżdżającego pojazdu, a w chwilę później w odległości metra od moich stóp zatrzymał się pikap Jasona - owo czarne auto z charakterystycznymi symbolami w kolorach niebieskawozielonym i różowym po bokach.

Mój brat zeskoczył (czy wspomniałam, że jego samochód ma ogromne koła?) i podszedł do mnie. Nosił swoje zwykłe robocze ubranie: koszulę khaki i spodnie, do paska zaś miał przypiętą pochewkę z nożem - podobnie jak większość pracowników drogowych hrabstwa. Już po sposobie, w jaki szedł, wiedziałam, że jest rozdrażniony.

Założyłam ciemne okulary.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że biłaś się z Rattrayami wczoraj w nocy? - Mój brat opadł na aluminiowy leżak obok mojego. - Gdzie babcia? - dorzucił po chwili.

- Wiesz pranie - odparłam. Babcia używała suszarni tylko w ostateczności, najchętniej natomiast wywieszała mokre ubranie na słońce. A sznur do bielizny wisiał oczywiście tam, gdzie powinien, czyli na podwórku za domem. - Na lunch będą wiejskie smażone steki, słodkie ziemniaki i zielona fasolka, którą babcia osobiście sadziła w zeszłym roku - dodałam, starając się oderwać myśli Jasona od mojej bijatyki. Miałam nadzieję, że babcia nie zjawi się nagle. Nie chciałam, by usłyszała naszą rozmowę. - Mów cicho - przypomniałam mu.

- Rene Lenier nie mógł się doczekać, aż przyjdę dziś rano do pracy, żeby mi o tym powiedzieć. Chciał kupić trochę trawki, pojechał więc ubiegłej nocy do przyczepy Rattrayów. Denise nadjechała z drugiej strony tak wściekła, jakby zamierzała kogoś zabić. Rene mówi, że o mało go nie trzasnęła. Pomógł jej wnieść Macka do przyczepy, a potem zabrali go do szpitala w Monroe. - Jason obrzucił mnie oskarżycielskim spojrzeniem.

- Czy Rene ci powiedział, że Mack zaatakował mnie nożem? - spytałam, uznawszy ostrą ripostę za najlepszą odpowiedź. Czułam, że rozgoryczenie Jasona spowodowane jest w dużej mierze faktem, iż usłyszał całą opowieść z ust osoby trzeciej.

- Jeśli Denise powiedziała o tym Rene, ten nic mi nie wspomniał - odparł powoli mój brat. Dostrzegłam, że jego ładna twarz ciemnieje z gniewu. - Rzucił się na ciebie z nożem?

- Tak. I musiałam się bronić - odrzekłam logicznie. - Zabrał też twój łańcuch. - Była to całkowita prawda, choć może troszeczkę zniekształcona. - Wróciłam do baru, bo chciałam ci o tym powiedzieć - ciągnęłam. - Niestety, gdy weszłam, odkryłam, że wyszedłeś już z DeeAnne. Zdecydowałam, że nie warto cię szukać po nocy. Wiedziałam zresztą, że jeżeli powiem ci o nożu, poczujesz się zobowiązany pojechać za nimi - dodałam dyplomatycznie. Było wiele prawdy w tym stwierdzeniu, ponieważ Jason strasznie lubi się bić.

- Po co, do diabła, w ogóle tam lazałaś? - spytał, lecz już się odprężył i czułam, że zaakceptował stan rzeczy.

- Wiedziałeś, że oprócz handlu narkotykami, Szczury zajmują się osuszaniem wampirów? Teraz był zafascynowany.

- Nie... naprawdę?

- No cóż, jeden z moich wczorajszych klientów był wampirem, a oni postanowili kompletnie pozbawić go krwi na parkingu obok „Merlotte’a”. Nie mogłam na to pozwolić!

- Tu, w Bon Temps zjawiał się jakiś wampir?

- Tak. Nawet jeśli człowiek nie ma ochoty przyjaźnić się z wampirami, nie może pozwolić śmieciom w typie Szczurów na taką akcję. Osuszenie wampira nie jest podobne do odlania benzyny z baku auta! Te gnojki całkowicie wydrenowałyby go z krwi, a następnie pozostawiły w lesie na

pewną śmierć.

Chociaż Rattrayowie nie zdradzili mi swoich zamiarów, byłam skłonna się założyć, że Bill skończyłby w ten sposób. Mógłby zresztą skonać, nawet gdyby go czymś przykryli i nie spaliłoby go słońce, ponieważ (zgodnie z tym, co powiedział ktoś w programie Oprah Winfrey) osuszony wampir potrzebuje co najmniej dwudziestu lat na regenerację. I w takim przypadku musi się o niego zatroszczyć inny wampir.

- Wampir był w barze, kiedy tam siedziałem? - spytał zaskoczony Jason.

- Jasne. Brunet. Przy stoliku ze Szczurami.

Mój brat uśmiechnął się, słysząc jak nazywam Rattrayów. Najwyraźniej nie zamierzał wszakże kończyć rozmowy o ubiegłej nocy, jeszcze nie.

- Skąd wiedziałaś, że jest wampirem? - zapytał, spojrzawszy jednak na mnie, natychmiast wyraźnie pożałował, iż nie ugryzł się w język.

- Po prostu wiedziałam - odburknęłam swoim najbardziej kategorycznym tonem.

- No tak. - Na moment oboje się zamyśliliśmy. - W Homulce nie ma wampira - powiedział Jason w zadumie. Odchylił głowę w tył, by złapać trochę słońca, a ja wiedziałam, że wchodzimy na niebezpieczny grunt.

- To prawda - zgodziłam się.

Homulka była miastem, którego Bon Temps serdecznie nienawidziło. Rywalizowaliśmy w futbolu, koszykówce i historycznym znaczeniu dla przyszłych pokoleń.

- Ani w Roedale - odezwała się za naszymi plecami babcia. Jason i ja aż podskoczyliśmy. Doceniam mojego brata za to, że od razu podskakuje i ściska babcię za każdym razem, kiedy ją widzi.

- Babciu, wystarczy obiadu i dla mnie?

- Starczyłoby jeszcze dla dwóch takich chłopca - odparła, uśmiechając się do wnuka. Dostrzegła jego wady (tak jak i moje), ale bardzo go kochała. - Właśnie dzwoniła do mnie Everlee Mason i powiedziała, że ubiegłej nocy poderwałaś DeeAnne.

- O rany, w tym mieście nie można się ruszyć, żeby nie dowiedzieli się o tym wszyscy mieszkańcy - odburknął Jason, choć wcale się nie gniewał.

- Ta DeeAnne - kontynuowała babcia ostrzegawczym tonem, gdy wszyscy ruszyliśmy w stronę domu - była kiedyś w ciąży. Słyszałam przynajmniej o jednym razie. Uważaj, wnusiu, żeby tobie nie wykręciła takiego numeru, bo będziesz płacił do końca swojego życia. Z drugiej strony, może tylko w ten sposób doczekam się prawnuka!

Jedzenie czekało już na stole, toteż gdy Jason powiesił swój kapelusz, usiedliśmy i zmówiliśmy modlitwę. Później babcia i mój brat zaczęli plotkować (nazywają takie gadki „wymianą najnowszych informacji”) o ludziach z naszego małego miasteczka i całej gminy. Jason pracuje dla stanu, dozorując ekipy drogowe. Odnosiłam wrażenie, że jego dzień składa się z przemierzania dróg

stanowym pikapem... a kiedy skończy pracę, przez całą noc jeździ własnym pikapem. Rene jest natomiast członkiem jednej z roboczych załóg, których pracę Jason dogląda. Chodzili razem do szkoły średniej. Sporo się wtedy wałęsali z Hoytem Fortenberrym.

- Sookie, musiałem wymienić w domu bojler - oświadczył nagle mój brat.

Jason nadal mieszka w starym domu naszych rodziców, tym samym, w którym mieszkaliśmy całą czwórka, gdy umarli w straszliwej powodzi. Potem zamieszkaliśmy z babcią, ale kiedy mój brat ukończył drugi rok college'u i zaczął pracować dla stanu, wrócił do tamtego domu, który według dokumentów należy w połowie do mnie.

- Potrzebujesz pieniędzy? - spytałam.

- Nie, nie, mam.

Oboje zarabiamy, mamy jednak także niewielki dochód z funduszu ustanowionego w okresie, kiedy na posiadłości naszych rodziców znaleziono ropę i dokonano odwiertów. Ropa wyczerpała się wprawdzie po kilku latach, moi rodzice jednak, a później babcia dopilnowali, że pieniądze zostały odpowiednio zainwestowane. Jasonowi i mnie fundusz ten bardzo ułatwił życie. Nie wiem zresztą, jak babcia zdołałaby nas wychować bez tych dodatkowych pieniędzy. Postanowiła nie sprzedawać ani kawałka z posiadanej przez nas ziemi, a przecież miała jedynie emeryturę. To jeden z powodów, dla których nie mam własnego mieszkania. Skoro mieszkamy razem, babcia zgadza się, że ja kupuję rozmaite produkty, gdybym jednak mieszkała osobno, przynosiła jej artykuły spożywcze i kładła je na stół, a następnie wracała do swojego domu, babcia uznałaby moje postępowanie za objaw dobroczynności, która by ją rozwścieczyła.

- Jaki rodzaj wybrałaś? - spytałam ot tak, dla okazania zainteresowania.

Aż się palił, by mi opowiedzieć. Jason ma fioła na punkcie rozmaitych urzędzeń i pragnął szczegółowo opisać swoje poszukiwania nowego grzejnika. Słuchałam z największą uwagą, do jakiej potrafiłam się zmusić.

Nagle mój brat sam sobie przerwał.

- Hej, Sookie, pamiętasz Maudette Pickens?

- Pewnie - przyznałam zaskoczona. - Skończyłyśmy tę samą klasę.

- Ktoś ją zabił w jej mieszkaniu ubiegłej nocy.

To stwierdzenie przykuło uwagę babci i moją.

- Kiedy? - spytała babcia, zaskoczona, że jeszcze nikt jej o tym fakcie nie powiadomił.

- Znaleźli ją dziś rano w sypialni. Jej szef próbował się do niej dodzwonić i spytać, dlaczego nie zjawiała się w pracy ani wczoraj, ani dzisiaj, a ponieważ nie odbierała telefonu, podjechał do niej i skłonił gospodarza domu do pomocy. Ten otworzył drzwi i weszli. Wiesz, że mieszkała naprzeciwko DeeAnne?

Bon Temps ma tylko jeden kompleks mieszkaniowy z prawdziwego zdarzenia, złożony z

trzech dwupiętrowych budynków ustawionych w kształt litery „U”, toteż wiedzieliśmy dokładnie, które domy Jason ma na myśli.

- Tam ją zabito? - Poczulałam się źle.

Doskonale pamiętałam Maudette. Miała wydatną szczękę, klocowaty tyłek, ładne, czarne włosy i krzepkie ramiona. Była guzdrałą, która niemal nigdy nie bywała bystra czy ambitna. Przypomniałam sobie, że pracowała chyba w Grabbit Kwik - sklepie ogólnospożywczym na stacji benzynowej.

- Tak, przypuszczam, że pracowała tam przynajmniej od roku - potwierdził Jason, gdy go spytałam.

- Jak to się stało? - Moja babcia miała ciekawską, wręcz natarczywą minę, z jaką mili ludzie pytają o złe wiadomości.

- Na... hmm... na wnętrzu jej ud znaleziono kilka ugryzień... Wampirzych ugryzień - oświadczył mój brat, wpatrując się w swój talerz. - Jednak nie od nich umarła. Udużono ją. DeeAnne twierdzi, że kiedy Maudette miała kilka dni wolnego, lubiła jeździć do tego wampirzego baru w Shreveport, może więc właśnie tam ktoś ją ugryzł. Może wcale nie zrobił tego wampir Sookie.

- Maudette należała do miłośniczek klów? - Poczulałam napływ mdłości, wyobraziwszy sobie tę flegmatyczną, przysadzistą dziewczynę wciśniętą w egzotyczne czarne sukienki, które uwielbiają wampiry.

- A cóż ten termin oznacza? - spytała babcia. Pewnie tęskniła za starym programem *Sally Jessy Raphael*, w którym badano nieznane jeszcze wówczas zjawisko wampiryzmu.

- Tak się nazywa mężczyźni i kobiety, którzy kręcą się wokół wampirów i lubią być przez nich... gryzieni. Miłośnicy wampirów. Sądzę, że nie żyją zbyt długo, gdyż zbyt często dają się kąsać, toteż prędzej czy później szkodzi im jedno ugryzienie za dużo.

- Ale ugryzienie przez wampira nie zabiło Maudette. - Babcia chciała się upewnić, czy dobrze zrozumiała.

- Nie, Maudette została udużona. - Jason zabrał się za dokończenie lunchu.

- Czy ty nie tankujesz zawsze na Grabbit? - rzuciłam.

- Jasne. Podobnie jak mnóstwo osób.

- A nie spotykałeś się przypadkiem kiedyś z Maudette? - spytała babcia.

- No cóż, można to tak ująć - odparł ostrożnie mój brat.

Uznałam, że pewnie sypiał z Maudette, jeżeli akurat nie mógł znaleźć innej paniutki.

- Mam nadzieję, że szeryf nie będzie cię chciał przesłuchać - mruknęła babcia, potrząsając głową, jakby sugerowała, że prawdopodobnie niestety jednak do tego dojdzie.

- Co takiego?! - Jason zarumienił się, patrząc spode łba.

- No wiesz, widzisz Maudette w sklepie podczas każdego tankowania, potem... że tak powiem... umawiasz się z nią, a w końcu dziewczynę znajdującą martwą w jej mieszkaniu, które znasz - podsumowałam.

Fakty nie były szczególnie obciążające, ale łączyły się w logiczną całość, a ponieważ w Bon Temps dokonywano naprawę niewielu zbrodni, sądziłam, że podczas śledztwa policja obróci każdy kamień i przepytą każdego podejrzanego.

- Nie ja jeden się z nią spotykałem. Wielu facetów kupuje tam benzynę i wszyscy znają Maudette.

- Tak, lecz w jakim sensie? - spytała babcia otwarcie. - Chyba nie była prostytutką, co? Policja na pewno dokładnie sprawdzi, z kim się widywała.

- Nie była prostytutką, po prostu lubiła się zabawić. - Miło ze strony Jasona, iż bronił tej dziewczyny, szczególnie że znałam jego samolubny charakter. Zaczęłam myśleć nieco cieplej o swoim starszym bracie. - Przypuszczam, że była trochę samotna - dodał. - W tym momencie spojrzał na nas obie i odkrył, że jesteśmy zaskoczone i wzruszone. - Skoro mowa o prostytutkach - dorzucił pospiesznie - jest w Monroe taka jedna, która specjalizuje się w wampirach. Ma ochroniarza, na wypadek gdyby któryś posunął się za daleko. Dziewczyna pija syntetyczną krew, by się nie nabawić anemii.

Zgrabnie i jawnie zmienił temat, toteż babcia i ja zadumałyśmy się nad pytaniem, które mogłybyśmy zadać bez posądzenia o nieprzyzwoitość.

- Zastanawiam się, ile bierze? - zaryzykowałam, a kiedy Jason wypowiedział zasłyszana sumę, obie przez chwilę łapałyśmy oddech.

Odkąd porzuciłyśmy kwestię morderstwa Maudette, lunch potoczył się jak zwykle. Jason popatrywał na zegarek, aż w końcu oświadczył, że musi już jechać - dokładnie wtedy, gdy trzeba się było zabrać za zmywanie.

Później okazało się, że moja babcia nadal myśli o wampirach. Weszła do mojego pokoju, kiedy malowałam się przed pójściem do pracy.

- Ile lat miał twoim zdaniem wampir, którego poznałaś?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, babciu. - Malowałam rzęsy tuszem, wytrzeszczałam więc oczy i usiłowałam siedzieć nieruchomo, żeby nie wbić sobie w oko spiralki. Z tego też względu mój głos zabrzmiał zabawnie, jakbym brała udział w zdjęciach próbnych do horroru.

- Sądzisz... że mógłby pamiętać wojnę?

Nie musiałam pytać, o którą wojnę jej chodziło. Ostatecznie, babcia była członkinią klubu o nazwie Potomkowie Wybitnych Poległych.

- Możliwe - odparłam, odwracając twarz z boku na bok i porównując w lustrze oba uróżowane policzki.

- Myślisz, że mógłby przyjść i porozmawiać z nami o niej? Zorganizowalibyśmy specjalne

zebranie.

- W nocy - przypomniałam jej.

- Och, tak, musiałyby się odbyć w nocy. - Potomkowie zwykle zbierali się w południe w bibliotece. Na spotkania przynosili torebki z lunchem.

Zastanowiłam się. Niegrzecznie byłoby sugerować wprost wampirovi, że powinien porozmawiać z klubem babci, ponieważ uratowałam jego skórę przed osuszaczami, może jednak zaproponuje mi to sam, jeśli mu o tym wzmiankuje? Pomysł nie bardzo mi się podobał, ale postanowiłam zrobić babci przyjemność.

- Spytam go, gdy się następnym razem pojawi - obiecałam.

- Mógłby przynajmniej porozmawiać ze mną. Może nagram na taśmę jego wspomnienia? - Babcia się zamyśliła, podniecona tym śmiałym posunięciem. - Taki wywiad byłby interesujący dla pozostałych członków klubu - powiedziała poważnie.

Musiałam mocno nad sobą panować, aby się nie roześmiać.

- Podsunę mu tę myśl - obiecałam. - Zobaczymy.

Wysłałam, zostawiając babcię w stanie kompletnego rozmarzenia.

* * *

Nie przyszło mi do głowy, że Rene Lenier pójdzie do Sama i opowie mu o mojej ubiegłonocnej potyczce na parkingu. A przecież wiedziałam, że straszny z niego plotkarz. Gdy tego popołudnia weszłam do baru, uznałam, że niepokój, który wyczułam w powietrzu, wiąże się z zabójstwem Maudette. Okazało się jednak, że przyczyna jest inna.

Kiedy mój szef mnie zobaczył, natychmiast zaciągnął mnie do magazynu. Niemal podskakiwał z gniewu. Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem od stóp do głów.

Sam Merlotte nigdy przedtem nie wściekał się na mnie i wkrótce byłam o krok od łez.

- A jeśli uważasz, że jakiś klient jest w niebezpieczeństwie - dodał - powiedz to mnie. Takimi sprawami zajmuję się ja, nie ty - powtórzył po raz szósty, ja zaś wreszcie zrozumiałam, że Sam boi się o mnie. Z całych sił powstrzymywałam się przed „podsluchaniem” go. Wsluchiwanie się w myśli własnego szefa zwykle prowadzi do katastrofy. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, by poprosić Sama... czy kogokolwiek innego... o pomoc. - A jeżeli masz pewność, że ktoś kogoś krzywdzi na naszym parkingu, niech twoim następnym ruchem będzie telefon na policję, a nie samotne wychodzenie i stawianie czoła napastnikom... niczym jakiś samozwańczy obrońca uciśnionych! - Irytował się. Jego ładna cera, zawsze lekko rumiana, była teraz czerwieńsza niż kiedykolwiek, a sztywne, złote włosy sterczały osobliwie rozczochrane.

- W porządku - oznajmiłam, panując nad głosem. Oczy maksymalnie wytrzeszczyłam,

powstrzymując w ten sposób napływające łzy. - Wyrzucisz mnie?

- Och nie! Nie! - krzyknął, najwidoczniej jeszcze bardziej rozgniewany. - Nie chcę cię stracić! - Chwyił mnie za ramiona i lekko mną potrząsnął. Potem stał, patrząc na mnie szeroko otwartymi niebieskimi oczyma. Czułam buchającą od niego falę gorąca. Dotyk przez drugą osobę zwiększa moje „upośledzenie”, trudniej mi wtedy walczyć z napływem myśli dotykającego. Przez długą chwilę patrzyłam szefowi prosto w oczy, po czym przypomniałam sobie, kim jest i odskoczyłam w tył. Jego ręce opadły.

Odwrociłam się i wystraszona wyszłam z magazynu.

Dowiedziałam się kilku niepokojących rzeczy. Na przykład, że Sama mnie pragnie! A poza tym nie słyszałam jego myśli tak wyraźnie jak myśli innych ludzi. Przez moją głowę przepływały fale jego wrażeń i emocji, jednak żadne konkretne słowa. Bardziej podejrzewałam jego myśli, niż je słyszałam.

Jak wykorzystałam nowo zdobyte informacje na jego temat?

Absolutnie nijak.

Nigdy wcześniej nie spojrzałam na Sama jak na mężczyznę, z którym można pójść do łóżka... albo przynajmniej na takiego, z którym ja mogłabym pójść do łóżka. Stało się tak z wielu powodów, z których najprostszym był taki, że nigdy na żadnego mężczyznę nie popatrzyłam w taki sposób, ponieważ... hmm... nie mam hormonów... Nie, rany, jak każda kobieta mam w sobie hormony, tyle że nie dopuszczam ich do głosu, jako że seks wydaje mi się prawdziwą katastrofą: Możecie sobie wyobrazić, że słyszycie wszystko, co myśli wasz partner?

Na przykład: „Ależ ona ma ciekawy pieprzyk... Jej tyłek jest trochę za wielki... Szkoda, że przesuwa się trochę za bardzo na prawo... Dlaczego ta dziewczyna nie pojmuję moich aluzji...?”. Macie pojęcie?! Wierzcie mi, takie „teksty” osłabiłyby libido każdego. A podczas uprawiania seksu po prostu nie sposób się pilnować i blokować napływ cudzych myśli.

Poza tym istniały inne przyczyny. Lubię Sama jako szefa i lubię swoją pracę, dzięki której wychodzę z domu, ruszam się, zarabiam i spotykam z ludźmi. W przeciwnym razie - tak jak się obawia moja babcia - zmieniłabym się w samotnicę. Praca w biurze byłaby dla mnie trudna, a college musiałam rzucić z powodu stałej wymuszonej i nieubłaganej koncentracji. Zajęcia po prostu mnie wykańczały.

W obecnej chwili musiałam przetrwać falę pożądania, którą poczułam od Sama. Nie zrobił mi przecież żadnej ustnej propozycji ani nie rzucił mnie na podłogę magazynu. Czułam tylko jego emocje i jeśli chciałam, mogłam je zignorować. Zdałam sobie sprawę z delikatności jego kroku i zadałam sobie pytanie, czy mój szef dotknąłby mnie celowo, gdyby wiedział o moich zdolnościach. Później starałam się nie zostawać z nim sam na sam, musiałam jednak przyznać, że przez całą zmianę byłam nieco wstrząśnięta.

* * *

Następne dwie noce były lepsze. Ja i Sam Merlotte wróciliśmy do naszej przyjemnej, przyjacielskiej relacji. Odczułam ulgę. Choć równocześnie byłam trochę rozczarowana. Z drugiej strony nieźle się w tym czasie napracowałam, gdyż wiadomość o morderstwie Maudette ściągnęła do „Merlotte’a” dodatkowych klientów. Po Bon Temps krążyły najrozmaitsze plotki, a ekipa wiadomości ze Shreveport nakręciła krótki reportaż na temat przerażającej śmierci Maudette Picken. Nie wzięłam udziału w jej pogrzebie, moja babcia natomiast poszła i powiedziała mi później, że w kościele panował straszliwy tłok. Biedna kluskowata Maudette o pokąsanych udach... Dziewczyna okazała się bardziej interesująca po śmierci niż za życia.

Miałam wziąć dwa dni wolnego i martwiłam się, że przeoczę kolejną wizytę wampira Billa w barze. A musiałam mu przecież przekazać prośbę babci. Na razie Bill nie zjawił się w „Merlotcie” i zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek wróci.

Mack i Denise też przestali przychodzić do lokalu Sama, natomiast Rene Lenier i Hoyt Fortenberry poinformowali mnie, że Szczurza Parka poprzysięgła mi okropną zemstę. Nie powiem, żeby mnie ta informacja szczególnie przestraszyła. Pełno takich kryminalnych śmieci kręci się po autostradach i parkingach Ameryki. Ludzie ci nie mają dość inteligencji i moralności, by się osiedlić w jednym miejscu i zacząć produktywnie życie. Takie osoby jak Rattrayowie nigdy nie zrobili niczego dobrego dla świata i nijak nie wybili się ponad przeciętność. Z tej też przyczyny zbyłam ostrzeżenia Rene wzruszeniem ramion.

On jednak zapewne z przyjemnością mi je przekazywał. Lenier jest podobnie niski jak Sam, tyle że Sam to rumiany blondyn, Rene zaś jest śniady i ma na głowie rozczochraną szopę mocnych, czarnych, upstrzonych siwizną włosów. Często wpada do baru wypić piwo i odwiedzić Arlene, ponieważ (co lubi podkreślać w rozmowach ze wszystkimi gośćmi „Merlotte’a”) jest jego ulubioną ekszoną. Miał ich trzy. Hoyt Fortenberry jest znacznie mniej wyrazisty niż Rene. Ani ciemny, ani jasny, ani duży, ani mały. Zawsze wydawał mi się wesoły i zawsze dawał przyzwoite napiwki. Podziwiał mojego brata Jasona znacznie bardziej - przynajmniej w mojej opinii - niż Jason sobie na to zasłużył.

Cieszyłam się, że Rene i Hoyta nie było w barze tej nocy, gdy powrócił wampir Bill.

Usiadł przy tym samym stoliku co przedtem. Teraz, kiedy znajdował się praktycznie przede mną, poczułam się trochę onieśmielona. Stwierdziłam, że w myślach zapomniałam o prawie niedostrzegalnej łunie, jaka była od jego skóry. Wyolbrzymiłam natomiast jego wzrost i wyraźną linię ust.

- Czym mogę służyć? - spytałam.

Popatrzył na mnie, a ja uprzytomniłam sobie, że nie pamiętałam także o głębi jego oczu. Nie uśmiechał się ani nie mrugał; po prostu siedział zupełnie nieruchomo. Powtórnie ucieszył mnie fakt, że nie słyszę jego myśli. Przestałam się bronić przed siłą jego umysłu i moje rysy natychmiast się odprężyły. Poczułam się tak dobrze jak po masażu (tak przypuszczam).

- Kim jesteś? - spytał mnie. Drugi raz chciał wiedzieć to samo.

- Kelnerką - odparłam, znów udając, że go nie rozumiem. Odkryłam, że mój uprzejmy uśmiech wrócił na swoje miejsce, ja zaś powróciłam do rzeczywistości.

- Czerwone wino - zamówił wampir. Jeśli był rozczarowany, nie dosłyszałam tego w jego głosie.

- Oczywiście - odparłam. - Syntetyczną krew przywiozła prawdopodobnie jutro. Słuchaj, mogę z tobą porozmawiać po pracy? Chciałabym cię poprosić o przysługę.

- Jasne. Mam u ciebie dług. - Wyraźnie nie był z tego powodu szczęśliwy.

- Nie, nie, nie proszę o przysługę dla mnie! - Zdenerwowałam się. - Chodzi o moją babcię. Jeśli będziesz na nogach... a pewnie będziesz... gdy skończę pracę o pierwszej trzydzięści, może poczekaś na mnie przy drzwiach dla personelu? Tych z tyłu baru. - Kiwnęłam głową, wskazując miejsce. Koński ogon podskoczył mi na ramionach. Bill przesunął wzrokiem za ruchem moich włosów.

- Będę zachwycony.

Nie wiedziałam, czy przemawia przez niego kurtuazja, która zdaniem babci charakteryzowała ludzi w dawnych czasach, czy też otwarcie sobie ze mnie kpi.

Oparłam się pokusie pokazania mu języka bądź prychnięcia. Bez słowa odwróciłam się na pięcie i pomaszerowałam ku kontuarowi. Kiedy przyniosłam wino, wampir dał mi dwudziestoprocentowy napiwek. Nieco później zerknęłam na jego stolik i odkryłam, że Billa już nie ma. Zastanawiałam się, czy dotrzyma słowa i zjawi się pod drzwiami.

Arlene i Dawn zniknęły, zanim zdążyłam się przygotować do wyjścia. Ociągałam się z kilku powodów; głównie dlatego że wszystkie serwetniki w obsługiwanym przeze mnie sektorze okazały się w połowie puste. W końcu wyjęłam torebkę z zamkniętej szafki w biurze Sama, gdzie zostawiam swoje rzeczy na czas pracy, po czym powiedziałam mojemu szefowi „do widzenia”. Nie widziałam go zresztą, słyszałam tylko brzęczenie w męskiej toalecie, domyśliłam się więc, że Sam próbuje prawdopodobnie naprawić nieszczelną ubikację. Na sekundę weszłam do damskiej, by poprawić włosy i makijaż.

Gdy wyszłam na zewnątrz, zauważyłam, że Sam wyłączył już światła na parkingu dla gości. Parking dla pracowników z kolei oświetlało jedynie światełko na słupie elektrycznym przed przyczepą mojego szefa.

Ku uciesze Arlene i Dawn, nasz szef otoczył przyczepę siatką i posadził bukszpan. Obie kelnerki

stale się naśmiewały z równej linii jego żywopłotu.

Ja uważałam go za ładny.

Samochód Sama stał jak zwykle zaparkowany przed jego przyczepą, na parkingu zostało więc jedynie moje auto.

Przeciągnęłam się i rozejrzałam. Nigdzie nie dostrzegłam wampira Billa. Zaskoczyło mnie, że poczułam tak wielkie rozczarowanie. Oczekiwałam, że zachowa się uprzejmie, mimo iż nie miał do mojej prośby serca... Ale czy Bill w ogóle miał serce?

„Może - pomyślałam z uśmiechem - wyskoczy zza któregoś drzewa albo pojawi się nagle przede mną znikąd w czarnej pelerynie z czerwonymi pasami po bokach”.

Nic takiego się wszakże nie zdarzyło, powlokłam się więc do swojego auta.

Liczyłam na niespodziankę, lecz nie na taką!

Zza mojego auta wyskoczył na mnie ni mniej, ni więcej tylko Mack Rattray i trzasnął mnie w szczękę. Cios był silny, toteż padłam na żwir niczym worek cementu. Upadając, krzyknęłam, niestety kontakt z podłożem nie tylko spowodował otarcia na skórze, lecz także utratę oddechu.

Dosłownie uszło ze mnie całe powietrze, leżałam więc przez moment kompletnie milcząca i bezradna. Później dostrzegłam Denise, która akurat zamachnęła się ciężkim butem. Zdążyłam się zwinąć w pozycję płodową, gdy Rattrayowie zaczęli mnie kopać.

Ból był nieunikniony, natychmiastowy i intensywny. A ponieważ instynktownie zakryłam rękoma twarz, uderzenia spadały na moje przedramiona, nogi i pośladki.

Podczas przyjmowania pierwszych ciosów miałam chyba pewność, że napastnicy szybko przerwą atak, wysyczą kilka ostrzegawczych słów i przekleństw pod moim adresem, po czym odejdą.

Pamiętam jednak chwilę, w której zrozumiałam, że Szczury postanowiły mnie zabić.

Mogłam leżeć biernie i inkasować ciosy, na pewno jednak nie zamierzałam dać się zatłuc!

Przy następnej próbie kopniaka zrobiłam zatem wypad, chwyciłam kopiącą nogę i przytrzymałam z całych sił. Próbowałam ugryźć, starając się stawić choć minimalny opór. Nie byłam nawet pewna, czyją nogę ściskam.

Wtedy usłyszałam za sobą warkot.

„Och, nie, przyprowadzili z sobą psa” - pomyślałam.

Warkot był zdecydowanie wrogi. Gdybym miała czas na pokaz emocji, zapewne włosy stanęłyby mi na głowie dęba.

Przyjęłam jeszcze jednego kopniaka w kręgosłup i nagle bicie ustało.

Niestety ostatni kopniak okazał się strasznie mocny. Z moich ust wydobywało się teraz rżenie i osobliwy gulgot, które najwyraźniej pochodziły z płuc.

- Co to, do diabła, jest? - spytał Mack Rattray. Jego głos pobrzmiwał kompletnym przerażeniem.

Znów usłyszałam warkot, tym razem bliżej, tuż za sobą. A z innego kierunku natomiast dotarły do

mnie kolejne odgłosy - złowrogie pomruki. Denise zaczęła lamentować, Mack głośno przeklinał. Denise wyszarpnęła nogę z mojego uścisku, gdyż nie miałam już sił jej utrzymać; moje ręce klapnęły bezwładnie na ziemię. Odniosłam wrażenie, że straciłam nad nimi wszelką kontrolę. Choć w głowie mi się ćmiło, wiedziałam na pewno, że mam złamane prawe ramię. Na twarzy czułam wilgoć. Wręcz się bałam dalej szacować własne obrażenia.

Mack wrzeszczał, po chwili zawtórowała mu Denise. Coś się wokół mnie działo, nie miałam jednak pojęcia co, gdyż się nie ruszyłam. Dostrzegałam tylko swoją złamaną rękę i sponiewierane kolana. Oraz ciemność pod moim samochodem.

Jakiś czas później zaległa cisza. Gdzieś za mną zaskowyczał pies. Jego zimny nos szturchnął moje ucho, a ciepły język je polizał. Usiłowałam podnieść rękę, by pogłaskać zwierzę, które bez wątpienia uratowało mi życie, niestety nie dałam rady. Usłyszałam własne westchnienie. Zdawało się pochodzić z bardzo daleka.

- Umieram - powiedziałam. Szczerze w to wierzyłam. Z każdą chwilą bardziej.

Ropuchy i świerszcze, które hałasowały przez większą część nocy, zamilkły teraz. Na parkingu również panowała cisza i spokój, mój szept zabrzmiał więc niezwykle wyraźnie, choć natychmiast utonął w ciemnej pustce. Zdziwiłam się, gdy chwilę później usłyszałam dwa głosy. Potem kątem oka zauważyłam nogi w okrwawionych dżinsach. Wampir Bill pochylił się ku mnie. Spojrzałam mu w twarz. Na ustach miał rozmazaną krew, a wysunięte kły błyszcząły biało na tle dolnej wargi. Spróbowałam się do niego uśmiechnąć, tyle że... mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa.

- Podniosę cię - oznajmił Bill opanowanym głosem.

- Umrę, jeśli to zrobisz - szepnęłam.

Przyjrzał mi się z uwagą.

- Jeszcze nie - powiedział po krótkim oglądzie. Po tych słowach dziwnym trafem poczułam się lepiej. Wiedziałam, że mój wampir widział w swoim życiu setki ran. - Ale to zaboli - ostrzegł mnie. W chwili obecnej nie potrafiłam sobie wyobrazić braku bólu.

Ręce Billa przesunęły się pode mną, zanim zdążyłam się przestraszyć. Krzyknęłam, chociaż słabo.

- Szybko - oznajmił natarczywie ktoś inny.

- Wracamy do lasu, gdzie nikt nas nie zobaczy - powiedział Bill, tuląc do swojej piersi moje ciało, jakby nic nie ważyło.

Czy zamierzał zakopać mnie „tam gdzie nikt nas nie zobaczy”? Teraz, gdy uratował mnie przed Szczurami? Odkryłam, że mało mnie obchodzi własny los.

Kiedy Bill położył mnie na ściółce sosnowych igieł w mrocznym lesie, ogarnęła mnie lekka ulga. W oddali dostrzegałam lunę światła z parkingu. Miałam wrażenie, że z włosów kapie mi krew, złamane ramię bardzo bolało, podobnie mocne stłuczenia na ciele. Jednakże najbardziej

przerazający był brak czucia w okolicach nóg.

Nie czułam nóg!

Mój brzuch był natomiast pełny i ciężki. Przemknęło mi przez głowę określenie „krwotok wewnętrzny”.

- Nie umrzesz, chyba że ci pozwolę - oświadczył mi Bill.

- Przepraszany ale nie chcę być wampirem - odparowałam, choć głosem słabym i cienkim.

- Nie, nie będziesz - zapewnił mnie łagodniejszym tonem. - Po prostu wyzdrowiejesz. Bardzo szybko. Mam lek. Musisz tylko chcieć.

- W takim razie ulecz mnie - szepnęłam. - Bo odchodzę. - Z każdą chwilą rzeczywiście traciłam siły.

Tylko mała część mojego umysłu otrzymywała jeszcze sygnały od świata, usłyszałam jednak, że Bill chrząka, jakby był ranny. Później przycisnął mi coś do ust.

- Wypij - polecił.

Próbowałam wysunąć język i udało mi się. Mój wampir przeciął sobie nadgarstek, który teraz ścisnął, pobudzając wypływ krwi. Broniąc się przed jego krwią, zacisnęłam wargi. Tym niemniej... pragnęłam żyć! Zmusiłam się więc do przełknięcia. A później przełknęłam kolejny łyk i kolejny.

O dziwo, krew miała przyjemny, słony smak. Smakowała jak życie! Podniosłam zdrową rękę i przycisnęłam przegub wampira do swoich ust. Z każdą wypitą kroplą czułam się lepiej. A po minucie zaczęłam zapadać w sen.

Gdy się obudziłam, byłam nadal w lesie i wciąż leżałam na ziemi. Ktoś leżał obok mnie. Oczywiście mój wampir. Dostrzegałam bijącą od niego lunę. Czułam dotyk jego ruchliwego języka na skórze głowy. Bill lizał moją główną ranę. Prawie mu zazdrościłam.

- Czy moja krew smakuje inaczej niż krew innych ludzi? - spytałam.

- Tak - odparł grubym głosem. - Kim jesteś?

Pytał mnie o to po raz trzeci. Przypomniało mi się określenie babci: „Urok trzeciego razu”.

- Hej, nie jestem martwa - oświadczyłam. Pamiętałam własną pewność, że umrę. Pokręciłam złamaną ręką. Była słaba, lecz już w pełni nad nią panowałam. Czułam także nogi i nimi też poruszyłam. Zrobiłam próbny wdech i wydech. Ucieszył mnie niezwykle lekki ból. Spróbowałam usiąść prosto. Zmiana pozycji kosztowała mnie sporo wysiłku, lecz nie była niemożliwa. Czułam się jak w dzieciństwie, pierwszego dnia bez gorączki po przebytych zapaleniu płuc. Słaba, ale szczęśliwa. Miałam świadomość, że właśnie przeżyłam coś strasznego.

Zanim skończyłam się prostować, Bill wziął mnie na ręce i przytulił, po czym oparł się o drzewo. Było mi bardzo wygodnie, gdy tak siedziałam na jego kolanach, z głową opartą o jego pierś.

- Jestem telepatką - odparłam. - Potrafię słyszeć myśli innych osób.

- Nawet moje? - Jego głos sugerował wyłącznie ciekawość.
- Nie, twoje nie. Właśnie za to tak bardzo cię lubię - dodałam, unosząc się na morzu różowawej błogości. Nie chciało mi się ukrywać własnych myśli. Pierś wampira zadudniła, ponieważ się śmiał. Jego śmiech brzmiał nieco dziwnie, jakby Bill zapomniał, jak należy go przywoływać. - Zupełnie cię nie słyszę - bełkotałam sennym głosem. - Nie masz pojęcia, jaki czuję dzięki temu spokój. Po życiu pełnym rozmaitego „bla-bla-bla”... nie słyszeć... nic.
- Jak sobie radzisz na randkach? Mężczyźni w twoim wieku pewnie w kółko myślą o tym, by cię zaciągnąć do łóżka.
- No cóż, nie radzę sobie. Nie potrafię. Szczerze mówiąc, głównym celem mężczyzny w każdym wieku jest zaciągnięcie kobiety do łóżka. Dlatego nie miewam randek. Wiesz, wszyscy uważają mnie za stukniętą, a ja nie mogę powiedzieć im prawdy. Prawda zaś jest taka, że dostaję szału od tych wszystkich otaczających mnie myśli, od tych wszystkich otwartych umysłów! Na początku, zanim zaczęłam pracować w barze, umówiłam się kilka razy - z facetami, którzy nic o mnie nie słyszeli. Niestety, za każdym razem jest tak samo. Nie sposób się ani skoncentrować, ani odprężyć, ani dobrze czuć z mężczyzną, skoro słyszysz, że się zastanawia, czy farbujesz włosy, że nie podoba mu się twój tyłek albo wyobraża sobie, jak mogą wyglądać twoje cycki. - Nagle wzmogłam czujność i uprzytomniłam sobie, ile swoich tajemnic ujawniam tej istocie. - Przepraszam - bąknęłam. - Nie zamierzałam cię obarczać własnymi problemami. Dziękuję, że wyrwałeś mnie z łap Szczurów.
- To moja wina, że w ogóle mieli okazję cię dopaść - odparł. Spod pozornego spokoju przebijała z jego głosu tłumiona wściekłość. - Gdybym zgodnie z zasadami uprzejmości zjawił się punktualnie, nic by ci się nie stało - tłumaczył się gorączkowo. - Z tego też względu byłem ci winien trochę mojej krwi. Byłem ci winien uzdrowienie.
- Czy oni... nie żyją? - Ku memu zażenowaniu, mój głos zabrzmiał piskliwie.
- O tak.
- Przełknęłam ślinę. Nie potrafiłam żałować, że ktoś uwolnił świat od Szczurzej Parki. Musiałam jednak spojrzeć prawdzie w oczy, nie mogłam się przed nią uchylić... A prawda była taka, że siedziałam na kolanach mordercy. Tyle że... siedząc tu, w ramionach Billa, czułam się absolutnie szczęśliwa.
- Powinam się tym przejmować, ale się nie przejmuję - oznajmiłam, zanim zdążyłam sobie przemyśleć własne słowa. Jego odpowiedzią był ponownie ten sam osobliwy rechot.
- Powiedz, Sookie, o czym chciałaś ze mną porozmawiać dzisiaj wieczorem?
- Musiałam się ostro zastanowić. Chociaż zostałam cudownie uzdrowiona po strasliwym pobiciu, nie potrafiłam jeszcze myśleć w pełni logicznie.
- Moja babcia mocno się dopytywała, ile masz lat - odrzekłam z wahaniem. Nie wiedziałam, jak

bardzo osobiste jest takie pytanie dla wampira. Bill pogładził moje plecy, jakby uspokajał kociątko.

- Zostałem wampirem w roku 1870, gdy miałem trzydzieści ludzkich lat.

Podniosłam wzrok. Jego rozjarzona twarz pozbawiona była wyrazu, a oczy skojarzyły mi się z czarnymi dołami w ciemnym lesie.

- Walczyłeś w wojnie secesyjnej?

- Tak.

- Obawiam się, że moja prośba cię zdenerwuje. Jednakże uszczęśliwiłbyś moją babcię i jej klub, gdybyś im opowiedział trochę o tej wojnie. O tym, jak wyglądała naprawdę.

- Klub?

- Babcia należy do klubu o nazwie Potomkowie Wybitnych Poległych.

- Wybitnych Poległych - powtórzył wampir niby obojętnym tonem, choć wyczułam, że z pewnością nie jest zadowolony.

- Słuchaj, nie musisz im opowiadać o larwach, infekcjach i głodzie - ciągnęłam. - Ci ludzie posiadają własny obraz wojny i... chociaż nie są głupi... przeżyli wszak inne wojny... Po prostu chcą się dowiedzieć więcej o życiu Amerykanów w tamtym okresie, a także co nieco o mundurach i ruchach oddziałów.

- Czyste sprawy.

Wzięłam głęboki oddech.

- Właśnie.

- Będiesz szczęśliwa, jeśli to zrobię?

- Jaka to różnica? Uszczęśliwisz moją babcię, a poza tym skoro mieszkasz w Bon Temps i zamierzasz tu zostać przez jakiś czas, byłby to dobry krok w ramach zbliżenia z mieszkańcami miasteczka.

- Ale czy ciebie uszczęśliwię?

Tego faceta nie można łatwo zbyć.

- No cóż, tak.

- A więc to zrobię.

- Babcia prosiła, żebyś się najadł przed zebraniem - dorzuciłam.

Znów usłyszałam jego dudniący śmiech, tym razem głębszy.

- Już się cieszę na spotkanie z nią. Mogę was odwiedzić któreś nocy?

- Och, tak. Pewnie. Ostatnią zmianę nocną mam jutro, później dwa dni wolne. Możesz do nas przyjść w czwartek w nocy. - Podniosłam rękę, by sprawdzić godzinę. Zegarek chodził, lecz szkiełko pokrywała warstwa zasuszonej krwi. - O rany! - mruknęłam. Włożyłam palec do ust,

zwilżyłam go śliną i wyczyściłam szkiełko. Później wcisnęłam przycisk oświetlający wskazówki, a gdy zobaczyłam, która godzina, aż się zasapałam. - Ojej, muszę wracać do domu. Mam nadzieję, że

babcia już zasnęła.

- Na pewno się o ciebie martwi, że tak późno w nocy wracasz sama - zauważył Bill z dezaprobatą. Może pomyślał o Maudette? Na moment straszliwie się zaniepokoiłam i zastanowiłam, czy ją znał i czy zaprosił go do siebie do domu. Szybko jednak odrzuciłam tę myśl, gdyż nie miałam ochoty rozwodzić się nad niesamowitą i straszną naturą życia i śmierci Maudette Pickens. Nie chciałam, by jej okropna śmierć rzuciła cień na mój mały kawałek szczęścia.

- To część mojej pracy - odparłam cierpko. - Nic nie można poradzić. Zresztą nie zawsze pracuję w nocy. Chociaż kiedy mogę, pracuję.

- Dlaczego? - Wampir zepchnął mnie lekko z kolan, a kiedy wstałam, sam również podniósł się z ziemi. Ruszyliśmy.

- Lepsze napiwki. Cięższa praca. Nie ma czasu myśleć.

- Tyle że noc jest niebezpieczna - powiedział ostrzegawczo.

Tak, na pewno coś o tym wiedział.

- Och, nie mów jak moja babcia - skarciłam go delikatnie. Już niemal dotarliśmy do parkingu.

- Jestem starszy od twojej babci - przypomniał mi. Nie znalazłam riposty, więc zamilkliśmy.

Gdy wyszłam z lasu, stanęłam i patrzyłam. Na pustym parkingu panował kompletny spokój i bezruch - jakby nic się na nim nigdy nie zdarzyło. Niemal nie wierzyłam, że zaledwie godzinę wcześniej zostałam na tym żwirowym prostokącie śmiertelnie pobita, za co Szczury spotkał krwawy koniec.

Światła w barze i w przyczepie Sama były wyłączone.

Żwir był mokry, choć nie od krwi.

Moja torebka stała na masce mojego samochodu.

- A co z psem? - spytałam.

Odwróciłam się, by spojrzeć na mojego wybawiciela. On jednak już zniknął.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka obudziłam się bardzo późno, co mnie wcale nie zaskoczyło. Kiedy w nocy wróciłam do domu, babcia na szczęście spała. Nie budząc jej, od razu położyłam się do łóżka.

* * *

Telefon zadzwonił, gdy siedziałam przy kuchennym stole, popijając kawę z kubka, babcia natomiast sprzątała spiżarnię.

Odebrała babcia. Usadowiła się na stołku przy kontuarze, gdzie zawsze zasiada do pogawędki i podniosła słuchawkę.

- Słucham - rzuciła. Z jakiegoś powodu zawsze zaczynała rozmowę telefoniczną niechętnym tonem. Jakby pogawędka była ostatnią rzeczą na ziemi, jakiej babcia pragnęła. A ja wiedziałam na pewno, że jest wprost przeciwnie. - Hej, Everlee. Nie, siedzę tutaj i rozmawiam z Sookie. Dopiero co wstała. Nie, nie słyszałam dziś żadnych nowin. Nie, nikt jeszcze do mnie nie dzwonił. Co takiego? Jakie tornado? Ubiegła noc była bezchmurna. W Four Tracks Corner? Co się stało? Nie! Nie, niemożliwe! Naprawdę? Oboje? No, no, no. Co powiedział Mike Spencer?

Mike Spencer to nasz gminny koroner. Ogarnęły mnie straszliwe przeczucia. Dopiliśmy kawę, po czym nalałam sobie kolejny kubek. Pomyślałam, że będę jej potrzebować.

Babcia odłożyła słuchawkę minutę później.

- Sookie, nie uwierzysz, co się zdarzyło!

Mogłabym się założyć, że uwierzę.

- Co? - spytałam, próbując nie wyglądać na winną.

- Niezależnie od tego, jak spokojna wydawała się ubiegła noc, Four Tracks Corner doświadczyło podobno tornada! Wiatr przewrócił na polanie wynajętą przyczepę, a mieszkająca w niej para zginęła. Oboje nie żyją, przywaliła ich przyczepa i zgmiotła na miazgę. Mike twierdzi, że nigdy czegoś takiego nie widział.

- Wysła ciała na autopsję?

- No cóż, chyba będzie musiał, chociaż przyczyna śmierci wydaje się wystarczająco oczywista, przynajmniej zdaniem Stelli. Przyczepa leży na boku, samochód jest w połowie zmiądzony, powalone drzewa zawalają podwórko.

- Mój Boże - szepnęłam, zbierając siły do przekonującej inscenizacji.

- Kochanie, czy nie mówiłaś, że ubiegłej nocy do baru przyszedł twój przyjaciel wampir?

Aż podskoczyłam, gdyż naprawdę miałam wyrzuty sumienia, po chwili jednak pojęłam, że babcia po prostu postanowiła zmienić temat. Codziennie mnie pytała, czy widziałam Billa, i teraz, w końcu, odpowiedziałam jej twierdząco - choć nie z lekkim sercem.

Zgodnie z moimi przewidywaniami babcia była niewysłowienie podekscytowana. Zaczęła się kręcić po kuchni, jakby miał nas odwiedzić książę Karol.

- Jutro w nocy. Czyli o której godzinie przyjdzie? - spytała.

- Po zmroku. Dokładnej pory nie znam.

- Późno się teraz robi ciemno, więc pewnie nieprędko dotrze. - Babcia zastanowiła się. - Doskonale, przynajmniej w spokoju zjemy kolację, a później po niej posprzątamy. I mamy cały jutrzejszy dzień na przygotowanie domu. Dałabym głowę, że nie czyściłam tego dywanu od roku!

- Babciu, mówimy o facecie, który przez cały dzień śpi w ziemi - przypomniałam jej. - Nie sądzę, by w ogóle przyglądał się dywanom.

- Cóż, i tak je wyczyszczę. Jeśli nie dla niego, to chociaż dla siebie. Będę mogła czuć dumę - dodała stanowczo. - Poza tym, skąd wiesz, młoda damo, gdzie ten kawaler sypia?

- Dobrze pytanie, babciu. Nie wiem, gdzie sypia. Wiem jednak, że musi unikać światła i dbać o swoje bezpieczeństwo, stąd moje przypuszczenie.

Nic nie mogło powstrzymać mojej babci przed szaleństwem sprzątania. Tak, bardzo szybko uświadomiłam sobie, że „szaleństwo” jest słowem najwłaściwszym. Gdy przygotowywałam się do pracy, babcia poszła do sklepu spożywczego, wypożyczyła też maszynę do czyszczenia dywanów, po czym zabrała się za porządki.

W trakcie jazdy do „Merlotte’a” zboczyłam trochę na północ i pojechałam do Four Tracks Corner. Skrzyżowanie to istniało, odkąd w tej okolicy mieszkali ludzie. Choć obecnie stały tu znaki drogowe, a jezdni towarzyszył chodnik, wszyscy wiedzieli, że przecinają się w tym miejscu dwa szlaki łowieckie. Przypuszczam, że prędzej czy później wzdłuż tych dróg staną budynki w stylu ranczerskich domów i centra handlowe, teraz jednak ciągnął się tu las, w którym - jak twierdził Jason - nadal można było zapolować.

Bez przeszkód zjechałam w rozjeżdżoną ścieżkę, która zaprowadziła mnie na polanę, gdzie wcześniej stała wynajmowana przez Rattrayów przyczepa. Zatrzymałam auto i przerażona zagapiłam się w przednią szybę. Przyczepa, bardzo mała i stara, leżała zmiażdżona trzy metry za dotychczasowym miejscem. Pogięty czerwony samochód Szczurzej Parki nadal spoczywał na jednym końcu ich zgniecionej ruchomego domu. Wszędzie na polanie leżały powyrywane z ziemi krzewy, drzewa za przyczepą zaś nosiły ślady przejścia wielkiej siły - ich gałęzie były połamane, szczyt jednej sosny złamał się i niemal wisiał na pasie kory. Z konarów zwisały fragmenty ubrań, a nawet sprzęty, takie jak patelnia.

Powoli wysiadłam i rozejrzałam się. Stopień zniszczeń był po prostu niewiarygodny,

szczególnie iż wiedziałam, że wcale nie spowodowało ich tornado. Tę scenkę bez wątpienia wyreżyserował wampir Bill, by wyjaśnić śmierć Rattrayów, do której sam doprowadził.

Stary dzip nadjechał rozjeżdżoną drogą i zatrzymał się obok mnie.

- Hej, Sookie Stackhouse! - zawołał Mike Spencer. - Co tu robisz, dziewczyno? Nie powinnaś być w pracy?

- Powinam, proszę pana. Ale znałam Szczury... to znaczy Rattrayów. To naprawdę straszne, co im się przydarzyło... - Własna odpowiedź wydała mi się odpowiednio niejednoznaczna. Dostrzegłam jednak teraz, że Mike'owi towarzyszy szeryf.

- Rzeczywiście straszne - przyznał szeryf Bud Dearborn, gdy wysiadł z dżipa. - Hmm... no cóż... słyszałem, że w zeszłym tygodniu miałaś z Mackiem i Denise małą potyczkę na parkingu „Merlotte'a”.

Poczułam lodowate ukłucie w okolicach wątroby. Obaj mężczyźni mierzyli mnie wzrokiem.

Mike Spencer był przedsiębiorcą pogrzebowym jednego z dwóch istniejących w Bon Temps domów pogrzebowych. Ponieważ Mike zawsze działał szybko i zdecydowanie, każdy, kto chciał, mógł pogrzebać bliskich dzięki pomocy Domu Pogrzebowego Spencer i Synowie; najwyraźniej jednak z ich usług korzystali wyłącznie biali ludzie. Kolorowi natomiast konsekwentnie wybierali konkurencyjny Słodki Spoczynek. Mike był przyciężkawym mężczyzną w średnim wieku, o włosach i wąsach w kolorze słabej herbaty i upodobaniu do butów kowbojskich oraz wąskich krawatów, których nie mógł nosić podczas dyżuru w swoim domu pogrzebowym. Miał więc ten strój w tej chwili.

Szeryf Dearborn, osobnik o reputacji „dobrego człowieka”, był niewiele starszy od Mike'a, wyglądał jednak na znacznie sprawniejszego fizycznie i twardszego - od gęstych siwych włosów po ciężkie buty. Miał mopsowatą twarz i ruchliwe brązowe oczy. Był kiedyś bliskim przyjacielem mojego ojca.

- Tak, proszę pana, doszło między nami do małej sprzeczki - odparłam szczerze i ze smutkiem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - Szeryf wyjął marlboro i zapalił papierosa prostą metalową zapalniczką.

W tym momencie popełniłam błąd. Powinam była mu po prostu opowiedzieć swoją historię. Przecież uważano mnie za dziewczynę prostą, choć nieco stukniętą. Nie widziałam wszakże powodu, by się tłumaczyć przed szeryfem Dearbornem. Żadnego powodu, oprócz... zdrowego rozsądku.

- Po co? - spytałam.

Jego małe brązowe oczka błysnęły podejrzliwie i miła atmosfera bezpowrotnie się rozwiła.

- Och, Sookie - mruknął z wyraźnym rozczarowaniem w głosie. Ani przez minutę nie uwierzyłam w jego dobre intencje.

- Przecież tego nie zrobiłam - oświadczyłam, machając ręką w kierunku zniszczeń.

- Nie, nie zrobiłaś tego - zgodził się. - Niemniej jednak ci ludzie zmarli w tydzień po walce z tobą, więc czuję się w obowiązku zadać ci kilka pytań.

Gapiałam się na niego bez słowa, zastanawiając nad jego stwierdzeniem. Wydawało mi się logiczne, ciągle jednak nie miałam pewności, ile mu powiedzieć. Zaczynałam odkrywać, że reputacja osóbkai naiwnej ma swoje dobre strony.

Może jestem niewykształcona, a mój umysł nieco oderwany od rzeczywistości, lecz z pewnością nie jestem ani głupia, ani nieoczytana!

- No cóż, ranili mojego przyjaciela - wyznałam w końcu, zwieszając głowę i wpatrując się w swoje buty.

- Mówisz o wampirze, który mieszka w starym domu Comptonów? - Mike Spencer i Bud Dearborn wymienili spojrzenia.

- Tak, proszę pana.

Zaskoczyła mnie informacja o miejscu zamieszkania Billa, na szczęście moi rozmówcy niczego nie zauważyli. Od lat umiem umyślnie nie reagować na słowa, które słyszę, a których słyszeć nie chcę, toteż całkiem dobrze nauczyłam się panować nad wyrazem twarzy.

Stary dom Comptonów stoi niedaleko od naszego, po tej samej stronie drogi. Między naszymi posiadłościami leżą tylko las i cmentarz. „Jak wygodnie dla Billa” - pomyślałam i uśmiechnęłam się.

- Sookie Stackhouse, czy twoja babcia pozwala ci się zadawać z tym wampirem? - spytał niemądrze Spencer.

- Na pewno może pan ją o to spytać - odcięłam się złośliwie. Niemal nie mogłam się doczekać, co babcia powie, gdy ktoś jej zasugeruje, że za mało się o mnie troszczy. - Wie pan, Rattrayowie próbowali osuszyć Billa.

- Więc Rattrayowie ściągali krew z wampira? A ty ich powstrzymałaś? - wtrącił szeryf.

- Tak - odparłam, usiłując wyglądać na silną i stanowczą kobietę.

- Osuszanie wampirów jest nielegalne - zadumał się szeryf.

- Czy zabicie wampira, który człowieka nie zaatakował, nie jest morderstwem? - spytałam.

Być może trochę przesadziłam z tą naiwnością.

- Cholernie dobrze wiesz, że tak jest. Chociaż osobiście nie zgadzam się z tym, takie jest prawo i będę go przestrzegał - odrzekł sztywno szeryf.

- Wampir po prostu pozwolił więc odejść tej parce? Nie groził im zemstą? Nie mówił, że pragnie ich śmierci? - Mike Spencer był naprawdę głupi.

- Właśnie. - Uśmiechnęłam się do obu mężczyzn, po czym zerknęłam na zegarek. Przypomniałam sobie krew na jego tarczy, moją krew, która spłynęła z ran zadanych mi przez

Szczurzą Parkę. Pamiętałam, że musiałam wytrzeć tę krew, by odczytać godzinę. - Przepraszam, muszę jechać do pracy - rzuciłam. - Do widzenia, panie Spencer. Do widzenia, szeryfie.

- Do widzenia, Sookie - odpowiedział szeryf Dearborn. Odniosłam wrażenie, że ma do mnie więcej pytań, ale nie wie, jak je sformułować. Czulałam, że nie podoba mu się to, co widzi i szczerze wątpiłam, czy jakiegokolwiek urządzenie zarejestrowało zjawisko tornada. Niemniej jednak przyczepa, samochód i drzewa leżały powalone, a przygniecieni małżonkowie nie żyli. „Cóż innego mogło ich zabić?” zapytywał siebie szeryf. Domyśliłam się, że ciała posłano na sekcję i byłam ciekawa, co wykaże badanie.

Ludzki umysł jest narzędziem zdumiewającym. Szeryf Dearborn na pewno znał straszliwą siłę wampirów, a jednak nie potrafił sobie wyobrazić osoby o sile wystarczającej do przewrócenia przyczepy i zmiżdżenia nią dwojga ludzi. Nawet ja z trudem w to wierzyłam, choć bez dwóch zdań wiedziałam, że Four Corners nie dotknęło tornado.

Cały bar aż huczał od nowin na temat śmierci. Mniej już mówiono oczywiście o morderstwie Maudette, więcej o Denise i Macku. Kilkakrotnie dostrzegłam na sobie wzrok Sama, pomyślałam o ubiegłej nocy i zastanowiłam się, ile mój szef wie; bałam się jednak spytać go o to, na wypadek gdyby nic nie widział. Uprzymomniłam sobie, że nadal nie rozumiem niektórych szczegółów z ubiegłej nocy, lecz byłam tak bardzo wdzięczna, że żyję, iż nie zamierzałam nawet o nich myśleć. Nigdy nie uśmiechałam się równie szeroko jak tego wieczoru, gdy roznosiłam drinki, nigdy nie wydawałam tak szybko reszty, nigdy tak dokładnie nie realizowałam zamówień. Nawet stary rozczochrany Rene nie potrafił mnie zatrzymać, mimo iż usiłował mnie wciągnąć w rozwlekłe dyskusje, ilekroć zbliżyłam się do stolika, przy którym siedział wraz z Hoytem i kilkoma innymi kumplami.

Rene udawał często zwariowanego Cajuna* [Cajuni (fr.) - potomkowie osadników francuskich z Kanady, zamieszkujący południowo-zachodni rejon Luizjany (przyp. tłum.)], choć jego francuski akcent brzmiał sztucznie, a jego rodzice nie kultywowali tradycji dziadków. Kobiety, które poślubił Rene, były dzikie i lubiły szybkie, intensywne życie. Jego krótki związek z Arlene miał miejsce w czasie, gdy była młoda i bezdzietna. Zwierzyła mi się kiedyś, że zdarzało jej się wówczas robić takie rzeczy, że teraz na samą myśl o nich włosy jej się jeżą. Od tamtego okresu moja przyjaciółka z pewnością dojrzała, Rene natomiast nie. Zdumiewał mnie fakt, że nadal tak bardzo go lubiła.

Wszyscy goście baru wydawali się niezwykle podekscytowani ostatnimi niesamowitymi incydentami w Bon Temps. Zamordowano młodą kobietę i nikt nie znał sprawcy; w Bon Temps dochodziło wcześniej do zabójstw, lecz policja za każdym razem łatwo ustalała winnego. A później Rattrayowie zmarli gwałtowną śmiercią z winy... kaprysu natury. Dlatego też to, co się w pewnej chwili zdarzyło, złożyłam na karb tego ogólnego podniecenia. Do naszego baru przychodzą

regularnie mieszkańcy miasteczka, którzy nigdy mi się nie narzucali. Tej nocy jednak jeden z mężczyzn siedzących obok Rene i Hoyta, duży blondyn o czerwonej, nalanej twarzy, przesunął dłonią w górę po nogawce moich szortów, kiedy przyniosłam do ich stolika piwo.

O nie, coś takiego nie przejdzie w „Merlotcie”.

Miałam ochotę trzasnąć tacą o głowę faceta, poczułam jednak, że nagle oderwał rękę. Czułam, że ktoś stoi tuż za mną. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Rene, który zdążył już się zerwać z krzesła. Podążyłam wzrokiem za ruchem jego ramienia i uświadomiłam sobie, że Rene chwyta dłoń blondyna i ściska ją z całych sił. Czerwona twarz podrywacza przybrała odcień szkarłatu.

- Hej, stary, puść mnie! - zaprotestował blondyn. - Nie miałem na myśli nic złego.

- Nie dotyka się żadnej z tutejszych pracownic. Taka jest zasada. - Rene był niski i szczupły, ale każdy spośród tu obecnych postawiłby pieniądze na naszego miejscowego chłopaka przeciwko nawet znacznie bardziej muskularnemu obcemu.

- Dobra już, dobra.

- Przepróż panią.

- Stukniętą Sookie? - spytał z niedowierzaniem. Najwyraźniej facet odwiedził już wcześniej „Merlotte’a”. Rene prawdopodobnie znowu zacisnął palce na rękę blondyna, gdyż widziałam, jak temu ostatniemu stają w oczach łzy. - Przepraszam, Sookie, w porządku?

Kiwnęłam głową - ruchem tak królewskim, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć. Rene natychmiast puścił dłoń blondyna, po czym dał mu znak kciukiem, że ma się wynieść z baru. Mężczyzna bez wahania rzucił się ku drzwiom. Jego towarzysz wyszedł za nim.

- Rene, powinieneś pozwolić, żebym sama to załatwiła - powiedziałam do niego bardzo cicho po dłuższej chwili, gdy sądziłam, że inni klienci baru podjęli już przerwane rozmowy. Będą o nas plotkować pewnie co najmniej kilka dni. - Chociaż oczywiście doceniam, że stanęłaś w mojej obronie...

- Nikt nie będzie zadzierał z przyjaciółką Arlene - odparował poważnie. - „Merlotte” to miły lokalik i wszyscy chcemy, by taki pozostał. - W dodatku... czasem przypominasz mi Cindy, wiesz o tym? Cindy była siostrą Rene. Przeprowadziła się rok czy dwa lata temu do Baton Rouge. Tak jak ja była niebieskooką blondynką, poza tym jednak nie dostrzegałam między nami żadnego podobieństwa. Wytykanie tego faktu nie wydało mi się wszakże grzeczne, więc nie skomentowałam.

- Często ją widzisz? - spytałam tylko. Hoyt i siedzący z nim przy stole mężczyzna wymieniali się wynikami meczów drużyny Shreveport Captains.

- Od czasu do czasu - odparł Rene, potrząsając głową, jakby sugerował, że pragnąłby widywać siostrę częściej. - Pracuje w szpitalnym bufecie.

Poklepałam go po ramieniu.

- Muszę wracać do pracy.

Kiedy dotarłam do lady odebrać zamówione napoje, Sam spojrzął na mnie z uniesionymi brwiami. Otworzyłam szeroko oczy, by mu pokazać, jak bardzo zdumiała mnie interwencja Rene, a mój szef wzruszył na to nieznacznie ramionami, dając do zrozumienia, że czasem trudno wyjaśnić ludzkie zachowanie.

Ale gdy weszłam za kontuar po dodatkowe serwetki, odkryłam, że Sam wyjął kij bejsbolowy, który na wszelki wypadek trzymał pod kasą.

* * *

Przez cały następny dzień babcia zmuszała mnie do porządków. Sama trzepała, odkurzała i wycierała, ja zaś szorowałam łazienki... Czy wampiry w ogóle muszą korzystać z łazienki? Zastanawiałam się nad tą kwestią, czyszcząc szczotką muszlę toaletową. Później babcia kazała mi usunąć odkurzaczem kocie włosy z kanapy. Opróżniłam też wszystkie śmietniczki, wypolerowałam wszystkie stoły oraz - na litość Boską! - wytarłam pralkę i suszarkę.

Kiedy babcia ponaglała mnie do wzięcia prysznic i zmiany ubrania, zrozumiałam, że uważa wampira Billa za mojego kawalera. Na tę myśl poczułam się trochę dziwnie. Z czterech powodów. Po pierwsze, babcia tak bardzo pragnęła, żebym spotykała się z ludźmi, że nawet wampir wydawał jej się odpowiednim kandydatem na narzeczonego. Po drugie, mój entuzjizm wobec tego pomysłu dorównywał jej entuzjizmowi. Po trzecie, obawiałam się, że Bill wszystkiego się domyśli. Po czwarte, nie miałam pojęcia, czy wampiry mogą współżyć... tak jak ludzie?

Tak czy owak, wzięłam prysznic, umalowałam się i założyłam sukienkę, ponieważ wiedziałam, że babcia wścieknie się, widząc mnie w spodniach. Sukienka ta - z niebieskiej bawełny, ozdobionej setkami małych stokrotek - była bardziej obcisła, niż babcia lubiła i znacznie krótsza, niż Jason uważał za stosowną dla swojej siostry. Usłyszałam te opinie, gdy włożyłam ją po raz pierwszy. Dodałam małe, żółte, okrągłe kolczyki, a włosy podniosłam w kok, który spięłam luźno żółtą spinką.

Babcia posłała mi zastanawiające spojrzenie, którego nie potrafiłam zinterpretować. Oczywiście dzięki umiejętnościom telepatycznym mogłabym łatwo sprawdzić, co pomyślała, jednak okropnie jest robić coś takiego osobie, z którą się mieszka, natychmiast więc tę możliwość odrzuciłam. Babcia włożyła spódnicę i bluzkę, które często zakładała na spotkania Potomków Wybitnych Poległych. Był to komplet niewystarczająco elegancki, by iść w nim do kościoła, a równocześnie nie dość prosty na co dzień.

Zamiatałam właśnie przedni ganek, o którym wcześniej zapomnieliśmy, kiedy zjawił się Bill.

Wykonał iście wampirze wejście. W jednej minucie go tam nie było, a w następnej stał już na dole schodów i przyglądał mi się z zadartą głową.

Uśmiechnęłam się.

- Nie strasz mnie - poprosiłam.

Popatrzył na mnie lekko zakłopotany.

- Przyzwyczailem się tak pojawiać - wyjaśnił. - W ten sposób nie robię hałasu.

Otworzyłam drzwi.

- Wejdz - zaprosiłam go do środka. Bill wszedł po schodach i rozejrzał się.

- Pamiętam go - oświadczył. - Chociaż nie był taki duży.

- Pamiętasz ten dom? Och, babci się to strasznie spodoba. - Wyprzedziłam go w drodze do salonu, wołając babcię.

Weszła do salonu absolutnie dostojnym krokiem i pierwszy raz pojęłam, ile wysiłku włożyła w przygotowania. Gęste białe włosy zaczesła, gładko i starannie zawinęła wokół głowy w skomplikowany zwój pukli. Usta pociągnęła szminką.

Bill okazał się tak samo biegły w taktyce towarzyskiej jak moja babcia. Przywitali się kurtuazyjnie, podziękowali uprzejmie, przez chwilę prawili sobie komplementy, aż w końcu Bill usadowił się na kanapie, a moja babcia - po przyniesieniu tacy z trzema szklankami herbaty brzoskwiniowej - w fotelu, mnie dając do zrozumienia, że powinnam usiąść obok wampira. Nie umiałam się z tego kulturalnie wykręcić, toteż usiadłam obok niego, ale na samej krawędzi kanapy, jakbym zamierzała zerwać się w każdej chwili i ponownie napełnić szklankę mrozoną herbatą.

Bill grzecznie dotknął wargami brzegu szklanki, po czym ją odstawił. Babcia i ja wypiliśmy po kilka dużych, nerwowych łyków.

Na początek babcia wybrała niezbyt szczęśliwy temat.

- Domyślam się, że słyszałeś o tym dziwnym tornadzie - zagała.

- Proszę mi o nim opowiedzieć - odparował wampir typowym dla siebie chłodnym i gładkim, niczym jedwab, głosem. Nie ośmieliłam się na niego spojrzeć, siedziałam więc ze złożonymi rękoma, całkowicie koncentrując na nich wzrok.

Babcia streściła zatem wampirovi historię dziwnego tornada i śmierci Szczurzej Parki. Oświadczyła mu, że choć zdarzenie wydaje się dość straszne, na pewno zawiniła jedynie natura. Odniosłam wrażenie, że po jej opowieści Bill minimalnie się odprężył.

- Minęłam wczoraj to miejsce w drodze do pracy - wtrąciłam, nie podnosząc wzroku. -

Zatrzymałam się obok przyczepy.

- Wszystko wyglądało tak, jak się spodziewałaś? - spytał wampir z niezbyt wielkim zainteresowaniem.

- Nie - odparłam. - Nic nie wyglądało w sposób, jakiego mogłabym oczekiwać. Byłam naprawdę... zaskoczona.

- Sookie, już wcześniej widywałaś poczynione przez tornado szkody - przypomniała mi ze zdziwieniem babcia.

Postanowiłam natychmiast zmienić temat.

- Powiedz, Bill, skąd masz tę koszulkę? Jest bardzo ładna.

Wampir nosił sportowe spodnie w kolorze khaki, koszulkę polo w zielono-brązowe pasy, błyszczące mokasyny i cienkie brązowe skarpety.

- Od Dillarda - odparł, a ja spróbowałam go sobie wyobrazić w centrum handlowym, na przykład w Monroe. Ludzie na pewno obracali się i patrzyli na tę egzotyczną istotę o rozjarzonej skórze i pięknych oczach. Skąd Bill miał pieniądze na zakupy? Gdzie prał swoje ubrania? Czy wchodził do swojej trumny nagi? Czy miał samochód? A może po prostu leciał, jeśli postanowił się dokądś udać?

Babcie wyraźnie ucieszyły normalne zakupowe zwyczaje wampira. Znów ogarnęły mnie ambiwalentne uczucia, gdy obserwowałam jej zadowolenie z wizyty mojego domniemanego zalotnika w naszym salonie, nawet jeżeli ów zalotnik był (według literatury popularnej) ofiarą wirusa, z powodu którego wydawał się martwy.

Babcia zarzucała Billa pytaniami. Mój wampir odpowiadał jej grzecznie i z wielką dozą dobrej woli. No cóż, był po prostu niezwykle uprzejmym, martwym facetem.

- Twoja rodzina mieszkała tutaj? - pytała babcia.

- Rodzice mojego ojca nazywali się Compton, rodzice mojej matki Loudermilk - wyjaśnił chętnie Bill. Wyglądał już na całkiem zrelaksowanego.

- Zostało tu jeszcze sporo Loudermilków - odparła wesoło babcia. - Niestety - dorzuciła mniej pogodnym tonem - stary pan Jessie Compton zmarł w ubiegłym roku.

- Wiem - odrzekł lekkim tonem Bill. - Właśnie dlatego wróciłem. Ta ziemia ponownie należy teraz do mnie, a ponieważ stosunek tutejszych ludzi do osób takich jak ja zmienił się ostatnio, zdecydowałem się oficjalnie wystąpić o jej zwrot.

- Znałeś Stackhouse'ów? Sookie twierdzi, że żyjesz już wiele dziesięcioleci.

Pomyślałam, że babcia używa ładnych określeń. Patrząc na swoje dłonie, uśmiechnęłam się.

- Pamiętam Jonasa Stackhouse'a - odpowiedział Bill ku zachwytowi babci. - Moi, rodzice zamieszkali w swoim domu, kiedy Bon Temps było jeszcze małą przygraniczną miejsciną. Miałem jakieś szesnaście lat, kiedy przeprowadził się tutaj Jonas Stackhouse wraz z żoną i czwórką dzieci. Czy nie on zbudował ten dom, przynajmniej po części?

Zauważyłam, że Bill wspominając przeszłość, używał innego słownictwa i innej intonacji.

Zastanowiłam się, jak często jego język zmieniał się w ciągu dwudziestego wieku.

Moja babcia była bez wątpienia w genealogicznym siódmym niebie. Chciała natychmiast poznać wszystkie możliwe fakty związane z Jonasem, przodkiem jej męża.

- Czy posiadał niewolników? - spytała.

- Droga pani, o ile dobrze pamiętam, miał dwoje: niewolnicę w średnim wieku, która zajmowała się

domem oraz Minasa, wielkiego, młodego, bardzo silnego mężczyznę do prac pozadomowych. Jednak Stackhouse'owie głównie sami obrabiali własne pola, podobnie jak moi rodzice.

- Och, takich opowieści członkowie mojego małego klubu wysłuchają z radością! Czy Sookie ci powiedziała...?

Babcia i Bill, po wymianie licznych uwag grzecznościowych, przeszli do sedna, czyli omówienia wizyty i przemowy wampira na specjalnym nocnym spotkaniu Potomków.

- A teraz - zakończył Bill - jeśli nam pani wybaczy, pójdziemy z Sookie na spacer. Jest taka śliczna noc. - Podeszedł do mnie, powoli wysunął dłoń, chwycił moją rękę i pociągnął ją, skłaniając mnie do wstania. Jego ręka była zimna, twarda i gładka. Wampir właściwie nie pytał babci o zgodę, choć też nie narzucał jej swojej decyzji.

- Och tak, idźcie, idźcie - powiedziała babcia, machając wesoło rękoma. - Mam tyle rzeczy do zrobienia. Musisz mi wymienić wszystkie miejscowe nazwiska, które pamiętasz, od kiedy zostałeś... - W tym momencie babcia przerwała, nie chcąc użyć słowa, które zraniłoby naszego gościa.

- Mieszkańcem Bon Temps - dodałam pomocnie.

- Oczywiście - odparł Bill. Widząc, jak zaciska wargi, wiedziałam, że usilnie powstrzymuje uśmiech.

Nagle znaleźliśmy się przy drzwiach. Uświadomiłam sobie, że wampir nieoczekiwanie mnie podniósł i szybko przeniósł. Szczerze się roześmiałam. Uwielbiam niespodzianki.

- Wrócimy za chwilę - rzuciłam w stronę babci. Nie sądziłam, by zauważyła mój niesamowity przeskok, ponieważ akurat zbierała nasze szklanki po herbacie.

- Och, nie spieszcie się ze względu na mnie - odrzekła. - Nic mi nie będzie.

Na zewnątrz żaby, ropuchy i owady wyśpiewały swą nocną wiejską operę. Szliśmy przez podwórko pełne zapachów świeżo skoszonej trawy i pączkujących roślin. Bill trzymał mnie za rękę. Z cienia wyszła moja kotka, Tina, i zaczęła się łaścić, domagając się pogłaskania, pochyliłam się więc i podrapałam ją po głowie. Ku mojemu zaskoczeniu, otarła się też o nogi Billa, a on nijak jej do tego nie zniechęcił.

- Lubisz to zwierzę? - spytał obojętnie.

- To moja kotka - wyjaśniłam. - Wabi się Tina i rzeczywiście bardzo ją lubię. - Nie skomentował. Stał nieruchomo i czekał, aż kotka oddali się od oświetlonego ganku i zniknie w ciemnościach. - Chcesz posiedzieć na huśtawce albo na leżakach, czy wolisz się przejść? - spytałam, ponieważ czułam się gospodynią.

- Och, przejdźmy się trochę. Muszę rozprostować nogi. - Z niewiadomych względów stwierdzenie to nieco mnie zaniepokoiło, niemniej jednak zaczęłam schodzić długim podjazdem ku dwupasmowej drodze, która łączyła nasze domy. - Czy widok przyczepy cię zdenerwował? - spytał

wampir.

Zastanowiłam się, jak najlepiej wyjaśnić swoje emocje.

- Czuję się bardzo... hmm... krucha. Na myśl o przyczepie.

- Wiedziałaś, że jestem silny.

W zadumie pokiwałam powoli głową.

- Niby tak, chociaż nie zdawałam sobie sprawy z pełni twojej siły - odparłam w końcu. - Ani z potęgi twojej wyobraźni.

- Wraz z upływem lat coraz lepiej ukrywamy swoje czyny.

- Tak. Domyślałam się, że zabiłeś grupkę ludzi.

- Małą grupkę. - Jego ton sugerował, że Bill jakoś sobie radził.

Splotłam palce za plecami.

- Byłeś bardziej głodny na początku, gdy zostałeś wampirem? Jak to się właściwie stało?

Nie spodziewał się tego pytania. Patrzył na mnie przez moment. Czułam na sobie jego wzrok, choć znajdowaliśmy się teraz w kompletnych ciemnościach. Las był blisko nas. Nasze stopy chrzęściły na żwirze.

- Moja historia jest zbyt długa, by ją w tej chwili opowiedzieć - odparł. - Ale tak, w młodości...

kilka razy... zabiłem... przypadkiem. Nigdy nie miałem pewności, kiedy znowu będę mógł zjeść,

rozumiesz? Naturalnie zawsze na nas polowano, a dopiero niedawno pojawiło się coś takiego, jak

sztuczna krew. Poza tym w dawnych czasach żyło znacznie mniej ludzi niż teraz. Zapewniam cię

jednak, że byłem dobrym człowiekiem za życia, to znaczy... zanim złapałem wirusa. Z tego też

powodu jako wampir starałem się pozostać osobą cywilizowaną, czyli na swoje ofiary wybierałem

złych ludzi i nigdy nie żywiłem się dziećmi. Nie potrafiłem w każdym razie zabić dziecka, nigdy,

przenigdy! Obecnie moja sytuacja jest zupełnie odmienna. Mogę pójść do całodobowej kliniki w

pierwszym lepszym mieście i dostać tam syntetyczną krew... chociaż jest paskudna w smaku. Mogę

także zapłacić dziwce i dostać od niej tyle krwi, że wystarczy mi na kilka dni życia. Albo mogę

oczarować kogoś, by bezinteresownie pozwolił mi się ugryźć, a później wszystko zapomniał...

Zresztą, teraz nie potrzebuję tak bardzo krwi.

- Możesz też spotkać dziewczynę ranną w głowę - dorzuciłam.

- Och nie, ty byłaś deserem. Mój posiłek stanowili Rattrayowie.

Rzeczywiście sobie radził!

- Przestań - poprosiłam, czując, że tracę oddech. - Daj mi minutkę.

I dał. Może jeden mężczyzna na milion dałby mi tyle spokoju. Panowała cisza, gdyż wampir się nie

odzywał, a ja nie słyszałam jego myśli. Otworzyłam umysł, porzuciłam wszelkie własne

„zabezpieczenia” i odprężyłam się. Jego milczenie obmywało mnie i koilo. Stałam bez ruchu, z

zamkniętymi oczyma i oddychałam z tak głęboką, że aż niewyraźną słowami ulgą.

- Jesteś teraz szczęśliwa? - spytał, gdy tylko pozwoliłam mu mówić.

- Tak - sapnęłam. W tym momencie uprzytomniłam sobie, że niezależnie od tego, co ta istota wcześniej zrobiła, zawdzięczam jej spokój - bezcenny po całym życiu słuchania w swojej głowie mamrotania innych umysłów.

- Ty również dobrze na mnie działasz - powiedział, zadziwiając mnie.

- Jak to? - spytałam sennie i powoli.

- Przy tobie nie czuję żadnego strachu, żadnego pośpiechu, żadnego potępienia z twojej strony... Nie muszę używać mojego uroku, by cię przy sobie zatrzymać i móc z tobą rozmawiać.

- Uroku?

- To coś w rodzaju hipnozy - wyjaśnił. - W takim czy innym stopniu wszystkie wampiry się nim posługują. Zanim pojawiła się syntetyczna krew, jeśli chcieliśmy jeść, musieliśmy przekonywać ludzi, że jesteśmy nieszkodliwi... bądź też zapewniać ich, że wcale nas nie widzieli... lub ich łudzić, że widzieli coś innego.

- Czy twój urok zadziała na mnie?

- Oczywiście - odrzekł zaszokowany.

- W porządku, więc mnie oczaruj.

- Popatrz na mnie.

- Jest ciemno.

- Nieważne. Popatrz na moją twarz.

Stanął tuż przede mną, lekko położył ręce na moich ramionach i spojrzał na mnie z góry. Kątem oka dostrzegałam słaby blask jego skóry i oczu. Podnosząc na niego wzrok, zastanawiałam się, czy zacznę gdakać jak kura, czy może zrzucę nagle ubranie.

Jednak nie zdarzyło się nic. Czułam jedynie to - wywołane obecnością Billa - niemal narkotyczne odprężenie.

- Czujesz mój wpływ? - zapytał. Wydawał mi się trochę zadyszany.

- Wcale nie, przepraszam - odparłam pokornie. - Chociaż widzę, że się jarzysz.

- Widzisz to?! - Znów go zaskoczyłam.

- Pewnie. Nie każdy może dostrzec twój blask?

- Nie. To dziwne, Sookie.

- Skoro tak twierdzisz. Mogę popatrzeć, jak lewitujesz?

- Tutaj? - W głosie wampira zadźwięczała nuta rozbawienia.

- Jasne, dlaczego nie? Chyba że istnieje jakaś przeszkoda?

- Nie, nie istnieje. - Puścił moje ramiona i zaczął się wznosić.

Wydałam westchnienie świadczące o absolutnym zachwycie. Bill unosił się w ciemnościach, połyskując w świetle księżyca niczym rzeźba z białego marmuru. Kiedy znalazł się

mniej więcej pół metra nad ziemią, zaczął krążyć. Odniosłam wrażenie, że uśmiecha się do mnie z góry.

- Wszyscy to potraficie? - spytałam.

- A ty umiesz śpiewać?

- Nie, niestety straszliwie fałszuję.

- No widzisz, z nami jest podobnie. Nie wszyscy posiadamy identyczne umiejętności. - Wampir opuścił się powoli i niemal bezgłośnie wylądował na ziemi. - Większość ludzi jest wrażliwa na urok wampirów. Ty najwyraźniej nie - ocenił. - Wzruszyłam ramionami. Kolejna z moich przywar. Bill widocznie odgadł moje myśli, gdyż po przerwie, podczas której podjęliśmy spacer, spytał: - Zawsze było to dla ciebie trudne?

- Tak, zawsze. - Nie mogłam odpowiedzieć inaczej, chociaż nie chciałam narzekać. - Najtrudniej we wczesnym dzieciństwie, gdyż wówczas nie potrafiłam jeszcze blokować napływu myśli innych ludzi i słyszałam rzeczy, których oczywiście słyszeć nie powinnam. Później je powtarzałam... jak to dzieciak. Moi rodzice nie wiedzieli, co ze mną począć. Szczególnie martwił się ojciec. W końcu mama zabrała mnie do dziecięcej psycholog, która natychmiast odgadła moje talenty, lecz nie chciała w nie uwierzyć i usiłowała wmówić matce, że po prostu umiem czytać z ruchów ciał dorosłych, a ponieważ jestem bardzo spostrzegawcza, wyobrażam sobie, że docierają do mnie myśli tych osób. Kobieta nie chciała przyznać, że dosłownie słyszę myśli innych, bo taka teza po prostu nie pasowała do jej świata. Co do mnie, marnie radziłam sobie w szkole, jako że trudno mi się było skoncentrować... przez atakujące mój mózg myśli koleżanek i kolegów z klasy. Ze sprawdzianów natomiast otrzymywałam bardzo wysokie oceny, ponieważ inne dzieci skupiały się wtedy na swoich kartkach, a ja dzięki temu zyskiwałam nieco więcej swobody. Czasami rodzice uważali mnie za osobę leniwą, ponieważ na co dzień nie radziłam sobie zbyt dobrze. Niektórzy nauczyciele twierdzili, że mam problemy z przyswajaniem wiedzy... och, nie uwierzyłybyś w te wszystkie teorie. Co dwa miesiące badano mi wzrok i słuch, poddawano tomografii mózgu... O rany. Moi biedni rodzice wydali masę pieniędzy na te badania, nigdy jednak nie zaakceptowali prostej prawdy. Nawet na pozór, wiesz?

- W głębi duszy na pewno wiedzieli.

- Zgadza się. Pewnego razu mój tato zastanawiał się, czy wesprzeć finansowo faceta, który chciał otworzyć sklep z częściami samochodowymi. Gdy ten mężczyzna odwiedził nas w domu, ojciec poprosił mnie, żebym z nimi usiadła, a po wyjściu tamtego zabrał mnie przed dom, zapatrzył się w dal i spytał: „Sookie, czy nasz gość mówił prawdę?”. Och, to był najdziwniejszy moment mojego dzieciństwa.

- Ile miałaś lat?

- Chyba mniej niż siedem, gdyż rodzice zmarli, kiedy chodziłam do drugiej klasy.

- Jak zmarli?

- Zginęli w gwałtownej lokalnej powodzi. Deszcz złapał ich na moście na zachód stąd.

Wampir nie skomentował. Zdawałam sobie sprawę z tego, iż w swoim długim życiu widział mnóstwo trupów.

- Czy ten mężczyzna kłamał? - spytał po kilku sekundach.

- Niestety tak. Planował wyłudzić od mojego ojca pieniądze i z nimi uciec.

- Masz dar.

- Jasne, dar. - Poczułam, że moje usta ułożyły się w podkówkę.

- Dar, który odróżnia cię od innych ludzi.

- Co ty powiesz! - Szliśmy przez chwilę w milczeniu. - W ogóle więc się nie uważasz za istotę ludzką?

- Nie jestem nią od dłuższego czasu.

- Naprawdę wierzysz, że utraciłeś duszę? - Coś takiego księża katolicycy głosili w kazaniach o wampirach.

- Nie posiadam tego rodzaju wiedzy - rzucił Bill, niemal od niechcienia. Byłam pewna, że rozpamiętywał tę kwestię tak często, iż doszedł już do jednoznacznych wniosków. - Osobiście jednak nie sądzę, bym ją utracił. Jest we mnie coś, co nie jest ani okrutne, ani mordercze... nawet po tych wszystkich latach. Chociaż może jestem okrutnikiem i mordercą...

- To nie jest twoja wina, że zaraziłeś się wirusem.

Bill parsknął, wkładając jednak w ten dźwięk maksimum uprzejmości.

- Odkąd istniejemy my, wampiry, krążą o nas najrozmaitsze teorie. Może akurat ta jest prawdziwa. - Popatrzył ze smutkiem, jakby zrobiło mu się przykro, że to powiedział. - Jeśli wampirami stajemy się poprzez wirusa - kontynuował bardziej bezceremonialnie - musi on być rzadki.

- Jak człowiek zmienia się w wampira? - spytałam. Przeczytałam mnóstwo tekstów na ten temat, ale pragnęłam uzyskać odpowiedź wprost ze źródła.

- Musiałbym cię całkowicie osuszyć za jednym razem albo stopniowo... przez dwa, trzy dni, aż do momentu twojej śmierci. Później podałbym ci swoją krew. Leżałabyś jak trup mniej więcej przez czterdzieści osiem godzin... do trzech dni. Po przebudzeniu wyszłabyś w noc. I byłabyś głodna.

Gdy powiedział „głodna”, zadrżał.

- Nie ma innego sposobu?

- Wiele z moich znajomych wampirów twierdzi, że ludzie, których gryzą często, dzień po dniu, mogą się całkiem niespodziewanie stać wampirami. Szczególnie jeśli dany wampir karmi się krwią jakiejś osoby regularnie i w sposób intensywny. Choć niektórzy ludzie, mimo identycznych warunków, zaledwie nabawiają się anemii. Zresztą czasami, gdy ktoś jest bliski śmierci z jakiegoś innego powodu, na przykład po wypadku samochodowym albo przedawkowaniu narkotyków,

sytuacja może się... strasznie wymknąć spod kontroli.

Dostawałam gęziej skórki.

- Czas zmienić temat - oświadczyłam. - Co planujesz zrobić z ziemią Comptonów?

- Zamierzam na niej mieszkać, jeśli zdołam. Zmęczyło mnie dryfowanie z miasta do miasta.

Dorastałam w tym rejonie. Teraz, gdy ziemia należy do mnie zgodnie z prawem i gdy mogę w każdej chwili wyskoczyć do Monroe, Shreveport czy Nowego Orleanu po syntetyczną krew bądź prostytutkę specjalizującą się w takich jak ja... chcę tutaj pozostać. Pragnę sprawdzić, czy to w ogóle możliwe. Wędruję wszak od dziesięcioleci.

- W jakim stanie zastałeś swój dom?

- Niezbyt dobrym - przyznał. - Staram się go wysprzątać. Robię to nocami. Pewnych napraw jednakże mogą dokonać tylko specjaliści. Nieźle się znam na stolarce, ale nie mam pojęcia o elektryczności. - Oczywiście, skąd niby miał mieć? - Wydaje mi się, że trzeba pociągnąć w domu nowe kable - kontynuował głosem zwyczajnego, zaniepokojonego właściciela posesji.

- Masz telefon?

- Pewnie - odparł zaskoczony.

- Jaki więc problem z zatrudnieniem robotników?

- Ciężko jest się z nimi kontaktować w nocy i trudno ich skłonić do spotkania po zmroku, a przecież muszę im wyjaśnić, co trzeba zrobić. Ludzie, z którymi rozmawiałem, bali się mnie lub uznali, że sobie z nich żartuję. - Z tonu wampira biła prawdziwa frustracja; jego miny nie widziałam, gdyż wcześniej odwrócił twarz.

Roześmiałam się.

- Jeśli chcesz, ja do nich zadzwonię - zaofiarowałam się szybko. - Znają mnie. Chociaż może uważają mnie za stukniętą, wiedzą, że jestem uczciwa.

- Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę - powiedział Bill po chwili wahania. - Mogliby pracować za dnia, tyle że najpierw spotkałbym się z nimi i przedyskutował konieczne roboty i ich koszt.

- Cóż to za niewygoda, nie móc wychodzić za dnia - mruknęłam bezmyślnie. Nie powiedziałabym tego, jeślibym się wcześniej zastanowiła.

- Na pewno tak - odpowiedział sucho wampir.

- I w dodatku trzeba ukrywać miejsce swojego odpoczynku - dorzuciłam, popełniając kolejny błąd. Gdy dotarło do mnie znaczenie milczenia Billa, natychmiast go przeprosiłam. - Och, wybacz mi - bąknęłam. Gdyby było jaśniej, dostrzegłby mój rumieniec.

- Dzielne miejsce spoczynku wampira jest jego najściślej strzeżonym sekretem - odparł twardo.

- Przepraszam.

- Przeprosimy przyjęte - odrzekł po kolejnej chwili wahania. Dotarliśmy do drogi.

Spojrzelismy w lewo i w prawo niczym para czekająca na taksówkę. Teraz, gdy wyszliśmy z lasu, w świetle księżyca widziałam Billa w miarę wyraźnie. Wampir również mnie teraz widział w całej okazałości. Zmierzył mnie spojrzeniem z góry na dół.

- Sukienka pasuje ci do koloru oczu.

- Dziękuję. - Ja bez wątpienia nie widziałam go aż tak dokładnie!

- Nie jest jej jednak... dużo.

- Co takiego?

- Hmm... Trudno mi się przyzwyczać do młodych panien w takich krótkich sukienkach - wyjaśnił.

- Miałeś kilka dekad na przyzwyczajenie się do nich - odburknęłam zgryźliwie. - Daj spokój, Bill! Kobiety noszą spódniczki mini od czterdziestu lat!

- Lubilem długie spódnice - szepnął tęsknie. - I lubilem kobiety w bieliźnie. W halkach. - Chrząknęłam niezbyt grzecznie. - Masz halkę? - spytał.

- Mam jakąś beżową nylonową z koronką - odparłam zgorszonym tonem. - Gdybyś był człowiekiem, pomyślałabym, że mówiąc o mojej bieliźnie... podrywasz mnie!

Roześmiał się tym swoim głębokim, rzadko używanym chichotem, który oddziaływał na mnie z niezwykłą siłą.

- Masz tę halkę, Sookie?

Pokazałam mu język; wiedziałam, że go zobaczy. Po chwili jednak uniosłam połę sukienki, ujawniając kilka centymetrów opalonych ud i koronkę halki.

- Szczęśliwy? - spytałam.

- Masz ładne nogi, chociaż ja i tak wolę długie suknie.

- Ależ jesteś uparty - odcięłam się.

- Moja żona to samo mi stale powtarzała.

- Byłeś więc żonaty.

- Tak, zostałem wampirem jako trzydziestolatek. Miałem żonę i pięcioro dzieci. Mieszkała z nami moja siostra, Sarah. Nigdy nie wyszła za mąż. Jej narzeczony zginął na wojnie.

- To znaczy w wojnie domowej.

- Tak. Ja wróciłem z pola bitwy. Należałem do szczęśliwców. Przynajmniej tak wtedy sądziłem.

- Walczyłeś za Konfederację - oświadczyłam ze zdumieniem. - Jeśli nadal masz swój mundur i założysz go na spotkanie do klubu, starsze panie pomdleją z radości.

- Już pod koniec wojny niewiele zostało z mojego munduru - wyjaśnił ponuro. - Byliśmy w łachmanach i głodowaliśmy. - Chyba powoli brał się w garść. - Co nie miało dla mnie żadnego znaczenia, gdy zostałem wampirem - mruknął zimnym, odległym głosem.

- Powiedziałaś coś, co cię zdenerwowało - jęknęłam. - Bardzo cię za to przepraszam. O czym

powinniśmy rozmawiać? - Zawróciliśmy i ruszyliśmy podjazdem w stronę mojego domu.

- Na przykład o twoim życiu - stwierdził. - Opowiedz mi, co robisz, kiedy wstajesz rano.

- Wychodzę z łóżka i od razu je ścielę. Potem jem śniadanie: tosta, czasem płatki albo jajka. Piję też kawę. Szczotkuję zęby, biorę prysznic, ubieram się. Czasami golę nogi, wiesz. Jeśli jest dzień powszedni, idę do pracy, jeżeli zaś mam nockę, mogę pójść na zakupy, zabrać babcię do sklepu, wypożyczyć film i go obejrzeć lub się poopalać. Dużo czytam. Mam szczęście, że babcia nadal jest zdrowa i żwawa. To ona pierze, prasuje i przyrządza większość posiłków.

- A spotkania z młodymi mężczyznami?

- Och, mówiłam ci o moich problemach. Randki po prostu nie wydają mi się możliwe.

- A więc co zrobisz, Sookie? - spytał łagodnie.

- Zestarzeję się i umrę - wydukałam. Bill zbyt często muskał moje wrażliwe punkty.

W następnej sekundzie wampir ogromnie mnie zaskoczył, gdyż wyciągnął rękę i wziął w nią moją dłoń. Teraz, kiedy każde z nas trochę czymś rozgniewało drugie i dotknęło bolącego miejsca swego towarzysza, atmosfera wydawała mi się zdecydowanie klarowniejsza. W spokojnej dotąd nocy zerwał się lekki wietrzyk, który uniósł na moment moje włosy.

- Zdejmiesz spinkę? - spytał wampir.

Nie widziałam powodu odmówić. Wyjęłam dłoń z jego ręki, sięgnęłam do włosów i rozpięłam spinkę. Rozpuściwszy włosy, potrząsnęłam głową. Wsunęłam spinkę Billowi do kieszeni, ponieważ w sukience nie miałam żadnych. Jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, wampir zaczął przeczesać palcami moje włosy, rozkładając mi je na ramionach.

Dotknęłam jego baczków, uznając, że dotyk najwyraźniej jest dozwolony.

- Są długie - zauważyłam.

- Taka była moda - odparł. - Mam szczęście, że nie nosiłem brody, tak jak wiele osób wtedy... W przeciwnym razie zostałyby mi do końca życia.

- Nigdy nie musisz się golić?

- Nie, na szczęście wówczas dopiero co się ogoliłem. - Wydawał się zafascynowany moimi włosami. - W świetle księżyca wyglądają na srebrne - powiedział bardzo cicho.

- Och... A co lubisz robić?

Mimo mroku zauważyłam cień uśmiechu na jego ustach.

- Też lubię czytać. - Zastanowił się. - Lubię oglądać filmy... Wiesz, obserwowałem rozwój sztuki filmowej od samego początku. Uwielbiam towarzystwo ludzi, którzy prowadzą zwykłe życie.

Czasami tęsknię za obecnością innych wampirów, chociaż większość z nich żyje w sposób bardzo odmienny od mojego.

Przez chwilę szliśmy w kompletnej ciszy.

- Oglądasz telewizję?

- Czasami - wyznał. - Przez jakiś czas nagrywałem na wideo opery mydlane i oglądałem je w nocy. Bałem się wówczas, że mogę zapomnieć, jak to jest być człowiekiem. Po jakimś czasie dałem sobie z nimi spokój, ponieważ sugerując się przykładami z tych seriali, można zapomnieć, że ludzkość... jest dobra.

Roześmiałam się.

Weszliśmy w krąg światła wokół domu. W głębi duszy spodziewałam się, że babcia będzie na nas czekać na huśtawce, na szczęście jej nie było. A w salonie paliła się tylko jedna przyćmiona żarówka.

„No wiesz, babciu” - pomyślałam zirytowana. Czyżbym w jej mniemaniu wracała z pierwszej randki z nowym mężczyzną? Nawet przyłapałam się na pytaniu, czy Bill spróbuje mnie pocałować przed odejściem. Chociaż z takimi poglądami na suknie prawdopodobnie uważał pożegnalny całus za wykluczony. Może całowanie z wampirem wydaje wam się głupie, zrozumiałam jednak nagle, że tego właśnie pragnę - bardziej niż cegokolwiek innego.

Poczułam nieprzyjemne ukłucie w piersi - jakąś gorycz, że znowu ktoś mi czegoś odmawia. Później pomyślałam sobie: „Dlaczego nie?” i pociągnęłam Billa delikatnie za rękę. Wyprostowałam się, przyłożyłam wargi do jego lśniącego policzka. Wciągnęłam zapach wampira, który okazał się zwyczajny, choć nieco słony i z nikłą nutką wody kolońskiej.

Poczułam, że Bill zadrzał. Odwrócił lekko głowę i jego wargi dotknęły moich. Podniosłam rękę i otoczyłam jego szyję. Jego pocałunek się pogłębił, otworzyłam szerzej usta. Nikt nigdy mnie tak nie całował! Pocałunek trwał i trwał, aż odniosłam wrażenie, że cały świat utonął w tym naszym pocałunku. Oddech mi przyspieszył i zapragnęłam, by zdarzyło się między nami coś więcej.

Ale wampir nagle się odsunął. Wyglądał na wstrząśniętego, co ogromnie mi się spodobało.

- Dobranoc, Sookie - powiedział, po raz ostatni gładząc moje włosy.

- Dobranoc, Billu - odrzekłam. Mój głos również trochę drżał. - Spróbuję jutro zadzwonić do elektryków. Dam ci znać, co powiedzą.

- Przyjdź do mnie do domu jutro w nocy... O ile masz wolne?

- Mam - odparłam. Nadal nie w pełni nad sobą panowałam.

- Więc do zobaczenia, Sookie. I dzięki. - Obrócił się i ruszył przez las do swojego domu. Kiedy wszedł w ciemność, straciłam go z oczu.

Kilka minut stałam i wpatrywałam się przed siebie jak jakaś głupia, aż wreszcie się otrząsnęłam i ruszyłam do domu z zamiarem położenia się do łóżka.

Spędziłam nieprzyzwoicie długi czas, leżąc bezsennie i zastanawiając się, czy nieumarły może w ogóle robić... to. Zadałam też sobie pytanie, czy możliwa jest szczerą rozmowa z Billem o... tym.

Czasami wydawał się strasznie staroświecki, a czasami idealnie normalny... niczym facet z sąsiedztwa. No cóż, właściwie nie aż tak, ale bywał dość normalny.

Jakież to równocześnie cudowne i żałosne, że jedyne stworzenie, z którym umówiłam się po raz pierwszy od lat i z którym pragnęłam uprawiać seks, nie jest właściwie człowiekiem. Telepatia boleśnie ograniczała moje możliwości. Oczywiście mogłam wcześniej pójść z kimś do łóżka, ja jednak wciąż czekałam, gdyż chciałam czerpać z miłości fizycznej prawdziwą przyjemność.

A jeśli pójdę z Billem do łóżka i po wszystkich tych latach zwlekania odkryję, że kompletnie nie mam do tego talentu? Albo nie będę się czuła dobrze. Może autorzy powieści i twórcy filmów przesadzają. Może przesadza w swych opowieściach Arlene, która nigdy i nijak nie pojmuje, że nie mam ochoty znać wszystkich szczegółów dotyczących jej życia płciowego!

W końcu zasnęłam. Męczyły mnie długie, mroczne sny.

Następnego ranka, między odpieraniem pytań babci na temat mojego spaceru z wampirem oraz naszych dalszych planów, odbyłam kilka rozmów telefonicznych. Znalazłam dwóch elektryków, hydraulika i kilku innych instalatorów, którzy podali mi swoje domowe numery telefoniczne, pod którymi można się było z nimi skontaktować w nocy. Zapewniłam każdego fachowca z osobna, że telefon od Billa Comptona z pewnością nie będzie psikussem.

W końcu położyłam się na słońcu, by się poopalać, po chwili jednak babcia przyniosła mi z domu telefon.

- Twój szef - oznajmiła. Babcia lubiła Sama, a teraz najwyraźniej jakieś jego słowa prawdziwie ją uszczęśliwiły, ponieważ uśmiechała się szeroko niczym kot z Cheshire.

- Cześć, Sam - rzuciłam w słuchawkę, prawdopodobnie niezbyt wesołym tonem, podejrzewałam bowiem, iż usłyszę, że w pracy zdarzyło się coś złego.

- Dawn nie przyszła, moja droga - odparował mój szef.

- O... cholera - odburknęłam. Wiedziałam, że będę musiała niedługo pojechać do baru. - Miałam pewne plany, Sam. - Chyba pierwszy raz tak mu odpowiedziałam. - Kiedy mnie potrzebujesz?

- Mogłabyś popracować od siedemnastej do dwudziestej pierwszej? Bardzo byś mi pomogła.

- Czy dostanę za to inny cały wolny dzień?

- Może Dawn podzieli z tobą zmianę którejś nocy?

Nieuprzejmie prychnęłam, choć babcia stała obok, patrząc na mnie z surową miną. Wiedziałam, że za chwilę palnie mi wykład.

- Och, no dobrze - mruknęłam niechętnie. - Zobaczymy się o piątej.

- Dzięki, Sookie - powiedział. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Spróbowałam czuć z tego powodu dumę. Jednakże dobroć wydała mi się nudną zaletą. „Tak, na Sookie zawsze można liczyć, Sookie zawsze przyjdzie i pomoże, bo nie ma dziewczyna żadnego życia osobistego!”

Cóż, mogłam oczywiście bez problemu pojechać do Billa po dziewiątej wieczór. Mój wampir i tak będzie na nogach przez całą noc.

Praca nigdy mi się tak nie ciągnęła jak tego dnia. Nie mogłam się skoncentrować na tyle, by blokować napływ myśli otaczających mnie ludzi, ponieważ bez przerwy myślałam o Billu. Na szczęście w barze było niewielu klientów, w przeciwnym razie zalałaby mnie masa niechcianych myśli. Niestety mimowolnie odkryłam, że Arlene spóźnia się okres i moja przyjaciółka boi się, czy nie jest w ciąży. Zanim zdołałam się powstrzymać, przytuliłam ją. Przyjrzała mi się badawczo, po czym straszliwie się zaczerwieniła.

- Wszedłeś w mój umysł, Sookie? - spytała ostro. Arlene była jedną z nielicznych osób, które po prostu przyjęły do wiadomości istnienie mojego daru, nie próbując w żaden sposób go wyjaśniać ani nie nazywając mnie z jego powodu dziwadłem. Zauważyłam jednak, że nawet ona nie mówiła o tej sprawie ani zbyt często, ani normalnym tonem.

- Przepraszam, nie zrobiłam tego specjalnie - bąknęłam. - Nie jestem dzisiaj za bardzo skupiona.

- No to w porządku. Od tej chwili jednak staraj się nad sobą panować. - Pogroziła mi palcem, jednocześnie potrząsając głową; ogniste loki poruszyły się przy jej policzkach.

Odniosłam wrażenie, że zaraz się rozplaczę.

- Przepraszam - powtórzyłam i ruszyłam wielkim krokiem do magazynu, by się tam uspokoić. Starłam się trzymać głowę prosto, lecz z trudem powstrzymywałam łzy.

Usłyszałam, jak otwierają się za mną drzwi.

- Hej, Arlene, przecież cię przeprosiłam! - warknęłam. Chciałam zostać sama. Czasami Arlene mieszała telepatię z umiejętnością przewidywania przyszłości. Bałam się, że mnie spyta, czy naprawdę jest w ciąży. Lepiej kupiłaby sobie w aptece test ciążowy.

- Sookie. - To był Sam. Położył mi rękę na ramieniu i lekko mnie odwrócił ku sobie. - Co się dzieje?

Jego łagodny głos z niewiadomych względów pogłębił mój smutek.

- Wolałabym, żebyś na mnie nakrzyczał - jęknęłam. - Inaczej się rozplaczę!

Roześmiał się cicho i krótko, po czym objął mnie ramieniem.

- O co chodzi? - Nie poddawał się i nie odchodził.

- Bo ja... - I tu utknęłam.

Nigdy nie dyskutowałam otwarcie o moim problemie (jak go nazywałam) ani z Samem, ani z nikim innym. Wszyscy w Bon Temps znali pogłoski związane z przyczynami mojej „odmienności”, wyraźnie jednak nikt nie rozumiał, że non stop muszę słuchać ich umysłowego bełkotu, czy tego chcę, czy nie... Ach te ich codziennie narzekania, narzekania, narzekania...

- Usłyszałaś coś, co cię zdenerwowało? - spytał spokojnie i trzeźwo. Dotknął środka mojego czoła,

sugerując specyficzne znaczenie słowa „słyszeć”.

- Tak.

- Nic na to nie możesz poradzić, prawda?

- Nic.

- Nienawidzisz tego, co, kochanie?

- Och, tak!

- A więc nie ma w tym twojej winy?

- Staram się nie podsłuchiwać ludzi, ale nie zawsze potrafię się obronić przed napływem ich myśli.

- Poczułam, że łza, której nie mogłam dłużej tłumić, zaczyna spływać po moim policzku.

- Powiedz, jak to robisz, Sookie? To znaczy... jak się przed tym bronisz?

Wyglądał na naprawdę zainteresowanego i chyba wcale mnie nie uważał za kogoś gorszego od siebie. Podniosłam nieco głowę i wpatrzyłam się w jego wielkie, piękne, niebieskie oczy.

- Po prostu... trudno się coś takiego opisuje komuś, kto tego nie potrafi... Stawiam takie umysłowe ogrodzenie... blokadę... taką sztuczną ochronę... jakby stalowe płyty między moim mózgiem i umysłami innych osób.

- Musisz pilnować, by to ogrodzenie nie... opadło?

- Tak. Utrzymywanie go wymaga ode mnie ogromnej koncentracji. Jakoś przez cały ten czas trochę się... oddzielałam się od mojego umysłu i może właśnie dlatego ludzie uważają mnie za stukniętą.

Jedna połowa mojego mózgu stara się podtrzymywać te stalowe płyty, podczas gdy druga skupia się na przyjmowaniu zamówień, toteż czasami nie mam siły na prowadzenie logicznej rozmowy. -

Czułam olbrzymią ulgę, że mogę komuś o tym opowiadać.

- Słyszysz słowa czy raczej docierają do ciebie wrażenia?

- Hmm... wszystko zależy od osoby, której... słucham. I od jej stanu. Jeśli ktoś jest pijany albo zaniepokojony, otrzymuję jedynie obrazy, wrażenia, zamiary... W przypadku osób trzeźwych i spokojnych często słyszę słowa i widzę nieco obrazów.

- Wampir twierdzi, że jego myśli nie słyszysz.

Poczułam się bardzo dziwnie na myśl, że Bill i Sam rozmawiali o mnie.

- Zgadza się - przyznałam.

- Czy ten fakt cię relaksuje?

- O tak, zdecydowanie - odrzekłam szczerze.

- A moje myśli słyszysz, Sookie?

- Nie chcę nawet próbować! - odrzekłam pospiesznie. Ruszyłam do drzwi magazynu, lecz zatrzymałam się z ręką na gałce. Wyciągnęłam chusteczkę z kieszeni szortów i delikatnie starłam łzy z policzka. - Jeśli zajrzę w twój umysł, będę musiała odejść z pracy, Sam! A lubię ciebie i lubię tu pracować.

- Och, tylko kiedyś spróbuj, Sookie - odpowiedział niedbale, po czym odwrócił się, wyjął z kieszeni ostry nóż i zaczął nim otwierać karton z butelkami whisky. - Nie przejmuj się mną. Możesz tu pracować, jak długo chcesz.

Wytarłam stolik, na który Jason rozsypał sól. Zanim poszedł, zjadł hamburgera i frytki. Wypił też parę piw.

Zastanowiłam się nad propozycją Sama.

Dziś nie będę próbowała go posłuchać. Był na to przecież przygotowany. Poczekam, aż intensywnie się czymś zajmie. Wślizgnę się jedynie na moment w jego umysł i posłucham jego myśli. Wszak sam mnie zachęcał, co zresztą wydało mi się osobliwe i absolutnie unikatowe.

Miło otrzymać zaproszenie.

Poprawiłam makijaż i wyszczotkowałam włosy. Nosилаm teraz rozpuszczone, ponieważ Bill wyraźnie taką fryzurę lubił, choć przeszkadzała mi ona w pracy.

Kiedy wreszcie nadszedł koniec mojej zmiany, wzięłam torebkę z szuflady w biurze Sama.

* * *

Dom Comptonów - podobnie jak dom mojej babci - stał z dala od głównej drogi. Był nieco lepiej widoczny z drogi gminnej niż nasz, a z jego okien rozciągał się widok na cmentarz, którego nasz nie miał. Powodem (przynajmniej częściowym) było wyższe usytuowanie domu Comptonów. Znajdował na szczycie pagórka i składał się z pełnych dwóch kondygnacji. Dom babci posiadał dwie zapasowe sypialnie na piętrze i stryszek, lecz nie było to pełne piętro - w najlepszym razie półpiętro.

W pewnym momencie swojej długiej historii Comptonowie mieli bardzo miły dom. Nawet w ciemnościach dostrzegałam jego urokliwość. Wiedziałam jednak, że w świetle dziennym zauważyłabym zapewne, że filary się łuszczą, drewniane deski wyglądają na wypaczone, a podwórko zarosło niczym dżungla. W wilgotnym cieple Luizjany roślinność rozwija się niezwykle szybko, trzeba więc ją często przycinać, stary pan Compton zaś nie miał zwyczaju wynajmować pomocników, toteż gdy osłabł, pozostawił podwórko na łaskę losu.

Na alejce dojazdowej od lat nie zmieniano żwiru i mój samochód przechylał się lekko ku przednim drzwiom. Dostrzegłam, że w całym domu palą się światła i zaczęłam rozumieć, że dzisiejszy wieczór nie będzie przypominał wczorajszego. Przed domem stał zaparkowany drugi samochód - lincoln Continental, biały z granatowym dachem. Na zderzaku przyklepiono biało-błękitną naklejkę z napisem: „Wampiry ssą”. Czerwono-żółta natomiast mówiła: „Zatrąb, jeśli jesteś krwiodawcą!”. Tablica rejestracyjna składała się z jednego słowa i jednej liczby: „KŁY 1”.

Skoro Bill miał już towarzystwo, może powinnam po prostu pojechać do domu?

Ale przecież mnie zaprosił, więc pewnie oczekiwał. Z wahaniem podniosłam rękę i zapukałam do drzwi.

Otworzyła je wampirzyca.

Jarzyła się jak szalona. Była Murzynką i mierzyła co najmniej metr osiemdziesiąt. Nosiła obcisły sportowy podkoszulek ze spandeksu w kolorze różowym, dopasowane, długie do łydki legginsy z lycry oraz rozpiętą elegancką, męską, białą koszulę.

Pomyślałam, że wyglądała tanio jak cholera i najprawdopodobniej - z męskiego punktu widzenia - niesamowicie apetycznie.

- Hej, panienko - zamruczała.

A ja nagle pojęłam, że grozi mi niebezpieczeństwo. Bill wielokrotnie mnie ostrzegał, że nie wszystkie wampiry są równie uprzejme jak on; zresztą sam także miał podobno momenty, gdy nie był wcale taki miły. Nie potrafiłam wejść w umysł stojącej przede mną istoty, ale dosłyszałam jawne okrucieństwo w jej głosie.

Może zraniła Billa. A może była jego kochanką...

Wszystkie te myśli pospiesznie przeleciały mi przez głowę, na szczęście żadna nie uwidoczniła się na mojej twarzy. Miałam za sobą lata doświadczeń w kontrolowaniu min i emocji. Uśmiechnęłam się więc grzecznie, wyprostowałam i rzuciłam Murzynce wesoło:

- Cześć! Miałam wpaść dziś wieczorem i przekazać Billowi pewną informację. Mogę się z nim zobaczyć?

Wampirzyca zaśmiała się z moich słów, jestem jednak przyzwyczajona do drwin, toteż mój uśmiech jeszcze bardziej się rozszerzył. Od tego stworzenia niemal promieniowało niebezpieczeństwo - w sposób, w jaki żarówka wydziela ciepło.

- Bill, jest tu panienka, która twierdzi, że ma dla ciebie jakąś wiadomość! - wrzasnęła przez (szczupłe, brązowe i piękne) ramię. Stłumiłam westchnienie ulgi. - Chcesz zobaczyć tę małą? A może po prostu dam miłosnego całuska?

„Po moim trupie” - pomyślałam wściekle i w tej samej chwili zrozumiałam, że tak właśnie by to wyglądało.

Nie usłyszałam odpowiedzi Billa, tym niemniej wampirzyca się odsunęła. Weszłam do starego domu. Wiedziałam, że ucieczka na nic się nie zda. Długonoga Murzynka niewątpliwie by mnie dopadła, zanim zdążyłabym przebiec pięć kroków. Usiłowałam też nie rozglądać się za Billem, zatem ciągle nie miałam pewności, czy nic mu nie jest. Miałam nadzieję, że starczy mi odwagi i dzielnie stawię czoło tej sytuacji.

W dużym salonie znajdowało się mnóstwo ciemnych, starych mebli i ludzi. Nie, nie, gdy przyjrzałam się uważniej, uświadomiłam sobie, że nie wszyscy byli ludźmi - rozróżniłam dwie osoby i jeszcze dwa dziwne wampiry.

Oba wampiry były płci męskiej i rasy białej. Jeden miał włosy obcięte tuż przy skórze i tatuaże na każdym widocznym milimetrze skóry. Drugi przewyższał wzrostem nawet wampirzycę, która mi otworzyła, mierzył co najmniej sto dziewięćdziesiąt parę centymetrów, był wspaniałej budowy, jego głowę zaś okalały długie, faliste, ciemne włosy.

Ludzie prezentowali się mniej imponująco. Kobieta była pulchną blondynką, miała trzydzieści pięć lat lub więcej i zbyt grubą warstwę makijażu. Wyglądała na zniszczoną... niczym stary but.

Mężczyzna wręcz przeciwnie - był naprawdę uroczym, może najładniejszym człowiekiem, jakiego widziałam w całym moim życiu. Nie miał chyba więcej niż dwadzieścia jeden lat. Śniada cera sugerowała prawdopodobnie latynoskie pochodzenie; był niewysoki i drobnokościsty. Miał na sobie jedynie poszarpane dżinsy i... makijaż. Nie przeszkadzało mi to, ale i nie pociągało.

Nagle Bill się poruszył i wreszcie go zobaczyłam. Stał w cieniu ciemnego korytarza prowadzącego z salonu na tyły domu. Popatrzyłam na mojego wampira, próbując się zorientować w tej niespodziewanej sytuacji. Popadłam w lekką konsternację, gdyż wcale nie miał zachęcającej miny. Jego twarz była zresztą całkowicie nieruchoma i nieprzenikniona. Chociaż nie mogłam uwierzyć, że w ogóle o tym pomyślałam, zapragnęłam w tym momencie zerknąć w jego umysł.

- Och, zapowiada się cudowny wieczór - oświadczył długowłosy wampir z zachwytem w głosie. - Czy to twoja przyjaciółka, Bill? Jest taka świeżutka.

Przyszło mi do głowy kilka obsceniczných słów, których nauczyłam się od Jasona.

- Proszę, wybaczone mi i Billowi na minutkę - oznajmiłam bardzo uprzejmie, jakby wieczór był idealnie normalny. - Załatwiam fachowców do napraw w tym domu. - Staralam się brzmieć rzeczowo i bezosobowo, chociaż udająca specjalistkę dziewczyna w szortach, podkoszulku i najkach nie wzbudza raczej szacunku. Takie zachowanie podpowiadała mi jednakże intuicja.

- A słyszeliśmy, że Bill jest na diecie i pija jedynie krew syntetyczną - zauważył wytatuowany wampir. - Obawiam się, Diane, że ktoś nam wciskał bzdury.

Wampirzyca przekrzywiła głowę i posłała mi długie spojrzenie.

- Nie jestem tego taka pewna. Ta mała wygląda mi na dziewczę.

Pomyślałam, że wampirzyca mówi chyba o czymś innym niż błona dziewicza.

Zrobiłam kilka swobodnych kroków w stronę Billa, mając cholerną nadzieję, że w najgorszym razie mój wampir mnie obroni, choć nie byłam tego w tej chwili wcale taka pewna. Nadal się uśmiechałam, czekając, aż Bill coś powie i się ruszy.

Wówczas wreszcie się odezwał.

- Sookie jest moja - oświadczył, a jego głos zabrzmiał tak zimno i gładko, że gdyby był kamieniem, wsunąłby się w wodę, nie czyniąc najmniejszej nawet zmarszczki.

Popatrzyłam na niego ostro, na szczęście miałam dość rozumu, by trzymać język za zębami.

- Jak dobrze się troszczysz o naszego Billa? - spytała Diane.

- Nie twój pieprzony interes! - odburknęłam, używając jednego ze słów Jasona i nadal się uśmiechając. Dałam im do zrozumienia, że mam temperament.

Zapanowała krótka cisza. Wszyscy, ludzie i wampiry, przyglądali mi się tak dokładnie, że mogliby policzyć włoski na moich rękach. Nieoczekiwanie wysoki wampir zaczął się trząść ze śmiechu, a reszta poszła za jego przykładem. Kiedy tak rechotali, podeszłam kilka kroków bliżej Billa, który intensywnie wpił się ciemnymi oczyma w moje. Nie śmiał się i odniosłam wyraźne wrażenie, że równie mocno jak ja pragnie, żebym umiała czytać mu w myślach.

Podejrzywałam, że Bill znajduje się w niebezpieczeństwie. A jeśli Billowi groziło niebezpieczeństwo, groziło i mnie.

- Masz zabawny uśmiech - mruknął w zadumie wysoki wampir. Podobał mi się bardziej, gdy rechotał.

- Och, Malcolmie - wtrąciła Diane. - Wszystkie kobiety wyglądają dla ciebie zabawnie.

Malcolm przyciągnął do siebie młodego mężczyznę i długo go całował. Poczulałam się nieco zde gustowana, uważałam bowiem, że pocałunki należy wymieniać na osobności.

- To prawda - odparł Malcolm, odrywając się po chwili od młodzieńca, ku jawnemu rozczarowaniu tamtego. - Jednakże w tej dostrzegam coś rzadkiego. Może ma bogatą krew.

- Phi - pisnęła blondynka głosem, od którego mógłby popękać tynk. - To przecież tylko stuknięta Sookie Stackhouse.

Przypatrzyłam się kobiecie z większą uwagą. Rozpoznałam ją w końcu, gdy ją w myślach ciut odmłodziłam i zmyłam z niej połowę makijażu. Janella Lennox pracowała w „Merlotcie” przez dwa tygodnie, aż Sam ją wyrzucił. Arlene twierdziła, że kobieta przeniosła się później do Monroe.

Wampir z tatuażami otoczył ramieniem Janellę i potarł jej piersi. Odkryłam, że blednę; cała krew spłynęła mi z twarzy. Byłam straszliwie zniesmaczona. Mój wstręt wzrósł, kiedy Janella, równie pozbawiona przyzwoitości jak wampir, położyła dłoń na jego kroczu i zaczęła je masować.

Przynajmniej miałam teraz wyraźny dowód na to, że wampiry są w stanie uprawiać seks.

W tej chwili jednak odkrycie to mało mnie podniecało.

Malcolm obserwował mnie i dostrzegł moją odrazę.

- Ta mała jest kompletnie niewinna - powiedział do Billa z tęsknym uśmiechem.

- Ona jest moja - powtórzył Bill. Tym razem jego głos był twardszy, a ton jawnie ostrzegawczy.

- No, Bill, nie powiesz mi, że od tej panienki dostajesz wszystko, czego potrzebujesz - stwierdziła Diane. - Jesteś błądy i jakiś taki... oklapnięty. Dziewczyna na pewno nie dba o ciebie odpowiednio.

- Zrobiłam kolejny krok ku Billowi. - Proszę - zaproponowała wampirzyca, którą powoli zaczynałam nienawidzić - posmakuj kobiety Liama albo Jerry'ego, ładnego chłopca Malcolma.

Janella nie zareagowała na stwierdzenie Diane, prawdopodobnie zbyt zajęta rozpinaniem dżinsów Liama, ale „ładny chłopiec Malcolma”, czyli Jerry, natychmiast podpełzł do mojego wampira.

Uśmiechnęłam się, chociaż od tego sztucznego uśmiechu o mało nie pękły mi szczęki, a tymczasem młokos otaczał ramionami Billa, łąsił się przy szyi Billa, ocierał się pierśią o koszulę Billa...

Nie mogłam patrzeć na wykrzywioną twarz mojego wampira. Bronił się przed Jerryem, lecz bezwiednie zaczynał wysuwać kły. Po raz pierwszy widziałam je w całej okazałości. Syntetyczna krew niestety rzeczywiście nie zaspokajała wszystkich potrzeb Billa.

Jerry zaczął lizać punkt przy podstawie szyi Billa. Nadmiar emocji sprawił, że przestałam się bronić przed napływem myśli innych osób. Ponieważ czworo spośród obecnych było wampirami, których umysłów nie potrafiłam odczytać, Janella zaś była całkowicie zajęta, pozostawał Jeny. Wsłuchałam się w jego myśli i aż się za-krztusiłam.

Bill, drżąc z pokusy, akurat się pochylał z zamiarem zatopienia kłów w szyję Jerry'ego, gdy zawołałam:

- Nie! On ma sinowirus! - Jakby uwolniony od zaklęcia, Bill popatrzył na mnie przez ramię Jerry'ego. Oddychał ciężko, lecz jego kły się cofnęły. Skorzystałam z tej chwili i podeszłam jeszcze kilka kroków. Dzielił mnie teraz od mojego wampira zaledwie metr. - Sino-AIDS - dodałam. Krew alkoholików i nałogowych narkomanów ma krótkotrwały wpływ na wampiry. Niektóre z nich podobno zresztą znajdowały przyjemność w tym pośrednim kontakcie z użytkownikami. Nijak natomiast na wampiry nie oddziaływała krew ludzi z pełnobjawowym AIDS, chorych na inne choroby przenoszone drogą płciową czy też osób dotkniętych nękającymi istoty ludzkie wirusami.

Oprócz sino-AIDS! Choroba ta wprawdzie nie zabijała wampirów tak stuprocentowo, jak wirus AIDS uśmiercał ludzi, bardzo wszakże osłabiała nieumarłych na okres niemal miesiąca, w którym to czasie stosunkowo łatwo było takiego wampira schwytać i zabić, wbijając mu kołek w pierś. Zdarzało się, że wampir, który niejednokrotnie żywił się zarażoną krwią, praktycznie umierał... to znaczy umierał ponownie... nawet bez kołka. Choć w większej części Stanów Zjednoczonych sino-AIDS nadal pozostawał chorobą rzadką, mocno się rozprzestrzenił w okolicy takich portów jak Nowy Orlean, gdzie wirusa przywozili pochodzący z całego świata marynarze i inni podróżnicy schodzący na ląd, by się zabawić.

Po moich słowach wszystkie wampiry zmartwiały i zagapiły się na Jerry'ego niczym na śmierć w przebraniu. Może zresztą tym dla nich był.

W następnej sekundzie piękny młody człowiek zaskoczył mnie. Obrócił się i rzucił się na mnie. Nie był wampirem, lecz był silny (najwyraźniej od niedawna nosił w sobie wirusa) i cisnął mnie o ścianę po lewej stronie. Później otoczył moje gardło jedną ręką i podniósł drugą, zamierzając trzasnąć mnie pięścią w twarz. Dopiero podnosiłam ramiona do obrony, gdy ktoś chwycił rękę Jerry'ego i jego ciało nieoczekiwanie znieruchomiało.

- Puść jej szyję - wrzasnął Bill głosem tak przeraźliwym, że nawet ja się wystraszyłam.

Od wielu minut byłam w stresie i lękałam się, że już nigdy nie poczuję się bezpieczna. W dodatku

palce Jerry'ego wcale się nie rozluźniły, toteż bezwiednie zaczęłam wydawać ciche piski. W panice zerkałam na boki. Gdy znów spojrzałam w pobladłą twarz Jerry'ego, zrozumiałam, że Bill trzyma jego rękę, a Malcolm chwycił go za nogi. Młokos przeraził się i nie do końca pojmował, czego od niego chcą.

Szczegóły otoczenia widziałam coraz mniej wyraźnie, głosy wpływały w mój umysł i z niego wypływały. Czułam natłok myśli Jerry'ego, ale nie miałam siły się przed nimi bronić. Byłam zupełnie bezradna. Mimowolnie odkryłam, że głowę młodzieńca wypełnia obraz kochanka, który zaraził go wirusem, a następnie opuścił go dla jakiegoś wampira, więc Jerry zamordował go w ataku zazdrości i wściekłości. Kiedy uprzytomnił sobie, co zrobił, obarczył winą za wszystko wampiry. Pragnął wszystkie pozabijać i na początek postanowił pozarażać je sino-AIDS. To miała być jego zemsta.

Ponad jego ramieniem dostrzegłam uśmiechniętą twarz wampirzycy Diane.

Nagle Bill złamał Jerry'emu nadgarstek.

Młodzieniec krzyknął z bólu i zwałił się na podłogę. Do mojego mózgu ponownie zaczęła docierać krew, toteż o mało nie zemdlałam. Malcolm podniósł Jerry'ego i przeniósł go na kanapę - tak niedbale, jakby młokos był zwiniętym dywanem. Myny Malcolm nie można było jednak nazwać obojętną. Wiedziała, że Jerry będzie miał szczęście, jeśli umrze szybko.

Bill stanął przede mną, zajmując miejsce nieszczęsnego młodzieńca. Jego palce, które właśnie złamały przegub Jerry'ego, masowały teraz moją szyję - w delikatności mój wampir przypominał mi babcię. Położył palec na moich wargach, sugerując, żebym milczała.

Potem otoczył mnie ramieniem i odwrócił się, by stawić czoło pozostałym wampirom.

- Bardzo zabawne widowisko - ocenił Liam chłodnym głosem. Najwyraźniej starania Janelli nie zrobiły na nim szczególnego wrażenia. Przez całą akcję nawet się nie ruszył z kanapy. Przyjrzałam się nowym tatuażom, dopiero teraz widocznym na częściowo obnażonym ciele wampira. Były tak nieprzyzwoite, że aż ogarnęły mnie mdłości. - Sądzę, że teraz powinniśmy wracać do Monroe. Trzeba odbyć krótką rozmowę z Jerrym, natychmiast gdy się obudzi, co, Malcolmie?

Malcolm zarzucił sobie na ramię nieprzytomnego młodzieńca i bez słowa kiwnął głową Liamowi. Diane wyglądała na rozczarowaną.

- Ależ, panowie - zaprotestowała. - Nie dowiedzieliśmy się jeszcze, skąd ta mała o tym wie.

Dwa wampiry równocześnie przeniosły wzrok na mnie. Liam zaczął jakby od niechcienia szczytować. Czyli tak, wampiry mogą mieć orgazm! Po chwili Liam odsapnął.

- Dzięki, Janello. Malcolmie, to dobre pytanie, nie uważasz? Nasza Diane jak zwykle bardzo się stara dotrzeć do samego sedna problemu. - Cała trójka wampirów z Monroe roześmiała się. Mnie ten żart raczej przestraszył.

- Nie możesz jeszcze mówić, prawda, kochana? - Na wypadek, gdybym nie pojęła aluzji, Bill jednocześnie ścisnął moje ramię.

Potrząsnęłam głową.

- Prawdopodobnie mogłabym ją skłonić do mówienia - zaoferowała się wampirzyca.

- Diane, zapominasz się - upomniał ją łagodnie Bill.

- No tak, dziewczyna jest twoja - przyznała Diane. W jej tonie nie było ani strachu, ani przekonania.

- Trzeba się będzie spotkać innym razem - mruknął Bill, jawnie dając pozostałym do zrozumienia, że mają wyjść albo będą musieli z nim walczyć.

Liam wstał, zapiał zamek dzinsów i kiwnął na kobietę.

- Janello, wychodzimy. Wyrzucają nas. - Rozłożył ręce, a tatuaże na muskularnych ramionach poruszyły się.

Janella przesunęła palcami po jego żebrach, jakby znowu rozpoczynała grę wstępną, lecz wampir jednym ruchem odepchnął ją niczym natrętną muchę. Popatrzyła na niego rozdrażniona, choć wcale nie zawstydzona. Ja na niej miejscu czułabym się zażenowana, ale kobieta wydawała się przyzwyczajona do takiego traktowania.

Malcolm bez słowa podniósł Jerry'ego i wyniósł go frontowymi drzwiami. Jeśli poprzez krew Jerry'ego zaraził się wirusem, choroba najwyraźniej jeszcze go nie osłabiła. Diane odeszła jako ostatnia. Zarzuciwszy torebkę na ramię, co rusz zerkała za siebie jasnymi oczyma.

- Zostawię was w takim razie samych, moje wy papużki nierozłączki. Przednio się bawiłam, kochani - powiedziała lekko i wyszła, trzaskając drzwiami.

Usłyszałam odgłos odjeżdżającego samochodu, a w sekundę później zemdlałam.

Nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło i miałam nadzieję, że nigdy więcej mi się nie zdarzy, czułam się jednak usprawiedliwiona.

Chyba sporo czasu leżałam u Billa nieprzytomna. Odzyskując świadomość, wiedziałam, że muszę się zastanowić nad zdarzeniami tego wieczoru, na pewno jednak nie akurat w tej chwili. Na razie całe otoczenie wirowało mi przed oczyma, dźwięki zaś raz nadpływały, raz odpływały.

Zakrztusiłam się, a Bill natychmiast przechylił mnie ponad brzeg kanapy. Nie zdołałam wymiotować jedzenia, może dlatego, że nie miałam go zbyt wiele w żołądku.

- Czy wampiry tak się zachowują? - szepnęłam. Gardło mnie bolało i czułam, że mam posiniaczoną szyję w miejscach, które ścisnął Jeny. - Ci byli okropni.

- Próbowałem się z tobą skontaktować. Kiedy odkryłem, że cię nie ma w domu, usiłowałem cię złapać w barze - wyjaśnił Bill pozbawionym wyrazu głosem. - Niestety stamtąd też już wyszłaś.

Chociaż wiedziałam, że nic mi to nie pomoże, zaczęłam płakać. Byłam pewna, że do tej pory wampiry zdążyły zabić Jerry'ego i czułam, że powinnam była coś zrobić w tej sprawie, wtedy

wszakże przecież nie mogłam ukrywać swojej wiedzy, skoro chłopak mógł zarazić Billa. Całe to krótkie spotkanie straszliwie mnie zdenerwowało, nawet nie potrafiłam wskazać, który jego moment najbardziej. W ciągu kwadransa bałam się o swoje życie, o życie Billa (hmm... no cóż... powiedzmy, o jego „istnienie”), przyglądałam się zachowaniom seksualnym, które powinny pozostać sprawą absolutnie prywatną, widziałam mojego potencjalnego kochanka targanego żądzą krwi (z naciskiem na „żądzę”) i o mało nie udusił mnie chory pedał-dupodajec.

Ogarnięta tym natłokiem własnych myśli, przestałam się powstrzymywać przed płaczem. Usiadłam prosto i straszliwie szlochałam, równocześnie wycierając sobie twarz chusteczką, którą podał mi Bill. Przemknęło mi przez głowę pytanie, po co wampirowi chusteczki, poza tym przez cały czas, rozdygotana, tonęłam w powodzi własnych łez.

Bill miał dość rozumu, aby mnie na razie nie obejmować. Usiadł na podłodze i czekał, a gdy wycierałam twarz, subtelnie odwrócił wzrok.

- Wampiry żyjące w grupach - odpowiedział nagle - często stają się bardziej okrutne. Wiesz, podjudzają się nawzajem. Stała obecność innych osobników ciągle im uświadamia, jak bardzo się różnią od przedstawicieli rasy ludzkiej. Zaczynają robić wszystko, na co mają ochotę i powoli przestają przestrzegać jakichkolwiek praw. Wampiry żyjące samotnie, takie jak ja, dłużej pamiętają o swojej ludzkiej przeszłości. - Słuchałam jego cichego głosu, usiłując nadążyć za tokiem jego myśli i starając się zrozumieć nieznane mi kwestie. - Sookie, nasza egzystencja wielu osobom wydaje się strasznie kusząca. Szczególnie ostatnio... Jednak pojawienie się syntetycznej krwi i ludzkiej akceptacji... choćby jeszcze niechętniej... niektórych z nas nie zmieni z dnia na dzień... nawet nie w przeciągu dekady. A Diane, Liam i Malcolm są razem od pięćdziesięciu lat.

- Jak słodko - mruknęłam. W swoim tonie usłyszałam nową, nieznaną mi wcześniej nutę: gorycz. - Obchodzą złote gody.

- Potrafisz zapomnieć o zdarzeniach dzisiejszego wieczoru? - spytał. Jego ogromne ciemne oczy zbliżyły się stopniowo do mojej twarzy, a nagle i niespodziewanie jego usta znalazły się zaledwie kilka centymetrów od moich.

- Nie mam pojęcia - stwierdziłam. - Hmm... nie wiedziałam dotąd, czy możesz to robić... - wyrwało mi się później.

Uniósł pytająco brwi.

- Robić...?

- No wiesz, czy możesz mieć... - Przerwałam, zastanawiając się nad odpowiednim słowem.

Widziałam dziś więcej objawów grubiaństwa niż przez całe moje dotychczasowe życie, toteż nie chciałam powiedzieć niczego ordynarnego. - Erekcję - bąknęłam w końcu, unikając jego spojrzenia.

- A więc teraz już wiesz. - Wyczułam, że z całych sił stara się nie roześmiać. - Możemy uprawiać seks, ale nie możemy być rodzicami. Czy fakt, że Diane nie może mieć dzieci, nie

poprawia ci humoru?

Wściekłam się. Otworzyłam szeroko oczy i wpatrzyłam się w niego twardo.

- Nie drwij... sobie ze... mnie!

- Och, Sookie - jęknął i podniósł rękę, by dotknąć mojego policzka.

Odepchnęłam jego dłoń i chwiejnie się podniosłam. Bill nie pomógł mi wstać (i dobrze), siedział tylko na podłodze i przyglądał mi się z nieruchomą twarzą i nieodgadnioną miną. Choć kły miał schowane, wiedziałam, że nadal cierpi głód. Zbyt wielki głód.

Moja torebka stała na podłodze przy frontowych drzwiach. Ruszyłam w tamtym kierunku. Nieco się zataczałam, ale uparcie szłam. Po drodze wyjęłam z kieszeni listę numerów do elektryków i położyłam ją na stole.

- Muszę iść.

W jednej chwili znalazł się przede mną. Ponownie wykonał jedną z tych swoich wampirzych sztuczek!

- Mogę cię pocałować na do widzenia? - poprosił, trzymając ręce zwieszane po bokach, czym dawał mi do zrozumienia, że mnie nie tknie, póki mu nie pozwolę.

- Nie! - zawołałam gwałtownie. - Po dzisiejszym incydencie nie zdołałabym znieść twoich pocałunków!

- Przyjdę się z tobą spotkać.

- Dobrze. Być może...

Wyciągnął rękę, zamierzając mi otworzyć drzwi, ja jednak sądziłam, że postanowił mnie dotknąć i cofnęłam się.

Sekundę później wypadłam z budynku i niemal pobiegłam do swojego samochodu. Łzy znów zamazywały mi widok. Cieszyłam się, że mam tak blisko do domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Telefon dzwonił i dzwonił. Naciągnęłam poduszkę na głowę. Na pewno babcia w końcu odbierze... Ponieważ jednak irytujący hałas ciągle trwał, zrozumiałam, że babcia albo wyszła na zakupy, albo pracuje na podwórku. Sięgnęłam ku stolikowi przy łóżku, nieszczęśliwa i zrezygnowana. Targana bólem głowy i strasznym kacem (oczywiście emocjonalnym, a nie wywołanym przez alkohol), chwyciłam drżącą ręką słuchawkę.

- Tak? - wychrypiałam. Odchrząknęłam i spróbowałam znów. - Halo?

- Sookie?

- Eee, Sam?

- Tak. Posłuchaj, kochana, zrobisz coś dla mnie?

- Co? - I tak miałam iść tego dnia do pracy. Miałam nadzieję, że nie będę musiała przepracować zarówno zmiany Dawn, jak i swojej.

- Podjedź do Dawn i zobacz, co się z nią dzieje. Nie odbiera telefonów i nie przychodzi. Tu podjechała właśnie ciężarówka dostawcza. Muszę powiedzieć facetom, gdzie rozładować towar.

- Teraz? Chcesz, żebym teraz pojechała? - Moje stare łóżko nigdy nie trzymało mnie mocniej w swoim uścisku.

- Mogłabyś? - Być może po raz pierwszy zauważył mój niezwykle nastrój. Nigdy dotąd niczego mu nie odmawiałam.

- Chyba tak - odburknęłam.

Męczył mnie sam pomysł jazdy. Nie przepadałam za Dawn, podobnie jak ona za mną. Była przekonana, że czytam jej w myślach i że powiedziałam Jasonowi coś, przez co jej zdaniem z nią zerwał. Rany, gdybym interesowała się romansami Jasona, nigdy nie miałabym czasu, by jeść lub spać!

Wzięłam prysznic i założyłam strój kelnerki. Przygotowania szły mi bardzo powoli. Brakowało mi energii i poruszałam się wręcz ociężale. Zjadłam płatki, umyłam zęby i powiedziałam, dokąd idę babci, którą rzeczywiście znalazłam na dworze; sadziła petunie w donicy przy tylnych drzwiach. Odniosłam wrażenie, że nie zrozumiała dokładnie, o czym mówię, tym niemniej uśmiechnęła się i mi pomachała. Babci z każdym tygodniem coraz bardziej szwankował słuch, ale nie dziwiło mnie to, bo przecież miała siedemdziesiąt osiem lat. Cudownie, że nadał była taka silna i zdrowa, a jej mózg funkcjonował równie dobrze jak u młodej kobiety.

Jadąc wypełnić nieprzyjemne zadanie, rozmyślałam o ciężkim życiu babci. Na pewno trudno jej było wychować mnie i Jasona, gdy odchowała już własne dzieci. Moi rodzice, czyli jej syn i

synowa, zginęli, kiedy ja miałam lat siedem, a mój brat dziesięć. Gdy skończyłam dwadzieścia trzy lata, na raka macicy zmarła ciocia Linda, córka babci. Wnuczka babci, córka cioci Lindy, Hadley, jeszcze przed śmiercią cioci uciekła i przyłączyła się do tej samej subkultury, która zrodziła Rattrayów i po dziś dzień nie wiemy, czy dziewczyna w ogóle usłyszała o śmierci swej matki. Babcia przeżyła więc wiele smutnych chwil, zawsze jednak starała się być silna, ponieważ zajmowała się nami.

Przez przednią szybę zerknęłam na trzy niskie bliźniaki wchodzące w skład zniszczonego szeregowca, który ciągnął się po jednej stronie Berry Street, tuż za najstarszą częścią centrum Bon Temps. Dawn mieszkała w jednym z tych domów. Zauważyłam jej samochód, zielony kompakt, na podjeździe jednego z lepiej utrzymanych domów i zatrzymałam się za autem. Przy frontowych drzwiach wisiał kosz begonii; kwiaty były nieco przywiedle, najprawdopodobniej od kilku dni nikt ich nie podlewał.

Zapukałam.

Odczekałam minutę, może dwie, po czym znów zapukałam.

- Sookie, potrzebujesz pomocy? - Głos zabrzmiał znajomo.

Odwróciłam się i przysłoniłam oczy przed blaskiem porannego słońca. Rene Lenier stał przy swoim pikapie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy przy jednym z małych drewnianych domów, w jakich mieszkała większość przedstawicieli tej dzielnicy.

- No cóż - zaczęłam, niepewna, czy jej potrzebuję i czy Rene ewentualnie może mi pomóc. - Widziałeś Dawn? Nie przyszła dziś do pracy, a wczoraj nawet nie zadzwoniła. Sam poprosił mnie, żebym do niej wpadła.

- Twój szef powinien sam tu przyjechać, zamiast zrzucać brudną pracę na ciebie - odparował Rene, przewrotnie skłaniając mnie do obrony Sama Merlotte'a.

- Ciężarówka przyjechała, trzeba ją rozładować. - Obróciłam się i znowu zastukałam do drzwi. - Dawn! - wrzasnęłam. - To ja, otwórz mi. - Rzuciłam okiem na betonowy ganek. Sosnowy pyłek zaczął krążyć w powietrzu mniej więcej dwa dni temu; ganek Dawn był od niego cały żółty. Na ganku dostrzegłam tylko własne ślady stóp. Poczułam ciarki na karku.

Ledwie zauważałam Rene, który stał niepewnie przy drzwiach swojego pikapa. Chyba się zastanawiał: zostać czy odjechać.

Domek Dawn był jednopiętrowy i całkiem nieduży, toteż drzwi do drugiej części bliźniaka znajdowały się bardzo blisko drzwi domu Dawn. Drugi podjazd był pusty, a w oknach nie wisiały zasłony. Wyglądało na to, że Dawn chwilowo nie miała sąsiada. Dziewczyna natomiast powiesiła zasłony - białe, zdobione ciemnozłotymi kwiatami. Były zaciągnięte, lecz tkanina wydawała się cienka i gładka, a tanich dwucentymetrowych aluminiowych żaluzji nie zamknięto. Zajrzałam więc do wnętrza, lustrując salon pełen używanych mebli z pchłego targu. Na stole przy bryłowym

fotelu stał kubek kawy, pod ścianę zaś pchnięto stary tapczan przykryty wykonaną ręcznie grubą kapą.

- Chyba zajdę od tyłu - rzuciłam w stronę Rene, który zaczął przechodzić ulicę, jakbym dała mu jakiś sygnał. Zeszłam z ganku frontowego. Moje stopy natychmiast utonęły w żółtej od sosnowego pyłku trawie i wiedziałam, że przed pracą będę musiała porządnie otrześcić buty, a może także zmienić skarpetki. Podczas sezonu pylenia sosny wszystko staje się żółte, wszystko - samochody, rośliny, dachy, okna - osypuje złota mgielka. Nawet na brzegach stawów i kałuż pojawia się żółta piana.

Okno łazienki Dawn mieściło się tak dyskretnie wysoko, że nie mogłam nic zobaczyć. W sypialni żaluzje były opuszczone, choć niedokładnie zamknięte, toteż co nieco dostrzegałam przez listewki. Zobaczyłam więc i Dawn. Leżała w łóżku na plecach w skotłowanej pościeli. Nogi miała bezładnie rozrzucone, twarz spuchniętą i przebarwioną. Z jej ust wystawał język, po którym chodziły muchy. Usłyszałam podchodzącego Rene.

- Zadzwoń po policję - poleciłam.

- Co mówisz, Sookie? Widzisz ją?

- Zadzwoń po policję!

- W porządku, w porządku! - Mężczyzna wycofał się pospiesznie.

Z powodu jakiejś kobiecej solidarności nie chciałam, aby Rene widział w takim stanie Dawn... bez jej pozwolenia. A moja koleżanka po fachu nie miała szans udzielić mi swej zgody.

Stałam tyłem do okna i opierałam się straszliwej pokusie zerknięcia powtórnie w daremnej nadziei, że za pierwszym razem się pomyliłam. Zagapiłam się na bliźniak po drugiej stronie jej domu. Stał może w odległości niecałych dwóch metrów ode mnie i zastanowiłam się, jak to możliwe, że jego lokatorzy mogli nie słyszeć żadnych odgłosów związanych z tak gwałtowną śmiercią Dawn.

Wrócił Rene. Jego ogorzała twarz zmarszczyła się od głębokiej troski, a jasnobrązowe oczy podejrzliwie lśniły.

- Zadzwońbyś też do Sama? - spytałam.

Mężczyzna odwrócił się bez słowa i ruszył ciężko z powrotem do samochodu. Był cholernie dobrym facetem; mimo swej skłonności do plotek, zawsze gotów pomóc w potrzebie.

Zapamiętałam, że przyszedł kiedyś do nas do domu i pomógł Jasonowi powiesić huśtawkę na ganku babci. Ot, takie przypadkowe wspomnienie, zupełnie niezwiązane z chwilą obecną.

Bliźniak obok wyglądał identycznie jak ten, w którym mieszkała Dawn, toteż zaglądałam bezpośrednio w okno sąsiedniej sypialni. Nagle pojawiła się w nim twarz, po czym ktoś je podniósł i wychyliła się czyjaś potargana głowa.

- Co tu robisz, Sookie Stackhouse? - spytał powoli głęboki, męski głos.

Przyglądałam się mężczyźnie przez minutę, starając się unikać wzrokiem jego pięknej nagiej piersi. W końcu rozpoznałam jego twarz.

- JB?

- Jasne, że to ja. - Z JB du Rone chodziłam do liceum. Właściwie, miałam z nim kilka randek, gdyż był uroczym chłopakiem, lecz tak prostym, że nie dbał, czy czytam mu w myślach. Nawet w dzisiejszych okolicznościach mogłam docenić jego urok. Kiedy tak długo jak ja nie poddajesz się władzy własnych hormonów, mało trzeba, by się rozszalały. Westchnęłam na widok muskularnych ramion JB i jego mięśni piersiowych. - Co tu robisz? - spytał ponownie.

- Chyba coś złego stało się Dawn - odparłam, nie wiedząc, czy powinnam mu o tym mówić. - Szef przysłał mnie, żebym jej poszukała, ponieważ nie przyszła do pracy.

- Jest tam w środku? - JB po prostu wyskoczył z okna. Był w ogrodniczkach z krótkimi nogawkami.

- Proszę, nie zaglądać - poprosiłam. Podniosłam rękę i niespodziewanie zaczęłam płakać. Ostatnio coś często płaczę. - Wygląda tak strasznie, JB.

- Och, kochanie - powiedział i (niech Bóg błogosławi jego wielkie wiejskie serce) otoczył mnie ramieniem, a później pogładził po ręce. Jeśli jakaś kobieta w pobliżu potrzebowała pociechy, na Boga, JB du Rone od razu postanawiał się nią zająć. - Dawn lubiła brutalnych facetów - oznajmił pocieszającym tonem. Jakby takie stwierdzenie wyjaśniało wszystko...

Może kogoś innego te słowa by uspokoiły, ale nie taką naiwną osóbkę jak ja.

- Brutalnych? - spytałam, żywiąc nadzieję, że mam w kieszeni szortów chusteczkę.

Spojrzałam na JB i dostrzegłam, że nieco się zaczerwienił.

- Kochanie, lubiła... och, Sookie, nie musisz o tym słuchać.

Byłam powszechnie uważana na cnotliwą, co zawsze wydawało mi się nieco ironiczne, a w tej chwili okazało się wręcz niewygodne.

- Możesz mi powiedzieć, pracowałam z nią - odparowałam, a JB kiwnął poważnie głową. Najwyraźniej moja odpowiedź miała dla niego sens.

- No cóż, kochanie, lubiła sadystów, którzy ją... hmm... gryzli i bili. - JB wydawał się zniesmaczony preferencjami Dawn. Chyba się skrzywiłam, ponieważ dodał: - Wiem, wiem, ja też nie mogę zrozumieć, dlaczego niektórzy ludzie tak postępują.

JB nigdy nie lekceważył okazji, by poderwać dziewczynę, toteż mnie przytulił i wciąż gładził. Przez jakiś czas skupiał się na środku moich pleców (sprawdzał pewnie, czy noszę biustonosz), po czym zsunął dłonie nieco niżej (o ile pamiętam, lubił jędrne tyłeczki).

Nasuwało mi się mnóstwo pytań, na razie jednak zachowałam je dla siebie. Przybyła policja w osobach Keny Jones i Kevina Priora. Kiedy szef policji naszego miasteczka połączył Kenę i Kevina w parę partnerów, dał upust - jak sądzono powszechnie - swojemu poczuciu humoru, ponieważ Kenya miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a była koloru gorzkiej czekolady i tak

zbudowana, że przetrwałaby każdy huragan. Kevin z kolei mierzył dobre siedem centymetrów mniej, miał piegi na każdym widocznym centymetrze swego bladego ciała i był szczupłej, beztłuszczowej budowy maratończyka. Dziwnym trafem państwo K i K świetnie się rozumieli, choć doszło też między nimi do kilku pamiętnych kłótni.

Teraz oboje wyglądali po prostu jak funkcjonariusze policji.

- Co się dzieje, panno Stackhouse? - spytała Kenya. - Rene twierdzi, że coś się przydarzyło Dawn Green. - Choć mówiła do mnie, przy okazji badawczo przyglądała się JB. Kevin w tym czasie rozglądał się po terenie. Nie miałam pojęcia, po co to robił, ale byłam pewna, że istniał ku temu dobry policyjny powód.

- Mój szef przysłał mnie tutaj, żebym sprawdziła, dlaczego Dawn nie przyszła do pracy ani wczoraj, ani dzisiaj - wyjaśniłam. - Zapukałam do jej drzwi. Nie odpowiedziała, chociaż jej samochód stoi przed domem. Martwiłam się o nią, więc zaczęłam obchodzić dom, zaglądając w okna, i znalazłam ją tam. - Wskazałam w okno sypialni.

Funkcjonariusze obrócili się i spojrzeli we wskazanym przeze mnie kierunku, później popatrzyli na siebie i skinęli głowami, co najwyraźniej wystarczyło im za całą rozmowę. Kiedy Kenya podeszła do okna, Kevin ruszył do tylnych drzwi.

Gapiąc się na działania pary policjantów, JB przestał mnie głaskać. Przy okazji rozdziawił lekko usta, ujawniając idealne zęby. Prawdopodobnie - bardziej niż czegokolwiek innego - pragnął podejść do okna i zajrzeć do środka, nie mógł jednak, gdyż Kenya zajęła całą dostępną przestrzeń przy oknie.

Nie miałam więcej ochoty myśleć. Odprężyłam się, otworzyłam umysł i wsłuchałam się w myśli pozostałych. Z hałasu wybrałam jedną nitkę i skoncentrowałam się na niej.

Kenya Jones odwróciła się i niby się na nas zapatrzyła, lecz prawdopodobnie wcale nas nie widziała. Przypominała sobie w myślach wszystkie elementy procedury, których wraz z Kevinem będą musieli przestrzegać, by jako doskonali funkcjonariusze patrolowi z Bon Temps przeprowadzić śledztwo w sposób podręcznikowy. Kojarzyła okropne fakty, które słyszała o Dawn i jej upodobaniu do brutalnego seksu. Nie dziwiła się, że dziewczynę spotkała taka paskudna śmierć, choć zawsze współczuła osobom, które kończą z taki sposób. Żałowała też, że zjadła rano dodatkowego pączka w Nut Hut, ponieważ teraz leżał jej na żołądku. Wiedziała, że jeśli zacznie wymiotować, przyniesie sobie, czarnej policjantce, okropny wstyd.

Przełączyłam się na inną osobę.

JB myślał o Dawn, która zginęła w trakcie brutalnego stosunku seksualnego zaledwie kilka metrów od niego i jej śmierć - mimo iż straszna - wydawała mu się równocześnie jakoś ekscytująca. Uważał także, że ja nadal jestem cudownie zbudowana. Było mu przykro, że nie może mnie w tym momencie przelecieć. Sądził, że jestem ogromnie słodka i miła. Wypychał z myśli upokorzenie,

które odczuwał, kiedy Dawn pragnęła, by ją uderzył, a on nie mógł; była to chyba bardzo stara sprawa.

Przełączyłam się na kolejny umysł.

Kevin Prior wyszedł z za rogu, modląc się, aby wraz z Kenią nie przeoczyli żadnego dowodu.

Cieszył się, iż nikt nie wie, że spał z Dawn Green. Był wściekły, że ktoś zabił kobietę, którą znał i miał nadzieję, że nie zrobił tego Murzyn, ponieważ taki fakt zwiększyłby jeszcze bardziej napięcie panujące w jego relacjach z partnerką.

Znów się przełączyłam.

Rene Lenier żałował, że przyjdą i zabiorą z domu ciało. Również miał nadzieję, że nikt nie wie, iż spał z Dawn Green. Nie rozumiałam dokładnie jego myśli, gdyż były bardzo mroczne, a Rene blokował ich przepływ. Istnieją ludzie, których umysłów nie potrafię wyraźnie odczytać.

Wiedziałam jednak, że Rene czuje się niezwykle zmieszany.

Sam podszedł pospiesznie do mnie, zwalniając na widok otaczającego mnie ramieniem JB. Nie potrafiłam odcyfrować jego myśli. Czułam jego emocje (mieszanie zmartwienia, niepokoju i gniewu), lecz nie mogłam wyjaśnić żadnej pojedynczej myśli. Okazało się to takie fascynujące i nieoczekiwane, że wywinęłam się z objęć JB. Chciałam natychmiast podejść do Sama, chwycić go za rękę, spojrzeć mu w oczy i naprawdę odgadnąć, co się dzieje w jego głowie. Przypomniałam sobie jednak, jak mnie wcześniej dotknął i spłoszył się. Sekundę później Sam wyczuł moją ingerencję w jego myśli i chociaż nadal do mnie szedł, zamknął przede mną swój umysł. Gdy mnie przedtem zapraszał do testu telepatycznego, nie wiedział, że dostrzegę jego odmienność. Teraz sobie ten fakt uświadomił i natychmiast mnie jakoś zablokował.

Nigdy nic takiego mi się nie przydarzyło. Miałam wrażenie, że zatrzasnęły się przede mną ciężkie, żelazne drzwi. O mało nie walnęły mi w twarz.

Właśnie zamierzałam instynktownie wyciągnąć do mojego szefa rękę, lecz zrezygnowałam. Sam umyślnie popatrzył na Kevina, nie na mnie.

- Co się dzieje, panie policjancie? - spytał.

- Będziemy się włamywać do tego domu, panie Merlotte, no chyba że ma pan klucz uniwersalny.

Dlaczego Sam miałby mieć klucz?

- To mój gospodarz - szepnął mi JB w samo ucho.

Aż podskoczyłam.

- Naprawdę? - spytałam głupio.

- Jest właścicielem wszystkich trzech bliźniaków.

Mój szef włożył rękę do kieszeni i wyjął pęk kluczy. Przerzucił je wprawnie, zatrzymał się przy jednym, zdjął go z kółka i wręczył Kevinowi.

- Pasuje i do frontowych, i do tylnych? - spytał funkcjonariusz.

Sam milcząco potaknął.

Kevin Prior poszedł do tylnych drzwi bliźniaka, znikając mi z pola widzenia. Panowała taka cisza, że słyszeliśmy odgłos przekręcanego w zamku klucza. Później policjant znalazł się w sypialni Dawn i dostrzegliśmy, że się skrzywił, gdy uderzył go panujący tam smród. Zakrył jedną ręką usta i nos, po czym pochylił się nad ciałem i przyłożył palce do szyi kobiety. Spojrzał w okno i patrząc na partnerkę, potrząsnął głową. Kenya zrozumiała gest i ruszyła ku ulicy, aby skorzystać z radia w samochodzie patrolowym.

- Słuchaj, Sookie, może umówisz się ze mną wieczorem na kolację? - spytał JB. - Wiele dziś przeżyłaś i powinnaś się trochę rozerwać.

- Dzięki, JB. - Byłam absolutnie świadoma, że Sam przysłuchuje się nam z uwagą. - Miło z twojej strony, że mnie zapraszasz. Niestety odnoszę wrażenie, że będę musiała przepracować wieczorem kilka dodatkowych godzin. Ładna twarz JB na chwilę znieruchomiała. Wreszcie pojawiło się na niej zrozumienie.

- Tak, Sam musi zatrudnić kogoś jeszcze - zauważył. - Moja kuzynka ze Springhill potrzebuje pracy. Może do niej zadzwonię. Moglibyśmy mieszkać obok siebie... teraz.

Uśmiechnęłam się do niego, chociaż jestem pewna, że był to bardzo nikły uśmiech, skoro obok nas stał mężczyzna, u którego pracowałam od dwóch lat.

- Przepraszam, Sookie - szepnął Sam.

- Za co? - odparłam równie cicho. Czy mój szef zamierza się odwoływać do tego, co między nami zaszło... czy też raczej nie zaszło?

- Że wysłałem cię do Dawn. Powinienem przyjechać osobiście. Byłem jednak pewien, że po prostu poznała nowego faceta i trzeba jej przypomnieć o pracy. Ostatnim razem, gdy ją odwiedziłem w podobnej sytuacji, nakrzyczała na mnie tak strasznie, że nie miałem ochoty ponownie sobie z tym radzić. Dlatego... jak tchórz... wysłałem ciebie, a ty znalazłaś ją w tym stanie.

- Stale mnie zaskakujesz, Sam.

Nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć, nic też nie odpowiedział, jednak jego palce otoczyły moje. Przez długi moment staliśmy w słońcu, trzymając się za ręce; wokół nas kręcili się ludzie. Dłoń Sama była gorąca i sucha, palce silne. Czułam prawdziwe zespolenie z drugim człowiekiem. Ale po chwili uścisk się rozluźnił i mój szef odszedł porozmawiać z detektywem, który wysiadł z samochodu. W tym czasie JB zaczął mnie wypytywać, jak wyglądała Dawn i sytuacja wróciła do stanu sprzed kilku minut.

Kontrast był okrutny. Znowu poczułam zmęczenie i szczególnie niż bym chciała, przypominałam sobie poprzednią noc. Świat wydał mi się nagle złym i strasznym miejscem, zamieszkanym przez same podejrzane istoty, wśród których wędrowałam niczym jagnię z dzwonkiem na szyi przez dolinę śmierci... Powlokłam się ciężkim krokiem do mojego samochodu, otworzyłam drzwiczki,

klapnęłam bokiem na siedzenie. Już się dziś sporo nastąpiło, chciałam więc usiąść, póki mogę. JB poszedł za mną. Teraz, gdy odkrył mnie na nowo, najwyraźniej nie mógł się ode mnie oderwać. Przypomniałam sobie, że kiedy chodziłam do szkoły średniej, babcia liczyła na jakiś trwalszy związek między nami. Jednak rozmowa z JB, a nawet śledzenie jego myśli były równie interesujące jak elementarz przedszkolaka dla dorosłego czytelnika. Uznałam to za jeden z żartów Pana Boga: żeby taki głupi umysł wstawić w tak atrakcyjne ciało.

Du Rone klęknął przede mną i wziął moją rękę w swoją. Złapałam się na nadziei, że zjawi się jakaś inteligentna bogata babka, poślubi go, zatroszczy się o niego i będzie się delectować tym, co JB jej zaoferuje. Ten facet po prostu nie był dla mnie.

- Gdzie teraz pracujesz? - spytałam go, aby się oderwać od tej myśli.

- W magazynie mojego taty - odparł.

Była to posada, którą JB przyjmował w ostateczności - za każdym razem, ilekroć został skądś wyrzucony za absencję, głupi wyskok lub gdy śmiertelnie obraził jakiegoś kierownika. Jego ojciec prowadził sklep z częściami samochodowymi.

- Jak się miewają twoi rodzice?

- Och, świetnie. Sookie, powinniśmy coś razem zrobić.

„Nie kuś mnie” - pomyślałam.

Pewnego dnia hormony wezmą nade mną górę i rzeczywiście zrobię coś, czego pożałuję. Pewnie mogłabym gorzej trafić. Powstrzymałam się jednak, ponieważ liczyłam na kogoś lepszego niż JB.

- Dzięki, kochany - odparłam. - Może zrobimy. Ale teraz jestem trochę zdenerwowana.

- Zakochałeś się w tym wampirze? - spytał wprost.

- Gdzie o tym słyszałeś?

- Dawn mi tak powiedziała. - Zrobił nachmurzoną minę, kiedy przypomniał sobie, że Dawn nie żyje. Przeskanowałam mentalnie jego umysł i odkryłam w nim słowa zamordowanej dziewczyny:

„Ten nowy wampir interesuje się Sookie Stackhouse. Ja byłabym dla niego lepsza, bo on potrzebuje kobiety, która potrafi znieść nieco brutalności. Sookie zacznie wrzeszczeć, gdy ten ją tknie”.

Wiedziałam, że bez sensu jest wściekać się na zmarłą, a jednak przez chwilę pozwalałam sobie na gniew.

Później skierował się do nas detektyw, JB podniósł się więc i odszedł.

Detektyw zajął miejsce JB, kucając przede mną na ziemi. Najwyraźniej nie wyglądałam zbyt dobrze.

- Panno Stackhouse? - spytał spokojnym, poważnym głosem, jakiego w razie potrzeby używa wielu policjantów. - Jestem Andy Bellefleur. - Bellefleurowie mieszkali w okolicach Bon Temps od początku istnienia naszego miasteczka, toteż nie rozbawiło mnie jego nazwisko, które oznaczało

„piękny kwiat”. W gruncie rzeczy, patrząc na tę górę mięśni, współczułam każdemu, kto uważał je za zabawne. Andy Bellefleur ukończył szkołę tuż przed Jasonem, ja zaś byłam klasę niżej niż jego siostra, Portia. Detektyw również mnie poznał. - U pani brata wszystko w porządku? - spytał tonem nadal spokojnym, choć niezupełnie neutralnym. Podejrzywałam, że miał jakieś starcie z Jasonem.

- Z tego, co wiem, nieźle sobie radzi - odpowiedziałam.

- A pani babcia?

Uśmiechnęłam się.

- Sadzi dziś kwiaty przed domem.

- Cudownie - stwierdził szczerze. Potrząsał głową z pełnym podziwu zdumieniem. - Pani, jak rozumiem, pracuje obecnie w „Merlotcie”?

- Tak.

- Tam też pracowała Dawn Green?

- Tak.

- Kiedy ostatnio ją pani widziała?

- Dwa dni temu. W pracy. - Byłam strasznie wyczerpana. Nie przemieszczając stóp z ziemi do auta ani nie zdejmując ręki z kierownicy, przyłożyłam skroń do zagłówka siedzenia kierowcy.

- Rozmawiała z nią pani wtedy?

Próbowałam sobie przypomnieć.

- Nie wydaje mi się.

- Byłyście blisko z panną Green?

- Nie.

- A dlaczego tu pani dzisiaj przyjechała? - Wyjaśniłam, że Dawn wczoraj nie przyszła do pracy i opowiedziałam o porannym telefonie Sama. - Czy pan Merlotte wyjaśnił pani, dlaczego nie chciał osobiście tego załatwić?

- Twierdził, że przyjechała ciężarówka i musi dopilnować rozładunku. Pokazać facetom, gdzie mają kłaść pudełka. - Sam często pomagał też fizycznie przy rozładunku, starając się go przyspieszyć.

- Myśli pani, że pana Merlotte’a łączyło coś z Dawn?

- Był jej szefem.

- Nie, poza pracą.

- Nie łączyło.

- Jest pani tego pewna?

- Tak.

- Ma pani romans z Samem?

- Nie.

- Z czego zatem wynika pani pewność?

Dobre pytanie. Z tego, że od czasu do czasu słyszałam myśli, które wskazywały, że nawet jeśli Dawn nie czuła do Sama nienawiści, na pewno za nim nie przepadała. Niezbyt inteligentna odpowiedź podczas przesłuchania.

- Sam bardzo profesjonalnie prowadzi bar - wyjaśniłam. Wy tłumaczenie zabrzmiało kulawo, nawet dla mnie. A jednak taka była prawda.

- Wiedziała pani coś o osobistym życiu Dawn?

- Nie.

- Nie przyjaźniłyście się?

- Nieszczęśliwie. - Moje myśli dryfowały, gdy detektyw przekrzywił głowę w zadumie.

Przynajmniej tak to wyglądało.

- Dlaczego?

- Chyba nic nas nie łączyło.

- To znaczy? Poproszę o przykład.

Westchnęłam ciężko, z rozdrażnienia wydymając wargi. Skoro nic nas nie łączyło, jaki przykład mogłam mu podać?

- No dobrze - odrzekłam powoli. - Dawn prowadziła naprawdę aktywne życie towarzyskie i lubiła się spotykać z mężczyznami. Nie przyjaźniła się z kobietami. Pochodziła z Monroe, nie miała więc tutaj rodziny. Piła, ja nie. Ja dużo czytam, ona w ogóle nie czytała. Wystarczy?

Andy Bellefleur badawczo przyjrzał się mojej twarzy, usiłując ocenić, czy traktuję go poważnie.

Moja mina najprawdopodobniej go uspokoiła.

- Czyli nigdy nie widywałyście się po pracy?

- Zgadza się.

- Nie wydaje się zatem pani dziwne, że Sam Merlotte poprosił akurat panią o sprawdzenie, co się dzieje z Dawn?

- Nie, wcale - odparłam twardo. Przynajmniej nie wydawało mi się to dziwne teraz, czyli po opisie Sama ataku furii Dawn. - Po drodze do baru i tak przejeżdżam obok jej domu. A ponieważ nie mam dzieci tak jak Arlene, inna kelnerka z naszej zmiany, mnie było łatwiej tu podjechać niż jej. -

„Ładnie zabrzmiało” - pomyślałam. Gdybym powiedziała, że Dawn nakrzyczała na Sama podczas ostatniej jego wizyty tutaj, detektyw mógłby sobie niepotrzebnie wyrobić niewłaściwy osąd.

- Co robiła pani dwa dni temu po pracy, Sookie?

- Nie byłam wtedy w pracy. Miałam dzień wolny.

- A więc co pani robiła tamtego dnia?

- Opalałam się i pomagałam babci sprzątać dom, a potem miałyśmy gościa.

- Kogo?

- Billa Comptona.

- Wampira.

- Tak.

- O której pan Compton zjawił się w pani domu?

- Nie wiem. Może koło północy albo godziny pierwszej.

- Jaki się pani wydawał?

- Normalny.

- Nie był podenerwowany? Poirytowany?

- Nie.

- Panno Stackhouse, musimy z panią porozmawiać jeszcze raz na posterunku. To zajmie trochę czasu, rozumie pani.

- W porządku... jak sądzę.

- Może pani tam przyjść za dwie godziny?

Popatrzyłam na zegarek.

- O ile Sam nie będzie mnie potrzebował w pracy.

- Wie pani, panno Stackhouse, nasza rozmowa jest naprawdę ważniejsza niż praca w barze.

No cóż, wkurzył mnie. Nie dlatego, że uważał śledztwo w sprawie morderstwa za sprawę ważniejszą od dotarcia do pracy na czas; zgadzałam się z nim w tej kwestii. Chodziło mi raczej o jego niewypowiedziane uprzedzenie do mojego zajęcia.

- Może pan sobie nie cenić mojej pracy, ale jestem w niej dobra i lubię ją. Zasluguję na taki sam szacunek jak pańska siostra, prawniczka Portia, Andy Bellefleur, i niech pan o tym nie zapomina.

Nie jestem głupia i nie jestem dziwką!

Detektyw zrobił się czerwony na twarzy. Nie było mu ładnie z rumieńcem.

- Przepraszam panią - rzekł sztywno.

Nadal próbował zanegować naszą znajomość, wspólną szkołę średnią, kontakty naszych rodzin.

Uważał, że powinien być detektywem w innym mieście, gdzie mógłby traktować ludzi w sposób, w jaki jego zdaniem policjant powinien ich traktować.

- Nie, będziesz lepszym detektywem tutaj, o ile potrafisz przezwyciężyć to nastawienie - wymknęło mi się.

Szare oczy Andy'ego otworzyły się szeroko w szoku, a ja cieszyłam się jak dziecko, że nim wstrząsnęłam, chociaż byłam przekonana, że zapłacę za ten żarcik prędzej czy później. Zawsze płaciłam, gdy przypominałam ludziom o swoim „upośledzeniu”.

Najczęściej rozmówcy uciekali ode mnie natychmiast, gdy zdali sobie sprawę z moich umiejętności, lecz detektyw Bellefleur po chwili wstrząsu wyglądał na zafascynowanego.

- Czyli że to prawda - sapnął, jakbyśmy byli gdzieś sami, a nie siedzieli na podjeździe walącego się bliźniaka w luizjańskiej miejscinie.

- Nie, zapomnij o tym - powiedziałam szybko. - Czasem po prostu z miny niektórych osób potrafię zgadnąć, o czym myślą. - Andy z premedytacją pomyślał o rozpięciu mojej bluzki. Teraz wszakże byłam ostrożna, zablokowałam dalszy dopływ jego myśli i tak „zabarykadowana” posłałam mu jedynie pogodny uśmiech. Czułam jednak, że nie udało mi się go oszukać. - Kiedy będziesz gotów, przyjdź do baru. Możemy pomówić w magazynie albo w biurze Sama - rzuciłam stanowczo i uruchomiłam samochód.

Dotarłam do baru, w którym aż huczało od plotek. Sam zadzwonił po Terry’ego Bellefleura, kuzyna Andy’ego w drugiej linii, o ile sobie dobrze przypominam. Terry zajmował się lokalem w czasie, gdy Sam rozmawiał z policją przy domu Dawn. Terry został kaleką podczas wojny w Wietnamie i kiepsko mu się żyło na rządowej rencie. Został tam ranny, a następnie pojmany; więziono go dwa lata. Z tego też względu jego myśli były najczęściej tak przerażające, że zachowywałam dodatkową ostrożność, ilekroć znalazłam się blisko niego. Terry miał trudne życie i normalne zachowanie wydawało mu się jeszcze trudniejsze niż mnie. Dzięki Bogu, nie pił. Dzisiaj lekko go cmoknęłam w policzek, potem wzięłam swoją tacę i wyszorowałam ręce. Przez okienko prowadzące do małej kuchni widziałam naszego kucharza, Lafayette’a Reynolda, który przewracał hamburgery i zanurzał kosz z frytkami w gorącym oleju. W „Merlotcie” można dostać kanapkę, frytki i... tyle. Sam nie zamierza prowadzić restauracji, tylko bar z wyszynkiem i przekąskami.

- Nie wiem za co, ale jestem zaszczycony - podziękował mi Terry i uniósł brwi.

Był rudowłosy, chociaż kiedy się nie ogolił, widziałam, że zarost ma siwy. Spędzał dużo czasu na zewnątrz, lecz właściwie nigdy się nie opalał. Jego skóra robiła się od słońca jedynie szorstka, i czerwona, a blizny na lewym policzku stawały się wyraźniejsze. Terry zresztą nie przejmował się tymi bliznami. A Arlene, która spędziła z nim kiedyś noc po pijaku, zwierzyła mi się, że miał wiele jeszcze gorszych niż te na policzku.

- Po prostu za to, że tu jesteś - odparłam.

- To prawda o Dawn?

Lafayette postawił dwa talerze w okienku do wydawania posiłków. Mrugnął do mnie, trzepocząc gęstymi, sztucznymi rzęsami. Nasz kucharz mocno się malował. Tak bardzo się do niego przyzwyczaiłam, że nigdy już nie myślałam o jego makijażu, ale teraz jego cień do powiek przypomniał mi innego geja, młodego Jerry’ego. Nie zaprotestowałam, gdy zabierało go troje wampirów. Postąpiłam może nie do końca właściwie, ale nie mogłam inaczej. Nie potrafiłabym powstrzymać ich przed zabraniem go. Nawet gdybym zadzwoniła na policję, funkcjonariusze nie zdążyliby ich złapać. Jerry i tak umierał, przy okazji postanowił więc zabrać z sobą na tamten świat tylu wampirów i ludzi, ilu mu się uda. Poza tym, już kogoś zabił. Powiedziałam swojemu sumieniu, że nie będę więcej myśleć o Jerry’em.

- Arlene, hamburgery - zawołał Terry.

Dzięki tym słowom wróciłam do terażniejszości. Arlene przysłała po talerze. Posłała mi spojrzenie, sugerujące, że przy pierwszej dogodnej sposobności chce mnie wypytać o szczegóły. Pracowała z nami Charlise Tooten, która zjawiała się w razie choroby czy po prostu nieobecności jednej z regularnych kelnerek. Miałam nadzieję, że właśnie Charlise zajmie pełnoetatowe miejsce Dawn. Zawsze ją lubiłam.

- Tak, Dawn nie żyje - powiedziałam Terry'emu. Chyba nie przeszkadzało mu, że tak długo nie odpowiadałam.

- Co jej się stało?

- Nie wiem, lecz na pewno nie zmarła z przyczyn naturalnych. - Widziałam przecież krew na pościeli, niezbyt dużo, a jednak.

- Maudette - rzucił Terry i natychmiast zrozumiałam.

- Może - odparłam. Z pewnością istniała możliwość, że zabójca Dawn zamordował też wcześniej Maudette.

Tego dnia do „Merlotte’a” przyszli niemal wszyscy mieszkańcy gminy Renard - jeśli nie na lunch, to przynajmniej na popołudniową filiżankę kawy czy piwo. Ci, którym nie udało się wyrwać z pracy, zjawili się później, po drodze do domu. Dwie młode kobiety w naszym mieście zamordowane w jednym miesiącu? Ludzie musieli o tym pogadać.

Sam wrócił około czternastej. Biło od niego gorąco i pot skapywał mu po twarzy, ponieważ długo stał na nasłonecznionym podwórku przed domem stanowiącym miejsce zbrodni. Mój szef powiedział mi, że Andy Bellefleur wkrótce wpadnie ze mną porozmawiać.

- Nie wiem po co - mruknęłam, może odrobinę ponuro. - Nigdy nie przyjaźniłam się z Dawn. Jak umarła, powiedzieli ci?

- Udużono ją, choć wcześniej została niezbyt groźnie pobita - odparł Sam. - Miała również na ciele stare ślady po zębach. Podobnie jak Maudette.

- W okolicy mieszka obecnie sporo wampirów, Sam - stwierdziłam, ripostując jego niewypowiedziany komentarz.

- Sookie. - Głos mojego szefa był poważny i spokojny. Przypomniałam sobie, że trzymał moją rękę przy domu Dawn, a później nie dopuścił mnie do swojego umysłu, mając świadomość, że go sonduję. Wiedział, w jaki sposób mnie zablokować! - Kochanie, Bill jest dobrym facetem... jak na wampira... nie jest jednak człowiekiem.

- Tak jak ty, kochany - odcięłam się bardzo cicho, choć niezwykle ostro, po czym odwróciłam się do niego plecami. Nawet przed sobą nie przyznawałam się, dlaczego właściwie tak się na niego złościę, niemniej jednak pragnęłam, by zdawał sobie sprawę z mojego gniewu.

Pracowałam jak szalona. Mimo swych słabości Dawn była kelnerką skuteczną, a Charlise po prostu

nie mogła nadażyć. Była chętna do nauki i wiedziałam, że w końcu złapie barowy rytm, ale podczas tej zmiany Arlene i ja musiałyśmy wziąć sprawy w swoje ręce.

Tego wieczoru i w nocy dostałam mnóstwo napiwków, gdyż ludzie się dowiedzieli, że to właśnie ja znalazłam ciało. Zachowywałam powagę i grzecznie odpowiadałam na wszystkie pytania, starając się nie obrazić klientów, którzy najnormalniej w świecie pragnęli poznać detale poznane już przez wszystkich innych mieszkańców Bon Temps.

W drodze do domu mogłam się wreszcie nieco odprężyć. Byłam naprawdę wyczerpana. Ostatnią osobą, jakiej się spodziewałam podczas skrętu w wąską leśną drogę prowadzącą do naszego domu, był Bill Compton. Wampir opierał się o sosnę i czekał na mnie. Minęłam go powoli, prawie zdecydowana go zignorować. Ale w końcu się zatrzymałam.

Otworzył moje drzwiczki, a ja wysiadłam, nie patrząc mu w oczy. Czuję się świetnie w nocy; wiedziałam, że ja nigdy nie będę miała tak dobrego samopoczucia o tej porze. Krążyło zbyt wiele dziecięcych opowieści o nieprzyjemnych rzeczach, które zdarzały się w mroku nocy.

Cóż, ściśle rzecz biorąc, Bill stanowił jedno z takich „zagrożeń”. On sam nie musiał się prawie niczym przejmować.

- Będziesz się gapić do rana na własne stopy czy wreszcie ze mną porozmawiasz? - spytał głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Stało się coś, o czym powinienes wiedzieć.

- A więc mi o tym opowiedz. - W jakiś sposób usiłował nade mną zapanować: czułam jego władzę, na szczęście udało mi się mu nie ulec. Bill westchnął.

- Nie mogę tego znieść - powiedziałam ze zmęczeniem. - Usiądźmy na ziemi albo gdzieś. Od chodzenia bolą mnie nogi.

W odpowiedzi podniósł mnie i posadził na masce samochodu. Potem stanął przede mną, założył ramiona na piersi i jawnie czekał na mój ruch.

- Opowiedz mi - powtórzył po chwili.

- Zamordowano Dawn. Zginęła dokładnie tak jak Maudette Pickens.

- Dawn?

Nagle poczułam się nieco lepiej.

- Druga kelnerka w barze.

- Rudowłosa? Ta, która tak często wychodzi za mąż?

Poczułam się znacznie lepiej.

- Nie, ciemnowłosa. Ta, która ciągle ocierała się biodrami o twoje krzesło, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Och, ta. Przyszła do mnie do domu.

- Dawn? Kiedy?!

- Zaraz po twoim wyjściu. Tej nocy, gdy odwiedziły mnie tamte wampiry. Miała szczęście, że się z nimi minęła. Wydawała się strasznie śmiała i sądziła pewnie, że ze wszystkim umie sobie poradzić.

Podniosłam na niego wzrok.

- Dlaczego miała szczęście, że się z nimi minęła? Nie ochroniłbyś jej?

W świetle księżyca oczy Billa wyglądały na całkowicie ciemne.

- Nie sądzę - odparł.

- Jesteś...

- Jestem wampirem, Sookie. Nie myślę w taki sposób jak ty. Nie opiekuję się mechanicznie... ludźmi.

- Mnie obroniłeś.

- Ty to co innego.

- Tak? Podobnie jak Dawn jestem kelnerką. I, jak Maudette, pochodzę z prostej rodziny.

Czym się od nich różnię?

Nagle się zezłościłam. Wiedziałam, co się teraz zdarzy.

Bill chłodnym palcem dotknął środka mojego czoła.

- Różnisz się - zapewnił mnie. - W niczym nie przypominasz nas, wampirów, lecz nie jesteś również taka jak one.

Poczułam błysk wściekłości tak intensywnej, że niemal nie mogłam nad nią zapanować.

Zamachnęłam się i uderzyłam mojego wampira, choć wiedziałam, że to czyste szaleństwo.

Odniosłam wrażenie, że walę w wielką opancerzoną ciężarówkę marki Brink. Bill w okamgnieniu ściągnął mnie z samochodu i przyciągnął do siebie, jednym ramieniem przyciskając mi ręce do boków.

- Nie! - wrzasnęłam. Wierzgałam i kopałam, jednakże tylko niepotrzebnie traciłam energię.

W końcu osunęłam się obok niego.

Oboje oddychaliśmy głośno i spazmatycznie - sądzę wszak, że każde z nas z innego powodu.

- Dlaczego uznałaś, że musisz mi powiedzieć o Dawn? - Pytanie zabrzmiało zupełnie normalnie.

Nikt by się po nim nie domyślił, że przed chwilą doszło między nami do walki.

- No cóż, Władco Ciemności - odwarknęłam gniewnie. - Maudette miała na udach stare ślady ugryzień. A policjanci powiedzieli Samowi, że u Dawn dostrzeżono identyczne.

Jeśli milczenie można scharakteryzować, jego było pełne zadumy. Gdy rozmyślał (czy co tam wampiry robią w takiej chwili), jego uścisk zelżał. Jedną ręką Bill zaczął nieuważnie pocierać moje plecy, jakbym była skamlącym szczeniakiem.

- Sugerowałaś, zdaje mi się, że nie umarły od tych ugryzień.

- Nie. Przyczyną śmierci obu było uduszenie.

- Nie zabił ich zatem wampir. - Wyłożył mi to tonem pozbawionym najmniejszych wątpliwości.

- Dlaczego?

- Gdyby wampir karmił się krwią tych kobiet, zostałyby osuszone, a nie uduszone. Nie zmarnowałby zdrowych ciał w tak bezsensowny sposób.

Właśnie zaczynałam się czuć z nim swobodnie, a ten nagle powiada coś tak zimnego, tak wampirzego! Trzeba było zacząć wszystko od nowa.

- Zatem - mruknęłam zmęczonym głosem - albo mamy przebiegłego i bardzo opanowanego wampira, albo osobę, która postanowiła zabijać kobiety lubiące się spotykać z wampirami.

Nie podobała mi się żadna z tych możliwości.

- Hmm... - zadumał się. - Sądysz, że ja to zrobiłem? - spytał.

Pytanie było niespodziewane. Wyzwoliłam się z jego objęć i spojrzałam mu w twarz.

- Bardzo się starasz pokazać, jak okropnie jesteś nieczuły - wytknęłam mu. - W co naprawdę chcesz, abym uwierzyła?

Tak cudownie było tego nie wiedzieć. Tak cudownie było pytać. O mało się nie uśmiechnęłam.

- Mógłbym je zabić, ale nie zrobiłbym tego ani tutaj, ani teraz - odparł. W świetle księżyca widziałam jedynie jego ciemne tęczęwki i czarne, wygięte w łuk brwi. - Chcę tu pozostać. Mieć dom... - Wampir, tęskniący za domem, też coś. Bill zrozumiał moją minę. - Nie żałuj mnie, Sookie. Popelnisz błąd.

Prawdopodobnie chciał, żebym spojrzała mu w oczy.

- Bill, nie zdołasz mnie oczarować, omamić czy jak to nazywasz. Nie zdołasz sprawić, żebym zdjęła dla ciebie koszulkę, a ty wtedy mnie ugryziesz... I tak nie zapomnę, że cię dziś spotkałam, nie próbuj więc ze mną żadnych swoich sztuczek. Graj ze mną uczciwie lub użyj siły.

- Nie - odparł, niemal dotykając wargami moich ust. - Do niczego nie będę cię zmuszał.

Zwalczyłam pragnienie pocałowania go. Ale przynajmniej wiedziałam, że to moje własne pragnienie, a nie coś mi narzuconego.

- Skoro nie ty je pogryzłeś - kontynuowałam, starając się opanować - pewnie Maudette i Dawn poznały innego wampira. Maudette chadzała do baru wampirzego w Shreveport. Może Dawn również tam bywała. Zabierzesz mnie tam?

- Po co? - spytał. Z jego głosu było prawie wyłącznie zaciekawienie.

Nie potrafiłam wyjaśnić kwestii niebezpieczeństwa komuś, komu niezbyt często ono groziło. Przynajmniej w nocy.

- Nie jestem pewna, czy Andy Bellefleur zada sobie trudu i tam pojedzie - skłamałam.

- Nadal więc w okolicy mieszkają Bellefleurowie - zauważył nieco innym tonem. Trzymał mnie tak mocno, że aż poczułam ból.

- Tak - przyznałam. - To liczna rodzina. Andy jest policyjnym detektywem, jego siostra, Portia, prawniczką, kuzyn Terry - weteranem i barmanem. Zastępuje czasem Sama. Jest też wielu innych.

- Bellefleurówie...

Mój wampir zaczynał mnie wręcz miażdżyć!

- Bill - zapiszczałam w panice.

Natychmiast rozluźnił uścisk.

- Przepraszam - powiedział sztywno.

- Muszę się położyć do łóżka - odparłam. - Jestem naprawdę zmęczona, Bill. - Bardzo lekko ułożył mnie na żwirze i popatrzył na mnie z góry. - Oświadczyłeś tamtej trójce wampirów, że do ciebie należę - zauważyłam.

- Tak.

- Co właściwie miałeś na myśli?

- Że jeśli oni spróbują ssać twoją krew, pozabijam ich - odrzekł. - Znaczy to, że jesteś moją istotą ludzką.

- Muszę ci się zwierzyć, że ucieszyłam się, gdy to powiedziałeś, choć nie jestem pewna konsekwencji, jakie niesie z sobą taka przynależność do ciebie - stwierdziłam ostrożnie. - I nie przypominam sobie, żebyś mnie pytał o zgodę.

- Wszystko jest prawdopodobnie lepsze niż zabawa z Malcolmem, Liamem i Diane.

Nie zamierzał odpowiedzieć mi wprost.

- Zabierzesz mnie do tego baru?

- Kiedy masz następną wolną noc?

- Za dwa dni.

- W takim razie wtedy. Przyjadę o zachodzie słońca.

- Masz samochód?

- A jak twoim zdaniem przemieszczam się z miejsca na miejsce? - Prawdopodobnie jego lśniąca twarz rozjaśniał uśmiech. Bill obrócił się i zaczął znikać w ciemnym lesie. Przez ramię rzucił: - Sookie, spraw, żebyśmy poczuli się dumni.

Zostałam z otwartymi ustami.

Ja mam sprawić, żeby on poczuł się dumny! Też coś.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Połowa gości baru „U Merlotte’a” uważała, że Bill Compton miał swój udział w śladach znalezionych na ciałach obu zamordowanych kobiet. Drugie pięćdziesiąt procent sądziło, że to obce wampiry z większych miasteczek lub miast pogryzły Maudette i Dawn, gdy dziewczyny włączyły się po barach. W dodatku ludzie twierdzili, że obie zasłużyły sobie na taki koniec, skoro sypiały z wampirami. Jedni myśleli, że dziewczyny udusił wampir, inni uznawali ich śmierć po prostu za konsekwencję rozwiązłego życia.

Dosłownie wszystkie osoby wchodzące do „Merlotte’a” martwiły się, że niedługo zginie kolejna kobieta. Nie zliczę, ile razy zalecano mi ostrożność. Miałam nie ufać mojemu przyjacielowi, wampirowi Billowi, dobrze zamykać za sobą drzwi frontowe i nie wpuszczać nikogo do domu... Jakbym normalnie nie robiła tego wszystkiego...

Jason stał się przedmiotem współczucia, ale i podejrzeń - spotykał się w końcu z obiema kobietami. Przyszedł do naszego domu pewnego dnia i przez dobrą godzinę narzekał na swoją sytuację. Babcia i ja usiłowałyśmy go przekonać, że powinien żyć i pracować jak dotąd. Tak przecież postąpiłby każdy niewinny człowiek. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, mój przystojny brat naprawdę się martwił. Nie cieszyłam się oczywiście z jego kłopotów, lecz nie potrafiłam mu także współczuć. Wiem, że to z mojej strony małosłowne i paskudne...

Nie jestem jednak idealna.

W dodatku jestem tak niedoskonała, że chociaż słyszałam o dwóch zabitych kobietach, spędziłam mnóstwo czasu na próbie odgadnięcia, jak mam uczynić Billa... dumnym. Nie wiedziałam, jaki strój jest odpowiedni na wizytę w wampirzym barze. Nie chciałam wkładać głupich kostiumów, które podobno noszą w barach niektóre dziewczyny.

Byłam pewna, że nie znam nikogo, kogo mogłabym spytać.

Nie byłam wystarczająco wysoka ani tak szczupła, by ubrać obcisły strój ze spandeksu, jaki widziałam na Diane.

Ostatecznie wyciągnęłam z tyłu szafy kiecę, w której chodziłam bardzo rzadko, gdyż była to ładna sukienka „randkowa”, a ja przecież niemal nigdy się nie umawiałam. Wyglądała w niej atrakcyjnie i podniecająco. Dość przylegająca, bez rękawów, ze sporym dekoltem. Biała, zdobiona nielicznymi jaanoczerwonymi kwiatami na długich zielonych łodyżkach. Świetnie podkreślała moją opaleniznę. Przebijały spod niej sutki. Dodałam pokryte czerwoną emalią kolczyki, czerwone buty na wysokich obcasach i małą czerwoną słomkową torebkę. Nałożyłam też makijaż i rozpuściłam moje kręcone, sięgające łopatek włosy.

Gdy wyszłam ze swojego pokoju, babcia otworzyła szeroko oczy.

- Pięknie wyglądasz, kochanie - powiedziała. - Nie będzie ci trochę zimno w tej sukience?

Uśmiechnęłam się.

- Nie, babciu, myślę, że nie. Na dworze jest dość ciepło.

- Może zarzuciłabyś na nią miły, biały sweterek?

- Nie, chyba nie. - Roześmiałam się. Staralam się nie myśleć o innych paskudnych wampirach, więc seksowny wygląd nie wydawał mi się niczym zdrożnym. Ekscytowała mnie perspektywa randki, chociaż z pozoru traktowałam tę wyprawę bardziej jak misję rozpoznawczą. O tym fakcie również próbowałam zapomnieć. Chciałam się tylko dobrze bawić.

Zadzwoił Sam i przypomniał mi, że mam do odebrania pensję w postaci comiesięcznego czeku.

Spytał, czy po niego przyjadę. Tak zwykle postępowałam, jeśli nazajutrz miałam dzień wolny.

Pojechałam do „Merlotte’a”, choć nieco niepokoiła mnie ewentualna reakcja ludzi na mój sztywny wygląd.

Kiedy weszłam, w barze dosłownie zapadła pełna zdumienia cisza. Wprawdzie Sam stał odwrócony do mnie plecami, ale Lafayette wyglądał przez okienko do wydawania posiłków. Przy stolikach siedzieli Rene i JB. Niestety, przy stoliku siedział też mój brat, Jason, który chciał sprawdzić, na co się gapi Rene i... na mój widok wybałuszył oczy.

- Świetnie wyglądasz, dziewczyno! - zawołał entuzjastycznym tonem Lafayette. - Skąd wzięłaś taką sukienkę?

- Och, mam tę starość od zawsze - odparowałam drwiąco, a kucharz się roześmiał.

Mój szef obrócił się, pragnąc zobaczyć, o czym mówi Lafayette i również wytrzeszczył oczy.

- Boże wszechmogący - sapnął. Onieśmielona podeszłam, by spytać o czek. - Wejdz do biura, Sookie - poprosił.

Poszłam za Samem do jego małego pokoiku przy magazynie. Rene, gdy go mijałam, ścisnął moje ramię, JB zaś pocałował mnie w policzek.

Mój szef przeszukał stosy papierów na biurku i w końcu znalazł czek dla mnie. Nie podał mi go jednak.

- Idziesz na jakieś wyjątkowe spotkanie? - spytał prawie z niechęcią.

- Mam randkę - odparłam, siląc się na obojętny ton.

- Cudownie wyglądasz - ocenił cicho. Dostrzegłam, że nerwowo przelyka ślinę. Oczy mu płonęły.

- Dziękuję. Hmm... Sam, mogę już wziąć czek?

- Pewnie.

Podał mi, a ja wrzuciłam go do torebki.

- Do widzenia, zatem.

- Do zobaczenia. - Zamiast jednak zasugerować, że powinnam wyjść, Sam podszedł i... obwąchał mnie niczym pies. Przysunął twarz blisko mojej szyi i wciągnął mój zapach. Jego wspaniałe niebieskie oczy zamknęły się na krótko, jakby mężczyzna pragnął go oszacować. Po chwili powoli wypuścił powietrze, a jego gorący oddech owiał moją nagą skórę.

Wyszłam z pomieszczenia i opuściłam bar, zaintrygowana i zainteresowana zachowaniem Sama Merlotte'a.

Przed moim domem stał zaparkowany nieznany mi samochód - czarny cadillac, błyszczący, jakby był ze szkła. Auto Billa! Skąd wampiry mają pieniądze na takie samochody? Potrząsając głową, wspięłam się po schodach na ganek i weszłam do środka. Bill wyczekująco odwrócił się do drzwi; siedział na kanapie i gawędził z babcią, która przysiadła na oparciu starego fotela.

Kiedy mój wampir na mnie spojrzał, byłam pewna, że przedobrzyłam i że jest naprawdę rozgniewany moim strojem. Jego rysy osobliwie zastygły, oczy płonęły, palce zagięły się, jakby Bill coś nimi nabierał.

- Wszystko w porządku? - spytałam z niepokojem. Czułam, że do policzków napływa mi krew.

- Tak - przyznał w końcu, lecz ta pauza wystarczyła, by rozgniewać moją babcię.

- Każdy, kto ma choć trochę rozumu w głowie, powinien przyznać, że Sookie jest jedną z najładniejszych dziewczyn w okolicy - obwieściła staruszka głosem z pozoru przyjaznym, ale pod spodem lodowatym niczym stal.

- Och, tak - zgodził się, jednak z osobliwym brakiem przekonania.

Hmm... pieprzyć go! Chociaż tak bardzo się starałam. Wyprostowałam się dumnie i rzuciłam:

- A więc jedziemy?

- Tak - powtórzył i wstał; - Do widzenia, pani Stackhouse. Cieszę się, że mogłem znów panią spotkać.

- No cóż, bawcie się dobrze - odparła udobruchana. - Jedź ostrożnie, Billu, i nie pij zbyt dużo. Zmarszczył czoło.

- Dobrze, proszę pani.

Widziałam, że ta odpowiedź babcię zadowoliła. Kobieta całkowicie darowała wampirowi wszystkie wcześniejsze potknięcia.

Kiedy usiadłam na siedzeniu samochodu, Bill przytrzymał na moment otwarte drzwiczki od mojej strony. Mierzył mnie wzrokiem i zapewne na nowo oceniał sukienkę. W końcu zamknął drzwi i zajął miejsce za kierownicą. Zastanowiłam się, kto go nauczył prowadzić samochód. Może Henry Ford?

- Przepraszam, że nie ubrałam się odpowiednio - mruknęłam, patrząc prosto przed siebie.

Jechaliśmy powoli wyboistym podjazdem. Wampir zatrzymał nagle auto.

- Kto ci to powiedział? - spytał bardzo cicho.

- W twoich oczach widzę, że zrobiłam coś źle - odwarknęłam.
- Wątpię po prostu, czy potrafię wprowadzić cię do baru i z niego wyprowadzić w takim stroju bez konieczności... zabicia kogoś, kto cię zapragnie.
- Jesteś sarkastyczny. - Nadal na niego nie patrzyłam.

Chwycił mnie dłonią za szyję. Musiałam obrócić ku niemu głowę.

- Czy wyglądam na takiego? - spytał. Otworzył szeroko ciemne oczy i utkwiał we mnie nieruchome spojrzenie.

- Nooo... nie - przyznałam.

- W takim razie uwierz w to, co mówię.

Drogę do Shreveport przebyliśmy przeważnie w milczeniu, cisza ta nie była wszakże nieprzyjemna. Bill co jakiś czas włączał kasety. Miał słabość do Kenny'ego G.

„Fangtasia”, bar wampirzy, mieścił się w podmiejskim centrum handlowym Shreveport, blisko sklepów Sam's i Toys'R'Us. O tej porze pasaż handlowy - z wyjątkiem baru - był zamknięty na cztery spusty. Nazwę lokalu wypisano na krzykliwym, czerwonym neonie nad drzwiami, również czerwonymi, które wyróżniały się na tle stalowoszarej fasady. Właściciel baru najwyraźniej uważał, że kolor szary jest mniej czywisty niż czarny, ponieważ wewnątrz pomalowano na tę samą barwę.

Przy drzwiach jakaś wampirzyca poprosiła mnie o dowód tożsamości. Billa rozpoznała oczywiście jako przedstawiciela swojego rodzaju i chłodno kiwnęła mu głową, mnie natomiast przyjrzała się badawczo. Cerę miała kredowobiałą, jak wszystkie wampiry rasy białej i wyglądała porażająco w długiej czarnej sukni z szerokimi rękawami. Zastanowiłam się, czy przesadnie „wampirzy” wygląd jest jej pomysłem, czy też przyjęła go, gdyż uważali go za odpowiedni „ludzcy” goście.

- Od lat nikt mnie nie legitymował - odparłam, przetrząsając czerwoną torebkę w poszukiwaniu prawa jazdy. Staliśmy w małym prostokątnym korytarzu.

- Już nie potrafię szacować wieku ludzi, a musimy tu zachowywać wielką ostrożność, ponieważ nie wolno nam obsługiwać małoletnich. W żadnym razie - dodała z miną, która prawdopodobnie miała oznaczać przyjazny uśmiech.

Spojrzała na Billa z ukosa, po czym zmierzyła go zaczepnie pełnym zainteresowania spojrzeniem z góry na dół. Przynajmniej według mnie jej spojrzenie było zaczepne. - Nie widziałam cię od kilku miesięcy - powiedziała do niego typowym dla wampirów chłodnym i słodkim głosem.

- Usiłuję się zaadaptować - wyjaśnił, a ona kiwnęła głową.

* * *

- Co jej powiedziałaś? - szepnęłam, gdy przemierzyliśmy krótki korytarz i przez czerwone, dwuskrzydłowe drzwi weszliśmy do głównej sali.

- Że staram się żyć między ludźmi.

Chciałam usłyszeć więcej szczegółów, umilkłam jednak, gdyż pragnęłam także rozejrzeć się po wnętrzu „Fangtasii”. Cały wystrój był w szarości, czerni i czerwieni. Ściany obwieszono oprawionymi w ramy zdjęciami ze wszystkich chyba filmów, w których grający wampira aktor pokazał kły - od Beli Lugosiego przez George’a Hamiltona po Gary’ego Oldmana, od sławnych do mało znanych. Oświetlenie było oczywiście przyćmione. Nie ono jednak było niezwykle, lecz klientela. I różne symbole.

W barze panował tłok. Ludzie dzielili się na wampirzych fanów i zwyczajnych turystów. Fani (zwani też miłośnikami kłów) mieli na sobie najwytworniejsze ubrania: aż po tradycyjne peleryny i smokingi u mężczyzn oraz czarne suknie w stylu Morticii Adams w przypadku kobiet. Dostrzegłam kopie kostiumów, które nosili Brad Pitt i Tom Cruise w *Wywiadzie z wampirem*, a także stroje nowocześniejsze, inspirowane moim zdaniem *Zagadką nieśmiertelności*. Niektórzy fani namalowali sobie pod dolną wargą fałszywe kły, inni strużki krwi przy kącikach ust lub znaki ukłuć na szyi. Prezentowali się nadzwyczajnie i nadzwyczaj żałośnie.

Turyści wyglądali tak, jak zawsze i wszędzie wyglądają turyści, może tylko ci wydawali się odważniejsi. Poza tym dawali się ponieść nastrojowi i - tak jak miłośnicy kłów - niemal wszyscy ubrali się na czarno. Może bar stanowił przystanek podróży jakiejś wycieczki?

„Wnieście nieco czerni w swoją ekscytującą wizytę w prawdziwym barze wampiryzm!

Przestrzegajcie reguł, wtedy nic wam się nie stanie, a obejrzyście sobie ów egzotyczny, mroczny światek”.

Wśród grupki ludzi - niczym prawdziwe klejnoty w koszyku z górskimi kryształami - tkwiły wampiry; było ich może z piętnaścioro. Większość z nich również nosiła ciemne stroje.

Stałam pośrodku lokalu, rozglądając się wokół z ciekawością, zdumieniem i lekką niechęcią.

- Wyglądasz jak biała świeca w kopalni węgla - szepnął Bill.

Roześmiałam się, po czym między rozproszonymi stolikami przeszliśmy do baru. Pierwszy raz znalazłam się w barze wyposażonym w gablotkę zastawioną butelkami z podgrzaną krwią. Bill naturalnie zamówił taką, ja natomiast zaczerpnęłam głęboki oddech i zamówiłam dżin z tonikiem.

Barman uśmiechnął się do mnie, wysuwając nieco kły i sugerując, że obsługuje mnie z przyjemnością. Usiłowałam odpowiedzieć uśmiechem, a równocześnie wyglądać skromnie.

Barman był szczupłym Indianinem o długich, czarnych jak węgiel, prostych włosach, orlim nosie i prostej linii ust.

- Jak leci, Bill? - spytał. - Długo się nie widzieliśmy. To twój posiłek na dzisiejszą noc? - Stawiając nasze napoje na kontuarze przed nami, skinął głową ku mnie.

- To moja przyjaciółka Sookie. Ma kilka pytań.
- Wszystko, co zechcesz, piękna kobieto - odparł barman i znów się uśmiechnął. Bardziej mi się podobał, gdy zachowywał powagę.
- Widziałeś tę babkę w barze? Lub tę? - spytałam, wyciągając z torebki gazetowe zdjęcia Maudette i Dawn.
- Albo może tego mężczyznę? - Pełna złych przeczuc, pokazałam fotkę mojego brata.
- Kobiety widziałem, mężczyzny nie, chociaż wygląda zachwycająco - oświadczył barman, posyłając mi kolejny uśmiech. - Czyżby twój brat?
 - Tak.
 - Cóż za możliwości - wyszeptał.

Na szczęście miałam wieloletnią praktykę w panowaniu nad emocjami.

- Pamiętasz, z kim te kobiety siedziały?
- Och, tego nie mógłbym wiedzieć - odrzekł szybko, poważniejąc. - Takich rzeczy po prostu tu nie zauważamy. Ty też niczego nie dostrzeżesz...
- Dziękuję - zakończyłam uprzejmie, uświadomiwszy sobie, że złamałam panujące w barze reguły. Najwyraźniej niebezpiecznie było pytać, kto z kim przyszedł. - Doceniam, że poświęciłeś mi swój czas.

Popatrzył na mnie w zadumie.

- Ta - stwierdził, stukając palcem w zdjęcie Dawn - chciała umrzeć.
- Skąd wiesz?
- Każdy, kto tutaj przychodzi, w jakiejś mierze tego pragnie - odparł z przekonaniem. Najwidoczniej uważał to za rzecz oczywistą. - Właśnie tym przecież jesteśmy. Śmiercią. Zadrżałam. Bill położył mi rękę na ramieniu i pociągnął do właśnie zwolnionej ławy. Po drodze mijaliśmy rozwieszane w regularnych odstępach ścienne afisze z rozwijającymi wypowiedź Indianina napisami: „Zakazuje się gryźć w obrębie lokalu”, „Po dotarciu na parking należy bezzwłocznie odjechać” czy „Wchodzisz na własne ryzyko”. Mój wampir jednym palcem podważył wieczko butelki i wypił łyk. Próbowałam nie patrzeć, lecz mi się nie udało. Zauważył moją minę i potrząsnął głową.
- Tak wygląda rzeczywistość, Sookie - oznajmił. - Potrzebuję tego do życia.

Miał czerwone plamy na zębach.

- Jasne - odrzekłam, usiłując podrobić neutralny ton barmana. Wzięłam głęboki wdech. - Przypuszczasz, że chcę umrzeć, bo przyszłam tu z tobą?
- Sądzę, że raczej pragniesz się dowiedzieć, dlaczego inni ludzie umierają - odparł. Nie byłam jednak pewna, co naprawdę myśli.

Chyba jeszcze nie czuł się zagrożony. Sączyłam drinka, czując w ciele rozlewające się ciepło dżinu.

Do naszej ławy podeszła jakaś miłośniczka klów. Siedziałam wtedy wprawdzie trochę zasłonięta przez Billa, lecz przecież wszyscy goście widzieli, że weszłam z nim do „Fangtasii”. Dziewczyna miała kręcone włosy, była koścista, nosiła okulary, które, podchodząc do nas, zdjęła i wepchnęła do torebki. Pochyliła się nad stołem i jej wargi znalazły się kilka centymetrów od ust Billa.

- Cześć, niebezpieczny - powiedziała głosem, który zapewne uważała za uwodzicielski, po czym paznokciem pomalowanym na szkarłatne postukała w butelkę z krwią. - Mam prawdziwą. - Dla podkreślenia swoich słów pogładziła się po szyi.

Aby się uspokoić, głęboko zaczerpnęłam oddechu. W końcu to ja zaprosiłam Billa do tego baru, nie on mnie. Mógł robić tu, co chciał, ja zaś nie miałam prawa komentować jego zachowania, choć przez moment zaskakująco żywo wyobraziłam sobie własną dłoń trzaskającą blade, piegowaty policzek tej zuchwałej dziewczuchy. Tym niemniej milczałam, nie sugerując Billowi w żaden sposób, czego pragnę.

- Mam towarzyszkę - odparł łagodnie mój wampir.

- Ależ ona nie ma na szyi ani jednego ugryzienia - odparowała dziewczyna, posyłając mi pogardliwe spojrzenie. Równie dobrze mogła mnie nazwać tchórzliwym kurczakiem i zamachać rękoma jak skrzydłami. Mój gniew wzrósł i byłam o krok od wybuchu.

- Mam towarzyszkę - powtórzył Bill, tym razem twardszym tonem.

- Nie wiesz, co tracisz - zagruchała. Jej duże, jasne oczy zaiskrzyły się z obrazy.

- Ależ wiem - mruknął.

Cofnęła się, jakbym naprawdę ją spoliczkowała i odeszła do swojego stolika.

Ku mojemu oburzeniu okazała się pierwszą z czterech osób (obojsza płci), które usiłowały nawiązać intymne kontakty z moim wampirem, całkiem odważnie sobie w tej materii poczynając.

Bill poradził sobie z nimi wszystkimi ze spokojem i opanowaniem.

- Nic nie mówisz - zauważył, kiedy jakiś czterdziestolatek odszedł, niemal zrozpaczony odrzuceniem przez Billa.

- Nie mam nic do powiedzenia - rzuciłam chłodno.

- Mogłabyś odesłać ich wszystkich do diabła. O co ci chodzi? Mam cię zostawić w spokoju? Ktoś inny przypadł ci tu do gustu? Widzę, że Długi Cień, nasz barman, pragnie spędzić z tobą nieco czasu.

- Och nie, na litość Boską, nie! - Nie czułabym się bezpiecznie z żadnym innym wampirem w barze, bałabym się, czy nie jest podobny do Liama bądź Diane. Bill zwrócił na mnie ciemne oczy i wydawał się czekać, aż coś dodam. - Ale muszę popytać tutejszych, czy widzieli w barze Dawn lub Maudette.

- Mam z tobą pójść?

- Tak, proszę - odparłam głosem bardziej przestraszonym, niż sobie zamierzyłam; chciałam przecież

poprosić Billa niedbałym tonem o jego towarzystwo.

- Tamten wampir jest dość przystojny. Dwukrotnie badawczo ci się przyglądał. - Zastanowiłam się, czy Bill nie ugryzł się w tym momencie w język.

- Drażnisz się ze mną - odcięłam się niepewnie po chwili.

Wskazany przez niego osobnik rzeczywiście był przystojny. Promienna cera, blond włosy, niebieskie oczy, wysoki wzrost, szeroka pierś. Nosił kowbojki, dzinsy i trykotowy podkoszulek. Tak! Wyglądał jak facet z okładki romansu. I... śmiertelnie mnie przeraził.

- Na imię ma Eric - dopowiedział Bill.

- Ile ma lat?

- Dużo. Jest najstarszy w tym barze.

- Czy jest zły?

- Wszyscy mamy w sobie sporą dozę niegodziwości, Sookie. Jesteśmy bardzo silni i bywamy ogromnie gwałtowni.

- Nie ty - wtrąciłam. Dostrzegłam, że rysy mu tężeją. - Pragniesz się przecież zaadaptować i żyć wśród ludzi - dodałam szybko. - Nie będziesz się zachowywał aspołecznie.

- Ilekroć pomyślę, że taka naiwna istotka jak ty nie może się tu przecież kręcić sama, rzucasz jakiś tekst świadczący o niezwyklej przebiegłości - zauważył poważnie, po czym krótko się zaśmiał. - W porządku, pójdziemy razem porozmawiać z Erikiem.

Eric, który rzeczywiście zerknął w moją stronę raz czy drugi, siedział przy jednym ze stolików z równie śliczną jak on wampirzycą. Odprawili już kilka przypochebiających im się osób. Jeden wzgardzony młody mężczyzna podpełzł właśnie na kolanach i pocałował buty wampirzycy. Ta zapatrzyła się na niego, po czym kopnęła go w ramię. Odniosłam wrażenie, że musiała się strasznie powstrzymywać, by nie celować w twarz. W tym momencie wielu turystów się obruszyło, a jakaś para wstała i wyszła pośpiesznie, miłośnicy kłów jednak uznali najwidoczniej tę scenkę za rzecz naturalną.

Kiedy podeszliśmy, Eric podniósł ku nam twarz z nachmurzoną miną. Dopiero po sekundzie zdał sobie sprawę, kim jesteśmy.

- Bill - powiedział, kiwając głową. Wampiry chyba nie miały zwyczaju ścisnąć sobie dłoni.

Bill nie podszedł do samego stolika, lecz stanął w „bezpiecznej” odległości, a ponieważ trzymał mnie za ramię ponad łokciem, również musiałam się zatrzymać. Staliśmy więc i grzecznie czekaliśmy.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - spytała wampirzyca. Eric mówił z lekkim akcentem, ona natomiast jak rdzenna Amerykanka, okrągłej twarzy i słodkich rysów mogłaby zaś jej pozazdrościć każda panna. Wampirzyca uśmiechnęła się. Wysunięte kły nieco zepsuły jej idealny wizerunek.

- Cześć, jestem Sookie Stackhouse - zagałam uprzejmie.

- Ależ jesteś słodziutka - zauważył Eric. Miałam nadzieję, że myśli o moim charakterze.

- Nieszczególnie - odparłam.

Zaskoczony wampir gapił się na mnie przez chwilę, potem się roześmiał, a wampirzyca mu zawtórowała.

- Sookie, to Pam, a ja jestem Eric - przedstawił się w końcu blondyn. Bill i Pam po wampirzemu kiwnęli sobie głowami.

Zapadła cisza. Zamierzałam się odezwać, lecz Bill ścisnął moje ramię.

- Moja przyjaciółka, Sookie, chciałaby wam zadać parę pytań - oświadczył wreszcie.

Wampiry przy stoliku wymieniły znudzone spojrzenia.

- Na przykład jak długie są nasze kły i w jakich trumnach śpimy? - palnęła Pam przepojonym pogardą głosem. Były to zapewne rzucane przez turystów pytania, których szczerze nienawdziła.

- Nie, moja droga - odparłam. Miałam nadzieję, że Bill przestanie w końcu szczypać moją rękę.

Uważałam, że zachowuję się wyjątkowo taktownie i kulturalnie. Wampirzyca gapiła się na mnie w zdumieniu. Czym ich, do diabła, tak zaskakiwałam? Ich zaszokowane spojrzenia zaczynały mnie trochę męczyć! Zanim Bill zdąży mi dać jeszcze więcej bolesnych ostrzeżeń, otworzyłam torebkę i wyjęłam zdjęcia. - Chcę się dowiedzieć, czy widzieliście w barze te kobiety. - Wolałam wampirzycy nie pokazywać fotki Jasona. Jej niechybne zainteresowanie mogłoby mieć paskudne konsekwencje dla mojego brata.

Oboje przyjrzeni się zdjęciom. Bill czekał z obojętną miną. W końcu Eric zerknął na mnie.

- Byłem z tą - oznajmił chłodno, stukając w fotkę Dawn. - Lubiała ból.

Pam wyraźnie się zdziwiła, że Eric w ogóle mi odpowiedział. Widziałam to po jej zmarszczonym czole. Niemniej jednak poczuła się jawnie zobowiązana podążyć za jego przykładem.

- A ja pamiętam je obie - powiedziała. - Chociaż nigdy z żadną nie byłam. Ta - wskazała palcem zdjęcie Maudette - była stworzeniem żalonym.

- Dziękuję wam bardzo, że poświęciliście mi swój czas - oświadczyłam. Próbowałam się odwrócić i odejść, jednak Bill ciągle więził moją rękę.

- Billu, bardzo jesteś przywiązany do swojej przyjaciółki? - spytał Eric. Upłynęła sekunda, zanim zrozumiałam, co się dzieje. Blondwłosy przystojniak pytał, czy może mnie pożyczyć!

- Sookie jest moja - odburknął Bill. Choć nie wykrzyczał tych słów, tak jak wcześniej, do paskudnych wampirów z Monroe, tym niemniej zabrzmiały dość, cholera, ostro.

Eric skłonił złotą głowę, pobieżnie szacując mnie wzrokiem. Na pewno, w każdym razie, zaczął ogląd od mojej twarzy.

Teraz mój wampir się odpreżył. Skłonił się Ericowi, a równocześnie Pam, wycofał dwa kroki i w końcu pozwolił mi się odwrócić plecami do siedzącej pary.

- Rany julek, o co tu chodziło? - spytałam wściekłym szeptem. Już sobie wyobrażałam wielkiego

sińca, jakiego będę miała następnego dnia.

- Są ode mnie starsi o stulecia - wyjaśnił Bill. Wyglądał strasznie wampirzo.

- Istnieje hierarchia? Oparta na wieku?

- Hierarchia - powtórzył w zadumie. - Niezłe określenie naszych układów. - O mało się nie roześmiał; zauważyłam, że zadrzała mu warga. - Gdybyś była zainteresowana, musiałbym ci pozwolić odejść z Erikiem - powiedział, gdy wróciliśmy na miejsca przy ławie i każde wypilo po łyku swojego napoju.

- Nie - rzuciłam ostro.

- Dlaczego więc nie oponowałaś, gdy kolejni fani podchodzili do naszej ławy, usiłując mnie od ciebie oderwać?

Odkryłam, że nie nadajemy na tej samej fali. Czyżby wampiry nie przywiązywały wagi do form towarzyskich? Miałam mu tłumaczyć takie niuanse?

Z czystego rozdrażnienia wydałam dźwięk absolutnie niegodny damy.

- W porządku - warknęłam ostro. - Posłuchaj, Bill! Musiałam cię zaprosić do mojego domu. I tu przyszedłeś ze mną na moją jednoznaczną prośbę. Wizyta w „Fangtasii” nie była twoim pomysłem, lecz moim. Wprawdzie zacząłeś się na drodze do mojego domu, a raz kazałeś mi wpaść do twojego i zostawić listę z nazwiskami fachowców... te dwie sprawy jednak się nie liczą. Wynika zatem, że zawsze ja wszędzie zapraszam ciebie! Jak więc mogę ci narzucać swoje towarzystwo w barze? Jeśli te dziewczyny oddają ci swoją krew do ssania... albo tamten facet, no nie wiem... Po prostu czuję, że nie mam prawa stawać ci na drodze!

- Eric znacznie lepiej ode mnie wygląda - zauważył Bill. - Jest potężniejszy, a seks z nim to podobno niezapomniane przeżycie. Jest tak stary, że dla zachowania sił potrzebuje zaledwie łyku krwi. Prawie nigdy już nikogo nie zabija. Tak, jak na wampira, jest dobrym facetem. Wciąż jeszcze możesz z nim pójść. Nadal na ciebie zerka. Gdybyś nie przyszła ze mną, wypróbowałby na tobie swój urok.

- Nie chcę iść z Erikiem - powtórzyłam uparcie.

- A ja nie chcę spędzać czasu z żadną miłośniczką kłów - odparował.

Przez minutę czy dwie siedzieliśmy w ciszy.

- No to się dogadaliśmy - oznajmiłam niejasno.

Znów wszakże zadumaliśmy się na dobre kilka minut.

- Jeszcze jednego drinka? - spytał.

- Tak, chyba że musisz wracać.

- Nie, w porządku.

Poszedł do baru. Przyjaciółka Erica, Pam, gdzieś zniknęła, za to przy mnie zjawił się niespodziewanie Eric. Bezczelnie się gapił. Usiłowałam się skoncentrować na własnych dłoniach,

sugerując nieśmiałość. Poczulałam, że owiewa mnie jakaś energia i ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie, że wampir stara się wyrzucić na mnie swój wpływ. Zaryzykowałam szybkie spojrzenie i odkryłam, że Eric rzeczywiście patrzy na mnie wyczekująco. Co miałam zrobić? Zdjąć sukienkę? Zaszczekać jak pies? Kopnąć Billa w goleń? Cholera!

Bill wrócił z naszymi napojami.

- Eric zauważył, że nie jestem normalna - mruknęłam ponuro, lecz mój wampir najwidoczniej nie potrzebował wyjaśnień.

- Eric łamie nasze reguły, skoro próbuje cię oczarować, chociaż jasno mu powiedziałem, że jesteś moja - odparował Bill. Sądząc po tonie, złościł się. Jego głos zamiast coraz gorętszy (jak stałby się mój), stawał się coraz chłodniejszy.

- Widzę, że powtarzasz te słowa każdemu - wymamrotałam. „I tylko je mówisz” - dodałam w myślach.

- Taka jest tradycja wampirów - wyjaśnił znów Bill. - Jeśli ogłaszam, że jesteś moja, nikt inny nie może się tobą żywić.

- „Żywić się mną”, ależ zachwycająca fraza - odcięłam się ostro. Bill przez chwilę wyglądał na rozdrażnionego.

- Chronię cię - wyjaśnił nie tak obojętnym głosem jak zwykle.

- Czy przyszło ci do głowy, że ja...

Przerwałam na moment. Zamknęłam oczy. Policzyłam do dziesięciu.

Kiedy zerknęłam na mojego wampira, odkryłam, że wpija we mnie wzrok. Czułam siłę jego nieruchomego spojrzenia.

- Że ty co...? Że nie potrzebujesz ochrony? - spytał cicho. - Mojej ochrony?

Nie odpowiedziałam. Gdy trzeba, potrafię milczeć.

Położył dłonie na mojej potylicy i odwrócił głowę ku sobie - lekko, jakbym była marionetką (zaczynał mnie irytować ten jego zwyczaj) - po czym popatrzył w oczy tak twardo, że aż wzbudził we mnie strach. Zadałam sobie pytanie, czy jego wzrok nie wypalił mi tuneli aż do mózgu.

Wydęłam wargi i dmuchnęłam mu w twarz.

- Fuu! - wyrzuciłam z siebie. Czułam się bardzo skrepowana. Rozejrzałam się wokół, przestałam blokować swój umysł i skupiłam się na myślach gościa „Fangtasii”. - Ależ nudno - wyrwało mi się po chwili. - Ci ludzie są okropnie nudni.

- Naprawdę, Sookie? O czym myślisz? - Ulgą było słyszeć głos Billa, mimo iż osobliwie zmieniony.

- O seksie, seksie i seksie. - To właśnie mnie uderzyło. Dosłownie każda osoba w tym barze miała głowę niemal całkowicie wypełnioną erotyką. Nawet turyści, którzy przeważnie nie pragnęli uprawiać seksu z wampirami, myśleli o miłośnikach kłów... uprawiających seks z wampirami.

- A o czym ty myślisz, Sookie?

- Nie o seksie - odparowałam natychmiast i zgodnie z prawdą. Sekundę później ogarnęła mnie nieprzyjemna, szokująca myśl.

- Doprawdy?

- Zastanawiałam się akurat, jak dużą mamy szansę wyjścia stąd bez kłopotów.

- Skąd w tobie ten niepokój?

- Ponieważ jeden z turystów jest tajniakiem. Poszedł teraz do toalety i zauważył wampira, który ssie szyję pewnej miłośniczki klów. Już zawiadomił przez radio policję.

- Wychodzimy - oznajmił bez wahania Bill. Bez zwłoki ruszyliśmy do drzwi. Pam zniknęła, lecz gdy mijaliśmy stolik Erica, Bill dał mu jakiś znak. Eric podniósł się spokojnie, w pełni wyprostował i poszedł do wyjścia. Był od nas wyższy, miał dłuższe nogi, toteż dotarł tam wcześniej. Wychodząc, położył dłoń na ramieniu bramkarki i pociągnął dziewczynę na zewnątrz.

Niemal w progu przypomniałam sobie barmana imieniem Długi Cień, który tak chętnie odpowiadał na moje pytania, toteż odwróciłam się ku niemu i dźgnęłam palcem w kierunku drzwi, niedwuznacznie mu sugerując, że powinien uciekać. Spojrzał tak zatrwożony, jak tylko może spojrzeć wampir. Bill szarpnął mnie przez dwuskrzydłowe drzwi, ale kątem oka dostrzegłam, że Indianin także rzuca się do wyjścia.

Znaleźliśmy się na dworze. Eric czekał przez swoim aucie. Była to (oczywiście!) corvetta.

- Zawiadomiono policję - poinformował go Bill.

- Skąd wiesz?

Bill milczał.

- To ja - bąknęłam, wybawiając go z opresji. - Wielkie niebieskie tęczęwki szeroko otwartych oczu Erica świeciły nawet w mroku parkingu. Musiałam mu wyjaśnić. - Odczytałam myśli jednego tajniaka - szepnęłam. Sprawdziłam szybko, jak Eric to przyjął. Zagapił się na mnie w ten sam sposób, w jaki przyglądały mi się wampiry z Monroe. Zamyślony. Głodny.

- Interesujące - odparł. - Miałem kiedyś psychikę. To było niewiarygodne.

- Dla psychiki również? - Mój ton wypadł bardziej cierpko, niż sobie zamierzyłam.

Usłyszałam, że Bill nerwowo wciąga oddech.

Eric wszakże się roześmiał.

- Przez jakiś czas - odparł niejasno.

Z oddali dotarły do nas odgłosy syren. Eric i bramkarka bez słowa wślizgnęli się do corvety i odjechali w noc; dziwnym trafem samochód wampira wydawał się cichszy niż inne pojazdy. Bill i ja zapięliśmy pasy, po czym pospiesznie opuściliśmy parking, umykając przed wjeżdżającą od drugiej strony policją. Policjanci mieli wampirzą furgonetkę - specjalny więzienny pojazd transportowy ze srebrnymi kratami. Kierowali nią dwaj funkcjonariusze w wydziale do spraw wampirów, którzy przed „Fangtasią” wyskoczyli z auta i dotarli do drzwi klubu z niewyobrażalną

dla mnie prędkością.

Przejechaliśmy kilka przecznic, gdy nagle Bill zjechał na parking następnego, zaciemnionego centrum handlowego.

- Co...? - zaczęłam, lecz przerwałam, gdyż zanim skończyłam zdanie, Bill odpiął mój pas, odsunął w tył moje siedzenie i objął mnie. Przestraszona, że się na mnie rozgniewał, początkowo go odepchnęłam, ale równie dobrze mogłabym odpychać wrośnięte w ziemię drzewo. Nagle usta wampira odnalazły moje i już wiedziałam, co się dzieje.

O rany, ależ Bill potrafił całować. Może mieliśmy problemy z porozumieniem w pewnych sferach, na pewno jednak nie w tej. Całowaliśmy się chyba z pięć minut. Czułam fale przyjemności ogarniające moje ciało. Mimo iż niewygodnie siedziało mi się na przednim siedzeniu, czułam się dobrze, szczególnie że Bill był równocześnie silny i delikatny. Ugryzłam go lekko, a on zamruczał jak kot.

- Sookie! - wychrypiął po chwili. Odsunęłam się od niego, może o centymetr. - Jeśli zrobisz to jeszcze raz, wezmę cię tutaj, czy tego chcesz, czy nie - oświadczył. Niestety, zupełnie nie rozumiałam, o co mu chodzi.

- A ty nie chcesz - szepnęłam w końcu, starając się nie mówić tonem pytającym.

- Ależ tak, chcę. - Chwycił moją rękę i pokazał mi.

Sekundę później oślepiło nas światło obracającego się koguta radiowożu.

- Policja - rzuciłam cicho. Ktoś wysiadł z samochodu patrolowego i ruszył ku oknu Billa. - Nie daj mu poznać, że jesteś wampirem, mój drogi - rzuciłam pospiesznie, obawiając się uprzedzonego funkcjonariusza, który wcześniej brał udział w obławie na „Fangtasię”. Choć do policji chętnie przyjmowano wampiry, w okolicy pozostało sporo uprzedzeń, szczególnie gdy chodziło o pary mieszane.

Mężczyzna mocno zastukał w okno.

Bill włączył silnik, po czym wcisnął guzik opuszczający szybę. Milczał jednak, toteż pojęłam, że nie zdołał ukryć klów. Jeśli otworzy usta, od razu się wyda, że jest wampirem!

- Witam, panie policjancie - zagałam.

- Dobry wieczór - odparł dość grzecznym tonem funkcjonariusz. Pochylił się i zajrzał w okno. - Wiecie chyba, że wszystkie tutejsze sklepy są zamknięte, prawda?

- Tak, proszę pana.

- W takim razie muszę stwierdzić, że zapewne się tu zabawiacie. Nie przeszkadza mi to, radzę jednak pojechać do domu i tam robić tego rodzaju rzeczy.

- Pojedziemy. - Kiwnęłam głową niecierpliwie, Bill zaś sztywno pokiwał głową.

- Robimy nalot na bar kilka przecznic dalej - rzucił niedbale policjant. Widziałam jedynie część jego twarzy, ale podejrzewałam, że mamy do czynienia z krzepkim osobnikiem w średnim

wieku. - Przyjechaliście może przypadkiem stamtąd?

- Nie - zapewniłam go.

- Z baru dla wampirów - podkreślił.

- Nie, nie byliśmy tam.

- Pozwoli panienka, że obejrzę sobie w świetle jej szyję.

- Proszę bardzo.

I, psiakość, oświetlił starą latarką najpierw moją szyję, potem Billa.

- W porządku, tylko sprawdzam. Możecie już jechać.

- Jedziemy.

Kolejne kiwnięcie Billa było jeszcze bardziej zdawkowe. Na oczach czekającego patrolowego przesunęłam siedzenie do przodu, zapięłam pas, a mój wampir wrzucił bieg i wycofał samochód.

Był naprawdę wściekły. Przez całą drogę do domu zachowywał ponure (tak mi się zdawało) milczenie, choć ja uważałam incydent z policjantem za zabawny.

Cieszyłam się, że Bill nie pozostaje obojętny na moje wdzięki. Zaczęłam mieć nadzieję, że pewnego dnia znów zechce mnie pocałować, może dłużej i żarliwiej, a może nawet... zdołamy się posunąć dalej? Usiłowałam nie rozbudzać w sobie nadziei. Cóż, istniało kilka rzeczy, których Bill o mnie nie wiedział... których nikt o mnie nie wiedział... z tego też względu zachowywałam ostrożność i starałam się trwać przy skromnych oczekiwaniach.

Mój wampir odwiózł mnie do babci, przed domem wysiadł, obszedł auto i otworzył mi drzwiczki.

Aż uniosłam brwi ze zdziwienia. Nie skomentowałam tego jednak, gdyż nie mam zwyczaju przerywać czy lekceważyć niczyich aktów uprzejmości. Zakładałam, że Bill wie, iż posiadam ręce i dość rozumu, bym umiała sobie sama otworzyć drzwiczki. Kiedy wysiadłam, cofnął się.

Poczułam się zraniona. Nie chciał mnie znów pocałować; pewnie żałował naszego wcześniejszego epizodu. Prawdopodobnie spodobała mu się przeklęta Pam. Albo może nawet Długi Cień.

Zaczynałam pojmować, że możliwość uprawiania seksu przez kilka stuleci pozostawia miejsce dla wielu eksperymentów. Czy telepatka pasowała do jego listy?

Zgarbiłam się nieco i otoczyłam się ramionami na wysokości piersi.

- Zimno ci? - spytał natychmiast Bill, obejmując mnie. Jego objęcie uznałam jednakże jedynie za fizyczny ekwiwalent płaszcza. Wydało mi się, że mój wampir usiłuje trzymać mnie na odległość ramienia.

- Przepraszam, że ci się narzucałam. Nie poproszę cię już o nic więcej - oświadczyłam z niezwykłym opanowaniem w głosie. Już gdy mówiłam, zdałam sobie sprawę, że babcia nie umówiła się konkretnie z Billem na zebranie Potomków, więc jeszcze będą musieli ustalić datę. Bill stał przez chwilę w milczeniu, w końcu powiedział bardzo powoli:

- Jesteś... niewiarygodnie... naiwną istotką. - Tym razem nie dodał uwagi o mojej przebiegłości.

- Tak - mruknęłam ponuro. - Doprawdy?

- Albo może należysz do tych boskich głupców... - odparł, co zabrzmiało znacznie mniej przyjemnie. Skojarzył mi się Quasimodo albo ktoś taki.

- Przypuszczam - odcięłam się zgryźliwie - że będziesz się musiał tego dowiedzieć.

- Lepiej żebym to ja się tego dowiedział... - odrzekł mrocznie. Zupełnie go nie zrozumiałam.

Odprowadził mnie do drzwi i choć byłam prawie pewna drugiego pocałunku, cmoknął mnie tylko lekko w czoło. - Dobranoc, Sookie - szepnął.

Na moment oparłam swój policzek o jego.

- Dziękuję, że mnie tam zabrałeś - powiedziałam i oddaliłam się szybko, zanim mój wampir pomyśli, że zamierzam poprosić o coś jeszcze. - Nie zadzwonię do ciebie więcej.

Nie czekałam, aż opuści mnie ta determinacja. Natychmiast wśliznęłam się do ciemnego domu, zatraskując Billowi przed nosem drzwi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie da się ukryć, że w ciągu najbliższych paru dni powinnam sporo spraw przemyśleć. Jak na kogoś, kto stale szukał nowości, bo nie chciał się w życiu nudzić, zgromadziłam wystarczająco danych na kilka tygodni. Na przykład ludzie w „Fangtasii”... Można by na nich skupić umysł. Że nie wspomnę o wampirach. Pragnęłam poznać jednego wampira, a teraz spotkałam ich więcej, niż miałam ochotę.

Wielu mężczyzn z Bon Temps i okolicy wezwano na posterunek i przesłuchano w kwestii Dawn Green i jej zwyczajów erotycznych. W dodatku detektyw Bellefleur co jakiś czas wpadał do baru po godzinach pracy. Nigdy nie wypijał więcej niż jedno piwo, wszystkich jednak bacznie obserwował. Ponieważ „Merlotte” bez dwóch zdań nie należał do siedlisk nielegalnej działalności, nikomu obecność Andy’ego zbytnio nie przeszkadzała. Można by rzec, że goście przyzwyczaili się do wizyt detektywa.

Dziwnym trafem, Bellefleur zawsze wybierał stół w obsługiwanej przeze mnie części sali, a ilekroć się do niego zbliżałam, intensywnie się skupiał na jakiejś nieprzyzwoitej myśli, wyraźnie prowokując mnie do reakcji. Chyba nawet nie pojmował, że zachowuje się nieodpowiednio. Pewnie nie chciał mnie obrazić, a prowokacja była dla niego prawdopodobnie tylko celem do czegoś. Pragnął zapewne po prostu, żebym znowu zajrzała w jego umysł. Nie potrafiłam zrozumieć, po co. Gdy piąty czy szósty raz musiałam mu coś przynieść, tym razem chyba dietetyczną colę, wyobraził mnie sobie baraszkującą z moim bratem. Podchodziłam zdenerwowana (wiedziałam, że powinnam się spodziewać jakiegoś jego wyskoku, nie wiedziałam jednak dokładnie jakiego), więc się rozłościłam i rozplakałam. Przypomniały mi się mniej wymyślne psychiczne tortury, których doświadczyłam w szkole podstawowej.

Andy zerknął na mnie z oczekującą miną, ale kiedy zobaczył łzy w moich oczach, przez jego twarz przemknęło w szybkim tempie kilka zdumiewających emocji: triumf, rozczarowanie, w końcu gorący wstyd.

Wylałam mu tę cholerną colę na koszulę, po czym pospiesznie przeszłam obok kontuaru i wyszłam tylnymi drzwiami na zaplecze.

- Co się dzieje? - spytał ostro Sam. Stale deptał mi po piętach. Potrząsnęłam głową, nie chcąc niczego wyjaśniać i wyjęłam z kieszeni szortów starą chusteczkę, by wytrzeć sobie oczy. - Mówił ci jakieś paskudztwa? - spytał Sam głosem niższym i bardziej rozgniewanym.

- Pomyślał - odparłam bezradnie. - Specjalnie starał się mnie zdenerwować. On wie.

- Sukinsyn - oświadczył mój szef. Prawie się otrząsnęłam. Sam nigdy nie przeklinał.

Ostatnio gdy zaczynałam płakać, miałam wrażenie, że nigdy nie zdołam przestać. Przypominały mi się kolejne smutne rzeczy.

- Wróć do baru - poprosiłam zażenowana. - Zaraz mi przejdzie.

Usłyszałam, że tylne drzwi otwierają się i zamykają. Wyobraziłam sobie, że Sam spełniał moją prośbę. Ale zamiast tego usłyszałam głos Andy'ego Bellefleur:

- Przepraszam, Sookie.

- Pan, detektywie Bellefleur, powinien się do mnie zwracać „panno Stackhouse” - odwarknęłam. - Nie sądzi pan, że zamiast grać w paskudne gierki, lepiej byłoby szukać mordercy Maudette i Dawn?

Odwróciłam się i wpatrzyłam w policjanta. Wyglądał na strasznie zakłopotanego. Uznałam jego wstyd za szczery. Sam zamachał gniewnie rękoma.

- Bellefleur, następnym razem usiądź przy stoliku innej kelnerki - oznajmił, tłumiąc wściekłość.

Andy popatrzył na mojego szefa. Był od niego dwukrotnie cięższy i wyższy o dobre pięć centymetrów. Jednakże w razie ewentualnej walki postawiłabym każdą sumę na Sama, odniosłam też wrażenie, że Andy woli nie ryzykować próby sił, choćby tylko z powodów zdroworozsądkowych.

Rzeczywiście, skinął jedynie głową i wyszedł na parking, do swojego samochodu. Słońce zalśniło na blond pasemkach w jego kasztanowych włosach.

- Tak mi przykro, Sookie - powiedział Sam.

- Och, to nie twoja wina.

- Chcesz sobie wziąć wolne? Nie ma dziś aż tak wielu gości.

- Nie, dzięki. Zostanę do końca swojej zmiany. - Charlise Tooten pracowała już coraz szybciej, czułam jednak, że nie powinnam brać urlopu. To był przecież wolny dzień Arlene.

Wróciliśmy do baru. Chociaż kilka osób zerknęło na nas z ciekawością, nikt nie spytał, co się zdarzyło. W mojej części siedziała tylko jedna para. Oboje byli zajęci jedzeniem i mieli pełne szklanki, więc chwilowo mnie nie potrzebowali. Zaczęłam ustawiać kieliszki. Sam oparł się o kontuar obok mnie.

- Czy to prawda, że Bill Compton spotka się dziś wieczorem z Potomkami Wybitnych Poległych?

- Tak twierdzi moja babcia.

- Idziesz?

- Nie planowałam pójść. - Nie chciałam widzieć Billa, póki do mnie nie zadzwoni i wyraźnie nie zaproponuje spotkania.

Sam nic nie odpowiedział, lecz później, po południu, gdy brałam torebkę z jego biura, wszedł za mną i zaczął przekładać papiery na swoim biurku. Wyciągnęłam szczotkę do włosów i próbowałam rozplatać koński ogon. Z zachowania mojego szefa wnosiłam, że pragnie ze mną

porozmawiać i poczułam falę rozdrażnienia na myśl o niezdecydowaniu mężczyzn.

Mężczyzn choćby takich jak Andy Bellefleur. Mógł przecież wprost mnie spytać o moją przypadłość, a nie traktować w tak osobliwy sposób.

Albo Bill. Mógłby po prostu obwieścić mi swoje zamiary... zamiast raz przyciągać, raz odpychać.

- Tak? - spytałam ostrzej, niż zamierzałam. Pod wpływem mojego spojrzenia zarumienił się.

- Zastanawiałem się właśnie, czy zechciałabyś pójść ze mną na zebranie Potomków, a potem na filiżankę kawy.

Zdumiałam się. Moja szczotka zatrzymała się w połowie drogi w dół. Mnóstwo wspomnień przebiegło mi przez głowę: dotyk jego ręki, którą trzymałam przed domem Dawn Green, ściana, jaką napotkałam w jego umyśle, plotki o durnych dziewczynach umawiających się na randki z własnymi pracodawcami.

- Pewnie - odparłam po długiej pauzie.

Wydało mi się, że Sam z ulgą wypuszcza powietrze.

- To dobrze. Zatem wpadnę po ciebie mniej więcej o dziewiętnastej dwadzieścia. Spotkanie zaczyna się o wpół do ósmej.

- W porządku. Do zobaczenia więc.

Przestraszona, że jeśli zostanę dłużej, zrobię coś dziwnego, chwyciłam torebkę, wyszłam pospiesznie i ruszyłam wielkimi krokami do samochodu. Nie mogłam zdecydować, czy chichotać z radości, czy jęczeć z powodu własnej głupoty.

Dotarłam do domu dopiero o siedemnastej czterdzieści pięć. Na stole czekała kolacja, gdyż babcia powoli przygotowywała się do wyjścia. Musiała wcześniej zawieźć przekąski na zebranie Potomków do Budynku Społeczności.

- Zastanawiam się, czy Bill mógłby przyjść, gdybyśmy zorganizowali nasze spotkanie w sali baptystów Dobrej Wiary? - Choć spytała ni z tego, ni z owego, bez problemu podjęłam wątek.

- Och, myślę, że mógłby - odparłam. - Sądzę, że opowieści o wampirach przerażonych akcesoriami religijnymi nie są prawdziwe. Ale go o to nie pytałam,

- Wisi tam duży krzyż - ciągnęła babcia.

- Będę jednak na spotkaniu - wtrąciłam. - Idę z Samem Merlotte'em.

- Z twoim szefem, Samem? - Babcia była bardzo zaskoczona.

- Tak.

- Hmm... No dobrze, dobrze. - Zaczęła się uśmiechać, stawiając na stole talerze. Gdy jadłyśmy kanapki i sałatkę owocową, zastanawiałam się, co włożyć. Babcia wyglądała na podekscytowaną spotkaniem, czekającą członków klubu przemową Billa i koniecznością przedstawiania go przyjaciółom, ja zaś nagle wyrwałam ją z tej pełnej oczekiwania duchowej zadumy stwierdzeniem, że mam randkę. I to z pełnokrwistym człowiekiem.

- Pójdziemy gdzieś potem - dodałam. - Pewnie więc dotrę do domu mniej więcej godzinę po zebraniu. - W Bon Temps znajdowało się naprawdę niewiele lokali, w których można się było napić kawy, a w żadnym z nich nie miało się ochoty siedzieć zbyt długo.

- W porządku, kochanie. Nie spiesz się. - Babcia była już ubrana, toteż po kolacji pomogłam jej załadować do auta kilka tac z ciasteczkami. Wiozła też kawę w dużym termosie, który kiedyś kupiła na takie właśnie okazje. Samochód stał już przy tylnym wejściu, co zaoszczędziło nam sporo chodzenia. Babcia wydawała się ogromnie szczęśliwa i bardzo przejęta; podczas załadunku nie przestawała mówić. Uwielbiała takie wieczory.

Natychmiast po jej odjeździe zrzuciłam strój kelnerki i weszłam pod prysznic. Namydlałam się, nadal rozmyślałam nad odpowiednim strojem. Wiedziałam, że na pewno nie włożę niczego czarnego ani białego; stale nosiłam te barwy w pracy i miałam ich dość. Znow ogoliłam nogi. Nie miałam już czasu umyć i wysuszyć włosów, na szczęście myłam je ubiegłego wieczoru.

Otworzyłam szafę i zagapiłam się w jej wnętrzu. Sam widział już białą sukienkę w kwiatki. Dżinsowe wdzianko nie wyglądało wystarczająco elegancko dla przyjaciół babci. W końcu wyszarpnęłam spodnie khaki i brązową jedwabną bluzkę z krótkimi rękawami. Dodałam sandały z brązowej skóry i całkiem ładny brązowy, skórzany pasek. Na szyi zawiesiłam łańcuszek, w uszach duże złote kolczyki i byłam gotowa. Sam, jakby na to czekał, zadzwonił w tym momencie do drzwi. Gdy mu otworzyłam, przez chwilę czułam się zakłopotana.

- Proszę, wejdz, chociaż wydaje mi się, że mamy czas tylko... - powiedziałam.

- Chciałbym usiąść i pogawędzić, ale myślę, że mamy czas tylko... - stwierdził on w tej samej chwili.

Oboje się roześmialiśmy.

Wyszliśmy. Zamknęłam za nami frontowe drzwi i przekręciłam klucz, a Sam pospieszył otworzyć drzwiczki swojego pikapa. Ucieszyłam się, że włożyłam spodnie, ponieważ nie wyobrażałam sobie wsiadania do tej wysokiej kabiny w jednej ze swoich krótszych spódniczek.

- Pomóc ci wejść? - spytał z nadzieją w głosie.

- Sądzę, że sobie poradzę - odparłam, usiłując się nie uśmiechać.

Milczeliśmy w drodze do Budynku Społeczności, który mieścił się w starszej części Bon Temps, czyli części sprzed wojny secesyjnej. Budowla nie była przedwojenna, postawiono ją na miejscu gmachu zniszczonego podczas wojny, nikt wszakże nie wiedział, co się w nim wtedy znajdowało. Potomkowie Wybitnych Poległych stanowili grupkę mocno mieszaną. Było wśród nich kilkoro bardzo starych, bardzo kruchych członków, paru osobników nieco młodszych, pełnych życia i bardzo wesołych, a nawet garstka mężczyzn i kobiet w średnim wieku. Do klubu jednak nie należał nikt naprawdę młody, na co babcia często utyskiwała, posyłając mi przy tym znaczące spojrzenia. Pan Sterling Norris, wieloletni przyjaciel mojej babci, a równocześnie burmistrz Bon Temps, witał

tego wieczoru gości, stał więc przy drzwiach, ścisnął dłonie i odbywał krótką rozmowę z każdym, kto wchodził.

- Panno Sookie, codziennie wyglądasz pani piękniej - oświadczył na mój widok. - O Sam, nie widzieliśmy się kawał czasu! Sookie, czy to prawda, że ten wampir jest twoim bliskim przyjacielem?

- Tak, zgadza się.

- Możesz nas zatem zapewnić, że wszyscy jesteśmy tu bezpieczni?

- Oczywiście że tak. To bardzo miły... bardzo miła osoba. - Istota? Jednostka? A może powinnam powiedzieć: „Jeśli lubisz nieumartych, ten jest dość przyjemny”?

- Skoro tak twierdzisz - odparł mężczyzna z powątpiewaniem. - W moich czasach miłego wampira można by sobie między bajki włożyć.

- Och, panie Norris, nadal żyjemy w pańskich czasach - odparłam z pogodnym uśmiechem, jakiego się po mnie spodziewano, burmistrz zaś się roześmiał i pogroził mi żartobliwie, czego ja z kolei po nim oczekiwałam. Sam wziął mnie za rękę i skierował do przedostatniego rzędu metalowych krzesel. Zajęłam miejsce i pomachałam babci. Zbliżała się właśnie pora rozpoczęcia spotkania. W pomieszczeniu przebywało ze czterdzieści osób; całkiem spore zgromadzenie jak na Bon Temps. Bill jednakże jeszcze się nie zjawił.

Na podium weszła prezeska Potomków - duża, tęga kobieta - Maxine Fortenberry.

- Dobry wieczór! Dobry wieczór! - huknęła. - Nasz gość honorowy dzwonił, że ma kłopoty z samochodem, więc się kilka minut spóźni. Zatem korzystając z okazji, omówmy teraz zaległe sprawy klubowe.

Zebrani usiedli na krzesłach. Spędziliśmy sporo czasu, wysłuchując nudnych dyskusji. Sam siedział obok mnie z rękoma skrzyżowanymi na piersi i wyciągniętymi nogami, prawą kostkę położył na lewej. Staralam się nad sobą panować, blokować napływ cudzych myśli i zachowywać na twarzy uśmiech. Chyba jednak wyglądałam na nieco przygnębioną, gdyż Sam pochylił się lekko ku mnie.

- Spokojnie, odpręż się - szepnął.

- Sądziłam, że jestem odprężona - odszepnęłam.

- Obawiam się, że nie potrafisz się relaksować.

Spojrzałam na niego, uniósłszy brwi. Zamierzałam powiedzieć panu Merlotte'owi po tym spotkaniu kilka rzeczy.

Właśnie wtedy wszedł Bill i nastąpiła chwila całkowitego milczenia, gdy osoby, które nie widziały go wcześniej, przyzwyczajały się do jego wyglądu. Jeśli nigdy przedtem nie byliście w towarzystwie wampira, naprawdę musicie się do niego przyzwyczaić. Zwłaszcza że w jarzeniowym świetle sali Bill prezentował się znacznie bardziej niehumanoidalnie niż w przyćmionych światłach „Merlotte'a” czy równie nikłym oświetleniu w jego domu. W żaden sposób nie mógł teraz uchodzić

za normalnego mężczyznę. Jego bladość była tu szczególnie widoczna, a głęboko osadzone oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze i zimniejsze. Wampir miał na sobie jasnoniebieski garnitur i mogłabym się założyć, że włożył go za radą mojej babci. Wyglądał wspaniale. Przystojny osobnik. Wyraziste, łukowate brwi, krzywizna wydatnego nosa, kształtne wargi, białe ręce o długich palcach i starannie utrzymane paznokcie... Zamienił kilka słów z prezeską, która wyglądała na nieprawdopodobnie urzeczoną jego subtelnym uśmiechem.

Nie wiedziałam, czy Bill „rzuca czar” na całą salę, czy też ci ludzie po prostu nastavili się odpowiednio na to spotkanie, niemniej jednak grupa milczała wyczekująco.

Wtedy mój wampir dostrzegł mnie. Przysięgam, że zmarszczył czoło. Ukłonił się lekko w moją stronę, a ja w odpowiedzi kiwnęłam mu głową, stwierdzając, że nie mam siły posłać mu uśmiechu.

W całym tłumie tylko jego myśli nie potrafiłam odgadnąć.

Pani Fortenberry przedstawiła Billa, choć nie pamiętam słów, które wypowiedziała, więc nie wiem, jak uniknęła nazwania go „stworzeniem innego rodzaju”.

W końcu zaczął przemawiać. Z niejakim zaskoczeniem zauważyłam, że miał notatki. Siedzący obok mnie Sam pochylił się do przodu i skupił wzrok na twarzy Billa.

- ...Mieliśmy bardzo niewiele jedzenia i żadnych pledów - mówił spokojnie wampir. - Wielu spośród nas dezerterowało.

Nie były to ulubione fakty Potomków, lecz kilkoro z nich skinęło głowami na potwierdzenie.

Relacja pasowała do informacji, które poznali podczas prowadzonych studiów.

Starzec w pierwszym rzędzie podniósł rękę.

- Proszę pana, znał pan może przypadkiem mojego pradziadka, Tollivera Humphriesa?

- Tak - przyznał Bill po chwili. Jego oblicze pozostało nieodgadnione. - Tolliver był moim przyjacielem.

W jego tonie usłyszałam tak tragiczną nutę, że aż musiałam zamknąć oczy.

- Jaki był? - spytał drżącym głosem stary człowiek.

- No cóż, był ryzykantem, za co zapłacił śmiercią - odparł wampir z gorzkim uśmiechem. - Był odważny. I nie zarobił w życiu nawet centa, którego by nie zmarnował.

- Jak umarł? Był pan świadkiem jego końca?

- Tak - odrzekł Bill ze znużeniem. - Na moich oczach Tolliver dostał kulkę od jankeskiego snajpera.

W lesie jakieś dwadzieścia mil stąd. Pański pradziadek poruszał się powoli, gdyż był zagłodzony.

Wszyscy głodowali. Był środek poranka, zimnego poranka. Tolliver zobaczył, że postrzelono młodego chłopaka z naszego oddziału. Dzieciak leżał pośrodku pola, nie był martwy, choć boleśnie ranny. Krzyczał do nas i krzyczał... przez cały ranek. Błagał o pomoc. Wiedział, że jeśli ktoś mu nie pomoże, umrze. - W sali zaległa tak kompletna cisza, że można by usłyszeć dźwięk spadającej szpilki. - Wrzeszczał i jęczał. O mało go sam nie zastrzeliłem, żeby się zamknął, wiedziałem

bowiem, iż wyprawa na ratunek oznacza samobójstwo. Nie mogłem jednak się zmusić do zabicia go. Czuję, że byłoby to morderstwo, nie zaś część działań wojennych. Później wszakże żałowałem, iż go nie zastrzeliłem, gdyż Tolliver okazał się mniej ode mnie odporny na błagania rannego chłopca. Po mniej więcej dwóch godzinach oświadczył, że podejmuje próbę uratowania nieszczęśnika. Nawet się o to posprzeczałyśmy. Tolliver uparcie twierdził, iż Bóg każe mu pójść po młokosa. Leżeliśmy w lesie, a pański przodek się modlił. Powtarzałem mu, że Bóg na pewno sobie nie życzy, by tak głupio poświęcił życie. Miał przecież żonę i dzieci, które zapewne właśnie w tej chwili błagały Boga o jego bezpieczny powrót do domu... Nic nie pomagało. Tolliver polecił mi odwrócić uwagę wroga, sam natomiast ruszył na ratunek dzieciakowi. Popędził na pole, jakby był dobrze wypoczęty i chciał pobiegać w piękny wiosenny dzień. Dotarł aż do rannego chłopca. Niestety wówczas padł strzał i Tolliver padł. A po jakimś czasie dzieciak znów zaczął krzyczeć o pomoc.

- Co się z nim stało? - spytała pani Fortenberry z wymuszonym spokojem. - Z tym młodym?

- Przeżył - odparł Bill tonem, od którego po kręgosłupie przebiegły mi dreszcze. - Wytrzymał do wieczora, kiedy pod osłoną nocy mogliśmy mu pomóc.

Podczas przemowy wampira ludzie wyraźnie się ożywili, a starzec z pierwszego rzędu miał teraz o czym myśleć - otrzymał historię, dzięki której poznał charakter swego pradziadka.

Sądzę, że osoby, które przybyły na to spotkanie, nie były tak naprawdę przygotowane na opowieści ocalałego z wojny secesyjnej osobnika. Po jakimś czasie wszyscy wyglądali na zafascynowanych, ale i zdruzgotanych.

Kiedy Bill odpowiedział na ostatnie pytanie, rozległ się grzmiący aplauz - a przynajmniej grzmiący jak na czterdzieści osób. Klaskał nawet Sam, który nie był wszak szczególnym miłośnikiem mojego wampira.

Po zebraniu każdy z jego uczestników - poza mną i Samem - chciał zamienić słówko z wampirem. Mówcę otoczyli więc Potomkowie Wybitnych Poległych, my dwoje zaś wymknęliśmy się z sali i wsiedliśmy do pikapa Sama. Pojechaliśmy do Crawdad Diner, prawdziwej spelunki, która przypadkiem serwuje bardzo dobre jedzenie. Nie czułam głodu, mój szef natomiast zamówił do kawy placek cytrynowy.

- To było interesujące - powiedział ostrożnie.

- Mowa Billa? Rzeczywiście - odparłam równie ostrożnym tonem.

- Żywisz do niego jakieś uczucia?

Po serii podchodów Sam postanowił przejść do frontalnego ataku.

- Tak - przyznałam.

- Ależ, Sookie - obruszył się. - Nie masz z nim żadnej przyszłości.

- Bill zostanie tu jakiś czas. Może nawet przez następne kilkaset lat.

- Nigdy nie wiadomo, co się przydarzy wampirowi.

Nie potrafiłam polemizować z takim stwierdzeniem. Wytknęłam jednak Samowi, że nie wiem również, co się przydarzy mnie samej, choć byłam istotą ludzką. Dobre kilka minut sprzeczałyśmy się na ten temat.

- Czemu to cię obchodzi, Sam? - rzuciłam w końcu, zirytowana.

Jego rumiana twarz jeszcze bardziej się zaczerwieniła, a niebieskie oczy utonęły w moich.

- Lubię cię, Sookie. Jako przyjaciółkę albo może kogoś więcej... - „Eee...?” - przemknęło mi przez głowę. - Tylko nie mogę patrzeć, jak dokonujesz niewłaściwych wyborów.

Przyjrzałam się mojemu szefowi. Czułam na własnej twarzy sceptyczną minę: ściągnęłam brwi, uniosłam kąciki ust.

- Jasne - odparłam głosem, który pasował do mojej miny.

- Zawsze cię lubiłem.

- Tak bardzo, że zanim o tym wspomniałeś, musiałeś poczekać, aż ktoś inny okaże mi zainteresowanie?

- Zasluguje na takie słowa - przytaknął. Odnosiłam wrażenie, że się nad czymś zastanawia. Chyba chciał coś powiedzieć, lecz nie potrafił się zdecydować.

Cokolwiek go dręczyło, widocznie nie potrafił wypowiedzieć tego wprost.

- Chodźmy stąd - zasugerowałam. Oceeniłam, że w chwili obecnej trudno byłoby skierować rozmowę na neutralne tory. Równie dobrze mogłam więc wrócić do domu.

Jazda powrotna była dziwna. Co jakiś czas wydawało mi się, że Sam coś powie, on jednak za każdym razem potrzasał głową i zachowywał milczenie. Byłam tak zdenerwowana, że miałam ochotę go za to uderzyć.

Dotarliśmy do domu później, niż sądziłam. W sypialni babci paliło się światło, pozostała część domu pozostawała jednakże ciemna. Nie widziałam auta, doszłam więc do wniosku, że babcia zaparkowała na tyłach, by rozładować resztki prosto do kuchni. Światło na ganku zostawiła dla mnie włączone.

Sam wysiadł, obszedł pikapa i otworzył mi drzwiczki. Wysiadłam, jednak z powodu mroku nie trafiłam w stopień i o mało nie wypadłam. Na szczęście mój towarzysz mnie złapał. Najpierw chwycił mnie za ramiona, gdy zaś odzyskałam równowagę, objął mnie. A następnie pocałował. Początkowo sądziłam, że cmoknie mnie na dobranoc, lecz jego wargi jakoś nie mogły się rozstać z moimi. Było mi nawet bardziej niż miło, ale nagle mój wewnętrzny cenzor powiedział:

„Dziewczyno, to przecież twój pracodawca”.

Delikatnie się uwolniłam. Sam od razu sobie uświadomił, że się wycofywałam i łagodnie przesunął rękoma po moich ramionach w dół aż do palców. Podeszliśmy bez słowa do drzwi.

- Dobrze się bawiłam - powiedziałam cicho. Nie chciałam obudzić babci ani wydawać się Samowi

zbyt ożywiona.

- Ja także. Powtórzmy to kiedyś?

- Zobaczymy - odparłam. Naprawdę nie wiedziałam, co myśleć o moim szefie.

Poczekalam na milknący odgłos odjeżdżającego pikapa, po czym wyłączyłam światło na ganku i weszłam do domu. Po drodze rozpiłam bluzkę. Byłam zmęczona i gotowa do łóżka.

Coś jednak wydawało mi się nie w porządku.

Zatrzymałam się w środku salonu i rozejrzałam. Wszystko wyglądało dobrze, prawda? Tak.

Wszystko było na swoim miejscu. Chodziło o zapach. O rodzaj zapachu. Miedziany, ostry i słony.

Zapach krwi!

Czułam go tu na dole, blisko mnie, a nie na schodach prowadzących do rzadko używanych sypialni dla gości.

- Babciu? - zawołałam. Nie podobało mi się drzenie we własnym głosie.

Zrobiłam krok. Ruszyłam do drzwi pokoju babci. W pustej sypialni panował idealny porządek.

Zaczęłam się kręcić po domu, włączając po drodze światła.

Mój pokój był w takim stanie, w jakim go zostawiłam.

Łazienka - pusta.

Toaleta - pusta.

Włączyłam ostatnie światło. Kuchnia...

Krzyczałam i krzyczałam. Machałam bez sensu rękoma, które drżały coraz mocniej wraz z każdym kolejnym wrzaskiem. Nagle usłyszałam za sobą jakiś łomot, ale nie potrafiłam go zidentyfikować.

Później czyjeś duże ręce chwyciły mnie i przeniosły, a ciało tej osoby przesłoniło mi widok ciała,

które dostrzegłam wcześniej na podłodze kuchni. Nie rozpoznałam Billa, choć to on podniósł mnie i zaniósł do salonu, gdzie nie widziałam już niczego przerażającego.

- Sookie - rzucił ostro. - Zamknij się! Krzyk nie pomoże!

Gdyby był dla mnie miły, pewnie darłabym się dalej.

- Przepraszam - bąknęłam, ciągle oszalała z rozpacz. - Zachowuję się jak tamten chłopiec. - Gapił się na mnie ponuro. - Tamten z twojej opowieści - dodałam drętwo.

- Musimy wezwać policję.

- Jasne.

- Musimy wybrać numer.

- Czekał. Jak się tu dostałeś?

- Twoja babcia podwiozła mnie do domu, nalegałem jednak, że wrócę wraz z nią i pomogę jej rozładować samochód.

- Dlaczego więc nadal tu jesteś?

- Czekałem na ciebie.

- Czyli że widziałeś, kto ją zabił?

- Nie. Poszedłem do domu... przez cmentarz. Musiałem się przebrać.

Miał na sobie dzinsy i podkoszulek z logo zespołu Grateful Dead. Nagle zaczęłam histerycznie chichotać.

- Po prostu świetnie - zawołałam, skręcając się ze śmiechu.

Po czym równie nagle znów się rozplakałam. W końcu jednak podniosłam słuchawkę i wystukałam 911.

Andy Bellefleur zjawił się po pięciu minutach.

* * *

Jason przyjechał natychmiast, gdy go namierzyłam i powiadomiłam. Szukałam go telefonicznie w czterech czy pięciu różnych miejscach i w końcu złapałam go w „Merlotcie”. Terry Bellefleur stał za barem, zastępując tej nocy Sama. Poszedł przekazać Jasonowi, że ma przyjechać do domu swojej babci, a kiedy wrócił do telefonu, poprosiłam go, by zadzwonił także do Sama i powiedział mu, że mam kłopoty i nie będę mogła pracować przez kilka dni.

Terry najwyraźniej zadzwonił do Sama bezzwłocznie, ponieważ mój szef zjawił się u mnie w domu trzydzieści minut później, nadal w ubraniu, które miał na sobie na zebraniu Potomków. Na jego widok spuściłam wzrok na własne piersi, przypomniałam sobie bowiem, że przechodząc przez salon do kuchni, rozpiłam bluzkę. Wcześniej zupełnie o tym zapomniałam. Wyglądałam jednak przyzwoicie. Zaświtało mi w głowie, że pewnie to Bill mnie pozapinał. Pomyślałam, że za parę godzin wspomnienie będzie krępujące, ale w chwili obecnej czułam za to do mojego wampira wyłącznie wdzięczność.

A więc wszedł mój brat. Powiedziałam mu, że babcia nie żyje i że została zamordowana, a on popatrzył na mnie bez słowa. Odniosłam wrażenie, że za jego oczyma kryje się pustka. Jakby ktoś odebrał mu zdolność do wchłaniania nowych faktów. Po pewnym czasie dotarły do niego moje informacje i Jason opadł na kolana w miejscu, w którym stał. Klęknęłam przed nim. Objął mnie i położył mi głowę na ramieniu. Przez moment tkwiliśmy w bezruchu. Mieliśmy już tylko siebie nawzajem.

Bill i Sam siedzieli na frontowym podwórku na leżakach, starając się nie wchodzić w drogę policji. Wkrótce funkcjonariusze poprosili mnie i Jasona o wyjście z domu, choćby na ganek, toteż także postanowiliśmy usiąść na dworze. Był przyjemny wieczór. Siedziałam milcząco, patrząc na dom rozświetlony jak tort urodzinowy i na wchodzących oraz wychodzących ludzi, którzy wyglądali jak zaproszone na przyjęcie mrówki. A powodem całego tego zamieszania była moja babcia.

- Co się właściwie stało? - spytał mnie w końcu brat.

- Wróciłam z zebrania - wyjaśniłam z pozornym spokojem. - Sam odwiózł mnie swoim pikapem. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. Sprawdziłam wszystkie pomieszczenia. - Była to historia pod tytułem: „Jak znalazłam babcię nieżywą”; wersja oficjalna. - No i gdy weszłam do kuchni, zobaczyłam ją.

Mój brat odwracał bardzo powoli głowę, aż jego oczy spotkały moje.

- Opowiedz mi.

Potrząsnęłam milcząco głową. Ale przecież miał prawo wiedzieć.

- Została pobita, chociaż wydaje mi się, że starała się walczyć. Napastnik poranił ją, a następnie udusił. Tak to w każdym razie wyglądało. - Nie mogłam nawet zerknąć na twarz Jasona. - To wszystko moja wina - dodałam głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Co masz na myśli? - spytał mój brat apatycznie i ospale.

- Obawiam się, że ten ktoś przyszedł zabić mnie, tak jak wcześniej zamordował Maudette i Dawn... Niestety, zamiast mnie była tu babcia. - Niemal widziałam, jak Jason zastanawia się nad tą kwestią. - Dziś wieczorem, gdy babcia szła na spotkanie klubu, miałam zostać w domu. Sam zaprosił mnie w ostatniej chwili. Ponieważ pojechaliśmy jego pikapem, mój samochód stał na swoim miejscu. Babcia natomiast po powrocie zaparkowała swoje auto przy tylnym wejściu dla łatwiejszego rozładunku, zatem można by mniemać, że w domu jestem ja, nie ona. Chciała podwieźć Billa do domu, lecz on wolał pomóc jej w rozładunku, a potem poszedł się przebrać. Kiedy zniknął, dopadł ją... zabójca...

- Skąd wiemy, że nie zrobił tego Bill? - spytał mój brat, chociaż wampir siedział obok niego.

- Skąd wiemy, że nie zrobił tego ktoś inny? - spytałam, wyprowadzona z równowagi powolnym kojarzeniem Jasona. - To mógł być każdy... każdy, kogo znamy. Osobiście uważam, że nie zrobił tego Bill. Moim zdaniem bowiem Bill nie zabił ani Maudette, ani Dawn. A sądząc, że tylko jeden morderca odpowiedzialny jest za wszystkie trzy zbrodnie.

- Wiedziałaś - wtrącił mój brat nieco zbyt głośno - że zostawiła ten dom tobie... i tylko tobie?

Poczułam się, jakby chlusnął mi w twarz zawartością wiadra z zimną wodą. Zauważyłam, że Sam również się skrzywił. Oczy Billa pociemniały i jeszcze bardziej zlodowaciały.

- Nie. Zawsze przypuszczałam, że odziedziczymy go po połowie, tak jak ten drugi. - Miałam oczywiście na myśli dom naszych rodziców, w którym obecnie mieszkał Jason.

- Zostawiła ci też całą ziemię.

- Dlaczego mi to mówisz? - Odniosłam wrażenie, że zaraz znów się rozplacę, choć jeszcze przed chwilą byłam pewna, że brak mi już łez.

- Postąpiła nie w porządku! - wrzasnął. - To nie było z jej strony w porządku, a teraz nie

może już naprawić swego błędu!

Zaczęłam się trząść. Bill pociągnął mnie za rękę, skłaniając do wstania, po czym zaczęliśmy spacerować w tę i z powrotem po podwórku. Sam usiadł przed Jasonem i zaczął mu coś tłumaczyć żarliwym, niskim i głębokim głosem.

Mój wampir otoczył mnie ramieniem, ja jednak nie mogłam się przestać trząść.

- Czy on mówił poważnie? - spytałam, nie oczekując, że Bill mi odpowie.

- Nie - odparł. Zaskoczona podniosłam na niego wzrok. - Jason zapewne sobie wyrzuca, że nie potrafił uchronić waszej babci, a w dodatku nie umie sobie wyobrazić, że ktoś czekał w domu na ciebie i babcię zabił przypadkiem, zamiast ciebie. Jest zły i musiał jakoś dać upust swemu gniewowi. Nie mógł ci przecież wypomnieć, że nie zginęłaś, toteż wścieka się na szczegóły. Nie przejmuj się, pamiętaj, że Jason nie jest w tej chwili w pełni sobą.

- Zadziwiająco, że ty to mówisz - oświadczyłam mu otwarcie.

- Och, uczęszczałam na wieczorowy kurs psychologii - odparł wampir.

Hmm... nie mogłam się powstrzymać przed mentalną uwagą, że myśliwi zawsze studiują swoje ofiary.

- Dlaczego babcia zostawiła wszystko mnie, a nie Jasonowi?

- Może dowiesz się tego później - odrzekł. Jego stwierdzenie wydało mi się logiczne.

Wtedy z domu wyszedł Andy Bellefleur. Detektyw stanął na schodach i zapatrzył się w niebo, jakby ktoś zostawił tam ważne ślady.

- Compton - zawołał ostro.

- Nie - wrzasnęłam. Mój głos zabrzmiał niemal jak warkot. Bill spojrzał na mnie lekko zaskoczony, co jak na niego było „poważną” reakcją. - Teraz to się stanie - dorzuciłam wściekle.

- Chroniłaś mnie! - zauważył. - Uznałaś, że policjanci będą mnie podejrzewać o zabicie tych dwóch kobiet i właśnie dlatego chciałaś mieć pewność, że dotrą do innych wampirów. Teraz uważasz, że ten Bellefleur spróbuje zrzucić na mnie winę za śmierć twojej babci.

- Właśnie tak.

Wziął głęboki wdech. Znajdowaliśmy się teraz w mroku, pod drzewami, które rosły na podwórku.

Andy ponownie wykrzyczał nazwisko Billa.

- Sookie - powiedział łagodnie wampir. - Tak ja i ty, jestem przekonany, że atak zabójcy był wymierzony przeciwko tobie. - Słyszac to stwierdzenie z ust kogoś innego, doświadczyłam swego rodzaju szoku. - I naprawdę nie zabiłem dziewczyn, skoro więc był jeden morderca, detektyw zrozumie, że to nie ja. Nawet jeśli ten detektyw jest Bellefleurem.

Ruszyliśmy z powrotem ku oświetlonemu gankowi. Nie chciałam w tym wszystkim uczestniczyć. Pragnęłam, by światła i ludzie zniknęli, wszyscy ludzie, łącznie z Billem. Miałam ochotę być znowu sama w domu z babcią, która wyglądałaby znów na szczęśliwą, tak jak wtedy,

gdy widziałam ją po raz ostatni.

Pragnienie było daremne i dziecinne, niemniej jednak nie potrafiłam się z niego otrząsnąć. Zatraciłam się w tym marzeniu i nie umiałam z niego wyzwolić. Zamyśliłam się tak całkowicie, że w ogóle nie przewidziałam, co może się zdarzyć.

A mój brat, Jason, stanął nagle przede mną i mnie spoliczkował.

Uderzenie było tak niespodziewane i bolesne, że aż straciłam równowagę. Zatoczyłam się na bok i wylądowałam twardo na jednym kolanie.

Jason chyba znów nacierał, na szczęście Bill znalazł się natychmiast między nami. Kucnął przede mną, a z wysuniętymi kłami wyglądał cholernie groźnie. Sam stawił czoło mojemu bratu, powalił go i chyba zadał mu jeden, ostrzegawczy cios w twarz.

Andy'ego Bellefleur wyrażnie oszołomił ten niespodziewany pokaz przemocy. Po sekundzie jednakże wpadł na trawnik między naszą czwórkę. Popatrzył na Billa i przełknął ślinę.

- Compton, cofnij się - powiedział ostro. - On jej więcej nie uderzy.

Wampir szybko łapał oddech, usiłując zapanować nad własną żądzą krwi i chęcią wywarcia zemsty na Jasonie. Nie mogłam wprawdzie odczytać jego myśli, lecz umiałam zinterpretować język jego ciała.

Nie potrafiłam również dokładnie odczytać myśli Sama, widziałam jednak, że się strasznie gniewa. Jason szlochał. Jego myśli skłębiły się w poplątany, rozpaczliwy mętlik.

Wysłuchując się natomiast w umysł Andy'ego Bellefleur, odkryłam, że detektyw nie lubi nikogo z nas i żałuje, że nie może nas wszystkich pozamykać w areszcie pod pierwszym lepszym pretekstem. Zmęczona wstałam. Dotknęłam bolesnego miejsca na policzku, starając się w ten sposób zapomnieć o bólu w moim sercu i wypełniającym mnie straszliwym smutku.

Bałam się, że ta noc nigdy się nie skończy.

* * *

Odbył się najokazalszy pogrzeb, jaki kiedykolwiek widziała gmina Renard. Tak przynajmniej powiedział pastor. Pod pięknym wczesnoletnim niebem starsza pani spoczęła obok mojej matki i ojca w naszej rodzinnej kwaterze na starym cmentarzu położonym między domem babci a domem Comptonów.

Jason miał rację. Jej dom był teraz mój. Budynek oraz dwadzieścia otaczających go akrów należały do mnie, wraz z prawami wydobywczymi. Swoje oszczędności babcia podzieliła natomiast między nas sprawiedliwie, ustaliła też, że muszę oddać Jasonowi swoją połowę domu odziedziczonego po rodzicach, jeśli chcę zachować pełne prawa do jej domu. Przyszło mi to bez trudu. Nie chciałam od Jasona pieniędzy za tę połowę domu, chociaż mój prawnik popatrzył na mnie z powątpiewaniem,

kiedy informowałam go o swoim postanowieniu. Czułam jednak, że mój brat dostałby szału, gdybym mu kazała zapłacić za swoją połowę. Fakt, że byłam współwłaścicielką, zawsze wydawał mu się bezsensowny. Decyzja babci straszliwie go zaszokowała. Najwyraźniej rozumiała go lepiej niż ja.

„Jakie to szczęście, że mam dochody poza pensją z baru” - pomyślałam, próbując skoncentrować umysł na czymś innym niż utrata babci. Jako kelnerka nie mogłabym zapłacić podatku od ziemi i domu ani ich utrzymać. Wcześniej te opłaty ponosiła w sporej części babcia.

- Domyślam się, że będziesz się chciała przeprowadzić - oznajmiła Maxine Fortenberry jeszcze przed pogrzebem, podczas sprzątanía kuchni. Przyniosła jajka na ostro i sałatę z szynką. Próbowwała być dodatkowo pomocna przy czyszczeniu domu.

- Nie - odparłam zdumiona.

- Ależ, kochanie, po tym, co się tutaj rozegrało... - Nalana twarz Maxine zmarszczyła się od troski.

- Z tą kuchnią wiąże się znacznie więcej dobrych wspomnień niż złych - wyjaśniłam.

- Och, masz dobre podejście do tej sprawy - zauważyła ze zdziwieniem. - Widzę, Sookie, że jesteś o wiele inteligentniejsza, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

- Ojej, dzięki, pani Fortenberry - odparowałam. Jeśli usłyszała cierpką nutę w moim głosie, nie zareagowała. Pewnie tak było najmądrzej.

- Czy twój przyjaciel przyjdzie na pogrzeb? - W kuchni panował upał, toteż tęga, krępa Marine stale osuszała twarz ręczniczkami do naczyń. Miejsce, w którym leżało ciało babci, wcześniej wyszorowali jej przyjaciele, niech ich Bóg za to pobłogosławi.

- Mój przyjaciel? To znaczy Bill? Nie, nie może. - Przypatrzyła mi się ponuro. - Pogrzeb odbędzie się przecież za dnia. Rozumie pani! - Nadal jednak nie pojmowała. - Bill nie może wychodzić w dzień.

- Ach, ma się rozumieć! - Klepnęła się lekko w skroń, sugerując, że wbija sobie rozum do głowy. - Ależ ze mnie idiotka. Naprawdę by się usmażył?

- Cóż, tak twierdzi.

- Wiesz, cieszę się, że wygłosił tę mowę w klubie. Dzięki niej stał się prawdziwym członkiem naszej społeczności. - Nieuważnie skinęłam głową. Myślałam o czymś innym. - Wiele różnych rzeczy mówi się na temat ostatnich morderstw i wampirów, Sookie. Naprawdę sporo osób obarcza te stworzenia odpowiedzialnością za wszystkie trzy zabójstwa. - Przyjrzałam jej się przez zmrużone oczy. - Nie wściekaj się na mnie, Sookie Stackhouse! - zawołała. - Ponieważ twój Bill tak słodko opowiadał fascynujące historie na zebraniu Potomków, większość ludzi twierdzi, że nie mógłby zrobić strasznych rzeczy, które przytrafiły się zamordowanym kobietom. - Zastanowiłam się, jakie historie krążą wśród mieszkańców Bon Temps i na samą myśl o tym zadrżałam. - Jednak Bill miewa gości, którzy nie bardzo nam się podobają.

Zadałam sobie pytanie, czy ma na myśli Malcolma, Liama i Diane. Mnie ta trójka też niezbyt się spodobała, oparłam się więc automatycznemu impulsowi i nie stanęłam w ich obronie,
- Wampiry dokładnie tak samo różnią się między sobą jak ludzie - oświadczyłam krótko.
- Właśnie to powiedziałam Andy'emu Bellefleurowi - odparła, gwałtownie kiwając głową. -
Mówiłam mu też, że zamiast Comptona powinien raczej ścigać te zbuntowane wampiry, które nie chcą nauczyć się żyć wśród ludzi. Twój Bill naprawdę się stara przystosować. Powiedział mi wieczorem w domu pogrzebowym, że w końcu udało mu się zakończyć remont kuchni.
Gapiłam się na nią bez słowa. Usiłowałam wymyślić, co Bill mógłby robić w swojej kuchni. Do czego jej potrzebował?

Niezależnie od poruszanych kwestii, nie mogłam zapomnieć o niedawnej tragedii. Zrozumiałam, że za chwilę się rozplaczę. I... rozplakałam się.

Na pogrzebie Jason stał obok mnie. Z pozoru już się na mnie nie gniewał i wyglądał na spokojniejszego. Tyle że... Nie uderzył mnie wprawdzie, ale też nie przytrzymał za ramię ani się do mnie nie odezwał. Czułam się bardzo samotna. Później jednak zerknęłam za pagórek i uprzytomniłam sobie, że całe miasto smuci się wraz ze mną. Na wąskich cmentarnych alejkach stało mnóstwo samochodów, a wokół domu pogrzebowego tkwiły setki ubranych na ciemno ludzi. Wśród nich znajdował się Sam Merlotte w garniturze (wyglądał całkiem inaczej niż zwykle) i Arlene (w towarzystwie Rene) w kwiecistej, niedzielnej sukience. Na samym końcu tłumu stał Lafayette wraz z Terryem Bellefleurem i Charlsie Tooten. Bar chyba z tej okazji zamknięto. Przyszli też wszyscy przyjaciele babci, to znaczy wszyscy, którzy nadal mogli się poruszać. Pan Norris płakał otwarcie, trzymając przy oczach śnieżnobiałą chusteczkę. Nalaną twarz Maxine żłobiły ze zmartwienia głębokie zmarszczki. Kiedy pastor wygłosił standardową mowę, a Jason i ja usiedliśmy na składanych krzesłach w części dla rodziny, poczułam, że coś we mnie odrywa się i odlatuje... w górę, w niebieską świetlistość. Byłam pewna, że dusza mojej babci jest nadal z nami, w domu.

Resztę dnia, dzięki Bogu, wyrzuciłam z pamięci. Nie chciałam tego wszystkiego pamiętać, nie chciałam nawet wiedzieć, co się wokół dzieje.

W całym dniu wyróżniła się jedna tylko chwila.

Jason i ja staliśmy przy stole w jadalni domu babci. Wyraźnie zawarliśmy tymczasowy rozejm. Powitaliśmy żałobników. Większość przybyłych bardzo się starała nie gapić na szpecący mój policzek siniak.

Jakoś wytrzymywaliśmy. Mój brat myślał o tym, że pójdzie potem do domu, wypije drinka i nie będzie musiał mnie widzieć przez jakiś czas, a później sytuacja sama wróci do normy. Ja myślałam niemal dokładnie to samo, może z wyjątkiem drinka.

Podeszła do nas pełna dobrych intencji kobieta, z tych, które znają wszystkie możliwe

konsekwencje danej sytuacji; szczególnie świetnie wymądrzają się na temat kwestii, w które nie powinny się wtrącać.

- Bardzo się o was martwię, dzieci - oświadczyła kobieta. Popatrzyłam na nią. Niestety, za diabła nie mogłam sobie przypomnieć jej nazwiska. Pamiętałam jedynie, że jest metodystką i ma troje dorosłych dzieci, jej nazwisko wszakże po prostu wyleciało mi z głowy. - Wiecie, tak mi smutno, gdy widzę was dzisiaj samych, że aż przypominałam sobie waszą matkę i ojca - ciągnęła ze sztuczną miną, która miała sugerować współczucie. Zerknęłam na Jasona, później znów na kobietę, po czym skinęłam jej głową.

- Tak - powiedziałam. Jej kolejną myśl usłyszałam, zanim ją wypowiedziała i zaczęłam blednąć.

- A gdzie brat Adele, wasz wuj? Chyba wciąż żyje?

- Nie utrzymujemy kontaktów - odparowałam tonem, który onieśmieliłby każdą osobę wrażliwszą od tej pani.

- Ale to jej jedyny brat! Pewnie wy... - Zamilkła, gdy wreszcie dotarła do niej wymowa naszych spojrzeń.

Kilka innych osób krótko skomentowało nieobecność wujka Bartletta, lecz odpowiadaliśmy im formułką „sprawa rodzinna”, która uciniała dalsze pytania. Tylko ta jedna straszna baba... jakżeż się nazywała? ...nie potrafiła wystarczająco szybko odczytać wysyłanych przez nas sygnałów.

Przyniosła na stypę misę sałatki, którą miałam zamiar wyrzucić prosto do śmieci, natychmiast po wyjściu natrętej kobiety.

- Musimy go powiadomić - oświadczył cicho Jason, gdy odeszła. Zablockowałam swój umysł. Nie chciałam wiedzieć, co mój brat myśli u wuju.

- Zadzwoń do niego - odparłam.

- W porządku.

Nic więcej nie powiedzieliśmy do siebie przez resztę dnia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trzy dni po pogrzebie spędziłam w domu. Czwartego dnia uznałam, że zbyt długo tu tkwię. Trzeba było wracać do pracy. Ciągle jednak myślałam o rzeczach, które po prostu musiałam zrobić; tak w każdym razie sobie powtarzałam. Wysprzątałam pokój babci, korzystając ze zbliżającej się wizyty Arlene. Poprosiłam przyjaciółkę o pomoc, ponieważ po prostu nie mogłam przebywać sama z należącymi do mojej babci przedmiotami, tak znajomymi i przepojonymi jej osobistym zapachem pudru dla niemowląt marki Johnson oraz antyseptycznymi produktami Campho-Phenique.

Zatem Arlene pomogła mi spakować wszystkie rzeczy, które postanowiłam oddać fundacji pomocy ofiarom klęsk żywiołowych. W ostatnich kilku dniach północne Arkansas nawiedziły tornada i na pewno osoby, które straciły cały dobytek, mogły wykorzystać ubrania po babci. Babcia był niższa ode mnie i szczuplejsza, a poza tym jej gust bardzo się różnił od mojego z jej rzeczy interesowały mnie więc jedynie kosztowności. Nigdy nie nosiła dużo biżuterii, ale wszystko, co pozostawiła, było prawdziwe, a dla mnie bardzo cenne.

Zdumiewające, ile przedmiotów znajdowało się w tej sypialni. Nawet nie chciałam myśleć o tym, co babcia zgromadziła na strychu; postanowiłam, że wysprzątam go później, jesienią, kiedy będzie tam znośnie chłodno, a ja będę miała czas o tym pomyśleć.

Prawdopodobnie wyrzuciłam więcej przedmiotów, niż powinnam, dzięki temu drastycznemu działaniu poczułam się wszakże skuteczna i silna. Moja przyjaciółka składała i pakowała, odkładając na bok jedynie papiery, fotografie, listy, rachunki i anulowane czeki. Babcia nigdy w życiu nie używała karty kredytowej i nigdy niczego nie kupiła na raty. Niech ją Bóg błogosławi, gdyż w ten sposób znacznie nam te porządki ułatwiła.

Arlene spytała o babciny samochód. Auto miało pięć lat i bardzo mały przebieg.

- Sprzedasz swój i zatrzymasz jej? - zainteresowała się. - Twój jest nowszy, lecz mniejszy.
- Nie zastanawiałam się nad tym - odrzekłam i natychmiast odkryłam, że nie potrafię skupić się na tej kwestii. Sprzątnięcie sypialni całkowicie mnie wyczerpało.

U progu wieczoru w sypialni nie pozostały żadne rzeczy babci. Arlene i ja odwróciłyśmy materac, a ja z przyzwyczajenia posłałam łóżko. Łóżko było stare, z baldachimem w ryżowy wzorek. Zawsze uważałam ten sypialniany komplet za piękny i przemknęło mi przez głowę, że teraz należy do mnie. Mogłam przenieść się do większej sypialni, w dodatku miałabym do własnej dyspozycji prywatną łazienkę, zamiast używać tej w korytarzu.

Nagle uświadomiłam sobie, że pragnę się tu przeprowadzić. Stojące w mojej sypialni meble trafiły tam przed laty, przeniesione z domu moich rodziców po ich śmierci. Były to meble dziecięce,

nadmiernie dziewczynskie, przypominające domek lalki Barbie i przyjęcia z noclegiem.

Co nie znaczy, że jako nastolatka często na takie chodziłam.

Nie, nie, nie zamierzam wpadać w ten stary kanał! Jestem, jaka jestem, lecz mam przed sobą całe życie i mogę się cieszyć różnymi drobnostkami: małymi przyjemnościami.

- Mogłabym się tu wprowadzić - oświadczyłam Arlene, która zaklejała kolejne pudło.

- Nie za szybko? - spytała i zaczerwieniła się ze wstydu na swój krytyczny ton.

- Łatwiej będzie mi tutaj niż po drugiej stronie korytarza, gdzie stale myślałabym o tym pustym pokoju - wyjaśniłam.

Przyjaciółka przemyślała moją odpowiedź, kucając obok kartonu, z taśmą klejącą w rękę.

- Rozumiem - przyznała wreszcie, pokiwawszy rudą głową.

Załadowałyśmy kartony do jej samochodu. Arlene uprzejmie zaproponowała, że po drodze do domu podrzuci je do punktu odbiorczego, a ja z wdzięcznością przyjąłem jej ofertę. Nie miałam ochoty znosić znaczących i litościwych spojrzeń osób przyglądających się, jak oddaję ubrania mojej babci, jej buty i koszule nocne.

Na pożegnanie uściskałam Arlene i pocałowałam ją w policzek. Zagapiła się na mnie bez słowa.

Nasza przyjaźń wkroczyła w nowy wymiar. Arlene niespodziewanie pochyliła głowę ku mojej i przypadkiem lekko stuknęłyśmy się czołami.

- Ty zwariowana dziewczyno - powiedziała z sympatią w głosie. - Przyjedź do nas jak najszybciej.

Lisa chce, żebyś jej popilnowała któregoś wieczoru.

- Przekaż jej, że ciocia Sookie ją pozdrawia. Coby'emu także.

- Przekażę. - Moja przyjaciółka ruszyła do samochodu. Jej ogniste włosy podskakiwały niczym płomienie, pełne ciało w kelnerskim stroju wyglądało jak uosobienie kobiecości.

Gdy auto Arlene zaczęło znikać na drodze dojazdowej wśród drzew, opuściła mnie cała energia.

Miałam wrażenie, że żyję już milion lat, czułam się stara i okropnie samotna. Pewnie teraz już zawsze tak będzie.

Nie byłam głodna, ale spojrzawszy na zegar, uznałam, że pora coś zjeść. Weszłam do kuchni i wyjęłam z lodówki jeden z licznych pojemników marki Tupperware. Znalazłam w nim indyka z sałatką winogronową. Lubiłam tę potrawę, a jednak siedziałam nad nią przy stole i bezmyślnie dłubałam widelcem. W końcu się poddałam, odniosłam pojemnik do lodówki i poszłam do łazienki wziąć prysznic. Ubrudziłam się podczas sprzątania szaf. Nawet tak dobra gospodyni jak moja babcia przegrywała walkę z kurzem.

Prysznic sprawił mi wielką przyjemność. Gorąca woda wyraźnie zmyła przynajmniej część mojej niedoli. Umyłam szamponem włosy, wyszorowałam całą skórę, ogoliłam nogi i pachy. Później peseta wyrównałam kształt brwi, wtarłam w ciało balsam, spryskałam się dezodorantem, a włosy skropiłam odżywką w sprayu, by się łatwiej rozczesaly. Użyłam niemal wszystkich kosmetyków,

które wpadły mi w rękę. Z rozpuszczonymi mokrymi lokami wróciłam do sypialni, założyłam koszulę nocną, białą z ptakiem Tweety na przedzie i wzięłam grzebień. Usiadłam przed telewizorem, by podczas długiego, nużącego czesania obejrzeć jakiś program.

Nagle odechciało mi się wszystkiego. Poczułam się prawie odrętwiała.

Powlokłam się do salonu z grzebieniem w jednej ręce i ręcznikiem w drugiej. Nagle zabrzączał dzwonek do drzwi.

Zajrzałam w wizjer. Bill czekał cierpliwie na ganku.

Otworzyłam mu, ani się na jego widok nie ciesząc, ani się nim nie przejmując.

Kompletnie mnie zaskoczył. Miałam mokre włosy i nagie stopy, byłam w nocnej koszuli. No i bez makijażu.

- Wejdz - mruknęłam.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Wszedł zatem, jak zawsze rozglądając się wokół.

- Co robisz? - spytał, patrząc na stos rzeczy, które odłożyłam z myślą, że może zechcą je wziąć przyjaciele babci. Na przykład pan Norris mógłby być zainteresowany oprawionym w ramy obrazem, który przedstawiał jego matkę i babcię.

- Posprzątałam dzisiaj sypialnię - wyjaśniłam. - Chyba się do niej wprowadzę. - Nie znalazłam więcej słów. Bill odwrócił się i uważnie mi się przypatrywał.

- Pozwól mi uczesać twoje włosy - poprosił.

Obojętnie kiwnęłam głową. Wampir usadowił się na kwiecistej kanapie i wskazał mi miejsce na starej otomanie przed sobą. Usiadłam posłusznie, a on pochylił się nieco do przodu i otoczył udami moje pośladki. Począwszy od ciemienia, zaczął rozczesywać moje splątane włosy. Ponownie odkryłam rozkosz ciszy. Nie docierały do mnie żadne myśli Billa. Za każdym razem czułam się przy nim jak ktoś, kto po raz pierwszy wkłada stopę do chłodnej sadzawki po bardzo długiej, męczącej wędrówce w gorący dzień.

W dodatku długie palce wampira biegle sobie poczynają z moją gęstą grzywą. Siedziałam z zamkniętymi oczyma i stopniowo się uspokajałam. Czułam lekkie ruchy ciała siedzącego za mną i operującego grzebieniem Billa. Przemknęło mi przez głowę, że niemal słyszę bicie jego serca, po czym uświadomiłam sobie, jaka ta myśl jest głupia. Przecież jego serce nie biło.

- Cesałem kiedyś moją siostrę, Sarah - mruknął cicho, jakby czuł, że się uspokoiłam i nie chciał burzyć mojego nastroju. - Miała włosy ciemniejsze niż ty i jeszcze dłuższe. Nigdy ich nie obcinała.

W dzieciństwie nasza mama kazała mi czesać włosy Sarah, ilekroć sama była zajęta.

- Siostra była młodsza od ciebie czy starsza? - spytałam powoli, nieco oszołomiona.

- Młodsza. Trzy lata młodsza.

- Miałeś innych braci lub siostry?

- Moja matka urodziła dwoje martwych dzieci - odparł w zadumie, jak gdyby z trudem sobie przypominał. - Kiedy miałem jedenaście lat, straciłem o rok starszego brata, Roberta. Złapał gorączkę, która go zabiła. Teraz wstrzyknęliby mu kilka ampulek penicyliny i od razu by wyzdrowiał. Wtedy wszakże nie było antybiotyków. Sarah przeżyła wojnę, ona i moja matka, ojciec natomiast zmarł podczas mojej służby w wojsku. Miał coś, co teraz nazywa się wylewem. Moja żona mieszkała wtedy z moją rodziną, a moje dzieci...

- Och, Bill - jęknęłam ze smutkiem, prawie szeptem. Stracił tak wiele...

- Nie, Sookie - odparł i jego głos odzyskał swoją zwyczajną zimną klarowność.

Przez chwilę wampir kontynuował pracę w milczeniu, aż w końcu grzebień przesunął się swobodnie przez moje włosy. Wtedy Bill podniósł biały ręcznik, który rzuciłam na poręcz kanapy i zaczął mi nim oklepywać włosy, a gdy wyschły, zburzył je palcami, dodając im puszystości.

- Hmm... - mruknęłam. Dźwięk nie był dłuższy niż spokojne westchnienie.

Czułam, jak jego chłodne palce podnoszą włosy z mojego karku, później musnęły szyję. Nie mogłam mówić ani się ruszać. Wypuściłam powoli powietrze, usiłując nie wydawać żadnych innych odgłosów. Wargi wampira dotknęły mojego ucha, zęby złapały płatek. Potem Bill wsunął mi język w ucho, otoczył mnie ramionami, krzyżując je na mojej piersi i pociągnął ku sobie.

W jeden cudowny moment zrozumiałam, czego pragnie jego ciało - na szczęście nie dotarły do mnie jego myśli, co tylko zepsułoby tak intymną sytuację. Jego ciało wyrażało zaś coś niezwykle prostego.

Bill podniósł mnie z łatwością, z jaką ja podniosłabym niemowlę. Obrócił mnie, tak że usiadłam na jego udach okrakiem, przodem do niego. Otoczyłam go ramionami i pochyliłam się trochę, by go pocałować. Całowaliśmy się, a wampir wprawił swój język w ruch, który potrafiła zrozumieć osoba nawet tak niedoświadczona jak ja. Nocna koszula uniosła mi się aż do pośladków. Rękoma bezradnie zaczęłam pocierać jego ramiona. Co dziwnie, pomyślałam o miseczce z karmelkami, którą moja babcia stawiała na piecu, gdy robiła cukierki. Myślałam o ich ciepłej, słodkiej, stopionej złocistości.

Bill wstał, ja zaś nadal tkwiłam niemal przyklejona do niego.

- Gdzie? - spytał.

Wskazałam na dawny pokój mojej babci. Wampir wniósł mnie tam - moje nogi ciągle otaczały jego ciało, moja głowa spoczywała na jego ramieniu - i położył mnie na świeżo poślanym łóżku. Stanął przy nim, w świetle księżyca wpadającego przez nie zasłonięte okna widziałam, jak się rozbiera, szybko i starannie. Chociaż wielką przyjemność sprawiała mi obserwacja Billa, wiedziałam, że również muszę zrzucić odzienie. Wciąż nieco zakłopotana, jednym ruchem ściągnęłam nocną koszulę i upuściłam ją na podłogę.

Gapiałam się na mojego wampira. W całym moim życiu nie widziałam niczego równie pięknego... ani równie przerażającego.

- Och, Billu - szepnęłam z niepokojem, gdy położył się obok mnie na łóżku. - Nie chcę cię rozczarować.

- Nie ma takiej możliwości - odparł szeptem. Jego oczy wpatrywały się w moje eiało niczym w butelkę z wodą na pustynnej wydmie.

- Nie wiem zbyt wiele - wyznałam ledwie słyszalnym głosem.

- Nie martw się. Ja wiem sporo. - Jego ręce przesunęły się po moim ciele, muskając je w miejscach, w których nikt nigdy jeszcze mnie nie dotykał. Zaskoczona wykonałam nagły ruch, potem odprężyłam się, pozwalając mu na wszystko.

- Będzie inaczej niż z normalnym mężczyzną? - spytałam.

- O tak! - Popatrzyłam na niego pytająco. - Będzie lepiej - odrzekł mi prosto w ucho. Poczułam, że ogarnia mnie czyste podniecenie.

Trochę nieśmiało sięgnęłam na dół i dotknęłam Billa, a on wydał bardzo ludzki dźwięk, który po chwili się pogłębił.

- Teraz? - spytałam nieco chrypliwym i roztrzęsionym głosem.

- Och, tak - powiedział i położył się na mnie. Sekundę później odkrył prawdziwy rozmiar mojego niedoświadczenia. - Powinnaś była mi powiedzieć - oświadczył bardzo łagodnie. Znieruchomiał z niemal namacalnym wysiłkiem.

- Och, proszę, nie przerywaj! - błagałam w lęku, że jeśli mój wampir nie dokończy tego, co zaczął, zwariuję albo zrobię coś strasznego...

- Nie mam zamiaru przerywać - obiecał mi trochę złowieszczo. - Ale... Sookie... to zaboli. - W odpowiedzi podniosłam się, on zaś sapnął dziwacznie i wszedł we mnie głębiej. Wstrzymałam oddech. Zagryzłam wargę. Czekałam na ból. - Najukochańsza - szepnął. Dotąd nikt mnie tak nie nazywał. - Jak się czujesz? - Wampir czy nie, drżał od wysiłku. Zbyt długo się już chyba powstrzymywał.

- Dobrze - odparłam. Nie była to do końca prawda. Pragnęłam Billa i równocześnie bałam się go. - Teraz - powiedziałam i ugryzłam go mocno w ramię. Sapnął, później wykonał nagły ruch i wreszcie zaczął się rytmicznie poruszać. Najpierw byłam oszołomiona, potem zaczęło mi się to podobać. Usiłowałam dotrzymać kroku wampirowi, a moja reakcja go podnieciła. Odkryłam, że zbliżamy się... tak to ujmę... do czegoś ważnego i miłego. - Och, proszę, Bill, proszę! - jęknęłam i wbiłam paznokcie w jego biodra. Dochodziliśmy oboje. Wampir lekko się przesunął i wszedł we mnie jeszcze głębiej. Zanim zdążyłam się skoncentrować, poczułam, że spadam. Leciałam i leciałam, a przed oczyma miałam biel poprzecinaną złotymi smugami. Bill dotknął zębami mojej szyi, a wtedy krzyknęłam: - Tak!

Wbił kły w moją szyję. Poczułam niewielki, choć ogromnie ekscytujący ból, nie tylko zresztą na szyi, lecz także znacznie niżej, gdyż właśnie całkowicie się otworzyłam dla mojego kochanka. Leżeliśmy nieruchomo przez długi czas, od czasu do czasu drżąc na myśl o niedawnych rozkoszach. Nigdy nie zapomnę smaku Billa i jego zapachu... do końca życia nie zapomnę emocji, których doświadczyłam podczas tego pierwszego razu... mojego najpierwszego stosunku... nigdy nie zapomnę tej przyjemności.

W końcu wampir zsunął się ze mnie i położył obok, po czym podparł się na łokciu i położył mi rękę na brzuchu.

- Jestem twoim pierwszym kochankiem.

- Tak.

- Och, Sookie. - Pochylił się i pocałował mnie głęboko i czule.

- Na pewno zauważyłeś, że nie wiem zbyt dużo... - szepnęłam nieśmiało - ...ale czy było ci dobrze? To znaczy... w porównaniu z innymi kobietami przynajmniej? Poprawię się.

- Nauczysz się techniki, Sookie, lecz tu nie chodzi o technikę. Wierz mi, było cudownie. -

Pocałował mnie w policzek. - Ty jesteś cudowna.

- Będzie mnie bolało?

- Hmm... Pomyślisz, że to dziwne, ale nie pamiętam. Kochałem się tylko z jedną dziewczyną, moją żoną, a było to półtora wieku temu... Cóż, chyba sobie przypominam, że bardzo ją bolało. A więc pewnie nie będziemy się mogli kochać... przez dzień czy dwa.

- Twoja krew uzdrawia - spostrzegłam po krótkiej przerwie. Na policzki natychmiast zaczął mi wypływać rumieniec.

W świetle księżyca mogłam zauważyć, że Bill przysunął się i przygląda mi się uważnie.

- Rzeczywiście - przyznał. - Podoba ci się to?

- Pewnie. Tobie nie?

- Tak - wydyszał i ugryzł się w ramię.

Zrobił to tak nagle, że aż krzyknęłam. Przesunął palcem po ranie i zanim zdążyłam napiąć mięśnie, wsunął mi go do pochwy. Zaczął nim poruszać bardzo delikatnie i po chwili ból rzeczywiście zniknął.

- Dziękuję - powiedziałam. - Teraz lepiej. - Bill wszakże nie wyjął palca. - Och - jęknęłam. - Znow chcesz to robić? Tak szybko? Możesz tak szybko? - Im dłużej jego palec poruszał się we mnie, tym większą miałam nadzieję, że tak.

- Sama zobacz - zaproponował z nutą rozbawienia w słodkim, mrocznym głosie.

Odszepnęłam, ledwie rozpoznając własne słowa:

- Powiedz mi, co mam dla ciebie zrobić.

I powiedział.

* * *

Nazajutrz wróciłam do pracy. Niezależnie od mocy uzdrawiającej krwi Billa doświadczałam pewnego nieprzyjemnego wrażenia, ale... rany!... czułam się świetnie. Doznanie okazało się dla mnie całkowicie nowe. Nawet jeśli nie wzrosła moja pewność siebie, przynajmniej byłam niewiarygodnie z siebie zadowolona.

Moje problemy oczywiście nie zniknęły. W barze nadal towarzyszyła mi kakofonia głosów, setki cudzych myśli usiłowały sforsować moje zabezpieczenia i wepchnąć się do mojej głowy. Jednak dziwnym trafem lepiej znosiłam ten szum, natłok cudzych myśli wydawał mi się łagodniejszy, chyba umiałam jakoś je spychać. Mniej trudu kosztowało mnie również podtrzymywanie mentalnej blokady, wskutek czego byłam bardziej odprężona. A może łatwiej mi było się strzec, ponieważ byłam bardziej zrelaksowana (oj, tak, na pewno byłam)? Nie wiem. Tak czy owak czułam się lepiej i potrafiłam przyjmować kondolencje gości ze spokojem i bez łez.

Jason przyszedł na lunch. Do hamburgera, którego zwykle nie jadał, wypił kilka piw, choć zazwyczaj nie pił alkoholu podczas dnia roboczego. Wiedziałam, że jeśli wprost zwrócę mu uwagę, mój brat się wścieknie, więc tylko spytałam, czy wszystko w porządku.

- Szef znów mnie dziś wezwał - odparł półgłosem. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt inny nie słucha, ale tego dnia w barze było pustawo z powodu zebrania Klubu Rotarian w Budynku Społeczności.

- O co on cię pyta? - spytałam równie cicho.

- Jak często widywałam Maudette, czy zawsze brałam benzynę w miejscu, w którym pracowała... W kółko te same pytania... jakbym nie odpowiedział na nie już siedemdziesiąt pięć razy. Mój szef się niecierpliwi, Sookie, i nie mogę go za to winić. Praktycznie od dwóch, może trzech dni nie pracuję, bo stale mnie ciągną na posterunek.

- Może lepiej załatw sobie prawnika - stwierdziłam zaniepokojona. _

- To samo powiedział mi Rene.

Rene Lenier i ja zerknęliśmy po sobie.

- Może Sida Matta Lancastera?

Sidney Matthew Lancaster, człowiek tutejszy, choć lubił whisky, miał reputację najbardziej agresywnego sądowego obrońcy w gminie. Lubiałam go, gdyż ilekroć go obsługiwałam, zawsze traktował mnie z szacunkiem.

- Tak, to chyba najlepszy facet do tej roboty. - Jason patrzył z nadąsaną, ponurą miną, zupełnie nietypową dla takiego przystojniaka. Wymieniliśmy spojrzenia. Oboje wiedzieliśmy, że prawnik babci jest zbyt stary, by wybronić Jasona, gdyby został kiedykolwiek, Boże broń, aresztowany.

Mój brat tak całkowicie skupiał się na swoich kłopotach, że nie zauważył we mnie żadnej zmiany. A miałam dziś na sobie białą koszulkę polo z kołnierzykiem (zamiast zwykłej podkoszulki z dekoltem), aby ukryć ślady po ugryzieniach.

Arlene jednakże nie była tak roztargniona jak mój brat. Przyglądała mi się przez cały rano, a około piętnastej, gdy było najspokojniej, uznała chyba, że mnie rozgryzła.

- Dobrze się bawiłaś, mała? - spytała. Zrobiłam się czerwona jak burak. Określenie „bawić się” dodało mojemu spotkaniu z Billem lekkości, a poza tym było cholernie adekwatne. Nie wiedziałam, czy się obruszyć i oświadczyć, że „uprawialiśmy miłość”, trzymać głowę na kłódkę, odburknąć Arlene, że to nie jest jej sprawa, czy też może po prostu krzyknąć: „Tak!”. - Powiedz, Sookie, kim jest ten facet?

„No, no, no!”.

- Hmm, no cóż, on nie jest...

- Nie jest stąd? Spotykasz się z jakimś żołnierzem z Bossier City?

- Nie - odparłam z wahaniem.

- Może chodzi o Sama? Widziałam, jak na ciebie patrzy.

- Nie.

- Więc któż to taki?

Dlaczego tak się zachowywałam? Czyżbym się wstydzila?

„Wyprostuj się, Sookie Stackhouse” - powiedziałam sobie surowo w myślach. „Trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów”.

- Bill - odparłam, mając nadzieję, że Arlene po prostu powie: „Ach tak”.

- Bill - powtórzyła moja przyjaciółka w zadumie. Zauważyłam, że Sam zbliżył się i przysłuchiwał naszej rozmowie. Podobnie Charlsie Tooten. Nawet Lafayette wsunął głowę w okienko do wydawania posiłków.

- Bill - potwierdziłam, starając się, by brzmiało to stanowczo. - No wiesz... Bill.

- Bill Auberjunois?

- Nie.

- Który więc Bill?

- Bill Compton - odrzekł bez wahania mój szef. Akurat otwierałam usta, by powiedzieć to samo. - Wampir Bill.

Arlene osłupiała, Charlsie Tooten bezwiednie wydała krótki krzyk, Lafayette zaś tylko rozdziawił głowę.

- Kochanie, nie mogłaś się po prostu umówić z normalnym mężczyzną? - jęknęła Arlene, kiedy odzyskała głos.

- Żaden normalny mężczyzna mnie nie zaprosił. Wiedziałam, że odcień szkarłatu na moich

policzkach jeszcze się pogłębia. Stałam nieruchomo, z wyprostowanymi plecami. Czułam w sobie bunt i zapewne patrzyłam na nich wyzywająco.

- Ależ, mała... - Charlsie Tooten zaszcebiotała dziecinnym głosikiem. - ...Kochanie, przecież... Bill, ach, ma tego wirusa.

- Wiem, że go ma - odparowałam ostro.

- Sądziłem, że spotkałaś się z jakimś Murzynem, ale znalazłaś sobie lepszego, co, dziewczyno? - mruknął Lafayette, zdrapując lakier z paznokcia.

Sam nie skomentował. Stał oparty o bar, ze skrzywioną miną, jakby przygryzał policzek od wewnątrz.

Przypatrzyłam się im wszystkim po kolei, zmuszając ich do reakcji - pozytywnej bądź negatywnej.

Pierwsza otrząsnęła się Arlene.

- W porządku. Byle cię dobrze traktował, w przeciwnym razie zaczniemy ostrzyć kołki!

Cała grupka roześmiała się, chociaż słabo.

- I oszczędzicie sporo na produktach spożywczych! - zauważył Lafayette.

Później jednak Sam jednym ruchem zrujnował całą tę wstępną akceptację, gdyż nagle podszedł do mnie i odsunął kołnierzyk mojej koszulki.

Moi przyjaciele zamilkli jak nożem uciał.

- O cholera - mruknął bardzo cicho Lafayette.

Spojrzałam mojemu szefowi prosto w oczy. Pomyślałam, że nigdy mu nie wybaczę tego gestu.

- Nie dotykaj mojego ubrania - warknęłam, odsuwając się od niego i podnosząc ponownie kołnierzyk. - Nie wtrącaj się w moje życie osobiste.

- Boję się o ciebie. I martwię - wyjaśnił. Arlene i Charlsie szybko znalazły sobie coś do roboty.

- Nie, wcale nie... nie do końca. Jesteś cholernie wściekły. No to posłuchaj, przyjacielu. Nigdy nie dałam ci do tego prawa.

Po tych słowach oddaliłam się dumnie. Poszłam do jednego ze stolików i zaczęłam wycierać jego blat. Potem zebrałam wszystkie solniczki i uzupełniłam w każdej zapas soli. Następnie sprawdziłam pieprzniczki i buteleczki z papryką na wszystkich stolikach i ławach, a także pojemniczki z sosem tabasco. Pracowałam nieprzerwanie; patrząc przed siebie, aż stopniowo atmosfera się uspokoiła.

Sam wrócił do swojego biura, by przejrzeć papiery czy coś innego - nie obchodziły mnie jego zajęcia, o ile zachował dla siebie swoje opinie. Nadal czułam się, jakby oddarł zasłonę, skrywającą prywatny obszar mojego życia. Oglądając moją szyję, wtargnął w moje życie osobiste i ciągle nie potrafiłam mu tego wybaczyć. Arlene i Charlsie równie intensywnie jak ja udawały bardzo zajęte, a gdy do baru zaczął napływać tłumek ludzi, którzy skończyli pracę, znowu całkiem dobrze nam się współdziałało. Arlene weszła wraz ze mną do damskiej toalety.

- Słuchaj, Sookie, muszę cię o coś spytać. Czy wampiry w sprawach miłości są takie, jak się mówi?

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęłam.

Bill przyszedł do baru tego wieczoru, zaraz po zmroku. Pracowałam do późna, ponieważ jedna z wieczornych kelnerek miała kłopot z samochodem. Mój wampir zjawił się niespodziewanie, w jednej chwili. Stał na progu, po czym ruszył do mnie powoli, abym go dostrzegła. Jeśli zastanawiał się wcześniej, czy upublicznić nasz związek, nie okazał mi swych wątpliwości. Podniósł moją dłoń i pocałował w geście, który wykonany przez kogoś innego wydałby mi się cholernie sztuczny. Pod wpływem dotyku jego warg poczułam dreszcz przebiegający od grzbietu dłoni przez całe ciało aż do palców u nóg. Wiedziałam, że Bill zdaje sobie sprawę z mojej reakcji.

- Jak się czujesz dziś wieczorem? - szepnął, a ja zadygotałam.

- Trochę... - Stwierdziłam, że nie potrafię wydobyć z gardła odpowiednich słów.

- Możesz mi powiedzieć później - zasugerował. - Kiedy kończysz?

- Jak tylko dotrze Susie.

- Przyjedź do mojego domu.

- W porządku. - Uśmiechnęłam się do niego. Byłam rozpromieniona i nieco roztargniona.

Wampir odpowiedział uśmiechem. Bliskość mojego ciała działała na niego wyraźnie, toteż jego kły były widoczne w całej okazałości. Być może kogoś innego... poza mną... efekt ten trochę zaniepokoiłby.

Bill pochylił się i lekko musnął ustami mój policzek, po czym odwrócił się do wyjścia. Niestety, w tym samym momencie ktoś zrujnował nam tę piękną chwilę.

Do baru nieoczekiwanie wtargnęli Malcolm i Diane. Otworzyli drzwi gwałtownym szarpnięciem i bezczelnie rozejrzeli się w progu. Zastanowiłam się, gdzie jest Liam. Prawdopodobnie parkował samochód. Nie sądzę, by zostawili go w domu.

Mieszkańcy Bon Temps przyzwyczaili się wprawdzie do Billa, lecz ekstrawagancki Malcolm i krzykliwa Diane wywołali wśród gości prawdziwe poruszenie. Natychmiast pomyślałam, że tych dwoje na pewno nie pomoże ludziom zaakceptować mnie i Billa jako pary. Malcolm nosił skórzane spodnie i koszulę przypominającą kolczugę. Wyglądał jak muzyk z okładki albumu rockowego. Dianę założyła obcisły, jednoczęściowy, limonkowy kostium z lycry lub innego bardzo cienkiego, rozciągliwego materiału. Byłam przekonana, że gdybym się dobrze przypatrzyła, mogłabym policzyć jej włosy łonowe. Murzyni nie przychodzili do „Merlotte’a” zbyt często, lecz z pewnością żaden czarny nie byłby tu bardziej bezpieczny niż Diane. W okienku do wydawania posiłków dostrzegłam twarz Lafayette’a. Wytrzeszczał oczy w jawnym podziwieniu zabarwionym dużą dozą strachu.

Oba wampiry na widok Billa wrzasnęły, udając zaskoczenie, jakby po pijaku zobaczyły zwidy. Sądząc po minie Billa, ich obecność go nie uszczęśliwiła, mój wampir jednak najwyraźniej podchodził do ich wtargnięcia spokojnie - tak jak reagował niemal na wszystko.

Malcolm pocałował Billa w usta, podobnie Diane. Trudno powiedzieć, które powitanie wydało się klientom „Merlotte’a” wstrętniejsze. Bill odwzajemnił się z wyraźną niechęcią, a ja uznałam, że okazuje ją przesadnie, na użytek ludzkich mieszkańców Bon Temps, z którymi pragnie pozostać w jak najlepszych stosunkach.

Bill nie był głupcem. Zrobił krok w tył i otoczył mnie ramieniem, odcinając się od wampirów i wybierając towarzystwo ludzi.

- A więc twoja mała kelnerka nadal żyje - zauważyła Diane. Jej przenikliwy głos rozbrzmiał w całym barze. - Czyż to nie zadziwiające?

- Jej babcię zamordowano w ubiegłym tygodniu - odparował Bill cicho, starając się odwieść wampirzycę od chętki urządzenia sceny.

Piękne szalone oczy Diane skupiły się na mnie. Poczułam zimno.

- Czy to dobrze? - spytała i roześmiała się. Ta kropla przepełniła czarę. Tego wampirzycy nikt by nie wybaczył! Gdybym pragnęła pokazać jej negatywny charakter, nie wymyśliłabym lepszego scenariusza. Z drugiej strony, oburzenie ludzi w barze mogło objąć nie tylko oba nowo przybyłe wampiry, ale także mojego Billa. Z kolei dla Diane i jej przyjaciół Bill był zdrajcą. - Kiedy ktoś ciebie zabije, dziecko? - Przesunęła paznokciem pod moim podbródkiem, lecz odepchnęłam jej dłoń.

Rzuciłaby się na mnie, gdyby Malcolm nie chwycił jej ręki. Zrobił to leniwie, prawie bez wysiłku, dostrzegłam wszakże w jego ruchach napięcie.

- Billu - zagaił towarzysko, jakby nie starał się powstrzymać swej towarzyszki - słyszałem, że miasto w strasznym tempie traci swój niewykwalifikowany personel usługowy. A jeden mały ptaszek ze Shreveport doniósł mi, że ty i twoja przyjaciółka wypytywaliście w „Fangtasii”, z którymi wampirami prowadziły się zamordowane miłośniczki kłów. Wiesz, że nie dzielimy się takimi informacjami z ludźmi - rzucił i nagle jego twarz zrobiła się tak poważna, że aż naprawdę przerażająca. - Niektórzy z nas nie chcą chodzić na... mecze... bejsbolowe... ani na... - W tym momencie najprawdopodobniej zaczął szukać w pamięci jakiegoś „obrzydliwie” ludzkiego słowa - ...na grilla! Jesteśmy wampirami! - Do tego określenia dodał chyba sporo czaru i wydało mi się, że wielu klientów baru pozostaje pod jego urokiem. Malcolm był znacznie inteligentniejszy od Diane i wyraźnie usiłował teraz zatrzeć złe wrażenie, które (co i on zauważył) zrobiła jego towarzyszka. A równocześnie traktował rodzaj ludzki z pogardą.

Nadepnęłam mu z całych sił na stopę, on w odpowiedzi pokazał mi kły. Zauroczeni klienci baru zamrugali i otrząsnęli się z jego uroku.

- Może wyjdzie pan stąd, panie - odezwał się Rene. Siedział zgarbiony nad piwem, z łokciami na kontuarze.

Przez moment obawiałam się, że w „Merlotcie” zacznie się rzeź. Nikt z ludzi w barze najwidoczniej

nie rozumiał w pełni, jak silne i bezwzględne są wampiry. Bill stanął przede mną i zasłonił mnie. Fakt ten zarejestrowali chyba wszyscy przebywający tu obywatele Bon Temps.

- Hmm, skoro nie jesteśmy tu mile widziani... - zaczął Malcolm. Do jego muskularnej, męskiej postaci nie bardzo pasował śpiewny głos, którym wypowiedział te słowa. - Ci dobrzy ludzie chcieliby zjeść posiłek, Diane. Będą też robić różne ludzkie rzeczy. Sami. Albo z naszym eksprzyjacielem Billem.

- Myślę, że ta mała kelnereczka pragnie robić bardzo ludzkie rzeczy z Billem... - zaczęła Diane, Malcolm jednak złapał ją za rękę i wyciągnął z lokalu, zanim wampirzyca zdąży wyrządzić więcej szkód.

Po wyjściu wampirów odniosłam wrażenie, że wszyscy w barze zadrżeli, pomyślałam więc, że lepiej również zniknę, choć Susie jeszcze się nie zjawiała. Bill czekał na mnie na zewnątrz. Spytałam go, dlaczego czeka, a on odparł, że chciał mieć pewność, iż paskudna parka naprawdę odeszła. Pojechałam za Billem do jego domu. Uważałam, że stosunkowo łatwo przetrwaliśmy wizytę dwojga wampirów.

Zastanowiłam się, po co Diane i Malcolm przyszli do baru. Wydało mi się dziwne, że wyjechali z domu i ni z tego, ni z owego postanowili wpaść do „Merlotte’a”. Hmm... Skoro sami nie starali się zasymilować, może zamierzali zdusić w zarodku plany Billa.

Dom Comptonów wyglądał zupełnie inaczej niż podczas moich ostatnich odwiedzin, czyli tamtego wieczoru, kiedy poznałam tę okropną trójkę wampirów.

Fachowcy rzeczywiście nieźle się sprawili. Nie wiem, czy Bill ich przeraził, czy też po prostu dobrze opłacił. Może z obu powodów tak doskonale wypełnili jego polecenia. Sufit w salonie został świeżo odnowiony, ściany ozdobiła nowa tapeta - biała z wzorkiem delikatnych kwiatów. Drewniane podłogi poddano cyklinowaniu, toteż lśniły jak nowe. Bill zaprowadził mnie do kuchni. Była, co naturalne, skąpo umeblowana, ale jasna i wesoła. Stała w niej nowiutka lodówka pełna butelkowanej, syntetycznej krwi (oczywiście!).

Łazienka na parterze była spora.

O ile wiedziałam, Bill nigdy nie używał łazienki. Przynajmniej nie dla najważniejszej ludzkiej czynności. Rozejrzałam się zdumiona po pomieszczeniu.

Przestrzeń wielkiej łazienki uzyskano poprzez adaptację dawnej spiżarni i mniej więcej połowy starej kuchni.

- Lubię czasem wziąć prysznic - wyjaśnił, wskazując na przezroczystą kabinę prysznicową w rogu. Była wystarczająco duża dla dwóch dorosłych osób i może jeszcze jednego czy dwóch karłów. - Lubię też poleżeć w ciepłej wodzie. - Wskazał na środek łazienki, który zajmowała ogromna wanna otoczona ułatwiającymi wejście, cedrowymi schodkami. Wszędzie wokół wanny stały rośliny w doniczkach. W całej północnej Luizjanie nie było chyba pomieszczenia bliższego luksusowej

dżungli.

- Co to takiego? - spytałam z respektem w głosie.

- Małe, przenośne uzdrowisko - odparł z dumą Bill. - Dzięki odpowiednim dyszom każdy może sobie indywidualnie dostosować siłę wody. Na gorącą kąpiel - uprościł.

- Są tu siedzenia - zauważyłam, zaglądając do środka. Górne obrzeże wyłożono zielonymi i niebieskimi kafelkami. Nad wanną znajdowała się fantazyjna bateria.

Bill odkręcił kurki. Popłynęła woda.

- Może wykapiemy się razem? - zaproponował. Czułam, że policzki mi płoną, a serce zaczyna bić nieco szybciej. - Może teraz? - Wampir chwycił palcami moją koszulkę i wyciągnął ją z czarnych szortów.

- Och, no cóż... może. - Nie potrafiłam spojrzeć mu prosto w oczy, chociaż pomyślałam: „Hmm, w porządku, rany... przecież widział mnie naga... i to dokładniej niż ktokolwiek, łącznie z moim lekarzem”.

- Tęskniłaś za mną? - spytał, rozpinając moje szorty i zsuwając je.

- Tak - odrzekłam bez wahania. I była to najszczerza prawda.

Roześmiał się. Klęknął, by rozwiązać moje najki.

- Za czym tęskniłaś najbardziej, Sookie?

- Za twoim milczeniem - odparłam zupełnie bezwiednie.

Popatrzył na mnie uważnie. Jego palce zatrzymały się w połowie rozluźniania sznurowadeł.

- Moim milczeniem - powtórzył.

- Fakt, że nie słyszę twoich myśli. Nie możesz sobie wyobrazić, Bill, jakie to dla mnie cudowne.

- Sądziłem, że wymienisz coś innego.

- No cóż, za tym również tęskniłam.

- Opowiedz - poprosił, zsuwając mi skarpetki. Później przesunął palcami w górę, po moich udach, ściągając szorty i majtki.

- Bill! Jestem strasznie zakłopotana - zaprotestowałam.

- Sookie, nie krępuj się. Przy mnie naprawdę nie musisz. - Wstał, zdjął moją koszulkę, objął mnie, rozpiął mi biustonosz, przesunął palcami po śladach ramiączek na skórze i przyjrzał się moim piersiom. W pewnym momencie zrzucił sandały.

- Spróbuję - odparłam, gapiąc się na własne palce u nóg.

- Rozbierz mnie.

Zdołałam to zrobić. Rozpięłam szybko jego koszulę, wyszarpnęłam ją ze spodni i ściągnęłam z ramion. Rozpięłam mu pasek i skoncentrowałam się na guziku przy talii. Spodnie były sztywne, więc okropnie się męczyłam.

Przemknęło mi przez głowę, że jeśli guzik zaraz nie puści, rozplącę się. Czułam się niezdarna i głupia.

Bill wziął moje dłonie i podniósł je do swojej piersi.

- Powoli, Sookie, powoli - powiedział cichym i drżącym głosem.

Odprężyłam się dosłownie krok po kroku, aż zaczęłam gładzić jego piersi, tak jak on gładził moje; brałam w palce porastające jego klatkę włosy i szczypałam płaski sutek. Bill położył mi dłonie na karku i lekko przycisnął moją głowę do swojej piersi. Nie wiedziałam, czy mężczyźni lubią pieszczoty, lecz mój wampir na pewno je lubił, więc całowałam i ssałam jego sutki. W pewnej chwili podjęłam kolejną próbę odpięcia przeklętego guzika i tym razem puścił z łatwością.

Zaczęłam ściągać spodnie Billa, wsuwając palce w jego bokserki.

Wampir pomógł mi wejść do wanny. Woda pieniała się wokół naszych nóg.

- Mogę cię umyć pierwszy? - spytał.

- Nie - odparłam bez tchu. - Daj mi mydło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnej nocy Bill i ja odbyliśmy niepokojącą rozmowę. Leżeliśmy w jego łóżku: ogromnym łożu z rzeźbionym wezgłowiem i nowiutkim materacem marki Restonic. Pościel, tak jak tapeta, miała kwiatowy wzorek i pamiętam, że się zastanawiałam, czy mój wampir lubi narysowane kwiaty, gdyż nie może oglądać naturalnych, przynajmniej w świetle dziennym.

Bill leżał na boku i przyglądał mi się. Wcześniej byliśmy w kinie. Mój wampir miał fioła na punkcie filmów fantastycznych opowiadających o obcych; może uważał te osobliwe stworzenia za pokrewne dusze. Film okazał się nudną strzelaniną, a prawie wszyscy obcy byli brzydki, wstrętni, morderczy. Bill wściekał się na treść, gdy zabrał mnie na kolację i potem, podczas jazdy powrotnej do jego domu. Ucieszyłam się, kiedy zaproponował przetestowanie nowego łóżka.

Chętnie się z nim położyłam.

Patrzył na mnie, tak jak - co powoli odkrywałam - lubił. Może słuchał bicia mojego serca, ponieważ mógł usłyszeć u mnie odgłos, którego ja nie mogłam usłyszeć u niego. A może obserwował pulsowanie mojego tętna, bo ja jego tętna dostrzec nie mogłam. Nasza rozmowa szybko odbiegła od tematu obejrzanego filmu do zbliżających się wyborów gminnych (Bill chciał się zarejestrować, by móc głosować, oczywiście korespondencyjnie), a później do dzieciństwa każdego z nas.

Uprzytomniłam sobie, że Bill próbuje desperacko przypomnieć sobie wydarzenia z tego etapu jego życia, gdy był zwykłym człowiekiem.

- Bawiłaś się kiedyś ze swoim bratem w „pokaż mi swoje”? - spytał. - Teraz uważa się te gry za normalny objaw dorastania, nigdy jednak nie zapomnę, jak moja matka stłukła mojego brata Roberta, gdy znalazła go w krzakach z Sarah.

- Nie - odparłam, starając się brzmieć swobodnie, choć na tę myśl moje szczęki stężały, a żołądek zabolął ze strachu.

- Nie mówisz prawdy.

- Ależ mówię. - Skupiłam wzrok na podbródku wampira, szukając rozpaczliwie innego tematu do rozmowy. Bill jednak był bardzo uparty.

- Czyli że nie robiłaś tego z bratem. Z kim więc?

- Nie chcę o tym mówić. - Zacisnęłam dłoń w pięści. Czułam, że napinam wszystkie mięśnie.

Niestety Billa nie sposób było zbyć. Przyzwyczyił się do tego, że ludzie odpowiadają szczerze na jego pytania; w najgorszym razie używał swego czaru.

- Powiedz mi, Sookie - mówił przymilnym tonem, a ciemne oczy zaokrągliły mu się z ciekawości. Przesunął kciuk w dół po moim brzuchu. Zadrzałam.

- Miałam... czulego wujka - wyjaśniłam. Znajomy, sztuczny uśmiech rozsunął mi wargi. Uniósł ciemne łukowate brwi. Nie znał tej frazy. Wytłumaczyłam mu to określenie jak najogólniej.

- Tak się nazywa dorosłych krewnych płci męskiej, którzy molestują... dzieci w rodzinie.

Oczy zapłonęły mu z gniewu. Przełknął ślinę. Widziałam, jak porusza się jego grdyka.

Uśmiechnęłam się nieśmiało. Przez długą chwilę odgarniałam sobie rękoma włosy z twarzy. Nie mogłam przestać.

- I ten ktoś ci to zrobił? Ile miałaś lat?

- Och, wszystko się rozpoczęło, kiedy byłam naprawdę mała. - Mój oddech przyspieszał, serce łomotało coraz szybciej. Były to objawy paniki, które powracały, ilekroć przypominałam sobie wujka Bartletta. Złączyłam kolana i zacisnęłam. - Miałam chyba pięć lat - paplałam coraz szybciej. - Wiem, powiesz, że nigdy właściwie... ach... nie pieprzył mnie, ale robił coś innego. - Ręce trzęsły mi się przed oczyma, gdzie trzymałam je, by zasłonić twarz przed spojrzeniem wampira. - I najgorsze, Billu, absolutnie najgorsze, jest to - ciągnęłam, po prostu niezdolna przestać - że ilekroć przyjeżdżał z wizytą, za każdym razem wiedziałam, co zrobi, bo potrafiłam czytać w jego myślach! I w żaden sposób nie mogłam go zmusić, by przestał! - Przyłożyłam dłonie do ust. Pragnęłam przerwać swoją opowieść. Nie powinnam była w ogóle jej zaczynać! Nie powinnam była nic mówić! Przewróciłam się na brzuch i tak ukryta, napięłam całe ciało.

Po długiej chwili poczułam na ramieniu chłodną rękę Billa. Leżała tam, kojąc mnie.

- To się działo przed śmiercią twoich rodziców? - spytał typowym dla siebie, spokojnym głosem.

Nadal nie umiałam na niego spojrzeć.

- Tak.

- Opowiedziałaś swojej mamie? I nie zareagowała?

- Opowiedziałam jej, lecz odparła, że mam sprośne myśli albo znalazłam w bibliotece jakąś książkę, z której dowiedziałam się rzeczy, na które jestem zbyt młoda. - Pamiętam jej twarz, okoloną włosami nieco ciemniejszymi niż mój średni blond... twarz skrzywioną z odrazy. Mama pochodziła z bardzo konserwatywnej rodziny i nie tolerowała publicznego okazywania miłości czy poruszania tematów, które uważała za nieprzyzwoite. - Dziwne, że rodzice wyglądali na szczęśliwych - dodałam w zadumie. - Tak bardzo się od siebie różnili. - Potem uświadomiłam sobie, jak śmieszne jest moje stwierdzenie. Przekręciłam się na bok. - Tak jak my się różnimy - stwierdziłam i usiłowałam się uśmiechnąć. Na obliczu Billa nie było żadnych emocji, choć widziałam drżenie mięśni jego szyi.

- A ojcu powiedziałaś?

- Tak, tuż przed ich wypadłem. Zbyt się czułam zakłopotana, żeby porozmawiać z nim wcześniej, kiedy byłam młodsza. Szczególnie że matka mi nie uwierzyła... W pewnym momencie odkryłam, że nie mogę dłużej znieść tej sytuacji, a wiedziałam, że muszę widywać wujka Bartletta

co najmniej w dwa weekendy każdego miesiąca, tak często bowiem nas odwiedzał.

- Nadał żyje?

- Wujek Bartlett? O tak, na pewno! To brat mojej zamordowanej babci, czyli matki mojego ojca. Bartlett mieszka w Shreveport. Wiesz, gdy po śmierci moich rodziców wraz z Jasonem przenieśliśmy się do domu babci, podczas pierwszej wizyty wuja ukryłam się. Babcia mnie znalazła i spytała, dlaczego się chowam, toteż zwierzyłam jej się ze wszystkiego. Uwierzyła mi.

Przypomniała mi się ulga, której doświadczyłam tamtego dnia, cudny dźwięk głosu mojej babci obiecującej, że nigdy więcej nie będę musiała się spotkać z jej bratem, że ten człowiek już nigdy nie wejdzie do jej domu.

I nie wszedł. By mnie chronić, babcia odcięła się od własnego brata. Wcześniej wuj próbował zresztą molestować także jej córkę, Lindę, kiedy ta była małą dziewczynką, wtedy jednak babcia wyparła to wspomnienie, uznając, że pewnie coś źle zinterpretowała. A jednak, mimo iż nie całkiem uwierzyła w seksualne zamiary brata wobec Lindy - jak mnie zapewniła - później ani razu nie zostawiła go sam na sam z nią i prawie przestała go zapraszać do swojego domu...

- Czyli że on również nazywa się Stackhouse?

- Och, nie, nie. Babcia nazywała się Stackhouse po mężu, jej panieńskie nazwisko brzmi Hale. - Zastanowiłam się, czy że muszę przeliterować to słowo Billowi. Od tak dawna był przecież Południowcem, że (choć był wampirem) powinien znać także tę rodzinę. Bill zapatrzył się w dal. Rozproszyłam go tą swoją ponurą i paskudną historyjką. Nie miałam po niej ochoty na seks, na pewno nie. - Idę - oświadczyłam. Wysunęłam się z łóżka i schyliłam po ubranie. Szybciej, niż potrafiłam dostrzec, wampir wyskoczył z łóżka i odebrał mi moje rzeczy.

- Nie zostawiaj mnie teraz - poprosił. - Zostań.

- Wprowadziłam się w płaczliwy nastrój - wyjaśniłam mu. Na dowód prawdziwości moich słów po policzkach spłynęły mi dwie łzy. Uśmiechnęłam się ze smutkiem.

Bill stał palcami łzy z mojej twarzy i przesunął językiem po mokrych śladach.

- Zostań ze mną do świtu - powiedział.

- Ale przed świtem musisz się schować do swojej kryjówki.

- Do czego?

- No w miejsce, w którym spędzasz dzień. Nie chcę wiedzieć, gdzie ono jest! - Dla podkreślenia swoich intencji podniosłam rękę. - Czy nie musisz schować się przed pierwszym światłem świtu?

- Och - odparł. - Będę wiedział kiedy. Czuję, gdy nadchodzi świt.

- Na pewno nie zaśpisz?

- Na pewno.

- W porządku zatem. A mnie pozwolisz się trochę przespać?

- Jasne że tak - odparł z dżentelmeńskim ukłonem, trochę zabawnym z powodu nagości. - Za chwilę. - Kiedy położyłam się na łóżku i wyciągnęłam ręce do niego, dorzucił: - W końcu.

* * *

Rano oczywiście obudziłam się sama. Leżałam przez chwilę w łóżku i rozmyślałam. Wcześniej od czasu do czasu napadały mnie przykre myśli, dopiero teraz jednak w całej okazałości dostrzegłam wszystkie problemy, z którymi łączył się mój związek z wampirem.

Nigdy nie zobaczę Billa w świetle słonecznym! Nigdy nie przygotuję mu śniadania, nigdy nie spotkam się z nim na lunchu. (Znosił mój widok, gdy jadłam, chociaż nie był zachwycony, a zawsze po posiłku musiałam bardzo starannie szczotkować zęby, co zresztą bynajmniej mi nie szkodziło). Nigdy nie będę mogła mieć z Billem dziecka. Z jednej strony nie musiałam się martwić o antykoncepcję, co było miłe, z drugiej wszakże...

Nigdy nie zadzwonię do Billa do biura i nie poproszę go, by po drodze do domu na przykład kupił mleko. Mój wampir nigdy nie wstąpi do Klubu Rotariańskiego, nie opowie w szkole średniej o swoim zawodzie, nie będzie trenował bejsbolistów z Małej Ligi.

Nigdy nie pójdzie ze mną do kościoła.

Wiedziałam też, że teraz, podczas gdy ja leżałam w wygodnym łóżku, przebudzona - słuchając ptaków ćwierkających porannie i odgłosów ciężarówek pędzących odległą drogą, teraz, kiedy wszyscy mieszkańcy Bon Temps wstawali, parzyli kawę, przynosili z ganku gazety i planowali swój dzień - istota, którą ukochałam, leżała w jakiejś dziurze pod ziemią, praktycznie rzecz biorąc, martwa aż do zmroku.

Otrząsnęłam się z tych przykrych myśli, wstałam, posprzątałam trochę w łazience i ubrałam się. Postanowiłam policzyć zalety swego związku.

Bill naprawdę się o mnie troszczył. Było to cudowne, choć też nieco niepokojące, ponieważ nie wiedziałam, jak bardzo mnie kocha.

Seks z nim był absolutnie wspaniały. Nigdy nie śniłam, że będzie mi tak świetnie.

Jako dziewczyny wampira na pewno nikt nie będzie mnie zaczepiał. Wszystkie męskie dłonie, które poklepywały mnie czasem w niechcianych pieszczotach, teraz pozostaną na kolanach właścicieli. Jeśli morderca mojej babci czekał wtedy na mnie, zapewne nie zaryzykuje drugiej próby, wiedząc, że chroni mnie wampir.

Poza tym przy Billu mogłam się całkowicie odprężyć. Wysoce sobie ceniłam ten luksus relaksu. Nie musiałam się przejmować stawianiem mentalnych blokad. I nie dowiem się niczego, czego Bill sam mi nie powie.

Bezcenny spokój.

W tym kontemplacyjnym nastroju zesłam po schodach i ruszyłam do mojego samochodu. Zdumiał mnie widok pikapa Jasona.

W tej chwili nie miałam ochoty na rozmowę z bratem. Niechętnie powlokłam się do okna kierowcy.

- Widzę, że to prawda - powiedział Jason. Wręczył mi pełen kawy styropianowy kubek z Grabbit Kwik. - Wsiądź ze mną do auta. - Wsiadłam, zadowolona z kawy, lecz ostrożna. Natychmiast postawiłam mentalną blokadę, na którą zupełnie nie miałam ochoty. Spokój prysł. - Nie mogę ci robić wymówek - oznajmił w zadumie - skoro w ostatnich latach żyję w taki sposób... Z tego, co wiem, wampir to twój pierwszy facet. Zgadza się? - Kiwnęłam głową. - Dobrze cię traktuje? - Znów kiwnęłam głową. - Muszę ci coś powiedzieć.

- W porządku.

- Ubiegłej nocy zabito wujka Bartletta.

Gapiałam się na brata nad parą wydobywającą się spod częściowo podniesionej przykrywki kubka z kawą.

- Nie żyje - zastanowiłam się głośno, równocześnie usiłując zrozumieć. Od dawna nie myślałam o nim tak dużo jak wczoraj, a dziś słyszę, że został zamordowany.

- Tak.

- Och. - Wyjrzałam przez okno na różowy horyzont i odkryłam, że ogarnia mnie... nadpływające powoli... poczucie wolności. Człowiek, którego się bałam i nienawidziłam, człowiek, który znajdował przyjemność w tym, co mnie odrzucało i co uważałam za chore... nie żył! Zrobiłam głęboki wdech. - Mam nadzieję, że się smaży w piekle - warknęłam. - Mam nadzieję, że ilekroć pomyśli o tym, co mi zrobił, jakiś demon kłuje go w dupę widłami.

- Boże, Sookie!

- Facet nigdy nie próbował niczego z tobą.

- Masz cholerną rację!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, Sookie! Ale wuj nigdy nie molestował żadnej innej osoby poza tobą. Ja przynajmniej o niczym nie słyszałam...

- Bzdura! Molestował również ciocię Lindę.

Twarz Jasona znieruchomiała z szoku. W końcu coś do niego dotarło,

- Babcia ci to powiedziała?

- Tak.

- Mnie nigdy tego nie mówiła.

- Wiedziała, że kochasz wujka i przykro ci, że nie możesz go widywać. Nie chciała jednak zostawiać go z tobą samego, ponieważ nie miała stuprocentowej pewności, czy lubi wyłącznie dziewczynki.

- Widziałem się z nim parę lat temu.
- Tak? - Nie miałam o tym pojęcia. Babcie prawdopodobnie ta informacja także by zaskoczyła.
- Widzisz, Sookie, był już stary. I taki chory. Miał kłopoty z prostatą, bardzo osłabł i chodził o lasce.
- Trudniej mu zapewne było dogonić pięciolatkę.
- Przestań!
- Jasne! Jak mogłam coś takiego powiedzieć?! - Obrzuciliśmy się piorunującymi spojrzeniami. - No i cóż mu się przydarzyło? - spytałam w końcu z niechęcią w głosie.
- Ktoś włamał się do jego domu zeszłej nocy.
 - Tak? I co?
 - I wuj skręcił sobie kark. Włamywacz zrzucił go ze schodów.
- W porządku. Więc teraz wiem. Jadę do domu. Muszę wziąć prysznic i przygotować się do pracy.
 - Nic więcej nie powiesz?
 - A cóż mogłabym jeszcze powiedzieć?
 - Nie spytasz o pogrzeb?
- Nie.
 - Nie chcesz znać jego ostatniej woli?
 - Nie.
- Gwałtownie rozłożył ręce.
- No dobrze - stwierdził, jakby walczył o coś ze mną i odkrył, że nie ustąpię.
 - No dalej? O co chodzi? - spytałam.
 - O nic. Po prostu umarł nasz wuj. Sądziłem, że jest to wystarczający powód.
- Właściwie masz rację - zauważyłam, otwierając drzwi pikapa i wysiadając. - Jest wystarczający. - Oddałam mu kubek. - Dzięki za kawę, braciszku.

* * *

Dopiero gdy dotarłam do pracy, złożyłam w całość wszystkie fakty! Wycierałam akurat jakąś szklankę i właściwie nie myślałam o wuju Bartlecie, kiedy nagle straciłam wszelką siłę w palcach.

- Jezu Chryste, pasterzu z Judei - mruknęłam, patrząc na rozbite szkło u moich stóp. - Bill go zabił.

* * *

Nie wiem, skąd się wzięła moja pewność, ale byłam co tego przekonana - od sekundy, w której myśl ta przemknęła mi przez głowę. Może na wpół śpiąca słyszałam w nocy, jak Bill

wystukuje jakiś numer? Może ostrzegła mnie wcześniej mina mojego wampira, gdy opowiedziałam mu o wujku Bartlecie?

Zastanowiłam się, czy Bill zapłacił jakiemuś wampirowi gotówką, czy też odwdzieczył mi się w naturze.

Do końca zmiany pracowałam w oszołomieniu. Nie mogłam nikomu zwierzyć się ze swoich podejrzeń, nie mogłam nawet powiedzieć, że jestem chora, ponieważ ludzie zaczęliby pytać, co dokładnie mi dolega. Do nikogo się więc nie odzywałam, tylko pracowałam. Skupiałam się wyłącznie na kolejnych zamawianych napojach, które musiałam przynosić. Po drodze do domu starałam się o niczym nie myśleć, trzeba było jednak stawić czoło faktom.

Byłam wkurzona.

Wiedziałam na sto procent, że Bill w swoim bardzo długim życiu zabił przynajmniej jednego człowieka. Kiedy był młodym wampirem, potrzebował mnóstwo krwi, zanim więc zdobył kontrolę nad własnymi potrzebami na tyle, by wystarczył mu łyceczek tutaj, łyceczek tam (czyli gdy już nie musiał zabijać osób, których krew ssał), zabił - jak mi powiedział - jednego czy dwóch nieszczęśników. Wykończył też Rattrayów. Ale wtedy ratował mnie, gdyż na pewno nie przeżyłabym ich nocnej napaści na tyłach „Merlotte’a”. Te dwa trupy bez wahania mu wybaczyłam. Dlaczego zatem nie potrafiłam przymknąć oczu na zamordowanie wujka Bartletta? Czym się ta śmierć różniła od tamtych? Wuj również mnie skrzywdził, strasznie mnie skrzywdził, zmieniając moje i tak trudne dzieciństwo w prawdziwy koszmar. Czy nie poczułam ulgi, a nawet zadowolenia na wiadomość, że znaleziono go martwego? Czy moja odraza wobec interwencji Billa nie załatwiała najgorszego rodzaju hipokryzją?

Tak. Nie?

Zmęczona i niewiarygodnie zmieszana usiadłam na stopniach prowadzących na ganek mojego domu i otoczywszy rękoma kolana, trwałam nieruchomo w ciemnościach. Świerszcze śpiewały w wysokiej trawie. Bill zjawił się tak cicho i nieoczekiwanie, że w ogóle go nie usłyszałam. W jednej minucie byłam sama z nocą, a w następnej mój wampir siedział na schodach obok mnie.

- Co chcesz robić dziś wieczorem, Sookie?

Otoczył mnie ramieniem.

- Och, Billu - mój głos był ciężki od rozpacz. Ręka wampira opadła. Nie spojrzałam mu w twarz, tak czy owak nie zobaczyłabym jej w mroku. - Nie powinieneś być tego robić. - Najwyraźniej nie zamierzał zaprzeczać. - Cieszę się, że on nie żyje, Bill. Ale nie mogę...

- Sądzisz, że zraniłbym cię kiedykolwiek, Sookie? - spytał spokojnie tonem osobliwie szeleszczącym. Skojarzyło mi się to z odgłosem człowieka idącego przez suchą trawę.

- Nie. Może to dziwne, uważam jednak, że nie zraniłbyś mnie, nawet gdybyś naprawdę się na mnie

wściekł.

- Zatem...?

- Mam wrażenie, Billu, że chodzę z Ojcem Chrzestnym... z szefem mafii. Będę się teraz bała cokolwiek ci powiedzieć. Nie jestem przyzwyczajona, by ktoś rozwiązywał w ten sposób moje problemy.

- Kocham cię.

Wyznanie to padło z jego ust po raz pierwszy. Wypowiedział je głosem cichym, niemal szeptem.

- Naprawdę, Billu? - Nadal nie podnosiłam głowy, czoło przyciskałam ciągle do kolan.

- Tak, naprawdę kocham cię.

- Musisz mi więc pozwolić przeżyć moje życie po swojemu, Billu. Nie możesz go dla mnie zmieniać.

- Chciałaś, żebym cię obronił, kiedy Rattrayowie cię bili.

- Punkt dla ciebie. Tyle że wtedy mieliśmy do czynienia z jawną napaścią, a ja mówię o moim codziennym życiu. Czasem będę się wściekać na różnych ludzi, ludzie zaś będą się złościć na mnie. To normalne. Nie mogę za każdym razem martwić się, że kogoś zabijesz. Nie potrafię żyć w ten sposób, kochanie. Rozumiesz, co mówię?

- Kochanie? - powtórzył.

- Ja także cię kocham - odparłam. - Nie wiem dlaczego, ale cię kocham. Mam ochotę nazywać cię wszystkimi miłosnymi, pieścizłowymi słowami, nawet jeśli brzmią głupio, gdy określa się nimi wampira. Chcę ci mówić, że jesteś moim maleństwem, że będę cię kochać, aż się razem zestarzejemy i osiwiejemy... chociaż to się wcale nie zdarzy. Wiem, że nie jesteś człowiekiem, Billu. Wciąż napotykam na jakiś mur, kiedy próbuję ci wyznać, że cię kocham... - Zamilkłam. Wszystko już wykrzyczałam.

- Kryzys pojawił się szybciej, niż sądziłem - oświadczył wampir. Świerszcze wznowiły śpiew. Słuchałam ich przez długi moment.

- Tak.

- Co teraz, Sookie?

- Muszę mieć trochę czasu.

- Aby...?

- Aby zdecydować, czy miłość warta jest cierpienia.

- Sookie, gdybyś wiedziała, jak odmiennie smakujesz i jak bardzo pragnę cię chronić...

Wnosząc z tonu Billa, chodziło mu o jakieś niezwykle miłe i czułe doznania.

- Dziwnym trafem - oznajmiłam - podobnie myślę o tobie. Muszę jednak żyć tutaj i muszę pozostać sobą. Powinniśmy ustalić pewne zasady i reguły, których nie wolno nam będzie łamać.

- Co zatem zrobimy teraz?

- Ja będę myśleć, ty zaś żyj, tak jak żyłeś, zanim mnie spotkałeś.

- Zastanawiam się, czy potrafię egzystować wśród ludzi. Pewnie czasem skorzystam z czyjejs krwi, zamiast tej przeklętej syntetycznej.

- Wiem, że będziesz pić krew innych osób... nie tylko moją. - Bardzo się starałam mówić spokojnym głosem.

- Proszę jednak, nie wiąż się z nikim stąd, z nikim, kogo muszę spotykać. Nie zniosłabym tego. Wiem, że nie powinnam cię o to prosić, ale proszę.

- Jeśli ty nie będziesz się umawiać z innymi, ja nie pójdę z nikim do łóżka.

- Nie będę się umawiać. - Złożenie tej obietnicy wydało mi się niezwykle łatwe.

- Będziesz miała coś przeciwko temu, że przyjdę czasem do baru?

- Ależ nie. Nie powiem nikomu, że się rozstaliśmy. Zresztą wcale się nie rozstajemy.

Bill pochylił się, przyciskając swoje ciało do mojego.

- Pocałuj mnie - szepnął.

Zadarłam głowę i nasze wargi się spotkały. Miałam wrażenie, że ogarnia mnie niebieski ogień, nie gorące pomarańczowoczerwone płomienie, lecz właśnie zimny niebieski ogień. Sekundę później wampir zaczął mnie dotykać, a po minucie ja zaczęłam dotykać jego ciała. Czułam, jak moje ciało staje się bezkostne i bezwładne. Oderwałam się z westchnieniem.

- Och, nie możemy, Bill.

Usłyszałam, że głośno wciąga powietrze.

- Oczywiście, że nie możemy, skoro się rozdzielamy - potwierdził cicho, lecz chyba nie wierzył, że mówię poważnie. - Jasne, że nie powinniśmy się całować. Co najwyżej powinienem rzucić cię na ganek i pieprzyć, aż zemdlejesz.

Kolana naprawdę mi się trzęsły. Jego umyślnie szorstkie słownictwo kontrastujące z lodowatym, a równocześnie słodkim głosem, straszliwie spotęgowało moją tęsknotę. Powstanie z miejsca i jazda do domu wymagały ode mnie całego mojego opanowania.

Udało mi się. Odjechałam.

* * *

W następnym tygodniu zaczęłam żyć bez babci i bez Billa. Ciężko pracowałam nocami. Po raz pierwszy w moim życiu zachowywałam dodatkową ostrożność i dokładnie przekreślałam wszystkie zamki. Gdzieś czaił się morderca, a ja nie miałam już swojego potężnego obrońcy. Rozwazałam zakup psa, nie potrafiłam jednak wybrać rasy. Chroniła mnie tylko moja kotka Tina - w tym sensie, że zawsze reagowała, kiedy ktoś przechodził bardzo blisko domu.

Od czasu do czasu dzwonił do mnie prawnik babci, informując o postępach w likwidacji jej majątku. Zadzwoił do mnie też prawnik Bartletta. Wuj zostawił mi dwadzieścia tysięcy dolarów; jak na niego była to wielka suma. O mało nie odrzuciłam spadku. Ale zastanowiłam się, przyjąłam pieniądze i przekazałam je miejscowemu ośrodkowi zdrowia psychicznego; miały zostać użyte na medyczną i psychologiczną pomoc dzieciom, które padły ofiarą molestowania i gwałtu.

W centrum ucieszyli się z dotacji.

Brałam witaminy, całe ich stopy, gdyż cierpiałam na lekką anemię. Piłam też mnóstwo płynów i jadłam sporo białka.

Jadłam też tyle, ile chciałam, czosnku, którego Bill nie tolerował. Twierdził wcześniej, że czosnek wydziela się przez pory mojej skóry i narzekał nawet wtedy, gdy jadłam chleb czosnkowy do spaghetti z sosem mięsny.

Spałam, spałam i spałam. Póki pracowałam do późna, a później spędzałam czas z wampirem, stale byłam niedospana.

Po trzech dniach Czułam się znacznie lepiej, szczególnie fizycznie. Wydawało mi się, że jestem nieco silniejsza.

Zaczęłam się interesować tym, co się działo wokół mnie.

Od razu zauważyłam, że mieszkańcy gminy naprawdę wściekają się na wampiry, które zagnieździły się w Monroe. Diane, Liam i Malcolm objeżdżali bary w tym rejonie, najwidoczniej próbując uniemożliwić innym wampirom przystosowanie się do życia wśród ludzi. Zachowywały się skandalicznie, a często bywały wręcz agresywne. Przy wyczynach tej trójki eskapady studentów Louisiana Tech wyglądają na dziecinną zabawę.

Wampiry wyraźnie nie miały pojęcia, na co się narażają. Uderzyła im do głów wolność uzyskana dzięki opuszczeniu trumien. Prawo do legalnej egzystencji zniosło ich liczne ograniczenia, lecz odebrało im najprawdopodobniej także rozagę i ostrożność. Malcolm podgryzał jakiegoś barmana w Bogalooos, Dianę tańczyła nago w Farmerville, Liam omamił nieletnią z Shongaloo; spotykał się również z jej matką. Ssał krew obu i żadnej nie skasował wspomnień.

Pewnej czwartkowej nocy w „Merlotcie” zauważyłam, że Rene rozmawia z Mike’em Spencerem, przedsiębiorcą pogrzebowym. Zamilkli, gdy się zbliżyłam, co naturalnie przyciągnęło moją uwagę. Weszłam więc w umysł Mike’a i odkryłam, że grupa okolicznych mężczyzn zamierza spalić wampiry z Monroe.

Nie wiedziałam, co zrobić. Tych troje może nie było przyjaciółmi Billa, ale coś ich z nim przecież łączyło. Z drugiej strony brzydziłam się Malcolmem, Diane i Liamem tak samo, jak wszyscy mieszkańcy gminy. Poza tym... rany, julek!... skoro już wiedziałam, nie mogłam po prostu zapomnieć o planowanym morderstwie i spokojnie sobie żyć dalej.

A może była to tylko pijacka gadka w barze. Postanowiłam to sprawdzić i zaczęłam czytać myśli

innych gości „Merlotte’a”. Ku mojej konsternacji, wielu mężczyzn wokół mnie myślało o podpaleniu wampirzego gniazda. Nie zdołałam niestety wyśledzić pomysłodawcy, odniosłam jednak wrażenie, że „trucizna” wypłynęła z jednego umysłu i zakaziła wszystkie inne.

Nie istniał żaden dowód, że Maudette, Dawn i moją babcię zabił wampir. Podobno - jak głosiła plotka - raport koronera wykazał coś przeciwnego. Wampiry z Monroe wszakże zachowywały się okropnie, toteż ludzie postanowili je o coś obwinić i pragnęli się ich pozbyć. A ponieważ Maudette i Dawn zostały pogryzione i często bywały w barach dla wampirów, no cóż... mieszkańcy Bon Temps połączyli wszystkie fakty i znaleźli sobie doskonały pretekst do zabójstwa.

Bill przyszedł do baru siódmej nocy, gdy pracowałam sama. Zupełnie nagle zjawił się przy tym samym co zwykle stoliku. Był w towarzystwie chłopca, który wyglądał na jakieś piętnaście lat i także był wampirem,

- Sookie, to Harlen Ives z Minneapolis - zagał Bill, zwyczajnie przedstawiając dzieciaka.

- Harlen - powiedziałałam i skinęłam głową. - Miło mi cię poznać.

- Sookie - rzucił, skłaniając głowę.

- Harlen podróżuje z Minnesoty do Nowego Orleanu - wyjaśnił Bill gawędziarskim tonem.

- Jadę na wakacje - wyjaśnił nastolatek. - Od lat chciałem odwiedzić Nowy Orlean. Na pewno wiesz, że to dla nas prawdziwa mekka.

- Och... no tak - przyznałam, usiłując mówić spokojnie.

- Istnieje numer, pod który można zadzwonić - ciągnął Harlen. - Zostajesz wtedy prawdziwym mieszkańcem albo wynajmujesz...

- Trumnę? - spytałam pogodnie.

- No cóż, tak.

- Wy to macie życie - zażartowałam z najszerszym uśmiechem. - Co mogę wam przynieść? Zdaje mi się, że Sam odnowił zapasy krwi. Napijesz się, Bill? Mamy A Rh minus albo O Rh plus.

- Och, wezmę chyba A Rh minus - odparł Bill, wymieniwszy spojrzenia ze swoim młodym towarzyszem.

- Zaraz przyniosę! - Poszłam do lodówki za kontuarem, wyjęłam dwie butelki z krwią, zdjęłam wieczka i przyniosłam buteleczki na tacy. Przez cały czas się uśmiechałam, dokładnie tak samo jak zawsze.

- Wszystko w porządku, Sookie? - spytał mój wampir bardziej naturalnym głosem, kiedy stawiałam napoje.

- Oczywiście, Billu - odrzekłam wesoło. Miałam ochotę rozbić mu tę butelkę na głowie. Harlen, phi, też coś. Pewnie zanocuje u Billa. No i dobrze!

- Harlen chciałby później pojechać odwiedzić Malcolma - poinformował mnie Bill, kiedy przyszedł po puste butelki i spytałam, czy przynieść następne.

- Jestem pewna, że Malcolm bardzo chętnie się spotka z Harlenem - palnęłam, próbując nie brzmieć jak suka, chociaż tak się czułam.

- Och, Bill jest naprawdę cudowny - oświadczył nastolatek, uśmiechając się do mnie i pokazując kły. Bez wątpienia umiał sobie radzić z takimi jak ja. - Ale Malcolm jest prawdziwą legendą!

- Uważaj - warknęłam w stronę Billa. Chciałam mu powiedzieć, jakie niebezpieczeństwo grozi trójce wampirów z Monroe, choć nie sądziłam, by ludzie zbyt szybko obrócili swe zamiary w czyn.

Nie chciałam wyjaśniać moich podejrzeń w szczegółach, skoro z Billem siedział Harlen, który mrugał pięknymi błękitnymi oczyma i wyglądał jak młodziki symbol seksu. - Lepiej akurat teraz nie spotykać się z tą trójką - dodałam po chwili. Nie było to chyba zbyt skuteczne ostrzeżenie.

Bill zerknął na mnie zaintrygowany, ja zaś odwróciłam się na pięcie i odeszłam.

Szybko zaczęłam żałować swego zachowania i żałowałam go gorzko.

* * *

Po wyjściu Billa i Harlena w barze podjęto rozmowy na temat planowanego podpalenia. Odnosiłam wrażenie, że ktoś specjalnie podjudza zebranych, niestety mimo wysiłków nie mogłam wykryć prowokatora. Podśluchiwałam zarówno mentalnie, jak i dosłownie, jednak bez rezultatów. Do „Merlotte’a” przyszedł Jason. Przywitaliśmy się, lecz niezbyt ciepło. Prawdopodobnie brat nie wybaczył mi mojej reakcji na śmierć wujka Bartletta.

Wcale wszakże o tym nie myślał, całkowicie się bowiem skupiał na próbie zaciągnięcia do łóżka Liz Barrett. Liz była nawet młodsza ode mnie, miała krótkie kasztanowe loczki, duże brązowe oczy i niespodziewanie poważne podejście do samej siebie, w czym wydawała się przypominać Jasona.

Gdy ich pożegnałam (wypili duży dzban piwa), uświadomiłam sobie, że poziom gniewu w barze wzmógł się tak bardzo, iż projekt podpalenia zaczął nabierać naprawdę realnych kształtów.

Szczerze się zaniepokoiłam.

Z każdą minutą ludzie coraz bardziej się podkręcali. Było teraz mniej kobiet, a więcej mężczyzn.

Wielu przechodziło od stolika do stolika. Coraz szybciej pili. Mnóstwo mężczyzn stało, zamiast siedzieć. Spotkanie nie wyglądało wprawdzie jak zebranie czy wiec, a plany nadal przekazywano sobie szeptem. Nikt na przykład nie wskoczył na bar i nie wrzasnął: „No więc co, chłopaki?

Będziemy znosić obecność tych potworów wśród nas? Do zamku!” czy coś w tym rodzaju. Jakiś czas później ludzie zaczęli wychodzić. Nie rozjechali się jednakże do domów, ale stali w grupkach na parkingu. Wyjrzałam przez jedno z okien i potrząsnęłam głową. Sytuacja robiła się poważna.

Sam również się denerwował.

- Co myślisz? - spytałam go i zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy tego wieczoru powiedziałam do niego coś innego niż: „Daj mi dzban” albo „Zrób mi jeszcze jedną margaritę”.

- Myślę, że postanowili działać - odparł. - Tyle że teraz nie pojedą do Monroe. Wampiry nie kładą się prawie do świtu.

- Gdzie jest ich dom, Sam?

- Z tego, co zrozumiałem, gdzieś na peryferiach Monroe... od zachodniej strony... Innymi słowy, najbliżej nas - wyjaśnił. - Ale nie wiem tego na pewno.

Po zamknięciu baru jechałam do domu, niemal spodziewając się Billa na moim podjeździe. Bardzo chciałam mu powiedzieć, co się święci.

Nie było go, a ja wolałam nie jechać do jego domu. Długo się wahałam, w końcu wystukałam jego numer, lecz połączyłam się tylko z automatyczną sekretarką. Zostawiłam wiadomość. Nie miałam pojęcia, pod jakim nazwiskiem mogłabym znaleźć w książce numer telefonu wampirów z Monroe, o ile w ogóle miały telefon.

Kiedy zdjęłam buty i biżuterię... całe to srebro, przeciwko tobie, Bill!... nadal się martwiłam, choć niezbyt mocno. Położyłam się do łóżka i szybko zasnęłam - w sypialni, która należała teraz do mnie. Światło księżyca wpływało przez otwarte żaluzje, tworząc na podłodze dziwaczne cienie. Gapiłam się na nie jednak zaledwie minutkę przed zaśnięciem. Tej nocy nie obudził mnie telefon, więc Bill nie oddzwonił.

* * *

Telefon zadzwonił dopiero wcześnie rano, już po świcie.

- Co? - spytałam oszołomiona, przyciskając słuchawkę do ucha. Spojrzałam na zegar. Była siódma trzydzieści.

- Spalili gniazdo wampirów - oznajmił Jason. - Mam nadzieję, że twojego tam nie było.

- Co takiego? - spytałam, tym razem w panice.

- Spalili dom wampirów w pobliżu Monroe. Zaraz po świcie. Callista Street, na zachód od Archer. Przypomniałam sobie, że Bill zamierzał zabrać tam Harlena. Czy został tam?

- Nie - warknęłam zdecydowanym tonem.

- Niestety to prawda.

- Muszę teraz wyjść - odburknęłam i odłożyłam słuchawkę.

* * *

W jaskrawym świetle słonecznym dostrzegłam dym. Jego wstęgi szpeciły niebieskie niebo. Zwęglone drewno wyglądało jak skóra aligatora. Pojazdy straży pożarnej i przedstawiciele prawa parkowały beładnie na trawniku dwupiętrowego budynku. Za żółtą taśmą stała grupka gapiów.

Resztki czterech trumien stały obok siebie na przypalonej trawie. Zauważyłam też torbę na zwłoki. Ruszyłam ku nim, ale tak powoli, że szłam i szłam, a niemal się nie zbliżałam. Czułam się jak we śnie, w którym wbrew wszelkim wysiłkom nie sposób dotrzeć do celu.

Ktoś chwycił mnie za rękę i usiłował zatrzymać. Teraz nie przypomnę sobie, co odpowiedziałam, lecz pamiętam czyjąś przerażoną twarz. Powlokłam się przez rumowisko, wdychając swąd zwęglonych i mokrych przedmiotów. Ten zapach nie opuści mnie chyba do końca życia.

Dotarłam do pierwszej trumny i zajrzałam do środka.

Resztki wieka nie chroniły zawartości przed światłem. Słońce wspinało się coraz wyżej i za chwilę jego promienie zaczęły całować straszne szczątki spoczywające na rozmokłym, białym jedwabiu.

Czy to był Bill? Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Trup rozpadał się stopniowo, wręcz na moich oczach. Małe kawałki odpadały płatami i wlatywały porywane przez wiatr albo znikwały w maleńkich smugach dymu w miejscach, gdzie słoneczne snopy dotknęły ciała.

Każda trumna zawierała podobne okropności.

Sam stanął przy mnie.

- Nazwałbyś to morderstwem? - spytałam.

Potrząsnął głową.

- Po prostu nie wiem, Sookie. W sensie prawnym, zabijanie wampirów jest morderstwem. W tym przypadku dodatkowo musiałabyś udowodnić podpalenie, choć pewnie nie byłoby to szczególnie trudne. - Oboje czuliśmy woń benzyny. Wokół domu chaotycznie kręcili się ludzie, którzy coś do siebie krzyczeli. Ich działania nie wyglądały mi na poważne śledztwo w sprawie zbrodni. - Jednak te zwłoki, Sookie... - Sam wskazał na czarną torbę w trawie. - To był prawdziwy człowiek i trzeba ustalić przyczynę jego śmierci. Prawdopodobnie nikt z tłumu nie brał pod uwagę możliwości, że w domu znajduje się istota ludzka. Może podpalacze w ogóle nie zastanawiali się, co robią.

- A dlaczego ty tu jesteś, Sam?

- Z twojego powodu - odparł po prostu.

- Przez cały dzień nie dowiem się, czy wśród zabitych był Bill.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

- Co mam robić do końca dnia? Jak mogę czekać?

- Może weź jakieś leki - zasugerował. - Na przykład pigułki na sen albo na uspokojenie?

- Nie trzymam takich prochów - odparłam. - Zawsze bez kłopotu zasypiam.

Ta rozmowa stawała się coraz dziwniejsza. Nagle uznałam, że nie mam mojemu szefowi nic więcej do powiedzenia.

Stanął przede mną jakiś wielki przedstawiciel lokalnego prawa. Pocił się w gorącym poranku i wyglądał, jakby był na nogach od wielu godzin. Może pracował na nocnej zmianie i musiał zostać, gdy usłyszał o pożarze.

Gdy znani mi ludzie podpalili ten dom!

- Znała pani tych ludzi?

- Tak, spotkałam kiedyś te osoby.

- Potrafi pani zidentyfikować szczątki?

- Kto mógłby coś takiego zidentyfikować? - spytałam z niedowierzaniem.

Ciała niemal już zniknęły, stały się bezpłciowe i nadal się rozpadały.

Posłał mi zniechęcone spojrzenie.

- Zgadza się, proszę pani. Chodzi mi o człowieka.

- Zerknę - powiedziałam, zanim zdążyłam pomyśleć. Nie potrafiłam zapanować nad zwyczajem ciągłego pomagania wszystkim wokół... Policjantowi chyba przeniknęło przez głowę, że mogę się rozmyślić, gdyż natychmiast klęknął na osmalonej trawie i rozpiął zamek torby. Okopcona twarz wewnątrz należała do dziewczyny, której nigdy nie spotkałam. W myślach podziękowałam Bogu. - Nie znam jej - powiedziałam i poczułam, że uginają się pode mną kolana. Mój szef złapał mnie, zanim upadłam. Musiałam się o niego oprzeć. - Biedna dziewczyna - szepnęłam. - Sam, nie wiem, co robić.

Współpraca z policją zabrała mi sporą część dnia. Funkcjonariusze pytali, co wiem o wampirach, do których należał zniszczony budynek. Opowiedziałam im, lecz nie wniosłam zbyt dużo do śledztwa. Malcolm, Diane, Liam... Skąd pochodzili? Ile mieli lat? Dlaczego osiedlili się w Monroe? Kim byli ich prawnicy? Skąd miałabym wiedzieć takie rzeczy? Nigdy nie byłam też w ich domu.

Kiedy mój rozmówca, kimkolwiek był, odkrył, że poznałam ich przez Billa, chciał się dowiedzieć, gdzie jest Bill i jak można się z nim skontaktować.

- Może jest właśnie tam - zauważyłam, wskazując na czwartą trumnę. - Nie ustalę tego aż do zmroku. - Moja ręka sama się podniosła i przykryła mi usta.

Wtedy jeden ze strażaków wybuchnął śmiechem, a jego towarzysz mu zawtórował.

- Smażone wampiry z Południa! - zawołał niższy z nich do mężczyzny, który mnie przesłuchiwał. - Mamy tu smażone Luizjańskie wampiry!

Gdy kopnęłam faceta, od razu przestał uważać swoją wypowiedź za tak cholernie zabawną. Sam odciągnął mnie od nieszczęśnika, a mój rozmówca chwycił strażaka, na którego napadłam.

Wrzeszczałam jak potępiona i ruszyłabym na niego znów, gdyby mój szef mnie puścił.

Ale nie puścił. Nie zwalniając uścisku, zaciągnął mnie do swojego samochodu. Pomyślałam nagle, jak zawstydzona byłaby moja babcia, widząc, że krzyczę na urzędnika państwowego i atakuję go fizycznie. Pod wpływem tej wizji moja szaleńcza wrogość pękła niczym przekłuty igłą balonik.

Pozwoliłam, by Sam wepchnął mnie na siedzenie pasażera. Nie protestowałam też, kiedy uruchomił samochód i zaczął go wycofywać. W zupełnej ciszy odwiózł mnie do domu.

Dotarliśmy tam bardzo szybko. Była dopiero dziesiąta rano. O tej porze roku do zmroku zostało jeszcze przynajmniej dziesięć godzin.

Sam poszedł odbyć kilka rozmów telefonicznych, ja natomiast siedziałam nieruchomo na kanapie i wpatrywałam się przed siebie. Po pięciu minutach mój szef wrócił do salonu.

- Chodź, Sookie - polecił szybko. - Twoje żaluzje są brudne.

- Co?

- Żaluzje. Jak mogłaś je doprowadzić do podobnego stanu?

- Co takiego?!

- Wyczyścimy je. Przynieś wiadro, trochę amoniaku i jakieś szmaty. I zrób kawę.

Wykonałam jego polecenie bardzo powoli i ostrożnie, a towarzyszył mi osobliwy przestрах, że mogę wyschnąć i wyparować jak ciała w trumnach.

Do chwili, gdy wróciłam z wiadrem i szmatami, Sam zdążył już zdjąć zasłony z okien w salonie.

- Gdzie masz pralkę?

- Tam z tyłu, za kuchnią - bąknęłam, wskazując.

Mój szef odszedł do łazienki z naręczem zasłon. Babcia wyprała je niecały miesiąc temu, z okazji wizyty Billa. Nic jednak nie powiedziałam.

Opuściłam jedną z żaluzji, zamknęłam ją i zaczęłam myć. Po wyczyszczeniu wszystkich żaluzji umyliśmy okna. W połowie poranka zaczęło padać, więc i tak nie moglibyśmy wyjść na zewnątrz.

Sam wziął szczotkę na długiej rączce i zdjął pajęczyny z narożników wysokiego sufitu, ja zaś wytarłam listwy przypodłogowe. Później mój szef zdjął lustro znad obramowania kominka i odkurzył części, których nie mogliśmy dosięgnąć, po czym wyczyściliśmy całe lustro i ponownie je powiesiliśmy. Wyszorowałam stary marmurowy kominek, aż nie został nawet ślad po zimowym ognisku, a nad kominkiem umieściłam ładny obrazek przedstawiający kwiaty magnolii.

Wyczyściłam ekran telewizora i kazałam Samowi podnieść odbiornik, abym mogła odkurzyć pod spodem. Włożyłam wszystkie filmy wideo do pudełek i nakleiłam etykiety. Zdjęłam z kanapy poduszki i za pomocą odkurzacza usunęłam brud, który zebrał się pod nią, przy okazji znajdując dolara i pięć centów w monetach. Odkurzyłam też dywan i wytarłam mopem drewnianą podłogę. Przeszliśmy do jadalni i wypolerowaliśmy wszystko, co można było wypolerować. Gdy drewno stołu i krzeseł błyszczało, Sam spytał mnie, kiedy ostatnio czyściłam srebra babci.

Nigdy ich nie czyściłam. Otworzyliśmy bufet i odkryliśmy, że istotnie trzeba je wyczyścić, zanieśliśmy je więc do kuchni, znaleźliśmy środek do srebra i wszystko wypolerowaliśmy.

Słuchaliśmy radia, po pewnym czasie jednak zdałam sobie sprawę, że mój towarzysz wyłączał je za każdym razem, kiedy zaczynały się wiadomości.

Sprzątaliśmy przez cały dzień. I cały dzień padało. Sam odzywał się do mnie rzadko, wyłącznie

przekazując mi następane zadanie.

Pracowałam bardzo ciężko. Oboje ciężko pracowaliśmy.

Tyraliśmy aż do zmroku. Miałam teraz najczystszy dom w gminie Renard.

- Znikam już, Sookie - oświadczył Sam. - Myślę, że chcesz zostać sama.

- Tak - przyznałam. - Podziękuję ci kiedyś, ale teraz nie mogę. Uratowałeś mnie dziś...

Poczułam jego wargi na swoim czole, a potem, minutę później, usłyszałam odgłos zatrzaskiwanych drzwi. Usiadłam przy stole; ciemność zaczęła wypełniać kuchnię. Gdy już prawie nic nie widziałam, wyszłam na zewnątrz. Wzięłam z sobą dużą latarkę.

Nie miało dla mnie znaczenia, że nadal pada.

Miałam na sobie dżinsową sukienkę bez rękawów i sandały - rzeczy, które włożyłam rano, po telefonie Jasona.

Stałam w ulewnym, ciepłym deszczu, włosy lepiły mi się do czaszki, wilgotna sukienka obcisłe przylegała do skóry. Skręciłam w lewo do lasu i ruszyłam między drzewa. Początkowo szłam powoli i ostrożnie, lecz uspokajający wpływ Sama stopniowo zniknął, toteż po pewnym czasie ruszyłam biegiem. Gałęzie szarpały moje policzki, cierniste krzewy drapały mi nogi. Wypadłam z lasu i zaczęłam pędzić przez cmentarz; snop światła z latarki huśtał się przede mną. Wcześniej kierowałam się do domu po drugiej stronie cmentarza, czyli domu Comptonów. Później jednak pomyślałam, że Bill prawdopodobnie ukrywa się gdzieś tutaj, na tych sześciu akrach ziemi skrywającej wypełnione kośćmi trumny. Stałam w centrum najstarszej części cmentarza.

Otaczały mnie pomniki i skromne nagrobki, towarzyszyli mi zmarli.

- Billu Compton! - krzyknęłam. - Wyjdź natychmiast!

Odwracałam się to w prawo, to w lewo, usiłując coś dojrzeć w prawie całkowitych ciemnościach.

Wiedziałam, że nawet jeśli nie zdołam dojrzeć mojego wampira, on na pewno zobaczy mnie...

O ile oczywiście mógł jeszcze widzieć, o ile jego ciało nie było jednym z tych szerniałych, rozpadających się okropności, na które patrzyłam przed domem pod Monroe...

Nie dotarł do mnie żaden dźwięk. Nic się nie ruszało, słyszałam jedynie odgłosy ulewnego deszczu.

- Bill! Bill! Wychodź! - Po prawej stronie raczej wyczułam, niż usłyszałam jakiś ruch. Zwróciłam w tym kierunku snop latarki. Obok mnie poruszyła się czerwona ziemia i na moich oczach wystrzeliła z niej biała ręka. Zwały ziemi podnosiły się i osypywały na boki. W końcu powstała jakaś postać. - To ty, Bill?

Postać obróciła się w moją stronę. Wampir, pokryty czerwonymi smugami i z włosami pełnymi grudek ziemi, zrobił niezdecydowany krok w moim kierunku.

Nie potrafiłam do niego podejść.

- Sookie - odezwał się. Był już dość blisko mnie. - Dlaczego tu jesteś? - Po raz pierwszy chyba przemawiał głosem zdezorientowanym i niepewnym. Musiałam mu powiedzieć, ale nie mogłam

otworzyć ust. - Kochana? - Kolana znowu się pode mną ugięły i po chwili zupełnie niespodziewanie klęknęłam w rozmokłą trawę.

- Co się stało, kiedy spałem? - Opadł obok mnie. Jego nagie ciało ociekało deszczem.

- Nie masz ubrania - mruknęłam.

- Tylko by się pobrudziło. - Odpowiedź była absolutnie logiczna. - Kiedy idę spać w ziemi, zdejmuję je.

- Och. Jasne.

- Teraz musisz mi wszystko opowiedzieć.

- Znienawidzisz mnie.

- Co zrobiłaś?!

- O mój Boże, to nie ja! Ale mogłam cię lepiej ostrzec, mogłam złapać cię za rękę i zmusić do wysłuchania... Próbowałam się do ciebie dodzwonić, Bill!

- Co się zdarzyło?

Przyłożyłam dłonie do jego policzków. Dotykając jego skóry, uświadomiłam sobie, jak wiele bym straciła i jak dużo ciągle jeszcze mogłam utracić.

- Oni nie żyją, Bill. Wampiry z Monroe. Zginęła z nimi dziewczyna. Ludzka dziewczyna.

- I Harlen - odparł pozbawionym emocji głosem. - Harlen został tam ostatniej nocy. On i Diane bardzo się sobie spodobali.

Przypatrywał mi się, czekając na resztę opowieści.

- Ktoś ich spalił.

- Z premedytacją.

- Tak.

Bill kucnął obok mnie w deszczu. W mroku nie widziałam jego twarzy. Zaciskałam w dłoni latarkę, lecz opuściła mnie cała siła. Czułam gniew mojego towarzysza.

Czułam jego okrucieństwo.

Czułam jego głód.

Nigdy nie był bardziej wampirem. Obecnie nie dostrzegałam w nim żadnych ludzkich cech.

Zwrócił twarz do nieba i zawył.

Był wściekły. Zaczęłam się obawiać, że za moment kogoś zabije. A najbliżej niego znajdowałam się ja.

Akurat kiedy pojęłam, w jakim jestem niebezpieczeństwie, Bill złapał mnie za ramiona i przyciągnął ku sobie. Powoli. Nie było sensu walczyć z nim, podejrzewałam, że moja szarpanina podnieciłaby go jeszcze bardziej. Trzymał mnie o centymetry od siebie, niemal dotykałam jego skóry, czułam jego emocje i mogłam smakować jego wściekłość.

Pomyślałam, że mogę się uratować, kierując jego straszliwą energię w inną stronę.

Przybliżyłam się o te dzielące nas kilka centymetrów i przytknęłam wargi do jego piersi. Zlizalam deszcz, otarłam się policzkiem o sutek Billa, po czym do niego przylgnęłam.

W następnej sekundzie wampir musnął zębami moje ramię, a później natarł na mnie - twardym, sztywnym i gotowym ciałem pchnął mnie tak mocno, że znalazłam się nagle na pośladkach. Wszedł we mnie gwałtownie; wystraszyłam się, że próbuje przebić mnie na wylot. Wrzasnęłam, a on warknął w odpowiedzi - niczym dzikus albo pierwotny jaskiniowiec. Objęłam rękoma jego plecy. Po dłoniach spływał mi deszcz, wiedziałam, że pod paznokciami mam krew Billa. Mój wampir nie przestawał się poruszać. Odniosłam wrażenie, że wbije mnie w to błoto, które stanie się moim grobem. W końcu zatopił mi kły w szyi.

Nagle doszłam. Bill zawył, również doświadczając orgazmu, po czym opadł ciężko na moje ciało. Jego kły się cofnęły i przez chwilę oblizywał ślady ukłuc na mojej szyi.

Przemknęło mi przez głowę, że mimo woli mógłby mnie zabić...

Mięśnie nie posłuchałyby mnie, nawet gdybym wiedziała, co chcę zrobić. Wampir podniósł mnie i zaniósł do swojego domu. Pchnął drzwi i wszedł ze mną prosto do dużej łazienki. Położył mnie delikatnie na dywaniku, który natychmiast pobrudził się od błota, deszczówki i małego strumyka krwi. Następnie Bill odkręcił kurek z ciepłą wodą, a gdy wanna się napełniła, włożył mnie do wody, po czym sam do niej wszedł. Usiedliśmy na siedziskach i wyciągnęliśmy nogi w ciepłej, spienionej wodzie, która szybko zmieniała kolor.

Wampir zapatrzył się przed siebie.

- Wszyscy nie żyją? - spytał tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

- Wszyscy... Dziewczyna także - odparłam cicho.

- Co robiłaś przez cały dzień?

- Sprzątałam. Sam kazał mi sprzątać dom.

- Sam - powtórzył zamyślonym tonem Bill. - Powiedz mi coś, Sookie. Potrafisz czytać Samowi w myślach?

- Nie - wyznałam, nagle wyczerpana. Zanurzyłam głowę, podniósłszy zaś ją, dostrzegłam, że Bill trzyma w dłoni butelkę z szamponem. Namydlił mi włosy, splukał je, a później uczesał - tak jak wtedy, gdy pierwszy raz uprawialiśmy miłość. - Billu, przykro mi z powodu twoich przyjaciół - oświadczyłam. Byłam tak zmęczona, że ledwie mogłam mówić. - I tak bardzo się cieszę, że ty żyjesz! - Otoczyłam ramionami jego szyję i położyłam mu głowę na ramieniu. Było twarde jak skała.

Pamiętam z tego wieczoru jeszcze tylko trzy rzeczy: najpierw mój wampir wytarł mnie dużym, białym ręcznikiem, potem pomyślałam, że poduszka jest bardzo miękka, w końcu Bill wślizgnął się do łóżka, położył obok mnie i otoczył ramieniem. Później zasnęłam.

W nocy obudziłam się i usłyszałam, że ktoś kreci się po pokoju. Chyba śnił mi się jakiś koszmar,

gdyż strasznie biło mi serce.

- Bill? - spytałam. Usłyszałam we własnym głosie strach.

- Co się stało? - spytał. Usiadł na krawędzi i łóżko lekko się ugięło.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, byłem tylko na przechadzce.

- Nie ma tam nikogo?

- Nie, kochana. - Usłyszałam odgłos materiału przesuwanego na skórze, po czym wampir znalazł się przy mnie pod kołdrą.

- Och, Billu; mogłeś przecież leżeć w jednej z tych trumien - zauważyłam. Nadal pamiętałam swój strach i niepokój.

- Sookie, pomyślałaś choć przez chwilę, że twoje zwłoki mogły się znajdować w tej torbie na ciała? Gdyby przyszli tutaj i spalili ten dom... o świecie?

- A więc ty musisz odwiedzać mnie! Mojego domu nie spalą! Ze mną będziesz bezpieczny - zapewniłam go żarliwie.

- Sookie, posłuchaj... Z mojego powodu mogłabyś umrzeć.

- Co mam do stracenia? - spytałam z pasją w głosie. - Odkąd cię spotkałam, przeżywam najlepszy okres... najlepszy okres mojego życia!

- Jeśli umrę, idź do Sama.

- Przekazujesz mu mnie?

- Nigdy - odparł łagodnym, zimnym tonem. - Nigdy.

Czułam, że chwytą mnie za ramiona. Leżał blisko mnie, wspierając się na łokciu. Po chwili przybliżył się nieco i jego chłodna skóra dotknęła w wielu miejscach mojej.

- Posłuchaj, Bill - powiedziałam. - Nie jestem wykształcona, ale nie jestem też głupia. Hmm... naprawdę brakuje mi doświadczenia czy obycia, nie uważam się jednak za osóbkę naiwną. -

Miałam nadzieję, że wampir nie uśmiecha się w ciemnościach. - Mogę kazać im cię zaakceptować. Potrafię to zrobić.

- Tak, jeśli ktoś to potrafi, to na pewno ty - przyznał. - Och, znów chcę w ciebie wejść.

- Co masz na myśli...? Ojej, już wiem. Już rozumiem, co masz na myśli. - Wziął moją rękę i położył na swoim członku. - Ja także tego pragnę. - Rzeczywiście pragnęłam Billa... o ile zdołam się znowu kochać po tym gwałtownym stosunku na cmentarzu. Mój wampir był wówczas tak wściekły, że jeszcze teraz byłam cała sponiewierana. A jednak poczułam rozchodzące się w moim ciele ciepło, sugerujące niezwykle podniecenie, od którego Bill mnie wręcz uzależnił. - Kochanie - szepnęłam, pieszcząc go wszędzie od stóp do głowy. - Kochanie. - Pocałowałam wampira i poczułam jego język w swoich ustach. Dotknęłam językiem jego kłów. - Umiesz się kochać bez gryzienia? - spytałam, nadal szeptem.

- Tak. Kosztowanie twojej krwi to tylko wielki finał.
- Byłoby prawie tak samo dobrze bez gryzienia?
- Nie, nigdy nie będzie tak dobrze, lecz nie chcę cię osłabić.
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - dodałam tytułem próby. - Minęło kilka dni, zanim zaczęłam się normalnie czuć.
- Byłam samolubny... ale jesteś taka wspaniała.
- Gdy się wzmocnię, będzie jeszcze lepiej - zasugerowałam.
- Pokaż mi, jaka jesteś silna - powiedział żartobliwie.
- Połóż się na plecach. Nie mam właściwie pojęcia, jak się to robi, wiem jednak, że inni ludzie tak się kochają.

Usiadłam na nim okrakiem. Jego oddech słyszalnie przyspieszył. Cieszyłam się, że w pokoju panuje mrok, a na zewnątrz wciąż pada deszcz. W blasku błyskawicy dostrzegłam jego oczy; pałały. Ostrożnie usadowiłam się we właściwej pozycji (w każdym razie miałam nadzieję, że jest właściwa) i wsunęłam w siebie jego członek. Pokładałam wielką wiarę we własny instynkt i rzeczywiście nieźle sobie poradziłam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Znów byliśmy razem. Moje wątpliwości przynajmniej chwilowo zagłuszył strach, który ogarnął mnie na myśl, że mogę stracić Billa. W każdym razie ja i mój wampir wróciliśmy do naszego wcześniejszego, niespokojnego wspólnego życia.

Jeśli pracowałam na nocną zmianę, przyjeżdżałam później do domu Billa i zwykle spędzałam resztę nocy u niego. Gdy pracowałam w dzień, wampir zjawiał się u mnie po zachodzie słońca.

Oglądaliśmy telewizję, wychodziliśmy do kina albo graliśmy w scrabble'a. Co trzecią noc wypoczywałam (lub Bill musiał się powstrzymać od gryzienia mnie), w przeciwnym razie zaczynałam się czuć słaba i ospała. Kiedy wysysał ze mnie zbyt dużo krwi, brałam mnóstwo witamin i żelaza, aż mój wampir zaczynał się skarżyć na smak; wtedy ograniczałam żelazo.

Czasem przesypiałam noc, Bill natomiast oddawał się innym czynnościom. Nierzadko czytał bądź też wędrował po okolicy. Czasami pracował na moim oświetlonym lampą podwórzu.

Jeżeli posiłkował się także krwią innych osób, zachowywał ten fakt w sekrecie, a ofiary znajdował - tak jak go o to prosiłam - z dala od Bon Temps.

Okres ten nie był dla mnie łatwy, ponieważ miałam wrażenie, że przez cały czas oboje na coś czekamy. Podpalenie gniazda wampirów w Monroe rozwścieczyło Billa i (jak sądzę) przstraszyło. Na pewno irytowały go własne ograniczenia - dla kogoś tak potężnego na jawie nie jest miła świadomość własnej bezradności za dnia, w czasie snu.

Zastanawialiśmy się, czy teraz, gdy nie żyła trójka prowokatorów, zmieni się społeczne nastawienie w stosunku do wampirów.

Chociaż Bill nie powiedział mi niczego wprost, z tematów, jakie często poruszaliśmy w naszych rozmowach, wywnioskowałam, że wampir martwi się o moje bezpieczeństwo. Stale pozostawał jednak na wolności morderca Dawn, Maudette i mojej babci.

Mężczyźni z Bon Temps i okolic srodze się pomylili, jeśli sądzili, że spaliwszy wampiry z Monroe, uwolnią się od lęku przed zabójcą. Zgodnie z raportem koronera żadnej z zabitych kobiet nie brakowało w chwili zabójstwa krwi. Co więcej, ślady po ugryzieniach na ciałach Maudette i Dawn nie tylko wyglądały staro, ale również takie się okazały. Jednoznaczną przyczyną śmierci obu kobiet było uduszenie. Obie uprawiały przed śmiercią seks. Zostały też zgwałcone po śmierci.

Arlene, Charlsie i ja starałyśmy się zachowywać skrajną rozwagę. Nie wychodziłyśmy same na parking, przed wejściem do swoich domów sprawdzałyśmy, czy drzwi są zamknięte na klucz, a podczas jazdy samochodem stale obserwowałyśmy towarzyszące nam na drodze auta. Trudno jednak w każdym momencie zachowywać maksymalną ostrożność i żyć w ciągłym napięciu, toteż

jestem pewna, że każdej z nas co jakiś czas zdarzała się chwila nieuwagi. Arlene i Charlsie mogły sobie jednak pozwolić na pewne rozkojarzenie, gdyż - w przeciwieństwie do dwóch pierwszych ofiar - nie mieszkały same. Arlene mieszkała z dziećmi (a czasem także z Rene Lenierem) Charlsie natomiast z mężem, Ralphem.

Jako jedyna z nich mieszkałam sama.

Jason przychodził do baru prawie co noc i zawsze zamieniał ze mną kilka zdań. Uświadomiłam sobie, że mój brat stara się naprawić stosunki między nami, więc zawsze odpowiadałam mu uprzejmie. Jason jednak pił teraz więcej niż kiedykolwiek, a przez jego łóżko przewijało się tyle dziewczyn, co przez publiczną toaletę. Chociaż wydawało mi się, iż żywi prawdziwe uczucia dla Liz Barrett... Współpracowaliśmy nad kwestią majątku babci i wujka Bartletta, mimo że ta ostatnia sprawa bardziej dotyczyła mojego brata niż mnie. Wuj Bartlett zostawił mu wszystko, z wyjątkiem zapisu dla mnie.

Pewnej nocy mój brat zamówił dodatkowe piwo, po czym mi się zwierzył, że jeszcze dwukrotnie wzywano go na posterunek policji. Wizyty tam doprowadzały go do szaleństwa. W końcu odbył rozmowę z Sidem Mattem Lancasterem, który mu doradził, by od tej pory zjawiał się na posterunku wyłącznie z nim, swoim adwokatem.

- Dlaczego stale cię wzywają? - spytałam. - Chyba czegoś mi nie powiedziałaś. Andy Bellefleur nie gnębi nikogo innego, a wiem, że zarówno Dawn, jak i Maudette spotykały się z wieloma mężczyznami.

Jason popatrzył na mnie zmartwiony. Nigdy nie widziałam u mojego przystojnego starszego brata tak zażenowanej miny.

- Filmy - wymamrotał.

Pochyliłam się bliżej, nie miałam bowiem pewności, czy dobrze go usłyszałam.

- Filmy? - spytałam z niedowierzaniem.

- Ciii - syknął. Wyglądał na cholernie winnego. - Kręciliśmy filmy.

Chyba byłam tak samo zakłopotana jak Jason. Siostry i bracia nie muszą wiedzieć o sobie wszystkiego.

- I dałeś im kopię - podsunęłam nieśmiało, zastanawiając się jednocześnie nad skalą jego głupoty.

Jason odwrócił wzrok. Jego zamglone niebieskie oczy romantycznie załśniły od łez. - Debil - oceniłam. - Nie mogłeś wprawdzie wiedzieć, że obejrzy je ktoś poza wami, pomyśl jednak, co się zdarzy, kiedy postanowisz się ożenić? Co będzie, jeśli jedna z twoich ekskochanek wyśle przyszłej pannie młodej kopię waszej randki?

- Dzięki, że kopiesz leżącego, siostrzyczko.

Wzięłam głęboki oddech.

- No dobra, dobra. Już nie kręcisz takich filmów, co? - Zdecydowanie pokiwał głową. Nie

wierzyłam mu. - I wszystko opowiedziałeś Sidowi Mattowi, prawda? - Kiwnął głową z mniejszym przekonaniem. - Dlatego twoim zdaniem Andy jest na ciebie taki cięty?

- Tak sądzę - bąknął żałośnie Jason.

- Cóż, jeśli sprawdzą twoje nasienie i nie będzie pasowało do próbek znalezionych podczas sekcji w pochwach Maudette i Dawn, oczyszczą cię z zarzutów.

Do tej pory miałam równie niepewną minę jak mój brat. W dodatku nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o męskich próbkach nasienia i kobiecych pochwach.

- To samo mówi Sid Matt. Tyle że ja po prostu już straciłem wiarę.

Hmm, Jason nie ufał najbardziej niezawodnemu naukowemu dowodowi, jaki można przedstawić w sądzie.

- Myślisz, że Andy sfalszuje wyniki? - spytałam.

- Nie, Andy jest w porządku. Facet wykonuje jedynie swoją robotę. Po prostu nie wiem zbyt wiele o DNA.

- Debil - powtórzyłam i obróciłam się, by pójść po kolejny dzban piwa dla czterech facetów z Ruston. Podejrzywałam, że są pewnie studentami college'u, którzy postanowili zabawić się na zadupiu.

Co do Jasona, pozostała mi nadzieja, że Sid Matt Lancaster potrafi używać perswazji.

Zanim mój brat opuścił „Merlotte'a”, rozmawiałam z nim raz jeszcze.

- Mogłabyś mi pomóc? - spytał, odwracając do mnie twarz. Nigdy nie widziałam u niego takiej miny. Stałam przy jego stoliku, gdyż jego „dzisiejsza dziewczyna” wyszła do toalety.

Jason nigdy wcześniej nie poprosił mnie o pomoc.

- W jaki sposób?

- Może poczytasz w myślach przychodzącym do baru ludziom i dowiesz się, który z nich jest zabójcą?

- Och, to nie jest takie łatwe, jak ci się wydaje, braciszku - odparłam powoli. Zastanowiłam się i wyjaśniłam: - Po pierwsze, taki facet musiałby, siedząc tutaj myśleć o swojej zbrodni i to dokładnie w momencie, w którym postanowię wejść w jego umysł. Po drugie, nie zawsze słyszę wyraźne myśli. Niektórych osób, owszem, słucha się jak radia. Słyszę wtedy myśli słowo w słowo. Od innych ludzi niestety otrzymuję tylko masę uczuć, nie dosłowne zdania... Albo taki bełkot, jakby ktoś mówił przez sen. Rozumiesz? Mniej więcej wiem, co myślą, potrafię ocenić, czy są zdenerwowani, czy też szczęśliwi, nie słyszę wszakże żadnych wyrazów. A znowu innymi razy słyszę myśl, lecz nie mogę wytropić, z czyjego umysłu pochodzi, szczególnie jeśli w sali panuje tłok.

Jason gapił się na mnie przez długą chwilę. Po raz pierwszy rozmawialiśmy otwarcie o moim przeklętym darze.

- Jak ci się udaje nie oszaleć? - spytał, ze zdumieniem potrząsając głową.

Już chciałam podjąć próbę wyjaśnienia mu swoich metod blokowania mózgu przed napływem niechcianych myśli, ale do stolika wróciła Liz Barrett - uczesana i ze świeżą szminką na ustach. Obserwowałam metamorfozę Jasona w uwodzicielskiego czarusa. Zrzucił swój smutek niczym ciężki płaszcz, a ja pożałowałam, że gdy był sam, nie rozmawiałam z nim dłużej.

Tej nocy, gdy nasz personel był gotów do wyjścia, Arlene spytała, czy mogłabym popilnować jej dzieci następnego wieczoru. Obie miałyśmy wtedy dzień wolny. Arlene chciała pojechać do Shreveport z Rene. Kino, potem może kolacja.

- Pewnie - odparłam. - Już od jakiegoś czasu nie pilnowałam dzieciaków.

Nagle twarz mojej przyjaciółki zastygła. Arlene, na wpół do mnie zwrócona, otworzyła usta, po czym się zastanowiła chwilę i w końcu palnęła:

- Czy... Bill tam będzie?

- Tak, planowaliśmy obejrzeć film na wideo. Zamierzałam pojechać jutro rano do wypożyczalni. W takim razie wezmę raczej coś dla dzieci. - Nagle zrozumiałam, o co pyta. - Hej, nie chcesz zostawić u mnie dzieci, jeśli odwiedzi mnie Bill? - Czułam, że oczy zwięzają mi się do szczelin, a głos przybiera gniewny ton.

- Sookie - zaczęła bezradnie. - Moja droga przyjaciółko, bardzo cię kocham. Nie jesteś jednak matką, nie możesz zatem mnie zrozumieć... Nie zostawię moich dzieci z wampirem. Po prostu nie mogę.

- Niezależnie od tego, że ja również tam będę i że także kocham twoje dzieci? Niezależnie od tego, że Bill nigdy nie zrobiłby krzywdy dziecku?

Wściekłym ruchem zarzuciłam torebkę na ramię i wyszłam tylnymi drzwiami, zostawiając za sobą Arlene, która wyglądała na rozdartą. Psiakość, powinna się czuć rozdarta!

Skręciwszy w drogę prowadzącą do mojego domu, trochę się już uspokoiłam, ciągle jednak byłam rozdrażniona. Gnębiłam się problemami Jasona, denerwowałam na Arlene i z zaskoczeniem rozmyślałam nad zachowaniem Sama, który traktował mnie jak daleką znajomą. Zastanawiałam się, czy wrócić do domu, czy też raczej pojechać do Billa. Wybrałam dom.

Odkryłam, jak bardzo mój wampir martwi się o mnie, gdy zjawił się u mnie jakieś piętnaście minut po godzinie, o której miałam być u niego.

- Nie przyszłaś, nie zadzwoniłaś - powiedział cicho, kiedy otworzyłam mu drzwi.

- Jestem w złym humorze - wyjaśniłam. - W paskudnym. - Bill postąpił mądrze, nie ruszając się i nie zbliżając do mnie. - Przepraszam, że się przeze mnie martwiłeś - dodałam po chwili. - Nigdy więcej tak nie postąpię.

Odeszłam wielkimi krokami do kuchni. Podążył za mną, a przynajmniej tak przypuszczałam.

Zachowywał się zawsze tak cicho, że człowiek - póki nie spojrzał - nie miał pewności co do miejsca

jego pobytu.

Mój wampir opierał się o framugę drzwi, tymczasem ja stałam pośrodku kuchni i nie wiedziałam, po co tu przyszłam. Czułam przypływ gniewu. Znowu się wściekałam. Zawładnęło mną ogromne pragnienie rzucenia czymś, uszkodzenia czegoś. Wychowano mnie jednak inaczej i nie miałam zwyczaju ulegać takim niszczącym impulsom, toteż się powstrzymałam. Zamknęłam oczy, a dłonie zacisnęłam w pięści.

- Będę teraz kopać dziurę - warknęłam i wymaszerowałam przez tylne wyjście. Otworzyłam drzwi do szopy na narzędzia, wzięłam łopatę i wyszłam na podwórko za domem. Znajdowała się tam grządka, na której - nie wiem dlaczego - nigdy nic nie rosło. Wbiłam łopatę w ziemię, nacisnęłam stopą, po czym wyjęłam wraz z kawałem ziemi. Pracowałam przed jakiś czas. Pagórek ziemi rósł, otwór się pogłębiał. - Mam doskonale wyćwiczone mięśnie ramion i barków - zauważyłam, opierając się na łopacie i sapiąc.

Bill siedział na leżaku i patrzył. Nic nie mówił.

Kontynuowałam kopanie.

W końcu miałam przed sobą naprawdę miłą dziurę.

- Będziesz coś zakopywać? - spytał wampir, widząc, że kończę.

- Nie. - Zajrzałam w wykopaną przez siebie jamę.

- Posadzę drzewo.

- Jaki gatunek?

- Dąb - rzuciłam ot tak, z głowy.

- Gdzie można kupić sadzonkę?

- W centrum ogrodniczym. Wpadnę tam w tygodniu.

- Dęby bardzo długo rosną.

- Jaka to dla ciebie różnica? - odburknęłam. Odniosłam łopatę do szopy, potem oparłam się o ścianę, nagle wyczerpana. Bill zrobił ruch, jakby chciał mnie podnieść.

- Jestem dorosłą kobietą! - wrzasnęłam. - Umiem wejść do domu sama.

- Zrobiłem ci coś? - spytał mój wampir niezbyt miłym tonem, który sprawił, że się otrząsnęłam.

Dość już chyba sobie pobłażałam.

- Przepraszam - bąknęłam. - Znów.

- Co cię tak rozgniewało?

Nie potrafiłam powtórzyć mu słów Arlene.

- Jak ty się pozbywasz wściekłości, Bill?

- Wrywam jakieś drzewo - odparł. - Czasami kogoś ranię.

W porównaniu z reakcjami wampira, kopanie dziury nie wyglądało źle. I okazało się całkiem konstruktywne. Choć nie do końca się uspokoiłam, było we mnie więcej teraz pokory niż

gniewu. Niecierpliwie rozejrzałam się za jakimś zajęciem.

Bill wyraźnie szybko potrafił interpretować takie symptomy.

- Kochajmy się - zaproponował. - Kochaj się ze mną.
- Nie jestem we właściwym nastroju.
- Może potrafię cię przekonać.

Okazało się, że potrafi.

Fizyczna miłość rzeczywiście uwolniła mnie od zbędnego gniewu, nie uleczyła jednak smutku.

Arlene naprawdę zraniła moje uczucia. Zagapiłam się w przestrzeń, gdy Bill spletał mi włosy.

Zajęcie to najwidoczniej go uspokajało, toteż co jakiś czas czułam się jak jego lalka.

- Jason był dzisiaj wieczorem w barze - powiedziałam.
- Czego chciał?

Czasami Bill wykazywał zbyt duży talent w interpretowaniu ludzkich odruchów.

- Odwołał się do moich zdolności telepatycznych. Prosił, żebym czytała w myślach mężczyznom przychodzącym do baru, aż odkryję mordercę.

- Z wyjątkiem kilka tuzinów wad, nie jest to zły pomysł.

- Tak sądzisz?

- Gdy morderca znajdzie się w więzieniu, zarówno twój brat, jak i ja będziemy uważani za mniej podejrzanych. A ty będziesz bezpieczna.

- To prawda, tyle że nie wiem, jak się za to zabrać. Słuchanie myśli tych wszystkich ludzi byłoby trudne, bolesne i strasznie nudne. Wyobraź sobie, ilu rzeczy musiałabym wysłuchać, próbując wyłapać tę jedną informację, przebłysk czyjejś myśli.

- Nie jest to chyba boleśniejsze czy trudniejsze, niż być podejrzewanym o morderstwo. Po prostu dotąd przyzwyczaiłaś się nie wykorzystywać swojego daru.

- Tak sądzisz? - Zaczęłam się obracać, chcąc spojrzeć mu w twarz, Bill wszakże trzymał mnie mocno, póki nie skończył zaplatać mi włosów. Zastanowiłam się, czy moja niechęć do własnej telepatii jest objawem samolubstwa i doszłam do wniosku, że może w tym przypadku tym właśnie była. Z drugiej strony poznałabym wiele sekretów różnych osób, straszliwie naruszając ich prywatność. - Pani detektyw - mruknęłam, usiłując zobaczyć swoje zadanie jako coś lepszego od zwykłego wścibstwa.

- Sookie - powiedział Bill. Coś w jego głosie zwróciło moją uwagę. - Eric kazał mi cię znów sprowadzić do Shreveport.

Minęło dobre parę sekund, zanim przypomniałam sobie, kim jest Eric.

- Ach, ten duży wampir o wyglądzie wikinga?

- Bardzo stary wampir - uściślił Bill.

- Chcesz powiedzieć, że rozkazał ci mnie tam sprowadzić?! - Zupełnie mi się to nie

podobało. Usiadłam na boku łóżka, Bill za mną. Wreszcie odwróciłam się i popatrzyłam mu w twarz. Tym razem nie powstrzymał mnie. Gapiłam się na niego, widząc na jego obliczu coś, czego nigdy przedtem nie widziałam. - Musisz to zrobić - szepnęłam przerażona. Nie mogłam sobie wyobrazić, że ktoś wydaje Billowi polecenie. - Ale, kochanie... nie chcę się spotykać z Erikiem. - Wnosząc z miny Billa, to stwierdzenie niczego nie zmieniało. - Kim on jest, Ojcem Chrzestnym wampirów? - spytałam gniewnym, pełnym niedowierzania tonem. - Złożył ci propozycję, której nie mogłeś odrzucić?

- Jest ode mnie starszy, a co ważniejsze - silniejszy.

- Nikt nie jest silniejszy od ciebie - oświadczyłam zdecydowanie.

- Szkoda, że nie masz racji.

- A więc on jest głową jednego z wampirzych stanów czy czegoś w tym rodzaju?

- Tak. Czegoś w tym rodzaju.

Bill zawsze bardzo powściągliwie mówił o sprawach wampirów. Dotychczas jego małomówność mi odpowiadała.

- Czego chce ode mnie? Co się stanie, jeśli do niego nie pójde?

Pierwsze pytanie mój wampir po prostu pominął milczeniem.

- Wyśle swoich ludzi... kilkoro swoich ludzi... Dopadną cię.

- Kilkoro wampirów.

- Tak. - Wpatrzyłam się w pozbawione wyrazu, intensywnie brązowe oczy Billa.

Spróbowałam przemyśleć jego słowa. Nie byłam przyzwyczajona do wypełniania czyichś rozkazów. Obca była mi sytuacja, w której nie mam żadnego wyboru. Kilka długich minut oceniałam swoje możliwości.

- Czuję się więc zobowiązany do walki z nimi?

- Oczywiście. Jesteś moja.

Znów użył określenia „moja”. Odnosiłam wrażenie, że mówi bardzo poważnie. Miałam ochotę się buntować, czułam jednak, że moje jęki na nic się zdadzą.

- Chyba muszę pójść - oznajmiłam, starając się nie dopuścić goryczy do głosu. - Chociaż to jawny, stary szantaż.

- Sookie, wampiry nie są podobne do ludzi. Eric wybiera po prostu najlepsze możliwe środki do osiągnięcia swojego celu, którym jest ściągnięcie cię do Shreveport. Nie musiał mi niczego wyjaśniać. Od razu go zrozumiałem.

- No cóż, i ja teraz to rozumiem, lecz w ogóle mi się to nie podoba! Znalazłam się między młotem a kowadłem! Do czego Eric mnie potrzebuje? - Oczywiście odpowiedź pojawiła się sekundę później.

Natychmiast spojrzałam na Billa z przestachem. - Och, nie, nie zrobię tego!

- Eric nie będzie uprawiał z tobą seksu ani cię kasał... - zapewnił mnie. - chyba że po moim trupie. -

Lśniąca twarz Billa zatraciła nagle wszelkie znajome dla mnie rysy i stała się zupełnie obca.

- On również zdaje sobie z tego sprawę - powiedziałam nieśmiało. - Musi więc istnieć inny powód, dla którego mam się zjawić w Shreveport.

- Tak - zgodził się mój wampir. - Nie znam go jednak.

- No cóż, skoro wizyta nie ma związku ani z moim urokiem fizycznym, ani z niezwykłością mojej krwi, musi mieć związek z moim... małym dziwactwem.

- Twoim darem.

- Właśnie - odparowałam tonem niemal ociekającym sarkazmem. - Moim cennym darem. - Cały gniew, który - jak mi się zdawało - zrzuciłam z ramion, wrócił teraz i osiadł na nich niczym dwustukilogramowy goryl. W dodatku na śmierć się przeraziłam. Byłam ciekawa, jak się czuje Bill, ale nawet bałam się go o to spytać. - Kiedy? - spytałam tylko.

- Jutro w nocy.

- Chyba trzeba będzie wziąć udział w tym dziwnym spotkaniu.

Spojrzałam ponad ramieniem Billa na wzorzystą tapetę, którą babcia wybrała dziesięć lat temu i obiecałam sobie, że jeśli wrócę z tego spotkania, zmienię ją.

- Kocham cię - szepnął.

Nie było w tym wszystkim winy Billa.

- Ja ciebie też kocham - odparłam.

Musiałam zapanować nad chęcią błagania go: „Proszę, nie pozwól, by ten zły wampir mnie zranił, proszę, nie pozwól mu mnie zgwałcić”. Jeśli ja znajdowałam się między młotem i kowadłem, sytuacja Billa była dwukrotnie gorsza. Nie próbowałam się zastanawiać, ile go kosztuje to sztuczne opanowanie. A może naprawdę był spokojny? Czy wampiry potrafią zachowywać całkowity spokój w obliczu czyjegoś bólu i tego rodzaju bezradności?

Przyjrzałam się uważnie jego twarzy, znajomym rysom i białej, matowej cerze, ciemnym łukowatym brwiom i dumnej linii nosa. Zauważyłam, że jedynie nieznacznie wysunął kły, a wiedziałam, że w pełni się wysuwają, gdy Billa ogarnia wściekłość lub żądza.

- Dzisiaj wieczorem... - zaczął. - Sookie... - Trzymał mnie i przyciągał do siebie. Chyba miałam się obok niego położyć.

- Co takiego?

- Myślę, że dziś wieczorem powinnaś się napić mojej krwi.

Skrzywiłam się.

- Cholera! Nie potrzebujesz całej swojej siły na jutrzejszą noc? Przecież nie jestem ranna.

- Jak się czułaś, gdy piłaś moją krew? Kiedy ci ją dałem? Pamiętasz?

Przypomniałam sobie.

- Dobrze - przyznałam.

- Byłaś chora?
 - Nie, ale też prawie nigdy nie choruję.
 - Miałaś więcej energii?
 - O ile sam mi jej nie odbierałeś! - odcięłam się cierpko, jednocześnie czułam jednak, że wargi rozciąga mi lekki uśmiech.
 - Byłaś silniejsza?
 - Hmm... Tak, chyba tak. - Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że tydzień temu łatwo wniosłam nowe krzesło. Wcześniej nie dostrzegałam w tym niczego nadzwyczajnego.
 - Prościej ci było kontrolować własny dar?
 - Tak, to również zauważyłam. - Zwiększoną kontrolę przypisałam własnemu większemu odprężeniu.
 - Jeśli napijesz się mojej krwi dziś wieczorem, jutro w nocy będziesz silniejsza.
 - Ale ty będziesz słabszy.
 - Jeśli nie wypijesz zbyt dużo, zregeneruję się podczas dnia w trakcie snu. A może będę musiał poszukać jakiegoś dawcy jutro w nocy, przed naszym wyjazdem do Shreveport. - Moją twarz wypełnił ból i smutek. Co innego podejrzewać, że Bill korzysta z krwi różnych osób, co innego wiedzieć o tym! - Sookie, robię to dla nas. Obiecuję, że nie będę uprawiał seksu z nikim innym.
 - Skoro uważasz, że takie rzeczy są konieczne.
 - Konieczne? Może. Ale na pewno pomocne. Wierz mi, potrzebujemy wszelkiej dostępnej pomocy...
 - Och, w porządku. Jak to zrobimy?
- Moje wspomnienie nocy, w którejssałam krew Billa, było bardzo zamglone, z czego dotąd byłam ogromnie zadowolona.
- Wampir popatrzył na mnie zagadkowo. Odniosłam wrażenie, że jest rozbawiony.
- Nie jesteś podekscytowana, Sookie?
 - Perspektywą picia twojej krwi? Wybacz, lecz inne rzeczy mnie podniecają.
- Potrząsnął głową, jakby nie potrafił pojąć moich słów.
- Zapominam - odparł po prostu. - Zapominam, jak się czują ludzie. Wolałabyś z szyi, przegubu, pachwiny?
 - Z pachwiny nie - rzuciłam pospiesznie. - Nie wiem, Bill. Ty postanów.
- Szyja - zdecydował. - Połóż się na mnie, Sookie.
 - Jak podczas uprawiania seksu.
 - To najprostszy sposób.

Usiadłam zatem na nim okrakiem i delikatnie się położyłam. Czułam się bardzo szczególnie. Dotąd tej pozycji używaliśmy wyłącznie podczas aktu miłosnego.

- Gryź, Sookie - szepnął wampir.
- Nie mogę tego zrobić - zaprotestowałam.
- Gryź, w przeciwnym razie będę musiał użyć noża.
- Nie mam tak ostrych zębów jak ty.
- Są wystarczająco ostre.
- Zranię cię. - Cicho się roześmiał. Jego pierś poruszyła się pode mną. - Cholera - prychnęłam.

Nie było sensu tego odwlekać, skoncentrowałam się więc i ugryzłam go w szyję. Po chwili kosztowałam w ustach metaliczną krew. Bill jęknął cicho, po czym przesunął dłońmi po moich plecach w dół i jeszcze niżej. Jego palce znalazły moje sekretne miejsce.

Sapnęłam z szoku.

- Pij - wychrypiał.

Ssałam mocno. Wampir jęknął głośniejsz, głębiej i przytulił się do mnie. Poczułam lekką falę złości. Przykleiłam się do Billa niczym pijawka, a on wszedł we mnie i zaczął się poruszać, obejmując moje biodra. Piłam krew i miałam wizje - na ciemnym tle widziałam białe istoty, które wychodziły z ziemi i ruszały na polowanie. Po chwili i ja pędziłam przez las. Przede mną dyszała moja ofiara. Podniecał mnie jej strach. Biegłam długimi susami, słysząc krwi tętniącą w arteriach ściganego... Mój wampir wydał głośne westchnienie i zadrzał w orgazmie. Podniosłam głowę znad jego szyi, poczułam falę mrocznej rozkoszy i doświadczyłam spełnienia. Ciekawe przeżycie dla kelnerki-telepatki z północnej Luizjany.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nazajutrz aż do zachodu słońca przygotowywałam się a spotkanie. Bill powiedział, że przed wyjazdem skorzysta gdzieś z czyjejś krwi i chociaż początkowo pomysł mnie zdenerwował, w końcu uznałam go za sensowny. Mój wampir miał też rację co do mojego samopoczucia po dawce jego krwi. Byłam w świetnym nastroju, czułam się niezwykle silna, ogromnie czujna, niebywale bystra oraz - co mnie nieco zdziwiło - bardzo ładna.

Zastanawiałam się, co włożyć na mój mały prywatny wywiad z wampirem. Nie chciałam wyglądać zbyt seksownie, z drugiej strony nie zamierzałam się także ośmieszać jakąś bezkształtną sukmaną. Jak często w takich przypadkach, najodpowiedniejsze wydały mi się dzinsy. Założyłam do nich białe sandały i wydekoltowany jasnoniebieski podkoszulek. Nie nosiłam go, odkąd zaczęłam się spotykać z Billem, ponieważ widać było ślady po kłach mojego ukochanego. Dziś wszakże mogłam na wszelkie możliwe sposoby podkreślać, że należę do wampira Billa. Przypomniałam sobie jednak policjanta, który sprawdzał mi ostatnim razem szyję, i do torebki schowałam szalik. Po chwili namysłu dodałam jeszcze srebrny naszyjnik. Wyszczotkowałam włosy, których odcień był teraz przynajmniej trzy tony jaśniejszy i zostawiłam je rozpuszczone na plecach.

Bill zapukał akurat wtedy, gdy zaczęłam go sobie wyobrażać z kimś innym. Otworzyłam drzwi i staliśmy przez minutę w bezruchu, przyglądając się sobie. Wargi mojego wampira miały więcej koloru niż zazwyczaj. Więc... to zrobił! Przygryzłam własne, by czegoś nie palnąć.

- Zmieniłaś się - zagaił pierwszy.

- Myślisz, że ktoś jeszcze to zauważy? - Miałam nadzieję, że nie.

- Nie wiem. - Podał mi rękę i poszliśmy do jego samochodu. Otworzył mi drzwiczki, a ja przesunęłam się obok niego, by wsiąść. Nagle zeszywniałam. - Co się stało? - spytał po chwili.

- Nic - odparłam, starając się utrzymać spokojny ton.

Usiadłam na siedzeniu pasażera i zagapiłam się prosto przed siebie.

Wmawiałam sobie, że równie dobrze mogłabym się wściekać na krowę, którą zabito, aby Bill mógł zjeść hamburgera. Jednak porównanie nie było zbyt szczęśliwe.

- Pachniesz inaczej - powiedziałam mu kilka minutach po wjeździe na autostradę. Sporo kilometrów przejechaliśmy w milczeniu.

- Teraz wiesz, jak będę się czuł, jeśli Eric cię tknie - odparował. - Chociaż pewnie czułbym się jeszcze gorzej, gdyż Ericowi sprawi przyjemność fizyczny kontakt z tobą, ja zaś nie cieszyłem się swoim... posiłkiem.

Stwierdziłam, że mój wampir nie mówi mi całej prawdy. Osobiście bardzo lubię jeść, nawet jeśli

podane potrawy nie należą do moich ulubionych. Doceniałam jednak kurtuazyjną odpowiedź Billa. Nie mówiliśmy dużo. Oboje niepokoił się czekającym nas spotkaniem. O wiele za wcześnie zaparkowaliśmy przy „Fangtasii”, tym razem jednak na tyłach. Kiedy mój wampir trzymał przede mną otwarte drzwiczki samochodu, walczyłam przez chwilę z dumnym pragnieniem: miałam ochotę przyłgnąć do siedzenia i odmówić wyjścia z auta. Gdy wreszcie zmusiłam się i wysiadłam, czekała mnie kolejna walka z samą sobą - bardzo chciałam ukryć się za Billem. W końcu westchnęłam ciężko, wzięłam go za rękę i ruszyliśmy do drzwi, jakbyśmy szli na przyjęcie, którego już nie możemy się doczekać.

Mój wampir oszacował mnie z aprobatą.

Zwalczyłam impuls posłania mu nachmurzonego spojrzenia.

Bill zastukał w metalowe drzwi z namalowanym napisem: FANGTASIA. Znajdowaliśmy się w alejce dla personelu i dostawców, która ciągnęła się za wszystkimi sklepami i lokalami małego centrum handlowego. Parkowało tu kilka innych samochodów, wśród nich czerwony sportowy kabriolet Erica. Wszystkie pojazdy były drogie.

Nie znajdziesz wampira w fordzie fiesta.

Bill zastukał: trzy razy szybko, potem dwa razy w dłuższych odstępach. Zapewne było to „sekretne pukanie wampirów”. Przemknęło mi przez myśl, że może nauczę się też „tajnego uścisku dłoni”.

Otworzyła nam piękna blond wampirzyca, która podczas mojej poprzedniej wizyty w barze siedziała przy stoliku z Erikiem. Odsunęła się na bok bez słowa, pozwalając nam wejść.

Gdyby Bill był człowiekiem, zaprotestowałby, że tak mocno trzymam jego dłoń.

Wampirzyca znalazła się przed nami szybciej, niż zdołałam dostrzec. Wzdrygnęłam się. Billa jednak oczywiście zupełnie nie zaskoczyła. Zaprowadziła nas przez magazyn niepokojąco podobny do tego w „Merlotcie”, a potem krótkim korytarzem. W końcu weszliśmy w drzwi po prawej stronie.

Eric znajdował w małym pomieszczeniu. Natychmiast przyciągnął mój wzrok. Bill na szczęście nie klęknął i nie pocałował jego pierścienia, choć skłonił mu się głęboko. W pokoju znajdował się też drugi wampir - barman imieniem Długi Cień. Wyglądał wspaniale w koszuli, wąskim krawacie i obcisłych spodniach; cały jego strój był w intensywnym zielonym odcieniu.

- Bill, Sookie - powitał nas Eric. - Długi Cień, Bill i ty, Sookie, już się znacie. Sookie, pamiętasz Pam? - Czyli blond wampirzycę. - A to jest Bruce.

Bruce był człowiekiem, najbardziej przestraszonym człowiekiem, jakiego w życiu widziałam. Współczułam mu. Mężczyzna był w średnim wieku, miał wydatny brzuszec, rzadkie, ciemne włosy, ułożone w sztywne fale, obwisłe policzki i małe usta. Nosił ładny garnitur, beżowy, z białą koszulą i wzorzystym brązowo-granatowym krawatem. Mocno się pocił. Siedział na krześle z

prostym oparciem przed biurkiem Erica. Eric naturalnie siedział w fotelu za biurkiem. Pam i Długi Cień stali przy ścianie naprzeciwko niego, przy drzwiach. Bill zajął miejsce obok nich, jednak gdy ja postanowiłam do niego dołączyć, blond wampir znów się odezwał:

- Sookie, posłuchaj Bruce'a.

Zastygłam, gapiąc się na mężczyznę przez kilka sekund. Czekałam, aż przemówi, później jednak zrozumiałam, o co chodzi Ericowi.

- Czego dokładnie mam słuchać? - spytałam, słysząc w swoim głosie ostry ton.

- Ktoś w lokalu sprzeniewierzył około sześćdziesięciu tysięcy dolarów - wyjaśnił wampir. „Rany, temu komuś naprawdę się spieszy na tamten świat!” - pomyślałam. - I zamiast skazać wszystkich naszych ludzkich pracowników na śmierć bądź tortury, pomyśleliśmy, że może zajrzysz w ich umysły i powiesz nam, który z nich to zrobił.

Powiedział: „śmierć bądź tortury” tak spokojnie jak ja mawiam: „pilzner bądź porter”.

- I co wtedy zrobisz? - spytałam. Eric wydawał się zaskoczony.

- Ta osoba odda nam pieniądze - odparł po prostu.

- A potem?

Zapatrzył się na mnie, mrużąc duże niebieskie oczy.

- Och, jeśli zdołamy znaleźć dowód zbrodni, oddamy sprawcę policji - odrzekł gładko.

Czułam, że łąże jak z nut.

- Zawrzyjmy umowę, Ericu - zaproponowałam mu bez uśmiechu.

Wszyscy wokół zastygli, na szczęście blond wampir wcale się na mnie nie zdenerwował. Nawet uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jaką, Sookie?

- Jeśli naprawdę oddasz winnego policji, zjawię się znów następnym razem, kiedy mnie wezwiesz. - Eric uniósł brwi. - Tak, wiem, że prawdopodobnie i tak musiałabym się zjawić i wykonać twoje polecenie. Lecz czy nie lepiej, że przyjdę chętna, pełna dobrych intencji? - Po ciele spłynął mi pot. Nie mogłam uwierzyć, że targuję się z wampirem.

Eric jednak wyraźnie rozważał moje słowa. I nagle zaczęłam czytać mu w myślach. Wiedział, że może zrobić ze mną, co zechce. Wszędzie i w każdej chwili. Wystarczy, że zagrozi Billowi lub innej osobie, którą kocham. Pragnął jednak polepszyć swoje kontakty z ludźmi i w miarę możliwości przestrzegać naszego prawa. Nie chciał nikogo zabijać, póki nie będzie musiał.

Czułam się, jakbym - zamiast do jego umysłu - wpadła w dół pełen zimnych, oślizgłych, bardzo niebezpiecznych węży. Miałam wprawdzie kontakt jedynie z przebłyskiem jego myśli... czymś w tym rodzaju... tym niemniej nieoczekiwanie uświadomiłam sobie istnienie ogromnej, nieznannej mi dotąd rzeczywistości.

- Poza tym - dodałam szybko, zanim wampir zdąży odkryć, że znalazłam się we wnętrzu jego

głowy - skąd wynika twoja pewność, że złodziej jest człowiekiem?

Pam i Długi Cień poruszyli się nagle, Eric wszakże jednym gestem nakazał im spokój.

- Interesująca myśl - zauważył. - Pam i Długi Cień są moimi partnerami w tym barze. Jeśli wszyscy ludzie okażą się niewinni, zapewne będziemy musieli przyjrzeć się tej parce.

- To tylko sugestia - stwierdziłam cicho, a Eric przyjrzał mi się lodowatymi, niebieskimi oczyma istoty, która ledwie pamięta, czym jest człowieczeństwo.

- Zaczynij od tego mężczyzny - rozkazał.

Klękłam przy krześle Bruce'a. Zastanawiałam się, co robić. Nigdy nie czytałam ludziom w myślach na rozkaz. Pewnie pomógłby dotyk. Bezpośredni kontakt, że tak powiem, uwyraźniłby transmisję. Wzięłam mężczyznę za rękę, lecz wydało mi się to zbyt intymne (poza tym dłoń okazała się mokra od potu), odsunęłam mu więc mankiet marynarki i chwyciłam za nadgarstek. Następnie zajrzałam Bruce'owi w małe oczy.

„Nie wziąłem tych pieniędzy, ten, kto je wziął, jest szalony i głupi, skoro naraża nas na takie niebezpieczeństwo, co zrobi Lillian, jeśli mnie zabiją, a Bobby i Heather, po co w ogóle pracowałem dla wampirów, chyba z czystej chciwości, za którą teraz płacę, Boże, nigdy już nie zamierzam pracować dla tych istot, jak ta wariatka może odkryć, kto wziął tę pieprzoną forszę, dlaczego mnie nie puszcza, kim ta dziewczucha w ogóle jest, czy jest również wampirzycą, czy może jakimś demonem, ma tak dziwne oczy, trzeba było najpierw ustalić, kto ukradł pieniądze, a dopiero później poinformować Erica o ich zniknięciu...”.

- Czy to ty wzięłaś pieniądze? - wydyszałam, choć byłam pewna, że znam już odpowiedź.

- Nie - jęknął Bruce. Pot spływał mu po twarzy, a jego aktualne myśli i reakcja na moje pytanie potwierdzały wszystko to, co usłyszałam przed chwilą.

- Wiesz, kto je wziął?

- Chciałbym wiedzieć.

Wstałam, odwróciłam się do Erica i potrząsnęłam głową.

- Nie ten facet - rzuciłam.

Pam wyprowadziła nieszczęsnego Bruce'a, po czym wprowadziła na przesłuchanie następną osobę.

Była to barmanka, ubrana w powłóczystą czarną suknię z dekoltem i licznymi rozcięciami.

Postrzępione włosy w odcieniu rdzawego blondu opadały jej na plecy. Praca w „Fangtasii” stanowiła wymarzone zajęcie dla miłośniczki klów, a dziewczyna miała blizny udowadniające, że panienkę cieszą te dodatkowe korzyści. Była tak pewna siebie, że uśmiechnęła się do Erica i tak głupia, że śmiało zajęła drewniane krzesło. Nawet założyła nogę na nogę w stylu - jak jej się wydawało - Sharon Stone. Zaskoczyliśmy ją - obcy wampir i obca kobieta; nie spodobałam się jej, choć na widok Billa oblizwała sobie wargi.

- Hej, kochanie - rzuciła pod adresem Erica. Uznałam, że biedaczka nie ma za grosz wyobraźni.

- Ginger, odpowiedz tej pani na kilka pytań - polecił jej Eric tonem stanowczym, nieubłagany i twardym niczym kamienny mur.

Barmanka po raz pierwszy chyba odkryła, że nadeszła pora na powagę. Skrzyżowała kostki, ręce położyła na udach i przyjęła surową minę.

- Tak, szefie - odparła. Zaczęłam się obawiać, że zaraz zwymiotuję. Dziewczyna wielkopańsko zamachała do mnie ręką, jakby sugerując: „Dalej, wypełniaj polecenia naszego pana”. Chwyciłam jej przegub, lecz wyrwała rękę. - Nie dotykaj mnie - powiedziała, niemal sycząc.

Była to tak ekstremalna reakcja, że wszystkie wampiry zastygły w oczekiwaniu. Prawie czułam w powietrzu napięcie.

- Pam, unieruchom Ginger - rozkazał Eric. Wampirzyca w milczeniu przeszła za krzesło barmanki, po czym pochyliła się nad nią i położyła jej ręce na ramionach. Dziewczyna walczyła, usiłując poruszać głową, Pam jednak mocno ją trzymała.

Znowu chwyciłam przegub nieszczęśnicy.

- Ukradłaś pieniądze? - spytałam, wpatrując się w płonące od złości brązowe oczy Ginger.

Zareagowała gwałtownie. Krzyczała długo i głośno, obrzucając mnie przekleństwami. Wsłuchiłam się w myślowy chaos panujący w jej małym mózdzku. - Ona wie, kto je zabrał - poinformowałam Erica. Barmanka przestała nagle krzyczeć, tylko szlochała. - Nie może podać jego imienia - dodałam - bo ją ugryzł. - Dotknęłam blizny na szyi Ginger, jakby moje słowa wymagały dokładniejszego wyjaśnienia. - W jakiś sposób jej zabronił - dopowiedziałam po kolejnej próbie odczytania myśli dziewczyny. - Nawet nie może go opisać.

- Hipnoza - skomentowała Pam. Pod wpływem bliskości barmanki wysunęła kły. - Silny wampir.

- Sprowadźcie jej najbliższą przyjaciółkę - podsunęłam.

Ginger trzęsła się jak osika. Chyba usiłowała coś sobie przypomnieć, ale nie mogła.

- A ta ma zostać czy odejść? - spytała mnie wprost wampirzyca.

- Niech odejdzie. Tylko przestraszy tę drugą.

Tak bardzo się zaangażowałam w sprawę i po raz pierwszy tak jawnie używałam mojej dziwnej zdolności, że aż się bałam spojrzeć na Billa. Wydawało mi się, że nie mogę na niego patrzeć, gdyż jego widok osłabi mnie. Wiedziałam jednak, gdzie stoi. Wraz z Długim Cieniem od początku przesłuchania zastygli w miejscu.

Pam wyciągnęła drżącą Ginger z pokoju. Nie mam pojęcia, co z nią zrobiła, tak czy owak po chwili wróciła z kelnerką w podobnym stroju. Nowo przybyła, imieniem Belinda, była starsza i mądrzejsza od barmanki. Miała kasztanowe włosy, okulary i najseksowniej wydeptane wargi, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Belindo, z jakim wampirem Ginger się spotyka? - spytał Eric kobietę, gdy tylko usiadła, a ja jej dotknęłam. Kelnerka miała dość rozumu, by spokojnie uczestniczyć w rozmowie i tyleż

inteligencji, by nakazać sobie szczerłość.

- Był taki jeden - odparła wprost.

Dostrzegłam w umyśle Belindy zamazany obraz.

- Który z nich? - spytałam szybko i kelnerka pomyślała imię. Zanim je przekazałam, spojrzałam na Indianina, a wtedy on przeskoczył krzesło, na którym siedziała Belinda, i rzucił się na mnie, kucając przed kobietą. Wpadłam plecami w biurko Erica i tylko podniesione dłonie uchroniły mnie przed zębami, które Długi Cień właśnie miał zatopić w moim gardle z zamiarem rozprucia go. Ugryzł mnie za to w przedramię - tak mocno, że aż wrzasnęłam; a przynajmniej próbowałam wrzasnąć, niestety po upadku zabrakło mi powietrza, wydałam więc z siebie jedynie nerwowy gulgot.

Czułam jego ciężkie ciało na swoim, doskwierało mi ugryzione przedramię i własny strach.

Przypomniałam sobie sytuację z Rattrayami i fakt, że zaczęłam się bać śmierci z rąk Szczurów dopiero wówczas, gdy zrobiło się już niemal za późno. Teraz postanowiłam nie wypowiadać głośno imienia Indianina; wiedziałam, że w takim przypadku wampir natychmiast zada mi śmiertelny cios. Sekundę później usłyszałam jakiś straszny hałas i odkryłam, że ciało wampira ciąży, mi jeszcze bardziej. Nie miałam pojęcia, co się stało. Widziałam oczy Indianina nad moim ramieniem. Były szeroko otwarte, brązowe, oszalałe, lodowate... Niespodziewanie zmatowiały, a potem zaczęły się zamykać. Z ust wampira chlusnęła krew. Część spłynęła mi na rękę, część dostała się do moich otwartych ust. Zakrztusiłam się. Twarz wampira odsunęła się od mojego przedramienia i na moich oczach zapadła w siebie, a następnie zaczęła marszczyć. Oczy Indianina zmieniły się w galaretowate sadzawki. Garście gęstych, czarnych włosów wampira spadły mi na twarz. Z szoku znieruchomiałam. Czyjeś ręce chwyciły mnie za ramiona i zaczęły wyciągać spod gnijącego trupa. Odpychałam się stopami, by się wycofać jak najprędzej.

Nie czułam smrodu, ale widok rozpadającego się z niewiarygodną szybkością wampirzego ciała był wstrętny i okropnie przerażający. Dostrzegłam sterczący z pokrytych Czarną mazią pleców Indianina kołek. Eric stał równie nieruchomo jak pozostali, tyle że w dłoni trzymał drewniany młotek. Bill znajdował się tuż za mną; to on wyciągnął mnie spod zwłok Indianina. Pam czekała przy drzwiach, rękę położyła na ramieniu Belindy. Kelnerka wyglądała na równie przestraszoną jak ja.

Nawet mąż powoli zaczęła niknąć w dymie. Staliśmy zmrożeni, aż rozwiała się jego ostatnia wstęga. W końcu na dywanie pozostał tylko niewielki ślad przypalenia.

- Będziesz musiał kupić nowy dywan - palnęłam ni z tego, ni z owego, bo już naprawdę nie mogłam znieść ciszy.

- Masz okrwawione usta - zauważył Eric. Wszystkie wampiry w pełni wysunęły kły i wyglądały na podniecone.

- Zakrwawił mnie.

- Połknęłaś trochę?

- Prawdopodobnie. Co to znaczy?

- Zobaczymy - wtrąciła Pam mrocznym, chrapliwym głosem. Przypatrywała się Belindzie w sposób, który przyprawił mnie o wyraźne zdenerwowanie. Kelnerka jednak, co było dla mnie niewiarygodne, wydawała się z tego spojrzenia dumna. - Zwykle - dodała wampirzyca, wpijając się wzrokiem w wydatne wargi Belindy - my pijemy ludzką krew, nie ludzkie naszą.

Eric przyglądał mi się z podobnym zainteresowaniem, jak Pam Belindzie.

- Jak teraz postrzegasz swoje otoczenie, Sookie? - spytał miłym tonem. Słyszając go, nigdy bym nie pomyślała, że dopiero co zabił starego przyjaciela.

Hmm... zastanowiłam się nad jego pytaniem. Ogólnie rzecz biorąc, postrzegałam je jaśniej. Dźwięki były wyraźniejsze i słyszałam je dokładniej. Miałam ochotę odwrócić się i spojrzeć na Billa, bałam się jednak spuścić wzrok z Erica.

- No cóż, sądzę, że my z Billem chyba już pójdziemy - powiedziałam, jakby było to jedyne możliwe posunięcie. - Zrobiłam, Ericu, to, o co prosiłeś. Teraz zamierzamy odejść. Nie będziesz się mścił na Ginger, Belindzie i Brusie, prawda? Zawarliśmy przecież układ. - Ruszyłam do drzwi z tupetem, którego wcale w sobie nie czułam. - Założę się, że musisz iść się zająć barem. Kto przyrządza dziś wieczorem drinki?

- Mam zastępcę - odparł Eric nieobecny głosem. Jego oczy ani na moment nie opuściły mojej szyi. - Pachniesz inaczej, Sookie - mruknął, robiąc ku mnie krok.

- Ej, Ericu, pamiętaj, że zawarliśmy umowę - przypomniałam mu uprzejmie i wesoło z wielkim, choć nieco spiętym uśmiechem. - Bill i ja idziemy właśnie do domu, zgadza się? - Zaryzykowałam spojrzenie za siebie, na mojego wampira. Serce we mnie zamarło. Bill miał oczy szeroko otwarte i nieodgadnione oblicze. Obnażył kły i cicho powarkiwał. Jego źrenice były ogromne. Gapił się na Erica. - Pam, zejdź z drogi - poleciłam cicho, lecz ostro. Wampirzyca otrząsnęła się z oszałamiającej ją żądzы krwi i jednym spojrzeniem oceniła sytuację. Otworzyła drzwi biura, wypędziła Belindę, potem stanęła obok wyjścia, robiąc nam miejsce. - Zawołaj Ginger - zasugerowałam, a Pam natychmiast pojęła sens moich słów.

- Ginger - zawołała chrapliwie. Barmanka wypadła z drzwi w dół korytarza. - Eric cię potrzebuje - dodała.

Oblicze Ginger rozjaśniło się, jakby dziewczyna miała randkę z Davidem Duchovnym. Niemal tak szybko, jak to robią wampiry, zjawiła się w pokoju i zaczęła się ocierać o Erica. Eric - jakby otrząsnął się z jakiegoś zaklęcia - poruszył się i patrzył z góry na Ginger, która głaskała go dłońmi po piersi. Kiedy się pochylał, by pocałować barmankę, zerknął na mnie ponad jej głową.

- Jeszcze się zobaczymy - rzucił, ja zaś natychmiast wyciągnęłam Billa z pomieszczenia.

Mój wampir nie chciał odejść, miałam więc wrażenie, że ciągnę ciężką kłodę. Na szczęście w korytarzu zrozumiał chyba konieczność zniknięcia z „Fangtasii”. Wyszliśmy na zewnątrz, pośpiesznie ruszyliśmy na parking i już po chwili siedzieliśmy w aucie Billa.

Obejrzałam swój strój. Całe ubranie miałam pokrwawione i wymięte. Dziwnie pachniałam. A fe! Przeniosłam wzrok na Billa, zamierzając się z nim podzielić odczuwanym wstrętem, on jednak gapił się na mnie w niedwuznaczny sposób.

- Nie - powiedziałam gwałtownie. - Uruchomisz teraz samochód, Billu Compton, i odjedziesz stąd, zanim coś się zdarzy. Stanowczo ci powtarzam, że nie jestem w nastroju do figłów!

Nic więcej nie zdążyłam powiedzieć, gdyż Bill sięgnął ku mnie, chwycił mnie w pasie i pociągnął w górę, ku sobie. Jego usta znalazły się na moich, a jego język zaczął zlizywać z mojej twarzy krew.

Naprawdę się wystraszyłam. A poza tym wpadłam w okropny gniew. Złapałam mojego wampira za uszy i odciągnęłam jego głowę od swojej, używając całej posiadanej siły; okazało się, że jestem mocniejsza, niż przypuszczałam.

Oczy Billa nadal wyglądały jak głębokie jaskinie zaludnione duchami.

- Bill! - wrzasnęłam, potrząsając nim. - Opanuj się wreszcie! - Powoli wracał do siebie. W końcu drżąc westchnął, po czym lekko pocałował moje wargi. - No dobrze, możemy wreszcie pojechać do domu? - spytałam, wstydząc się swojego roztrzęsionego głosu.

- Pewnie - odparł. Wciąż jeszcze się uspokajał.

- Czy czuliście się jak rekiny, które zwietrzyły krew? - spytałam po kwadransie milczącej jazdy. Już prawie wyjechaliśmy z Shreveport.

- Dobra analogia.

Nie musiał przeproszać. Zachowywał się przecież zgodnie ze swoją naturą, zgodnie z instynktem wampira. Nie czuł się winny. Ja jednak po prostu zapewne pragnęłam usłyszeć jego przeprosiny.

- Mam więc kłopoty? - spytałam wreszcie. Była druga nad ranem i odkryłam, że nie przejmuję się tym wszystkim tak bardzo, jak powinnam.

- Eric dotrzyma danego ci słowa - odrzekł Bill - nie wiem wszakże, czy ciebie osobiście zostawi w spokoju. Chciałbym... - dodał i zamilkł. Chyba po raz pierwszy słyszałam, że Bill czegoś pragnie.

- Sześćdziesiąt tysięcy dolarów nie jest pewnie dużą sumą dla wampira - zauważyłam. - Wydaje mi się, że wszyscy macie mnóstwo pieniędzy.

- Wampiry, rzecz jasna, okradają swoje ofiary - odparł lekkim tonem. - Początkujące wampiry rabują zwłoki, bardziej doświadczone potrafią przekonać ludzi do dobrowolnego oddawania pieniędzy. Dzięki naszemu czarowi człowiek zapomina, że to zrobił. Jedni z nas zatrudniają własnych doradców finansowych, drudzy zajmują się handlem nieruchomościami,

jeszcze inni żyją z odsetek zainwestowanych w rozmaite fundusze. Eric i Pam wspólnie założyli bar. Większość pieniędzy wyłożył Eric, resztę dała Pam. Długi Cień był im znany od stu lat, więc przyjęli go na barmana. A on ich zdradził.

- Dlaczego ich obrabował?

- Pewnie potrzebował kapitału na jakieś przedsięwzięcie - odparł Bill nieobecny tonem. - Ze względu na swój tryb życia nie mógł po prostu dopaść jakiegoś pracownika banku, zahipnotyzować go, wziąć od niego pieniądze, a później go zabić... Dlatego zabrał je Ericowi.

- Eric nie pożyczyłby mu?

- Pożyczyłby, ale Długi Cień był zbyt dumny, by go o nie poprosić - wyjaśnił.

Nastąpiła kolejna długa cisza.

- Zawsze - odezwałam się w końcu - uważałam wampiry za istoty inteligentniejsze od ludzi. Nie są takie, prawda?

- Nie wszystkie - zgodził się.

Gdy dotarliśmy na peryferie Bon Temps, poprosiłam Billa o odwiezienie do domu. Spojrzał na mnie z ukosa, nic jednak nie powiedział. Może wampiry są jednak bystrzejsze niż ludzie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz, kiedy przygotowywałam się do pracy, uprzytomniłam sobie, że przez jakiś czas nie mam ochoty widywać wampirów. Nawet Billa.

Byłam gotowa przypomnieć sobie, że jestem człowiekiem.

Kłopot w tym, że nie mogłam nie zauważyć, iż jestem człowiekiem... hmm... zmienionym.

Niby nie stało się nic wielkiego. Kiedy po napaści Szczurów napiłam się po raz pierwszy krwi Billa, czułam się uzdrowiona, zdrowa, silniejsza. Lecz nie wyraźnie inna! Może trochę... no cóż, seksowniejsza.

Po drugim kontakcie z krwią Billa byłam naprawdę silniejsza i odważniejsza, gdyż miałam więcej pewności siebie. Innymi słowy, pokładałam więcej wiary we własną seksualność i jej moc. Wyraźnie lepiej i szybciej panowałam nad swoim „upośledzeniem”.

Krew Indianina trafiła mi się przez przypadek. Spoglądając rano w lustro, odkryłam, że zęby mam bielsze i ostrzejsze. Moje włosy wydawały się jaśniejsze i bardziej błyszczące, oczy lśniły. Wyglądałam jak dziewczyna z plakatu reklamującego higienę i zdrowie albo konkretną sprawę, jak łykanie witamin czy picie mleka. Ugryzienie na moim przedramieniu (uświadomiłam sobie, że było to ostatnie ugryzienie Indianina na tej ziemi) nie zagoiło się w pełni, lecz nie bolało i nie przeszkadzało mi.

W pewnej chwili spadła mi torebka, a kiedy ją podnosiłam, wypadły z niej drobniaki i potoczyły się pod kanapę. Podniosłam koniec kanapy jedną ręką, drugą pozbierałam monety. Jezusie!

Wyprostowałam się i wzięłam głęboki wdech. Przynajmniej światło słoneczne nie raniło moich oczu i nie miałam ochoty gryźć każdego, kogo zobaczę. Smakował mi tost, którego jadłam na śniadanie i wcale nie tęskniłam za sokiem pomidorowym. Nie zmieniałam się w wampira. Może stawałam się udoskonaloną istotą ludzką?

W czasach, gdy nie umawiałam się na randki, moje życie na pewno było prostsze.

Dotarłam do „Merlotte’a”. Zauważyłam, że nikt nie pokroił cytryn i limonek; podawaliśmy te owoce do koktajli alkoholowych i herbaty. Wzięłam więc deskę do krojenia i ostry nóż. Kiedy wyjmowałam z dużej lodówki cytryny, Lafayette obwijał się fartuchem.

- Rozjaśniłaś włosy, Sookie? - spytał. Potrząsnęłam głową. Oprócz białego fartucha Lafayette miał na sobie symfonię kolorów: wąski jasnoczerwony krawat, ciemno-fioletowe dżinsy, czerwone klapki, na powiekach zaś cienie w kolorze malinowym. - Pewnie wyglądają jaśniej - powiedział sceptycznie, unosząc wyskubane brwi.

- Dużo przebywałam na słońcu - zapewniłam go. Dawn nigdy się nie zbliżyła z Lafayette'em, ponieważ był czarny albo ponieważ był gejem, zresztą nie wiem... może z obu względów. Arlene i Charlsie zaakceptowały go, choć nie siliły się na przyjazny ton. Ja jednak zawsze lubiłam naszego kucharza, gdyż znosił swoje prawdopodobnie trudne życie z werwą i wdziękiem.

Zerknęłam na deskę do krojenia. Wszystkie cytryny poćwiartowałam, wszystkie limonki pokroiłam w plasterki. W rękę trzymałam ociekający sokiem nóż. Zrobiłam to całkiem bezwiednie. W jakieś trzydzieści sekund. Zamknęłam oczy. Mój Boże!

Gdy je otworzyłam, Lafayette przeskakiwał wzrokiem od mojej twarzy do rąk.

- Powiedz mi, dziewczyno, że po prostu tego nie widziałem - zasugerował.

- Nie widziałeś tego - potwierdziłam. Głos miałam chłodny i zrównoważony, co zauważyłam z zaskoczeniem.

- Przepraszam, muszę je odłożyć. - Odstawiłam owoce w oddzielnych pojemnikach do dużej lodówki za barem, gdzie Sam trzymał piwo. Zamykając drzwi, zobaczyłam mojego szefa. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Jego jasnoniebieskie oczy badawczo zlustrowały mnie od głowy do stóp.

- Robisz coś z włosami? - dodał niepewnie.

Roześmiałam się. Odkryłam, że z łatwością blokuję też dziś napływ ludzkich myśli. Proces blokowania przestał być bolesny.

- Byłam długo na słońcu - wyjaśniłam.

- A co ci się stało w rękę?

Popatrzyłam na swoje prawe przedramię. Przykryłam ugryzienie bandażem.

- Pies mnie ugryzł.

- Był szczepiony?

- Pewnie.

Popatrzyłam na Sama z dość bliska i wydało mi się, że jego twarde, faliste, rudoblond włosy elektryzują się i lekko podnoszą. Miałam wrażenie, że słyszę bicie jego serca. Czułam niepewność mojego szefa i jego pożądanie. Moje ciało zareagowało natychmiast. Skupiłam spojrzenie na jego wąskich wargach i wciągnęłam w płuca wspaniały zapach jego płynu po goleniu. Sam podszedł kilka centymetrów. Słyszałam jego oddech. Wiedziałam, że penis mu sztywnieje.

Wtedy Charlsie Tooten weszła frontowymi drzwiami, zatraskując je za sobą. Ja i Sam od razu od siebie odstepiliśmy. „Dzięki ci, Boże, za Charlsie” - pomyślałam. Pulchna, głupia, dobrodusza i pracowita Charlsie była wymarzoną pracownicą. Mieszkała z mężem Ralphem, swoim ukochanym od szkoły średniej, który pracował w przetwórni drobiu. Mieli dwie córki - jedną w jedenastej klasie, drugą już zamężną. Charlsie uwielbiała pracę w barze, dzięki czemu mogła wyjść z domu i

spotkać się z ludźmi. Łatwo też radziła sobie z pijakami, którzy po rozmowie z nią grzecznie i bez buntu wychodzili z „Merlotte’a”.

- Cześć wam obojgu! - oświadczyła radośnie. Ciemnobrązowe włosy (od farby L’Oreal, jak oświadczył Lafayette) ściągnęła gumką tak wysoko, że z wierzchołka głowy zwisały jej w kaskadzie loków. Bluzkę miała nieskazitelnie czystą, lecz kieszenie szortów były na wpół otwarte, gdyż zbyt dużo do nich włożyła. Na nogach miała gładkie rajstopy przeciwzylakowe i tenisówki marki Keds. Sztuczne paznokcie pomalowała na burgundową czerwień.

- Moja córka spodziewa się dziecka. Możecie mniej już nazywać babcią! - oznajmiła. Zobaczyłam, że jest szczęśliwa jak nigdy dotąd. Tak jak oczekiwała, przytuliłam ją, a Sam poklepał po ramieniu. Oboje cieszyliśmy się z jej widoku.

- Kiedy ma się urodzić? - spytałam, ale Charlsie już zniknęła.

Przez następne pięć minut nie musiałam się do nikogo odzywać. Potem przyszła Arlene (z makijażem niedokładnie zakrywającym malinki na szyi) i wysłuchała całej historii. Raz tylko wymieniałam spojrzenia z Samem. Po krótkiej chwili równocześnie odwróciliśmy wzrok. Potem zrobiła się pora lunchu, musiałam obsłużyć spory tłumek i incydent z szefem popadł w zapomnienie.

O tej godzinie większość ludzi piła niewiele, najwyżej piwo lub kieliszek wina. Spora liczba zamawiała jedynie mrożoną herbatę albo wodę. Tłum w porze lunchu składał się z osób, które akurat przypadkowo znalazły się w pobliżu „Merlotte’a”, stałych bywalców oraz miejscowych alkoholików, dla których południowy drink był już trzecim bądź czwartym. Przyjmując zamówienia, przypominałam sobie prośbę mojego brata.

Resztę swojej zmiany spędziłam, przysłuchując się ludzkim myślom, co okazało się bardzo wyczerpujące. Nigdy nie słuchałam przez cały dzień. Nigdy nie opuściłam mojej mentalnej blokady na tak długi czas. Czytanie w myślach nie sprawiało mi jednak tak dużego bólu jak wcześniej i chyba chłodniej podchodziłam do tego, co słyszę. Szeryf Bud Dearborn siedział przy stoliku z burmistrzem, przyjacielem mojej babci, Sterlingiem Norrisem. Gdy przechodziłam, pan Norris wstał i poklepał mnie na ramieniu, a ja zrozumiałam, że widzę go pierwszy raz od pogrzebu babci.

- Jak sobie radzisz, Sookie? - spytał tonem współczucia. Wyglądał marnie.

- Naprawdę dobrze, panie Norris. A pan?

- Cóż, Sookie, jestem starcem - odparł z niepewnym uśmiechem. Nawet nie czekał, aż zaprotestuję. - Te morderstwa mnie załamały. Nie było żadnych zabójstw w Bon Temps, odkąd Darryl Mayhew zastrzelił Sue Mayhew. A tamtej śmierci nie otaczała żadna tajemnica.

- Ile to było... lat temu? Sześć? - spytałam szeryfa, jedynie dla przedłużenia pogawędki. Chciałam postać przy ich stoliku jeszcze chwilę. Wiedziałam, że Norris tak posmutniał na mój widok, ponieważ sądził, iż mój brat zostanie aresztowany za morderstwo Maudette Pickens, co zdaniem

burmistrza będzie najprawdopodobniej oznaczało, że Jason zabił też naszą babcię. Pochyliłam głowę, ukrywając przed nim oczy.

- Przypuszczam, że tak. Hmm, pomyślmy... pamiętam, że ubieraliśmy się właśnie na występ taneczny Jean-Anne... więc było to... tak, masz rację, Sookie, sześć lat temu. - Szeryf kiwnął mi głową na potwierdzenie. - Był tu dziś Jason? - rzucił od niechcienia, jakby po namyśle.

- Nie, nie widziałam go - odrzekłam. Szeryf zamówił mrożoną herbatę i hamburgera.

Rozpamiętywał dzień, w którym przyłapał Jasona ze swoją Jean-Anne. Obściskiwali się na pace pikapa mojego brata.

O, rany! „Jean-Anne ma szczęście - pomyślał szeryf - że również nie została uduszona”. Jego kolejna myśl dotknęła mnie do żywego: „Te zabite dziewczyny to i tak śmiecie”.

Czytałam w myślach szeryfa Dearborna jak w książce. Wyczuwałam kontekst i rozmaite niuanse jego myśli. Przemknęło mu przez głowę: „Wykonują najgorsze prace, nie chodziły do college’u, pieprzą się z wampirami... kompletne dno”.

Nie potrafię wręcz opisać ogromu bólu i gniewu, które poczułam, słysząc tę ocenę. Chodziłam mechanicznie od stolika do stolika, przynosiłam napoje i kanapki, sprzątałam resztki, pracując tak ciężko jak zwykle, z tym okropnym uśmiechem rozciągniętym na mojej twarzy. Rozmawiałam z dwudziestoma znanymi mi osobami; myśli większości z nich były niewinne - na przykład, że dzisiejszy dzień jest strasznie długi. Wielu klientów baru rozmyślało o pracy lub o rzeczach, które będą musieli zrobić w domu bądź też o drobnych problemach do rozwiązania, jak na przykład załatwienie fachowca, który naprawi zmywarę do naczyń, albo konieczność zamówienia na weekend firmy sprzątającej.

Arlene ulżyło, ponieważ dostała okres.

Charlsie zatopiła się w przyjemnych marzeniach związanych z jej „krokiem ku nieśmiertelności”, czyli mającym się urodzić wnukiem. Gorliwie się modliła dla córki o lekką ciążę i bezpieczny poród.

Lafayette dumiał o tym, że współpraca ze mną staje się coraz dziwniejsza.

Policjant Kevin Pryor zastanawiał się, co jego partnerka Kenya robi w wolny dzień. On pomagał matce sprzątać szopę na narzędzia i nienawidził każdej minuty spędzonej na tym zajęciu.

Dotarło do mnie wiele komentarzy (zarówno głośnych, jak i niewypowiedzianych) o moich włosach, cerze i bandażu na ręce. Wielu mężczyzn i jedna kobieta uważali mnie za bardziej pociągającą. Niektórzy spośród facetów, którzy uczestniczyli w wyprawie zakończonej podpaleniem domu wampirów, sądzili, że nie mają u mnie najmniejszych szans z powodu mojej sympatii do wampirów i żalowali swego czynu dokonanego pod wpływem impulsu. Zapamiętałam sobie tych mężczyzn w myślach. Nie zapomnę im, że mogli zabić mojego Billa, chociaż w tej chwili pozostali przedstawiciele wampirzej społeczności zajmowali odległe miejsca na mojej liście

ulubionych osób.

Andy Bellefleur i jego siostra, Portia, jedli razem lunch; mieli zwyczaj się u nas spotykać przynajmniej raz w tygodniu. Portia była żeńską wersją Andy'ego: średniego wzrostu, masywnej budowy, z wydatnymi ustami i szczęką. Podobieństwo między bratem i siostrą wychodziło wszakże na korzyść jemu, nie jej. Słyszałam, że Portia jest bardzo kompetentnym prawnikiem. Może zasugerowałabym jej sprawę Jasona, kiedy zastanawiał się nad zatrudnieniem adwokata, gdyby nie była kobietą... i w tamtym momencie martwiłam się raczej o nią niż o mojego brata.

Dzisiaj głowę prawniczki wypełniały przygnębiające myśli. Chociaż była świetnie wykształcona i dobrze zarabiała, smuciła się, gdyż nikt nie zapraszał jej na randkę. Nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Andy z kolei był zdeglustowany, że nadal trwa mój związek z Billem Comptonem. Również jego zaciekawiły korzystne zmiany w moim wyglądzie. Zastanawiał się też, w jaki sposób wampiry uprawiają miłość. I wcale się nie cieszył z faktu, że będzie musiał aresztować Jasona. Nie uważał go za bardziej podejrzanego od kilku innych mężczyzn, mój brat wydawał mu się jednak najbardziej przestraszony, z czego Andy wnosił, że Jason ma coś do ukrycia. Istniały też filmy wideo, na których mój nieszczęsny brat uprawiał seks - w dodatku dość ostry - z Maudette i Dawn. Gapiłam się na detektywa, kontemplując niepokojące myśli. A przecież Bellefleur wiedział, do czego jestem zdolna.

- Sookie, przyniesiesz mi wreszcie to piwo? - spytał w końcu, machając w powietrzu wielką dłonią, czym starał się przyciągnąć moją uwagę.

- Pewnie, Andy - odparłam nieobecny głosem i wyciągnęłam z lodówki butelkę. - Napijesz się jeszcze herbaty, Portio?

- Nie, dzięki, Sookie - odparła grzecznie kobieta, oklepując sobie usta papierową serwetką. Portia przypominała sobie w myślach okres szkoły średniej, kiedy zaprzedałaby duszę za randkę z cudownym Jasonem Stackhouse'em. Zastanawiała się, co mój brat teraz porabia, czy miałaby o czym z nim rozmawiać... po czym pomyślała, czy jego wspaniałe ciało nie jest przypadkiem warte intelektualnej ofiary. Uświadomiłam sobie, że Portia najwyraźniej ani nie widziała kaset, ani nie wiedziała o ich istnieniu. Andy był rzeczywiście dobrym policjantem.

Spróbowałam wyobrazić sobie Portię z Jasonem i nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Spotkanie byłoby niesamowitym przeżyciem dla nich obojga. Pożałowałam - nie po raz pierwszy zresztą - że nie umiem wprowadzać myśli w ludzkie umysły, tak jak potrafię je stamtąd „wyciągać”.

Do końca mojej zmiany nie dowiedziałam się niczego interesującego. Może jeszcze tylko uderzył mnie jeden szczegół pomyślany przez Andy'ego Bellefleura. Na filmach wideo, które mój niemądry brat nakręcił, dziewczyny były łagodnie krępowane. Policjantowi fakt ten skojarzył się ze śladami sznura na szyjach ofiar.

Reasumując, tego dnia dla dobra Jasona otworzyłam swoją głowę na napływ ludzkich myśli i doświadczenie to nie przyniosło absolutnie żadnych rezultatów. Wszystko, co usłyszałam, zmartwiło mnie jeszcze bardziej, nie otrzymałam natomiast żadnej informacji, która mogłaby pomóc mojemu bratu.

Pomyślałam, że wieczorem przyjdą inne osoby do baru. Nigdy wcześniej chyba nie wpadłam do „Merlotte’a” ot tak, dla czystej przyjemności. Może powinnam dzisiaj wieczorem się tu zjawić? Co będzie robił wtedy Bill? Czy w ogóle chciałam go zobaczyć?

Czułam się strasznie samotna. Z nikim nie mogłam porozmawiać o moim wampirze, bo nie istniała ani jedna osoba, której choć w pewnym stopniu nie szokowałby fakt, że się z nim widuję. Czy mogłam powiedzieć na przykład Arlene, że jestem smutna, ponieważ przerażają mnie bezwzględni, wampiry kumple Billa, a jeden z nich ugryzł mnie ubiegłej nocy, wpuścił mi swoją krew do ust i leżąc na mnie, zginął przeбитo kołkiem? Arlene nawet sobie nie wyobrażała, że można mieć takie problemy.

Nie przychodził mi do głowy nikt, kto by sobie wyobrażał.

Nie mogłam sobie przypomnieć żadnej znajomej dziewczyny, która spotykałaby się z wampirem, a nie należałaby do niewybrednych fanek wampirów, miłośniczek kłów, które umawiały się z każdym osobnikiem, byle... był wampirem.

Gdy kończyłam pracę, „poprawiony” wygląd stracił moc w tym sensie, że nie dodawał mi już pewności siebie. Czułam się teraz raczej jak wybryk natury.

Kręciłam się po domu, później krótko się zdrzemnęłam, potem podlałam kwiaty babci. Tuż przed zmierzchem zjadłam jakieś gotowe danie, które podgrzałam w kuchence mikrofalowej. Mimo iż do ostatniej chwili wahałam się, czy wyjść z domu, włożyłam w końcu czerwoną koszulę, białe spodnie i trochę biżuterii, po czym pojechałam z powrotem do „Merlotte’a”.

Czułam się bardzo dziwnie, wchodząc do baru jako klientka. Sam stał za barem i na mój widok uniósł brwi. Tego wieczoru pracowały trzy kelnerki, które znałam jedynie z widzenia, a hamburgery smażył inny kucharz; jego twarz dostrzegłam w okienku do wydawania posiłków. Jason był w barze. Co dziwne, stół obok niego pozostawał pusty, usiadłam więc na nim. Odwrócił się do mnie z miną przygotowaną dla nowej kobiety: usta lekko otwarte, uśmiech, oczy wytrzeszczone, lecz pogodne. Gdy zobaczył, z kim ma do czynienia, jego oblicze uległo komicznej przemianie.

- Co tu, do diabła, robisz, Sookie? - spytał z oburzeniem.

- Można by sądzić, że nie cieszysz się z widoku własnej siostry - odcięłam się. Kiedy stanął przede mną Sam, nie patrząc mu w oczy, poprosiłam go o bourbona z colą, - Zrobiłam to, co mi kazałeś, ale jak do tej pory bez rezultatów - szepnęłam do mojego brata. - Przyjechałam teraz spróbować z inną grupą osób.

- Dzięki, Sookie - odparł po długiej przerwie. - Chyba nie zdawałem sobie sprawy, o co cię proszę. Hej, zrobiłaś coś z włosami?

Nawet zapłacił za mojego drinka, gdy mój szef postawił go przede mną.

Nie mieliśmy sobie zbyt dużo do powiedzenia, co mi właściwie odpowiadało, ponieważ usiłowałam się skupić na myślach pozostałych klientów. Przyszło kilku obcych mężczyzn i skoncentrowałam się najpierw na nich, sprawdzając, czy warto ich podejrzewać. Z niechęcią uznałam, że raczej nie. Jeden myślał intensywnie o swojej żonie, za którą bardzo tęsknił. Z kontekstu wywnioskowałam, że jest jej wierny. Drugi był w naszym barze po raz pierwszy. Podobało mu się tutaj i smakowały mu drinki. Trzeci - podпиты - starał się przede wszystkim siedzieć prosto. Miał nadzieję, że uda mu się wrócić samochodem do motelu.

Zamówiłam drugiego bourbona.

Rozmawialiśmy akurat z Jasonem na temat przypuszczalnej wysokości opłaty, którą weźmie notariusz po sprzedaży części posiadłości naszej babci. W pewnym momencie mój brat zerknął na wejście i powiedział:

- Ooooo!

- Co takiego? - spytałam, nie odwracając się, by spojrzeć, na co spogląda.

- Siostrzyczko, twój chłopak jest tutaj. I nie jest sam.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Bill przyprowadził jednego ze swoich kumpli wampirów, co byłoby z jego strony nierozsądne, a dla mnie przykre. Jednak obróciwszy się, zrozumiałam, skąd wziął się w głosie Jasona gniew. Bill zjawił się z dziewczyną. Zachowywała się wobec niego jak dziwka, a on mocno ścisnął jej ramię i badawczo rozglądał się po tłumie. Uznałam, że oczekuje mojej reakcji.

Zeskoczyłam ze stołka, zastanawiając się, co robić.

Byłam pijana. W ogóle rzadko piłam, a po dwóch whisky z colą wypitych w przeciągu kilku minut, nawet jeśli się nie słaniałam na nogach, to przynajmniej byłam wstawiona.

Oczy Billa spotkały moje. Odkryłam, że właściwie nie spodziewał się spotkać mnie tutaj. Nie mogłam odczytać jego myśli, tak jak odczytałam myśli Erica w tamtym strasznym momencie, potrafiłam wszakże interpretować język jego ciała.

- Hej, wampirze Billu! - zawołał Hoyt, przyjaciel Jasona. Bill skinął mu uprzejmie głową, zaczął jednak kierować dziewczynę - niską brunetkę - w moim kierunku.

Naprawdę nie miałam pojęcia, co robić.

- Siostrzyczko, co on knuje? - spytał mój brat. Wyraźnie się wściekał. - Ta dziewczyna to miłośniczka klów z Monroe. Znałem ją, kiedy jeszcze lubiła normalnych facetów.

Nadal nie wiedziałam, jak zareagować. Czułam się straszliwie zraniona, lecz duma nie pozwalała mi okazać emocji. Do własnego chaosu myślowego dodałam też cząstkę wyrzutów

sumienia - nie byłam tam, gdzie Bill mnie oczekiwał i nie zostawiłam mu kartki. Z drugiej strony (a raczej mojej piątej czy szóstej), miałam sporo traumatycznych przeżyć ubiegłej nocy na „przedstawieniu galowym” w barze w Shreveport... gdzie zresztą zjawiłam się wyłącznie z powodu zobowiązań wynikających z mojego związku właśnie z Billem.

Z powodu tych wszystkich sprzecznych emocji milczałam. Miałam ochotę rzucić się na towarzyszkę mojego wampira i wdeptać ją w ziemię, nigdy jednak nie wszczynałam burd w barze (chciałam też stłuc Billa, mimo iż wiedziałam, że jestem za słaba, by wyrządzić mu choćby najmniejszą krzywdę). Może powinnam po prostu wybuchnąć płaczem, przecież zraniono moje uczucia... Nie zamierzałam wszakże okazywać słabości. Uznałam, że najlepiej niczego po sobie nie pokazywać, szczególnie że Jason był wyraźnie gotów zaatakować Billa i prawdopodobnie czekał jedynie na mój zachęcający go do walki gest.

Oboje zbyt dużo już dziś wypiliśmy.

Kiedy rozważałam wszystkie opcje, mój wampir przeszedł wśród stolików i zjawił się przede mną. Kobieta wlokła się za nim. Zauważyłam, że w sali zrobiło się ciszej. Większość klientów przypatrywała się nam bez słowa.

W oczach stanęły mi łzy, ręce mimowolnie zacisnęłam w pięści. Świetnie! Najgorsza z możliwych reakcji.

- Sookie - odezwał się Bill - zobacz, co Eric podrzucił na mój próg.

Ledwie rozumiałam, o czym mówi.

- Tak? - spytałam wściekle i zajrzałam dziewczynie w oczy. Były duże, ciemne, podniecone.

Własnych oczu nie zamykałam. Odnosiłam wrażenie, że jeśli zamrugam, wypłyną z nich łzy.

- Jako nagrodę - dorzucił Bill. Nie miałam pojęcia, jaki był jego stosunek do prezentu Erica.

- Taki niby darmowy drink? - odburknęłam. Sama nie wierzyłam, że potrafię przemawiać tak jadowitym głosem.

Jason położył mi dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, siostrzyczko - polecił mi cicho, choć tonem równie cierpkim jak mój. - Facet nie jest tego wart.

Nie wiedziałam, czego Bill nie jest niby wart, ale czułam, że szybko otrzymam odpowiedź na to pytanie. Niemal się cieszyłam, że wreszcie nie wiem, co robić i nie mam nad niczym kontroli.

Wampir bacznie mnie obserwował. Pod barowymi jarzeniówkami wyglądał wybitnie blado.

Wiedziałam, że nie napił się krwi swojej towarzyszki. A jego kły pozostawały schowane.

- Wyjdź ze mną na zewnątrz i porozmawiajmy - powiedział.

- I z nią? - Prawie warczałam.

- Nie - odparł. - Tylko ze mną. Ją i tak muszę odesłać. - Wstręt w jego głosie przekonał mnie, więc poszłam za Billem na dwór, przez całą drogę trzymając głowę prosto i na nikogo nie patrząc. Mój

wampir trzymał dziewczynę za ramię i ciągnął; praktycznie szła na palcach, by dotrzymać mu kroku. Nie wiedziałam, że Jason idzie za nami, dopóki się nie odwróciłam i nie zobaczyłam go za sobą. Weszliśmy już na parking. Na dworze kręciło się trochę ludzi, ale i tak było tu znacznie lepiej niż w zatłoczonym barze.

- Cześć - zagaiła wesoło dziewczyna. - Mam imię Desiree. Jasonie, chyba już się spotkaliśmy...

- Co tu robisz, Desiree? - spytał mój brat tak cicho, że niektórzy mogliby go uznać za zupełnie spokojnego.

- Eric wysłał mnie do Bon Temps. Miałam być nagrodą dla Billa - dodała nieśmiało, patrząc na wampira kątem oka. - Tyle że Bill nie wydaje się szczególnie podekscytowany. Nie wiem, dlaczego. Jestem przecież bardzo luksusowym prezentem - jęknęła.

- Eric? - spytał mnie Jason.

- Wampir z Shreveport. Właściciel baru. Największa szycha w mieście - wyjaśniłam.

- Zostawił ją na moim progu - powtórzył Bill. - Nie prosiłem o nią.

- Co zrobisz? - wydukałam.

- Odeślę ją - odrzekł niecierpliwie. - Musimy porozmawiać, ja i ty.

Przełknęłam ślinę i bezwiednie rozluźniłam pięści.

- Trzeba ją odwieźć z powrotem do Monroe? - spytał mój brat.

Wampir wyglądał na zaskoczonego.

- Tak. Odwieszysz ją? Muszę porozmawiać z twoją siostrą.

- Jasne - odparł Jason. Radość, z jaką to powiedział, natychmiast wzbudziła moją podejrzliwość.

- Nie mogę uwierzyć, że mi odmawiasz - wtrąciła Desiree, patrząc na Billa i wydymając wargi. -

Przedtem nikt mnie nie odrzucił.

- Jestem oczywiście wdzięczny. A ty na pewno jest jak to ujęłaś, luksusowym prezentem - stwierdził uprzejmie mój wampir. - Mam już jednak swój... prezent.

Mała Desiree gapiała się na niego bez zrozumienia, w końcu jej brązowe oczy rozbłysły.

- To twoja kobieta? - spytała, kiwając ku mnie głową.

- Tak.

Jason przesunął się nerwowo, słysząc stanowczą odpowiedź Billa. Desiree obejrzała mnie sobie dokładnie.

- Ma dziwne oczy - obwieściła.

- To moja siostra - dodał Jason.

- Och. Przepraszam. Ty jesteś dużo bardziej... normalny. - Desiree zmierzyła mojego brata od góry do dołu i wydawała się ogromnie zadowolona efektem. - Hej, jak się właściwie nazywacie?

Jason wziął ją za rękę i zaczął prowadzić do swojego pikapa.

- Stackhouse - powiedział. Gdy odeszli kilka metrów, jawnie zaczął ją podrywać. - Może po drodze

do domu opowiesz mi nieco o tym, czym się teraz zajmujesz...

Odwrociłam się do Billa, zastanawiając się nad wielkodusznym uczynkiem Jasona i motywami, jakie nim kierowały. Napotkałam spojrzenie wampira, lecz odniosłam wrażenie, że uderzam w ceglany mur.

- Chcesz więc pomówić? - spytałam szorstko.

- Nie tutaj. Jedź ze mną do domu.

Zaszurałam butem po żwirze.

- Nie do twojego.

- Zatem do twojego.

- Nie.

Uniósł łukowate brwi.

- Dokąd zatem?

Dobre pytanie.

- Nad stawem moich rodziców. - Ponieważ Jason odwozi pannę Małą Czarną do domu, nie będzie go tam.

- Pojadę za tobą - rzucił krótko. Rozdzieliliśmy się i każde ruszyło do swojego samochodu.

Posiadłość, na której spędziłam kilka pierwszych lat mojego życia, leżała na zachód od Bon Temps. Skręciłam w znajomy żwirowy podjazd i zaparkowałam przed skromnym domem utrzymywanym przez Jasona w całkiem dobrym stanie. Bill wyłonił się z auta, gdy wysiadałam ze swojego. Dałam mu znak, by podążył za mną. Obeszliśmy dom i zeszliśmy po zboczku ścieżką wyłożoną dużymi płytami chodnikowymi. Chwilę później znaleźliśmy się przy sztucznym stawie, który stworzył mój tato na naszym podwórku za domem, mając nadzieję, że latami będzie w tej wodzie łowił ryby ze swoim synem.

Na staw wychodziło patio, a na jednym z metalowych krzeseł leżał złożony koc. Nie pytając mnie, Bill podniósł go, strząsnął i rozłożył na trawiastym stoku ciągnącym się od patia do stawu.

Usiadłam niechętnie, myśląc, że siadanie na kocu nie jest bezpieczne z tych samych względów, co spotkanie się z Billem w którymś z domów. Kiedy byłam blisko mojego wampira, w głowie miałam tylko jedno - być jeszcze bliżej niego.

Przycisnęłam kolana do piersi i wpatrzyłam się przed siebie. Za stawem paliło się światło, które odbijało się w niczym nie zmaconej wodzie. Bill położył się obok mnie na plecach. Czułam na swojej twarzy jego wzrok. Splótł palce na klatce piersiowej, ostentacyjnie trzymając z dala ode mnie.

- Ostatniej nocy bardzo się przestraszyłaś - zauważył obojętnie.

- A ty ani trochę? - spytałam ciszej, niż planowałam.

- Bałam się o ciebie. O siebie raczej nie.

Chciałam się położyć na brzuchu, martwiłam się jednak, że się za bardzo zbliżę do wampira.

Patrzyłam na jego skórę pałającą w świetle księżyca i całą sobą pragnęłam go dotknąć.

- Przestraszyłam się, że Eric zacznie kontrolować nasze życie jako pary.

- Nie chcesz już być ze mną? - Poczułam ból w piersi. Był tak okropny, że musiałam położyć na niej dłoń i przycisnąć. - Sookie? - Bill klęknął przy mnie i otoczył mnie ramieniem. Nie mogłam odpowiedzieć. Brakowało mi oddechu. - Kochasz mnie? - spytał. Kiwnęłam jedynie głową. - Dlaczego sugerujesz, że chcesz mnie zostawić?

Oczy wypełniły mi łzy bólu.

- Przerażają mnie inne wampiry i ich zachowanie. O co Eric poprosi następnym razem? Na pewno każe mi zrobić coś jeszcze. Zagrozi na przykład, że w przeciwnym razie cię zabije. Albo że zrobi krzywdę Jasonowi. Może przecież tak postąpić, jest do tego zdolny.

Głos Billa był równie cichy, jak szum grającego w trawie świerszcza. Jeszcze miesiąc temu w ogóle bym go nie usłyszała.

- Nie płacz - poprosił. - Sookie, muszę ci podać kilka niezbyt pożądanых faktów. - Pomyślałam, że mógłby mi przekazać tylko jedną mile widzianą informację: powiadomić mnie o śmierci Erica. - Zaintrygowałaś Erica - podjął. - Odkrył, że posiadasz talent, którego większość ludzi nie ma lub ma, lecz go ignoruje. Eric przewiduje, że twoja krew jest niezwykle bogata w składniki odżywcze i słodka. - To zdanie mój wampir wypowiedział ochryłym głosem, pod wpływem którego zadrżałam. - No i jesteś piękna. W tej chwili nawet jeszcze piękniejsza. Eric nie zdaje sobie sprawy z tego, że już trzykrotnie połknęłaś naszą krew.

- Wiesz, że Długi Cień mnie okrwawił?

- Tak. Widziałem.

- Istnieje jakiś przesąd związany z trzema razami?

Bill zarechotał typowym dla siebie osobliwym, niskim, głuchym, sztucznym śmiechem.

- Nie. Chociaż im więcej wampirzej krwi wypijesz, tym bardziej pożądana stajesz się dla nas, a przy okazji bardziej pożądana dla wszystkich. I pomyśleć, że to Desiree uważała się za luksusowy prezent! Zastanawiam się, jaki wampir jej to powiedział.

- Taki, który chciał się dostać do jej majątek - odparłam stanowczo, a Bill znów się roześmiał.

Uwielbiałam słuchać jego śmiechu.

- Mówiąc mi o mojej atrakcyjności, chcesz zasugerować, że Eric... hmm... mnie pożąda?

- Właśnie.

- Co go powstrzyma przed wzięciem mnie? Twierdzisz, że jest od ciebie silniejszy.

- Przede wszystkim kurtuazja i dobre obyczaje. - Nie parsknęłam, chociaż byłam tego bliska. - Nie lekceważ moich słów. Przestrzegamy zwyczajów, my wampiry. Musimy żyć razem przez szereg wieków.

- Coś jeszcze?

- Nie jestem tak silny jak Eric, ale nie jestem też młodym nieopierzonym wampirem. Mógłbym poważnie zranić Erica w walce. A gdybym miał szczęście, mógłbym nawet zwyciężyć.

- Coś jeszcze?

- Być może - odparł ostrożnie - ty sama.

- Jak to?

- Jeśli będziesz dla niego wartościowa w innym sensie, może zostawi cię w spokoju, szczególnie jeśli wie, że szczerze tego pragniesz.

- Ależ ja nie chcę być dla niego wartościowa! Nie chcę go nigdy więcej widzieć!

- Obiecałaś Ericowi, że mu znów pomożesz - przypomniał mi Bill.

- O ile odda złodzieja policji - odcięłam się. - A co on zrobił? Wbił Długiemu Cieniowi kołek w plecy!

- Prawdopodobnie równocześnie ratując ci życie...

- No cóż, w końcu to ja znalazłam dla niego złodzieja!

- Sookie, niewiele wiesz o świecie.

Zaskoczona gapiłam się na niego.

- Pewnie tak.

- Często proste sprawy nagle się komplikują, a sytuacja niespodziewanie zmienia. - Bill zagapił się w ciemność.

- Nawet ja dochodzę czasami do wniosku, że nie wiem już zbyt wiele. - Kolejna ponura przerwa. - Wcześniej tylko raz widziałem, jak jeden wampir zneutralizował drugiego. Eric złamał zasady naszego świata.

- A więc jednak nie ceni sobie waszej kurtuazji i obyczajów, którymi chętnie się przed chwila.

- Pam dobrze go pilnuje.

- Kim jest dla niego?

- Stworzył ją. To znaczy... zrobił z niej wampirzycę, stulecia temu. Wraca do niego od czasu do czasu i pomaga mu w aktualnej pracy. Z Erica zawsze był kawał łobuza, a z wiekiem staje się coraz bardziej uparty. - Nazwanie Erica upartym wydało mi się ogromnym niedopowiedzeniem.

- Musimy się więc z nim spotykać? - spytałam.

Bill chyba się zastanawiał nad odpowiedzią.

- Tak - przyznał w końcu z lekkim żalem w głosie. Mimo iż ani tobie, ani mi nie odpowiada towarzystwo innych wampirów. Niestety nie mamy wyboru.

- A ta sprawa z Desiree?

- Eric namówił kogoś, by mi ją podrzucił na próg. Miał nadzieję, że ucieszę się z ładnego

prezentu, a równocześnie sprawdzał, jak bardzo jestem ci oddany. Gdybym napił się jej krwi, okazałbym się niewierny. Może zresztą Eric zatrzał czymś jej krew. Może chciał mnie osłabić albo i... zniszczyć. - Wzruszył ramionami. - Sądziłaś, że umówiłem się z nią?

- Tak. - Na wspomnienie wchodzącej do „Merlotte’a” pary poczułam, że moje rysy twardnieją.

- Nie było cię w domu. Pojechałem więc cię szukać. - W jego tonie nie było oskarżenia, tylko smutek.

- Chciałam posłuchać myśli klientów i pomóc w ten sposób Jasonowi. Poza tym ciągle się nie uspokołam po ostatniej nocy.

- Już wszystko między nami w porządku?

- Nie, lecz na tyle dobrze, na ile się da - odparłam. - Pewnie każdy związek narażony jest na problemy, zawsze wszystko idzie gładko. Nie brałam jednak uwagę tak poważnych przeszkód. Zdaje mi się, że nigdy nie pokonasz Erica. Wiek jest głównym kryterium?

- Cóż - odrzekł Bill. - Pokonać go pewnie nie zdołam... - Nagle popatrzył na mnie w zadumie. - Chociaż istnieje coś, co mogę zrobić. Wolałbym nie... bo to wbrew mojej naturze... ale bylibyśmy wtedy bardziej bezpieczni. - Nie naciskałam na niego, czekając, aż sam wyjaśni. - Tak - podsumował własne myśli. Niczego mi wprawdzie nie wytłumaczył, a ja nie spytałam. - Kocham cię - oświadczył. Pomyślałam, że to dziwna puenta, niezależnie od kwestii, które rozważał. Jego twarz zamajaczyła nade mną. W półmroku wydawała się wyjątkowo połyskująca i piękna.

- Czuję do ciebie to samo - odparłam i położyła obie dłonie na jego piersi, bojąc się, że zacznie mnie kusić. - Niestety w tej chwili zbyt wiele jest przeciwko Niezłe byłoby na początek pozbyć się Erica... I druga sprawa. Trzeba porzucić to prywatne śledztwo w sprawie morderstwa. Możemy ściągnąć na siebie nieszczęście. Ten morderca ma na sumieniu prawdopodobnie śmierć twoich spalonych przyjaciół, zabił też Maudette i Dawn. Przerwałam i wzięłam głęboki oddech. - Oraz moją babcię. - Zamrugałam, walcząc ze łzami.

Przyzwyczaiałam się powoli do tego, że po powrocie nie zastaję babci w domu. Nie brakowało mi już tak bardzo rozmów z nią i opowieści o moich przeżyciach, a jednak co jakiś czas dopadał mnie tak ostry atak żalu, że aż traciłam oddech.

- Dlaczego uważasz, że ów zabójca jest także odpowiedzialny za spalenie wampirów z Monroe?

- Myślę, że właśnie morderca podsunął pomysł klientom w barze tamtego wieczoru i namówił ich do działania. Pewnie chodził od grupki do grupki, podjudzając facetów. Mieszkam tu przez całe moje życie i nigdy nie widziałam, żeby nasi ludzie tak się zachowywali. Musieli dokonać ataku z jakiegoś powodu.

- Podzegał ich? Podburzył ich do podpalenia?

- Tak.

- Nie usłyszałaś imienia w niczyich myślach?

- Nie - przyznałam się pośpiesznie. - Może jutro czegoś się dowiem.
- Jesteś optymistką, Sookie.
- Zgadza się, jestem. Muszę nią być. - Poklepałam go po policzku. Odkąd Bill wszedł w moje życie, mój optymizm był całkowicie usprawiedliwiony.
- Ciągłe podsłuchujesz, ponieważ żywisz nadzieję, że zdobędziesz ważne informacje - podsumował.
- Mam teraz coś do roboty. Zobaczymy się jutro wieczorem w twoim barze, dobrze? Mogę... Nie, nie, pozwól, że wytłumaczę ci wszystko dopiero wtedy.
- W porządku. - Byłam ogromnie ciekawa, o co chodzi, ale mój wampir wyraźnie nie był gotów do wyjaśnień.

Do domu jechałam za tylnymi światłami samochodu Billa. Tak dotarłam aż do mojego podjazdu. Po drodze myślałam, że ubiegłe tygodnie byłyby dla mnie jeszcze bardziej przerażające, gdybym nie miała wsparcia w osobie wampira. Idąc podjazdem ku domowi, martwiłam się, że Bill pojechał do siebie, prawdopodobnie zamierzając odbyć kilka koniecznych rozmów telefonicznych. W te nieliczne noce, które spędzaliśmy osobno, niby nie skręcałam się ze strachu, byłam jednak mocno podenerwowana i niespokojna. Wielokrotnie sprawdzałam, czy zamknęłam drzwi i okna. W dodatku nie byłam przyzwyczajona do życia w lęku, toteż teraz myśl o kolejnej takiej nocy przygnębiła mnie.

Zanim wysiadłam z samochodu, uważnie rozejrzałam się po podwórku. Cieszyłam się, że przed wyjazdem do baru zostawiłam włączone zewnętrzne światło. Nie dostrzegłam żadnego ruchu. Zwykle, gdy wychodziłam, moja kotka Tina szła sobie pobiegać, gdyż nie lubiła samotności, dziś wieczorem jednak chyba polowała gdzieś w lesie.

Oddzieliłam klucz do domu od pozostałych na kółku, wypadłam z auta, popędziłam do frontowych drzwi, wsunęłam w zamek klucz, który w rekordowym czasie przekręciłam, po czym zatrasnęłam za sobą drzwi i przekręciłam zasuwę. Przemknęło mi przez myśl, że nie powinnam tak żyć.

Potrząsałam z konsternacją głową i rozważałam tę kwestię, kiedy zupełnie nieoczekiwanie coś z głuchym odgłosem uderzyło we frontowe drzwi. Wrzasnęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. Pobiegłam do przenośnego telefonu przy kanapie. Wystukałam numer Billa, chodząc po pokoju i rozglądając się. Co zrobię, jeśli telefon będzie zajęty? Przecież mój wampir prawdopodobnie siedł do domu dzwonić!

Na szczęście złapałam go. Akurat wszedł do domu. W słuchawce usłyszałam jego zadyszany głos.

- Tak? - spytał jak zwykle podejrzliwym tonem.

- Billu - wysapałam - ktoś jest przed domem!

Rzucił słuchawkę.

Iście wampirza szybkość działania!

Był przy mnie w dwie minuty później. Wyjrzałam na podwórko przez nieznacznie podniesioną

załuzję i zobaczyłam Billa wychodzącego z lasu. Poruszał się niezwykle prędko i cicho. Żaden człowiek nie mógłby mu dorównać. Na jego widok załała mnie potężna ulga. Przez sekundę wstydziałam się, że zadzwoniłam do niego po ratunek; powinnam była sama zapanować nad sytuacją.

Potem jednak pomyślałam sobie: „A niby dlaczego nie? Dlaczego nie mam zadzwonić po ratunek do znajomej, praktycznie niewyciężonej istoty, która twierdzi, że mnie ubóstwia? Trudno go zabić, jest to niemal niemożliwe, gdyż posiada on nieludzką, prawie nadprzyrodzoną siłę. Tak, z pewnością do takiej osoby dzwoni się w razie niebezpieczeństwa”.

Bill zbadał podwórko i las, kręcąc się przed domem milcząco, z subtelnym wdziękiem. W końcu wszedł lekko po schodach. Pochylił się nad czymś na frontowym ganku. Z powodu ostrego kąta nie potrafiłam powiedzieć, co tam zobaczył. Gdy się wyprostował, trzymał coś w rękach i patrzył całkowicie... bez wyrazu.

Wiedziałam, że taka mina rokuje bardzo źle.

Niechętnie powlokłam się do frontowych drzwi, otworzyłam zasuwkę i pchnęłam drzwi siatkowe. Bill niósł ciało mojej kotki.

- Tina? - spytałam. Głos mi drżał, ale zupełnie o to nie dbałam. - Nie żyje?

Wampir kiwnął głową, raz tylko ostro nią szarpnąwszy.

- Co... Jak?

- Uduszona, zdaje mi się.

Twarz wykrzywiła mi się z bólu i smutku. Bill stał nieruchomo z kocimi zwłokami na rękach, ja natomiast wyplakiwałam oczy.

- Nigdy nie kupiłam sadzonki dębu - powiedziałam, gdy się trochę uspokoiłam. Mój głos był słaby i niepewny. - Możemy pochować ją więc w tej dziurze. - Poszliśmy na przydomowe podwórko.

Biedny wampir trzymał Tinę i usiłował czuć się swobodnie, ja zaś starałam się znów nie rozplakać.

Bill klęknął i położył mały kłębek czarnego futra na dnie mojego wykopu. Przyniosłam łopatę i zaczęłam zasypywać otwór, jednak widok pierwszej grudy ziemi spadającej na kocie futerko Tiny sparaliżował mnie. Wampir bez słowa wziął z moich rąk łopatę. Odwróciłam się plecami, a on dokończył straszną pracę.

- Chodź do środka - poprosił łagodnie, kiedy skończył.

Obeszliśmy dom i weszliśmy od frontu, ponieważ nie zdążyłam jeszcze otworzyć kluczem tylnych drzwi.

Bill poklepywał mnie i pocieszał, chociaż wiedziałam, że nigdy nie przepadał za Tiną.

- Niech cię Bóg błogosławi, Billu - szepnęłam. Mocno zacisnęłam ramiona wokół jego szyi, nagle konwulsyjnie drząc ze strachu, że jego także ktoś mi odbierze. Wreszcie przestałam szlochać, czasem tylko czkając spazmatycznie. Podniosłam wzrok z nadzieją, że moje emocje nie zażenowały

wampira.

Bill był jednak wyraźnie wściekły. Pałającymi oczyma gapił się na ścianę nad moim ramieniem.

Wydał mi się najbardziej przerażającą istotą, jaką spotkałam w całym moim życiu.

- Odkryłeś coś na podwórku? - spytałam.

- Nie. Znalazłem tylko ślady obecności zabójcy. Odciski stóp, resztki zapachu. Jednak nic, co można by przedstawić w sądzie jako dowód - dodał, czytając mi w myślach.

- Mógłbyś zostać tutaj do czasu, aż będziesz musiał odejść do... uciec przed słońcem?

- Oczywiście. - Przypatrywał mi się. Uświadomiłam sobie, że naprawdę chce zostać i prawdopodobnie zdecydował tak sam - wcześniej, zanim poprosiłam.

- Jeśli nadal musisz gdzieś zadzwonić, skorzystaj z mojego telefonu. Nic nie stoi na przeszkodzie. - Chciałam powiedzieć, że bez problemów mogę zapłacić za jego rozmowy.

- Mam zniżkową kartę - wyjaśnił, jeszcze raz mnie zadziwiając. Kto by pomyślał?

Umyłam twarz i połknęłam tylenol, później włożyłam nocną koszulę. Od dnia, w którym zginęła babcia, nie czułam takiego smutku. Teraz zresztą mój smutek był inny. Zgon zwierzęcia domowego nie może się naturalnie równać ze śmiercią członka rodziny. Wiedziałam o tym i skarciłam się w myślach za ten żal, ale niewiele to pomogło. Przemyślałam wszystko i nie doszłam do żadnych logicznych wniosków. Pamiętałam jedynie, że karmiłam, szczotkowałam i kochałam moją Tinę przez cztery lata. Strasznie będę za nią tęsknić!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nazajutrz nerwy miałam jak postronki. Po przyjeździe do pracy powiedziałam Arlene, co się stało, a przyjaciółka mocno mnie przytuliła.

- Chciałabym zabić bękarta, który zamordował biedną Tinę! - powiedziała. Dzięki tym słowom poczułam się dużo lepiej.

Charlsie także okazała mi współczucie, chociaż bardziej litowała się chyba nade mną, niż była przerażona uduszeniem mojego kota. Sam posłał mi tylko srogie spojrzenie. Uważał, że powinnam zadzwonić do szeryfa albo do Andy'ego Bellefleur'a i poinformować któregoś z nich o zabiciu Tyny. W końcu zatem zatelefonowałam do Buda Dearborna.

- Zwykle nie są to przypadki odosobnione - zagrział szeryf. - Nikt jednak jeszcze nie zgłosił zaginięcia ani zabicia zwierzęcia domowego. Obawiam się, że tym razem może to być sprawa osobista, Sookie. Ten twój przyjaciel wampir... czy on lubi koty?

Zamknęłam oczy i głęboko wciągnęłam powietrze. Korzystałam z telefonu w biurze Sama, a mój szef siedział za biurkiem i pisał kolejne zamówienie na trunki.

- Bill przebywał w swoim domu, gdy ktoś zabił Tinę i podrzucił ją na mój próg - wyjaśniłam najspokojniej, jak potrafiłam. - Zadzwoniłam do niego właśnie wtedy, a on odebrał telefon. - Sam popatrzył na mnie zagadkowo, ja natomiast potoczyłam oczyma, przekazując mu w ten sposób moją opinię na temat podejrzeń Buda Dearborna.

- I powiedział ci, że kotkę uduszono - wtrącił szeryf powoli.

- Tak.

- Znalazłaś więzy?

- Nie. Nie widziałam nawet, czym została związana.

- Co z nią zrobiłaś?

- Zakopaliśmy ją.

- To był twój pomysł czy pana Comptona?

- Mój.

„Cóż innego mieliśmy zrobić z Tiną?” - zastanowiłam się.

- Możemy pojechać i wykopać twoją kotkę. Mając więzy i kota, moglibyśmy sprawdzić, czy zwierzę uduszono podobną metodą, co zamordowane kobiety, Dawn i Maudette - tłumaczył nieudolnie Dearborn.

- Przepraszam, ale nie myślałam o tym.

- Dobrze, nie ma to teraz zbytniego znaczenia. Skoro nie masz więzów.

- No cóż, do widzenia. - Odłożyłam słuchawkę, prawdopodobnie rzucając ją nieco zbyt mocno, niż było trzeba. Mój szef uniósł brwi. - Bud to palant - oświadczyłam.

- To niezły policjant - odparł Sam spokojnie. - Po prostu nikt z nas nie jest przyzwyczajony do tak straszliwych morderstw w naszej okolicy.

- Masz rację - przyznałam po chwili. - Zdenerwowałam się trochę, bo Bud ciągle mówił o więzach, jakby dopiero co nauczył się nowego słowa. Wybacz mi, że tak się na niego wściekłam.

- Nikt nie jest doskonały, Sookie.

- Chcesz powiedzieć, że mogę się od czasu do czasu powściekać i dać sobie spokój z wyrozumiałością i tolerancją? Dzięki, szefie. - Uśmiechnęłam się do niego z lekko drwiącą miną i podniosłam się z krawędzi jego biurka, o które podpierałam się podczas rozmowy telefonicznej. Przeciągnęłam się, po chwili jednak dostrzegłam, że Sam dosłownie wpija się wzrokiem w moją pierś, co mnie na powrót speszyciło. - Wracam do pracy! - rzuciłam szybko i długimi krokami opuściłam pokój, starając się ani trochę nie kręcić biodrami.

- Popilnujesz dziś wieczorem dzieci przez kilka godzin? - spytała nieco nieśmiało Arlene.

Przypomniałam sobie naszą ostatnią rozmowę na ten temat. Pamiętałam, jak niechętnie odniosła się do wizyty Billa. Nie byłam matką i nie potrafiłam się postawić na jej miejscu. Teraz przyjaciółka próbowała mnie przeproszać.

- Z przyjemnością. - Czekałam, czy znów wspomni o Billu, ale nie wspomniała. - Od której do której?

- No cóż, Rene i ja zamierzamy pojechać do Monroe, do kina - wyjaśniła. - Powiedzmy, od osiemnastej trzydzieści?

- Jasne. Będą po kolacji?

- Och, tak, nakarmię je. Nie mogą się doczekać, kiedy zobaczą ciocię Sookie.

- Ja również chętnie je zobaczę.

- Dzięki - odparła Arlene. Zawahała się, chyba chciała coś dodać, ale zastanowiła się. - Widzimy się o osiemnastej trzydzieści - bąknęła tylko.

Do domu dotarłam około siedemnastej. Większą część drogi przejechałam pod słońce, które świeciło mi prosto w oczy, jakby się na mnie gapiło. Przebrałam się w błękitno-zielony kostiumik z dzianiny, wyszczotkowałam włosy i spięłam je spinką. Zjadłam kanapkę. Czułam się nieswojo, siedząc samotnie przy kuchennym stole. Dom wydawał mi się duży i pusty, toteż naprawdę się ucieszyłam na widok Rene nadjeżdżającego z Cobym i Lisą.

- Arlene odlepił się jeden ze sztucznych paznokci - zagaił. Wyglądał na zakłopotanego, jak to mężczyzna zmuszony przekazywać kobiecie problem. - A Coby i Lisa naciskały, by je do ciebie natychmiast przywieźć.

Zauważyłam, że Rene nadal jest w swoim stroju roboczym, łącznie z ciężkimi buciorami i czapką.

Arlene nie pojedzie z nim do kina, póki mężczyzna nie weźmie prysznic i nie przebierze się w inny strój.

Coby miał osiem lat, a Lisa pięć. Natychmiast zawiśli na mnie niczym wielkie kolczyki. Rene ucałował je na do widzenia. Dzięki swemu uczuciu dla dzieci zyskał u mnie kilka punktów, toteż uśmiechnęłam się do niego z aprobatą. Wzięłam dzieci za ręce i ruszyłam z nimi do kuchni, gdzie miałam dla nich lody.

- Zobaczymy się około wpół do jedenastej, jedenastej - powiedział Rene. - O ile ci to odpowiada. - Położył rękę na gałce.

- Jasne - zgodziłam się. Otworzyłam usta, by zaoferować, że mogę przenocować dzieci, tak jak to robiłam przy poprzednich okazjach, nagle jednak pomyślałam o bezwładnym ciałku Tiny.

Zdecydowałam, że dziś dzieci nie zostaną u mnie na noc. Tak będzie dla nich bezpieczniej.

Zagoniłam parkę do kuchni, a po minucie czy dwóch usłyszałam cichnące odgłosy starego pikapa Rene, znikającego na podjeździe.

Podniosłam Lisę.

- Ledwie mogę cię unieść, malutka. Strasznie szybko rośniesz! A ty, Coby, zacząłeś się już golić?

Siedzieliśmy przy stole przez dobre dwa kwadransy. Dzieci jadły lody i przekrzykiwały się, opowiadając mi o swoich osiągnięciach i wszystkich sprawach, które zdarzyły się od naszego ostatniego spotkania.

Potem Lisa chciała mi poczytać, wyjęłam więc książeczkę do kolorowania z krótkimi podpisami, które mała czytała z dumą. Coby musiał mi oczywiście udowodnić, że potrafi czytać lepiej, później zaś chcieli oglądać ulubiony program w telewizji. Zanim się obejrzałam, zrobiło się ciemno.

- Późnym wieczorem przychodzi mój przyjaciel - powiadomiłam oboje. - Ma na imię Bill.

- Mama mówiła nam, że masz szczególnego przyjaciela - zauważył Coby. - Może go polubię. Mam nadzieję, że jest dla ciebie miły.

- Och, jest bardzo miły - zapewniłam chłopca, który wyprostował się i wypchnął do przodu pierś, gotów mnie bronić, gdyby mój szczególny przyjaciel okazał się w odczuciu dzieciaka nie dość miły.

- Przysyła ci kwiaty? - spytała Lisa romantycznym tonem.

- Nie, jeszcze nie przysłał. Może dasz mu jakoś do zrozumienia, że lubię kwiaty?

- Ooo. Tak, mogę to zrobić.

- Poprosił cię o rękę?

- No cóż, nie. Ale ja również go nie prosiłam. - Bill zapukał do drzwi dokładnie w tym momencie. - Mam towarzystwo - powiedziała mu, gdy z uśmiechem otworzyłam drzwi.

- Słyszę - odparł.

Wzięłam go za rękę i wprowadziłam do kuchni.

- Billu, to jest Coby, a ta pannica to Lisa - przedstawiłam ich uroczyście.

- Wspaniale, właśnie chciałem was poznać - odparł ku mojemu zaskoczeniu wampir. - Liso, Coby, nie będzie wam przeszkadzać, że dotrzymam towarzystwa waszej cioci Sookie?

Przypatrzeli mu się w zadumie.

- Tak naprawdę Sookie nie jest naszą ciocią - odrzekł Coby z powagą w głosie. - Ale jest bliską przyjaciółką naszej mamy.

- To dobrze?

- Tak, chociaż ciocia twierdzi, że nie przysyłasz jej kwiatów - palnęła Lisa głośno i wyraźnie. Poczułam ogromne zadowolenie, że dziewczynka przezwyciężyła swój mały problem z wymową litery „r”. Naprawdę!

Bill zerknął na mnie z ukosa. Wzruszyłam ramionami.

- No cóż, dzieci mnie spytały - odparłam bezradnie.

- Hmm... - powiedział zamyślonym tonem. - Liso, będę się musiał poprawić. Dzięki, że mi to wytknęłaś. Wiesz może, kiedy ciocia Sookie ma urodziny?

Poczułam, że się czerwienię.

- Billu - zawołałam ostro. - Przestań.

- Ty wiesz, Coby? - wampir spytał chłopca.

Malec ze smutkiem potrząsnął głową.

- Wiem jednak, że przypadają latem, ponieważ ostatnim razem mama zabrała ciocię na lunch w Shreveport w jej urodziny i było bardzo gorąco. My zostaliśmy z Rene.

- Jesteś inteligentny, że to zapamiętałeś, Coby - ocenił Bill.

- Jestem nawet bardziej inteligentny! Zgadnij, czego się nauczyłem w szkole pewnego dnia. - Coby zerwał się z miejsca i zaczął biegać.

Gdy Coby mówił, Lisa przez cały czas bacznie przyglądała się Billowi. Nagle oświadczyła:

- Jesteś niesamowicie biały, Bill.

- Tak - przyznał wampir. - To normalny odcień mojej cery.

Dzieci wymieniły spojrzenia. Wydało mi się, że uznały określenie „normalny odcień cery” za chorobę. Prawdopodobnie doszły do wniosku, że zadawanie dalszych pytań nie byłoby grzeczne.

Co jakiś czas dzieciaki potrafią się wykazać taktem.

Początkowo nieco sztywny, w miarę upływu wieczoru Bill zaczął się rozkręcać. Około dwudziestej pierwszej poczułam zmęczenie, on jednak zajmował się dziećmi aż do dwudziestej trzeciej, kiedy przyjechali po nie Arlene i Rene.

Przedstawiłam moich przyjaciół Billowi, który uściskał im ręce w całkowicie zwyczajny sposób.

Nieco później zjawiał się następny gość.

Przystojny wampir o gęstych czarnych włosach uczesanych w nieprawdopodobne fale. Wyszedł z lasu, gdy Arlene pakowała dzieci do ciężarówki, a Rene i Bill gawędzili. Mój wampir zamachał niedbale przybyszowi, ten zaś w odpowiedzi podniósł dłoń, po czym dołączył do Billa i Rene.

Wyraźnie czuł, że go oczekujemy.

Z huštawki na frontowym ganku przyglądałam się Billowi przedstawiającemu parę nowo przybyłemu. Wampir i Rene podali sobie ręce. Rene gapił się na nowego i dałabym głowę, że go rozpoznał. Bill spojrzał znacząco na Rene i potrząsnął głową, więc mężczyzna zamknął usta, choć jawnie miał zamiar skomentować sytuację.

Przybysz był krzepki, wyższy do Billa. Nosił stare dzinsy i podkoszulek z napisem: „Odwiedziłem Graceland”. Jego ciężkie buty miały znoszone obcasy. W rękę trzymał plastikową butelkę z syntetyczną krwią i od czasu do czasu brał łyk. Pan Kulturalny.

Może zasugerowałam się reakcją Rene, lecz im dłużej patrzyłam na nowo przybyłego wampira, tym bardziej znajomy mi się zdawał. Spróbowałam wyobrazić go sobie z nieco ciemniejszą karnacją, dodać mu w myślach kilka zmarszczek, kazać mu się trochę wyprostować i wlać w jego twarz jakieś życie.

O mój Boże!

To był ten facet z Memphis!

Rene odwrócił się, by odejść, Bill natomiast zaczął kierować przybysza w moją stronę. Z odległości trzech metrów wampir o wyglądzie Elvisa zawołał:

- Hej. Bill twierdzi, że ktoś zabił twojego kota! - Mówił z ciężkim południowym akcentem. Bill zamknął na sekundę oczy, ja zaś - kompletnie oniemiała - skinęłam jedynie głową. - No cóż, przykro mi z tego powodu. Lubię koty - ciągnął, a mnie od razu przeniknęła przez głowę myśl, że na pewno nie chodzi mu o gładzenie ich futra. Miałam nadzieję, że dzieci tego nie usłyszały, zobaczyłam jednak przerażoną twarz Arlene w oknie pikapa. Dobre wrażenie, które zrobił Bill, całkowicie się już zapewne zatarło.

Rene potrząsnął głową za plecami wampira, wsiadł za kierownicę, krzyknął: „Do zobaczenia”, po czym włączył silnik. Wystawił jeszcze głowę z okna i po raz ostatni obrzucił przybysza spojrzeniem. Musiał coś powiedzieć do Arlene, ponieważ ukazała się ponownie w oknie i zagapiła się na istotę stojącą obok mojego wampira. Gdy obejrzała sobie obcego dokładniej, z szoku rozdziawiła usta. Sekundę później schowała głowę w pikapie, a ja usłyszałam pisk opon odjeżdżającego auta.

- Sookie - odezwał się Bill ostrzegawczym tonem - to jest Bubba.

- Bubba - powtórzyłam, nie całkiem ufając swoim uszom.

- Tak, Bubba - dodał radośnie wampir. Z jego przerażającego uśmiechu promieniowała życzliwość.

- To właśnie ja. Miło cię poznać.

Uściskaliśmy sobie dłonie. Również się uśmiechnęłam. Boże Wszechmogący, nigdy nie sądziłam, że uścisknę mu rękę! Tyle że on po śmierci chyba się zmienił na gorsze.

- Bubbo, nie przeszkadza ci, że poczekaś tutaj na ganku? W tym czasie wyjaśnię Sookie naszą umowę.

- Może być - rzucił niedbale wampir. Usadowił się na huśtawce, równie beztroski i głupi jak ameba. Weszliśmy do salonu, wcześniej wszakże uprzytomniłam sobie, że od pojawienia się Bubby nocne stworzenia - takie jak owady i żaby - milczały niczym zaklęte.

- Chciałem ci wszystko wytłumaczyć, zanim Bubba się tu zjawi - szepnął Bill. - Niestety nie zdążyłem.

- Czy to jest ta osoba - spytałam cicho - o której myślę?

- Tak. Wiesz teraz przynajmniej, że prawdziwe są niektóre z opowieści osób, które go jakoby widziały. Nie nazywaj go jednak po imieniu ani po nazwisku. Nazywaj go Bubbą! Coś poszło źle, gdy zmieniał się... z człowieka w wampira... może z powodu ogromnej ilości substancji chemicznych, które miał we krwi...

- Ale tak naprawdę to on przecież nie żyje, zgadza się?

- Hmm... nie całkiem. Jeden z naszych był pomocnikiem w kostnicy i jego dużym fanem. Dostrzegł podobno maleńką iskierkę życia tłącą się w nim, toteż pospiesznie go przemienił.

- Przemienił?

- Zmienił w wampira - wyjaśnił Bill. - To był niestety błąd. Piosenkarz nie jest już taki sam jak przedtem, tak w każdym razie twierdzą moi przyjaciele. Zrobił się równie mądry jak pień drzewa, toteż by zarobić na życie, wykonuje dla nas drobne prace dorywcze. Nie możemy zabierać go między ludzi, sama rozumiesz.

Kiwnęłam głową, choć nadal z rozdziawionymi ustami. Oczywiście, że nie mogli.

- Jezu - mruknęłam, ciągle ogłuszona obecnością tak słynnej postaci na moim podwórku.

- Pamiętaj, że jest głupi i impulsywny. Nie spędzaj z nim czasu sam na sam i zawsze nazywaj go Bubbą. Cóż, tak jak ci powiedział, lubi przede wszystkim zwierzęta domowe. Ich krew jednakże nie wychodzi mu na dobre. Hmm... teraz przejdźmy do powodów, dla których go tutaj ściągnąłem... -

Stałam się z rękami założonymi na piersi i z pewnym zainteresowaniem czekałam na wytłumaczenie Billa. - Widzisz, kochanie, muszę wyjechać z miasta na parę dni - dodał.

Poczułam się niespodziewanie zakłopotana.

- Co... dlaczego? Nie, zaczekaj. Nie muszę wiedzieć. - Zamachałam rękoma przed sobą, nie chcąc się wtrącać i usiłując zasugerować, że mój wampir nie ma obowiązku informować mnie o swoich sprawach.

- Powiem ci, gdy wrócę - oświadczył stanowczo.

- Gdzie więc twój przyjaciel... Bubba... zostanie? - spytałam, choć miałam paskudne uczucie, że już wiem.

- Bubba będzie cię pilnował podczas mojej nieobecności - odparł Bill sztywno. Uniosłam brwi. - No cóż, nie jest zbyt... - Bill rozejrzał się - ...rozgarnięty - przyznał w końcu - lecz jest silny i zrobi, co mu każe. Dzięki niemu nikt nie włamie się do twojego domu.

- Zostanie poza domem, w lesie?

- Och, tak - odparł mój wampir z naciskiem. - Nie będzie przychodził, by z tobą porozmawiać. Po prostu o zmroku zjawi się na podwórzu, znajdzie sobie dogodny punkt obserwacyjny i całą noc będzie patrzeć na dom.

„Muszę pamiętać, by opuszczać rolety” - powiedziałam sobie. Myśl o bladym Bubbie zagląającym mi w okna nie wydawała się budująca.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne? - spytałam bezradnie. - Nie przypominam sobie, żebyś mnie o to pytał.

Bill westchnął ciężko. Człowiek w takiej sytuacji pewnie brałby głęboki oddech.

- Kochana - zaczął przesadnie cierpliwym głosem - bardzo mocno staram się przyzwyczać do tego, jak kobiety chcą być teraz traktowane. Nie jest to wszakże dla mnie naturalne, szczególnie gdy się obawiam o twoje bezpieczeństwo. Obecność Bubby tutaj pozwoli mi się spokojnie oddalić. Chciałbym nie wyjeżdżać, ale wierz mi, muszę to zrobić. Robię to zresztą dla nas.

Przypatrzyłam się mu.

- Rozumiem - odrzekłam w końcu. - Nie cieszę się z tego, ale nocami się boję, więc przypuszczam, że... no cóż, dobrze. - Szczerze mówiąc, nie sądzę, by Biła interesowało moje przyzwolenie. Jak w sumie mogłabym przegonić Bubbę, gdyby nie chciał odejść? Nawet przedstawiciele prawa w naszym mieście nie posiadali odpowiedniego wyposażenia przeciwko wampirom, a na widok tego akurat wampira pootwieraliby tylko gęby i stali bez ruchu, aż by ich rozszarpał. Doceniałam troskę Billa, pomyślałam zatem, że lepiej przestanę narzekać i po prostu mu podziękuję. Lekko go przytuliłam. - Wiesz, skoro musisz wyjechać, postaraj się zachować ostrożność - oznajmiłam, usiłując nie dopuścić do głosu żalnego tonu. - Masz miejsce, w którym się zatrzymasz?

- Tak. Będę w Nowym Orleanie. Zarezerwowałam pokój w „Krwi” w dzielnicy French Quarter.

Czytałam artykuł o tym hotelu, pierwszym na świecie, który obsługiwał wyłącznie wampiry.

Zapewniał im całkowite bezpieczeństwo i - jak dotąd - żadnego nie zawiódł. W dodatku mieścił się w samym środku cudownej French Quarter. O zmierzchu podobno otaczały go prawdziwe tłumy miłośników klów i turystów, czekających na nocne wyjście wampirów.

Zaczęłam odczuwać zazdrość. Usiłując nie przypominać z wyglądu smutnego szczeniaka, którego zaganiają do domu wychodzący właściciele, ponownie się uśmiechnęłam.

- No cóż, baw się dobrze - rzuciłam pogodnie. - Skończyłeś się pakować? Jazda zajmie ci kilka

godzin, a jest już ciemno.

- Samochód przygotowany. - Po raz pierwszy zrozumiałam, że Bill opóźnił wyjazd, by spędzić nieco czasu ze mną i dziećmi Arlene. - Lepiej już pojedę. - Zawahał się, wyraźnie szukając właściwych słów. Potem wyciągnął do mnie ręce. Ujęłam je i choć pociągnął ku sobie tylko trochę, zaledwie kilka centymetrów, wpadłam w objęcia Billa i otarłam twarz o jego koszulę. Objęłam ciało mojego wampira i przycisnęłam do piersi. - Będę za tobą tęsknił - oświadczył. Jego głos był niemal równie cichy jak podmuch wiatru, tym niemniej go usłyszałam. Bill pocałował mnie w czubek głowy, po czym odwrócił się i wyszedł drzwiami frontowymi. Z ganku dotarł do mnie jego głos, gdy mój wampir udzielał Bubbie ostatnich wskazówek. Skrzyknęła huśtawka; Bubba wstał. Za okno wyjrzałam dopiero, gdy ucichł odgłos zjeżdżającego podjazdem samochodu Billa. Zobaczyłam Bubbę. Szedł do lasu. Podczas prysznic powiedziałam sobie, że skoro Bill zostawił Bubbę jako mojego ochroniarza, prawdopodobnie całkowicie mu ufa. Nadal jednak nie byłam pewna, kogo bardziej się boję: mordercy, przed którym Bubba mnie strzegł czy też samego Bubby.

* * *

Nazajutrz w pracy Arlene spytała mnie, po co tamten wampir znalazł się w moim domu. Nie zaskoczyło mnie, że podniosła tę kwestię.

- No cóż, Bill musiał wyjechać z miasta i martwił się, wiesz...

Miałam nadzieję, że to wystarczy.

Później jednak przyszła do mnie Charlise. Nie byłyśmy szczególnie zajęte: przedstawiciele Izby Handlowej jedli dziś uroczysty lunch w Fins and Hooves, a Stowarzyszenie Gospodyń Wiejskich piekło ziemniaki w wielkim domu starej pani Bellefleur.

- Chcesz powiedzieć - zapytała Charlise z roziskrzonymi oczyma - że twój facet przysłał ci osobistego ochroniarza? - Niechętnie kiwnęłam głową. Można tak to było ująć. - Jakżeż romantycznie - westchnęła.

Można tak było na to spojrzeć.

- Tyle że powinnaś go zobaczyć - wtrąciła Arlene. Nie potrafiła już dłużej utrzymać języka za zębami. - Facet wygląda dokładnie jak...

- Och, nie, nie kiedy z nim rozmawiasz - przerwałam jej. - Wtedy wcale tamtego nie przypomina. - To była szczerza prawda. - I podobno wprost nie cierpi dźwięku swojego imienia.

- Och - jęknęła Arlene cicho, jakby Bubba mógł ją usłyszeć nawet tu i w biały dzień.

- Czuję się bezpieczniejsza, kiedy obserwuje mnie z lasu - mruknęłam, mniej więcej zgodnie z prawdą.

- Och, nie zatrzymał się w domu? - spytała Charlise, wyraźnie rozczarowana.

- Mój Boże, jasne, że nie! - odparłam, w myślach przeprasząc Boga za wypowiedzenie jego imienia nadaremno. Ostatnio musiałam często grzeszyć przeciwko temu przykazaniu. - Nie, Bubba noce spędza w lesie. Stamtąd patrzy na dom.

- Czy to była prawda z tymi kotami? - Arlene spojrzała podejrzliwie.

- Nie, tylko żartował. Niezbyt ciekawe poczucie humoru, co? - Kłamałam jak z nut. W duszy przecież wierzyłam, że Bubba lubi się napić kociej krwi.

Nieprzekonana Arlene potrząsnęła głową. Uznałam, że pora zmienić temat.

- Dobrze się bawiliście z Rene ubiegłego wieczoru? - spytałam.

- Rene był bardzo miły wczoraj w nocy, nieprawdaż? - spytała z zaróżowionymi policzkami.

Kobieta zameżna (niejednokrotnie zameżna), która się rumieni!

- Ty mi to powiedz.

Arlene lubiła sobie czasem nieco sprośnie pożartować.

- Och, ty! Chciałam tylko powiedzieć, że był naprawdę grzeczny dla Billa, a nawet dla Bubby.

- Dlaczego nie miały być grzeczny?

- Wiesz, Sookie, on szczerze nie znosi wampirów. - Arlene potrząsnęła głową. - Cóż, ja również za nimi nie przepadam - wyznała, gdy spojrzałam na nią z uniesionymi brwiami. - Jednak Rene naprawdę żywi jakieś uprzedzenia. Jego siostra, Cindy, spotykała się przez pewien czas z wampirem, czym straszliwie zdenerwowała Rene.

- Cindy miewa się dobrze? - Bardzo interesowało mnie zdrowie osoby, która „spotykała się przez pewien czas z wampirem”.

- Nie widziałam jej - przyznała przyjaciółka. - Ale Rene odwiedza ją mniej więcej co drugi tydzień. Podobno dziewczyna dobrze siebie radzi. Zaczęła zarabiać. Znalazła pracę w szpitalnym bufecie.

- Może Cindy chciałaby wrócić do domu? - spytał Sam zza baru, gdzie napełniał lodówkę butelkami z krwią. - Lindsey Krause odchodzi z drugiej zmiany, ponieważ przenosi się do Little Rock.

Stwierdzenie szefa przyciągnęło naszą uwagę. Lokal „Merlotte” zaczynał poważnie cierpieć z powodu niedoborów kadrowych. Z jakiegoś powodu zawód kelnerki stracił w ostatnich dwóch miesiącach na popularności.

- Rozmawiałeś już z kimś? - zapytała Arlene.

- Będę musiał przejrzeć zgłoszenia - odparł zmęczonym tonem. Arlene i ja byłyśmy jedynymi spośród barmanek i kelnerek, które nie opuściły Sama od ponad dwóch lat. Nie, nie, była jeszcze jedna. Na drugiej zmianie od lat pracowała też Susanne Mitchell. Mój szef spędzał sporo czasu na zatrudnianiu i (czasem) zwalnianiu.

- Hmm... Sookie, mogłabyś przerzucić dla mnie akta? Sprawdź, która z kandydatek przeprowadziła

się gdzieś od czasu zgłoszenia albo dostała inną pracę. Może znajdziesz wśród dziewczyn taką, którą naprawdę polecasz? Oszczędziłabyś mi trochę roboty.

- Jasne - odrzekłam. Pamiętałam, że Arlene robiła to samo dwa lata temu, kiedy przyjmowaliśmy Dawn. Miałyśmy więcej więzi ze społecznością miasteczka niż Sam, który niemal z nikim się nie spotykał. Przebywał w Bon Temps od sześciu lat, ale nie znam nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o jego życiu, zanim Sam kupił tu bar.

Usiadłam za jego biurkiem z grubym plikiem podań. Po kilku minutach odkryłam, że sporo zrobiłam. Podzieliłam akta na trzy grupy: przeprowadzki, osoby zatrudnione gdzie indziej i „dobry materiał”. Dodałam jeszcze czwarty i piąty stosik: dla osób, z którymi nie potrafiłabym pracować, gdyż ich nie cierpię oraz stos dla zmarłych. Pierwszy formularz z tej ostatniej grupki wypełniła dziewczyna, która zginęła w wypadku samochodowym w ostatnie Boże Narodzenie. Gdy dostrzegłam to nazwisko na górze formularza, znowu współczułam jej rodzicom. Drugie podanie należało do Maudette Pickens!

Maudette złożyła je na trzy miesiące przed śmiercią. Domyślałam się, że nie zadowalała jej praca w Grabbit Kwik. Popatrzyłam na odręczne pismo nieszczęsnej ofiary oraz jej ortografię i na nowo poczułam litość. Usiłowałam sobie wyobrazić mojego brata, który pragnie się kochać z tą kobietą i filmować to. Że też nie szkoda mu było czasu na kogoś takiego! Po raz kolejny zdumiała mnie dziwna mentalność Jasona. Nie widziałam go, odkąd odjechał z Desiree. Miałam nadzieję, że dotarł do domu cały i zdrowy. Dziewczyna wyglądała na niezłe ziółko. Szkoda, że mój brat nie chce się ustatkować z, na przykład, Liz Barrett, która chyba potrafiłaby zapanować nad jego wyskokami. Ilekroć ostatnio myślałam o Jasonie, martwiłam się. Gdybyż tylko mój brat nie znał tak dobrze Maudette i Dawn! Chociaż... wielu mężczyzn znało je przecież obie, zarówno z widzenia, jak i hmm... cieleśnie. Obie miały też na ciele ugryzienia wampirzych zębów. Dawn lubiła ostry seks, skłonności Maudette w tym względzie nie znałam... Sporo facetów kupowało benzynę i kawę w Grabbit Kwik, sporo ich przychodziło również tutaj na drinka. Lecz tylko mój głupi brat zarejestrował na filmach figle z Dawn i Maudette.

Gapiałam się na duży plastikowy kubek z mrożoną herbatą, który stał na biurku Sama.

Z boku zielonego kubka widniał odblaskowy, pomarańczowy napis: „Duży Łyk z Grabbit Kwik”. Mój szef także znał je obie. Dawn pracowała dla niego, a Maudette złożyła podanie o pracę w „Merlotcie”.

Sam na pewno nie był zachwycony, że spotykam się z wampirem. Może nie chciał, by jakakolwiek kobieta widywała się z wampirem...?

Właśnie wtedy wszedł mój szef, ja zaś podskoczyłam, jakbym zrobiła coś złego. I zrobiłam, w mojej opinii. Nie powinno się źle myśleć o przyjacielu.

- Który stos jest dobry? - spytał, jednocześnie posyłając mi zaintrygowane spojrzenie.

Wręczyłam mu niski stosik, może z dziesięć podań.

- Ta dziewczyna, Amy Burley - odparłam, wskazując akta na szczycie - ma doświadczenie, chociaż obecnie zastępuje tylko stałe kelnerki w barze Good Times. Charlise z nią tam pracowała, możesz więc najpierw pogadać z Tooten.

- Dzięki, Sookie. Zaoszczędziłaś mi kłopotu. - Na potwierdzenie szorstko skinęłam głową. -

Wszystko w porządku? - spytał. - Wydajesz się dziś jakaś... daleka.

Przyjrzałam mu się dokładnie. Wyglądał tak samo jak zawsze. Jego umysł jednak pozostawał dla mnie zamknięty. Jak Sam potrafił mnie blokować? Nie potrafiłam odczytywać myśli jeszcze jednej tylko innej osoby - Billa, ale przecież Bill był wampirem. Sam zaś na pewno nie.

- Po prostu tęsknię za Billem - odparłam z premedytacją. Czy robi mi wykład o zgubnych skutkach spotykania się z wampirem?

- Jest dzień - odparł mój szef. - Twój wampir nie może być tutaj.

- Oczywiście że nie - odparowałam sztywno. - Wyjechał za miasto - dodałam, a potem zastanowiłam się, czy mądrze jest się zwierzać komuś, kogo zaczęłam podejrzewać o najgorsze.

Ruszyłam do drzwi tak nagle, że Sam zagapił się na mnie ze zdumieniem.

Gdy później zobaczyłam Arlene i Sama odbywających długą rozmowę, jednoznacznie wywnioskowałam z ich porozumiewawczych spojrzeń, że mówią o mnie. Szef wrócił do swojego biura bardziej zmartwiony niż kiedykolwiek. Aż do końca mojej zmiany nie odezwaliśmy się do siebie.

Tego wieczoru droga do domu była dla mnie wyjątkowo trudna, ponieważ wiedziałam, że do rana zostanę sama. Wcześniej lepiej się czułam w samotne noce, gdyż w każdej chwili mogłam zadzwonić do Billa. Dziś nie. Próbowałam się pocieszyć myślą, że mam „anioła stróża”... że gdy zapadną kompletne ciemności, Bubba wypełni z dziury, w której spał. Niestety myśl ta bynajmniej mnie nie uspokoiła.

Zadzwoiłam do Jasona, lecz nie było go w domu. Sprawdziłam w „Merlotcie”, jednak Terry Bellefleur, który odebrał telefon, zapewnił mnie, że mój brat nie pojawił się dziś w barze.

Zastanowiłam się, co robi teraz Sam. Chyba nigdy nie słyszałam o żadnych jego randkach. Na pewno nie z braku propozycji, gdyż niejednokrotnie zauważyłam, że interesują się nim kobiety... Szczególnie zalotna, wręcz napastliwa była Dawn.

Nie potrafiłam sobie wymyślić niczego przyjemnego do roboty. Zaczęłam rozważać pomysł, że Bubba jest zabójcą do wynajęcia... wampirem do wynajęcia. Czy to do niego zadzwonił Bill, kiedy postanowił sprzątnąć wujka Bartletta? Zadałam sobie pytanie, dlaczego Bill wybrał na mojego obrońcę takie tępe umysłowo stworzenie.

Każda książka, którą brałam z półki, wydawała mi się dziś nieodpowiednia. Każdy program w telewizji, który zaczynałam oglądać, uznawałam po chwili za kompletnie pozbawiony sensu.

Przeglądałam „Time’a”, szybko wszakże rozdrażniła mnie determinacja, z jaką wiele narodów usiłowało dać się unicestwić, rzuciłam więc czasopismo przez pokój.

Mój umysł po omacku szukał jakiegoś punktu zaczepienia - niczym wiewiórka usiłująca się wydostać z klatki. Nic mi nie pasowało.

Na odgłos dzwonka telefonu aż podskoczyłam.

- Halo? - warknęłam szorstko.

- Jason jest tu teraz - powiedział krótko Terry Bellefleur. - Chce ci postawić drinka.

Wystraszyła mnie myśl, że w mroku musiałabym przejść do samochodu, a później wrócić do pustego domu (przynajmniej miałam nadzieję, że będzie nadal pusty). Po chwili zbeształam się w myślach, gdyż - ostatecznie - ktoś przecież doglądał budynku, ktoś bardzo silny, nawet jeśli bardzo głupi.

- W porządku, będę za minutę - zapewniłam. Terry po prostu odłożył słuchawkę. Pan Gadulski.

Włożyłam dżinsową spódnicę i żółty podkoszulek, po czym - rozglądając się uważnie na prawo i lewo - prędko przecięłam oświetlone podwórko i dopadłam auta. Otworzyłam drzwiczki i w mgnieniu oka wsunęłam się na siedzenie. Gdy znalazłam się wewnątrz, natychmiast zamknęłam drzwiczki.

Pomyślałam, że nie mogę bez końca żyć w strachu.

* * *

Przed „Merlotte’em” z przyzwyczajenia zaparkowałam na parkingu dla pracowników. Przy śmietniku dostrzegłam drapiącego ziemię psa. Przechodząc, pogłaskałam go po łbie. Raz na tydzień dzwoniłszy do schroniska, by przyjechali zabrać zabłąkane lub porzucone psy. Było wśród nich tak wiele ciężarnych suk, że aż krajało mi się serce.

Terry stał za barem,

- Hej - zagaiłam, popatrując po gościach. - Gdzie Jason?

- Nie ma go tutaj - odparł Terry. - Nie widziałem go dzisiejszego wieczoru. Mówiłem ci to przez telefon.

Zagapiłam się na niego z otwartymi ustami.

- Ale później zadzwoniłeś i powiedziałeś, że przyszedł.

- Nie, nie dzwoniłem.

Gapiliśmy się na siebie bez słowa. Widziałam, że Terry ma jedną ze swoich złych nocy. Co rusz bezradnie kręcił głową, walcząc z koszmarnymi myślami dręczącymi go od czasów wojska lub związanymi z prywatnymi bitwami, które toczył z alkoholem i narkotykami. Mimo klimatyzacji twarz miał zarumienioną i spoconą, poruszał się niezdarnie i nierytmicznie. Biedny Terry.

- Naprawdę nie dzwoniłeś? - spytałam najbardziej neutralnym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

- Mówię ci przecież, zgadza się? - odwarknął agresywnie.

Miałam nadzieję, że żaden z klientów baru nie przysporzy mu tego wieczoru kłopotów.

Wycofałam się z pojednawczym uśmiechem.

Pies nadal stał przy tylnych drzwiach. Na mój widok zaskowyczał.

- Jesteś głodny, mały? - spytałam.

Podszedł do mnie odważnie; nie kulił się, czego mogłabym się spodziewać po bezpańskim zwierzęciu. Kiedy oświetliła go latarnia, odkryłam, że sierść ma zdrową i połyskującą, zapewne porzucono go zatem całkiem niedawno. Wyglądał na owczarka szkockiego. Miałam zamiar wrócić do kuchni i spytać kucharza, czy nie zostały mu jakieś odpadki dla psa, później jednak wpadłam na lepszy pomysł.

- Wiem, że zły, stary Bubba kręci się koło domu, ale chyba zabiorę cię do siebie - zagruchałam dziecinnym głosem, którym zwracam się do zwierząt, ilekroć sędzę, że nikt mnie nie słucha. - Umiesz siusiać na dworze, żebyśmy nie nabrudzili w domciu? Co... mały? - Collie, jakby mnie zrozumiał, oznaczył kąć śmietnika. - Dobry piesek! Jedziesz ze mną? - Otworzyłam drzwiczki samochodu z nadzieją, że pies nie zanieczyści mi siedzeń. Owczarek zawahał się. - Wsiadaj, kochany, jak dojedziemy, dam ci coś dobrego do jedzenia, dobrze? - Przekupstwo nie zawsze jest złe.

Po kolejnych kilku spojrzeniach i gruntownym obwąchaniu moich rąk pies wskoczył na siedzeniu obok kierowcy, zasiadł i wpatrzył się w przednią szybę. Wyraźnie nastawiał się na przygodę. Oświadczyłam mu, że doceniam jego dobrą wolę i połaskotałam go za uszami. Ruszyliśmy w drogę. Collie dał mi do zrozumienia, że jest przyzwyczajony do jazdy autem.

- Wiesz, piesku, natychmiast gdy dotrzemy pod dom - pouczyłam stanowczo owczarka - pędzimy od razu do frontowych drzwi. W porządku? W lesie jest olbrzym, który chętnie cię pożre. - Pies wydał nerwowe szczeknięcie.

- No cóż, nie damy mu okazji - uspokoiłam go. Bez wątpienia miło mieć stworzenie do pogaduszek. Nawet bardzo miło... chociaż owczarek nie potrafił odpowiedzieć, w każdym razie w składny, ludzki sposób. A ponieważ nie był człowiekiem, nie musiałam blokować dopływu jego myśli. Odprężyłam się. - Trzeba się będzie spieszyć - dorzuciłam.

- Hau - zgodził się mój towarzysz.

- Muszę cię jakoś nazywać - ciągnęłam. - Może... Buffy? - Warknął. - Okej. A Rover? - Zaskowyczał. - Też mi się niezbyt podoba. Hmm... - Skręciliśmy w mój podjazd. - A może masz już imię? - spytałam. - Poczekaj, obmacam ci szyję. - Wyłączyłam silnik i przesunęłam palcami przez gęstą sierść. Nie miał nawet obroży przeciwpchelnej. - Ktoś źle o ciebie dbał, maleńki - jęknęłam. - To się jednak teraz zmieni. Będę dobrą mamą.

Po tej skrajnie głupkowatej odzywce wyjęłam klucz i otworzyłam drzwiczki od swojej strony.

Pies natychmiast przepchnął się obok mnie, wyskoczył na podwórko i czujnie się rozejrzał. Poniuchał w powietrzu, a w jego gardle narastał warkot.

- To jest naprawdę dobry wampir, kochany piesku, wampir, który chroni dom. Chodźmy do środka.

- Chwilę namawiałam owczarka do wejścia. Kiedy znaleźliśmy się w środku, od razu zamknęłam za nami drzwi.

Pies obiegił salon, obwąchując wszystko i popatrując na boki. Dobrą minutę obserwowałam go, w końcu nabrałam pewności, że niczego nie pogryzie ani nie obsika, poszłam więc do kuchni poszukać mu czegoś do zjedzenia.

Napełniłam dużą miskę wodą, po czym wzięłam drugą, plastikową, w której babcia trzymała sałatę i nasypałam tam resztki kociego żarcia Tiny oraz mięso z meksykańskiego taco. Uznałam, że jeśli pies naprawdę głodował, zadowoli się tym posiłkiem. Owczarek wpadł do kuchni chwilę później i skierował się do misek. Obwąchał jedzenie, po czym podniósł głowę i posłał mi długie spojrzenie.

- Przykro mi. Nie mam psiego jedzenia. Te odpadki to najlepsze, co udało mi się znaleźć. Jeżeli ze mną zostaniesz, kupię ci trochę Kibbles 'N Bits. - Collie gapił się na mnie jeszcze kilka sekund, potem pochylił głowę nad miską. Zjadł nieco mięsa, popił wodą i popatrzył na mnie wyczekująco. - Mogę cię nazywać Rex? - Krótco warknął. - Może Dean? - spytałam. - Dean to miłe imię. - Miał tak na imię pewien uprzejmy mężczyzna, który pomagał mi w księgarni w Shreveport. Facet miał oczy podobne do psich, usłużne i inteligentne. Wydało mi się, że nieco się różnił od innych ludzi. Nigdy nie spotkałam psa o tym imieniu. - Założę się, że ty jesteś bystrzejszy od Bubby - mruknęłam w zadumie, a pies wydał krótkie, ostre szczeknięcie. - Więc chodź, Dean, przygotujmy ci posłanie - oznajmiłam ot tak, z czystej radości, że mam do kogo otworzyć usta. Owczarek powędrował za mną do sypialni, bardzo dokładnie sprawdzając po drodze wszystkie meble.

Zdjęłam koszulę i podkoszulek, odłożyłam je, po czym zsunęłam majtki i rozpięłam biustonosz. Pies przyglądał mi się z wielką uwagą, kiedy wyjmowałam czystą koszulę nocną i szłam do łazienki wziąć prysznic.

Wyszłam czystsza i znacznie spokojniejsza.

Dean siedział w progu, zadartłszy głowę na bok.

- Aby się umyć, ludzie z przyjemnością wchodzą pod prysznic - wyjaśniłam mu. - Wiem, że psy tego nie robią. Jest to chyba wyłącznie ludzka rzecz. - Wyczyściłam zęby i włożyłam koszulę nocną. - Przygotowałeś się do snu, Dean? - W odpowiedzi pies wskoczył na łóżko, zakręcił się w kółko i umościł. - Hej! Zaczekaj chwilę! - Nie mogłam na to pozwolić. Babcia dostałaby szału, gdyby wiedziała, że w jej łóżku leży pies. Uważała, że świetnie mieć zwierzęta, o ile spędzają one

noce na dworze. Ludzie wewnątrz, zwierzęta na zewnątrz - tak brzmiała jej zasada. No cóż, teraz miałam wampira na zewnątrz i owczarka szkockiego w swoim łóżku. - Schodzisz! - krzyknęłam i wskazałam przygotowany pled. Owczarek powoli, niechętnie, zeskoczył z łóżka. Usiadł na pledzie i przypatrzył mi się z wyrzutem. - Zostajesz tam - oświadczyłam surowo i położyłam się do łóżka. Byłam bardzo zmęczona, ale dzięki psu moja nerwowość niemal ustąpiła. Chociaż nie wiem, jakiej pomocy oczekiwałam w razie wizyty intruza; nie mogłam przecież być pewna lojalności prawie obcego zwierzęcia. Tym niemniej jego obecność sprawiła, że poczułam ulgę i zaczęłam się relaksować. Już niemal zasypiałam, gdy odkryłam, że łóżko ugięło się pod ciężarem owczarka. Zwierzę polizało mi policzek długim językiem, po czym przytuliło się do mnie. Odwróciłam się i pogłaskałam go. Przyjemnie było mieć towarzysza.

Obudziłam się o świcie. Usłyszałam nerwowe ćwierkanie ptaków i pomyślałam, że pewnie zbliża się burza. Cudownie było leżeć w łóżku. Od przytulonego do mnie psa biło ciepło, które przenikało przez moją nocną koszulę. W nocy chyba zrobiło mi się za ciepło, bo odrzuciłam kołdrę. Sennym ruchem pogłaskałam zwierzę po głowie i zaczęłam gładzić jego futro, leniwie przesuwając palcami przez gęstą sierść. Owczarek przysunął się jeszcze bliżej, powąchał moją twarz i... otoczył mnie ramieniem...

Pies otoczył mnie ramieniem?!

Wyskoczyłam z łóżka i wrzasnęłam.

Leżący w moim łóżku Sam podparł się na łokciach i popatrzył na mnie z niejakim rozbawieniem.

- O mój Boże! Sam, skąd się tu wziąłeś? Co robisz w moim domu? Gdzie jest Dean? - Zakryłam twarz dłońmi i odwróciłam się plecami, ale oczywiście natychmiast zaczęłam podejrzewać prawdę.

- Hau - odparł mój szef w całkowicie ludzki sposób. Musiałam zaakceptować sytuację.

Odwróciłam się, by stawić mu czoło. Okropnie się gniewałam. Zaczęłam się obawiać, że zaraz wybuchnę.

- Oglądałeś, jak się rozbierałam ubiegłej nocy, ty... ty... przeklęty psie!

- Sookie - odparł poważnym tonem. - Posłuchaj mnie.

W tym momencie uderzyła mnie inna myśl.

- Och, Sam. Bill cię zabije. - Usiadłam w fotelu przy drzwiach do łazienki, postawiłam łokcie na kolanach i zwiesiłam głowę. - Och, nie - powiedziałam - Nie, nie, nie.

Mój szef klęknął przede mną. Miał takie same sztywne, czerwonozłote włosy na piersi jak na głowie. Od piersi ciągnęły się przez brzuch i w dół, ku... Znów zamknęłam oczy.

- Sookie, zmartwiła mnie informacja Arlene, że zostałam zupełnie sama - zaczął.

- Nie wspomniała ci o Bubbie?

- O Bubbie?

- To wampir, którego Bill zostawił, by doglądał domu.

- Ach tak, coś mówiła. Chyba przypominał jej jakiegoś piosenkarza.

- No cóż, ma na imię Bubba. Sprawia mu przyjemność wysysanie krwi ze zwierząt.

Poczułam satysfakcję, widząc (przez palce), że Sam blednie.

- Niedobrze więc, że mnie wpuściłaś - bąknął w końcu.

Nagle przypomniałam sobie jego „przebranie” z ubiegłej nocy.

- Kim jesteś, Sam? - spytałam.

- Cóż, potrafię zmieniać kształt. Myślę, że powinnaś się o tym dowiedzieć. Już najwyższy czas...

- Musiałeś mnie powiadomić właśnie w taki sposób?

- Faktycznie - przyznał, nieco zakłopotany. - Planowałem, że zanim otworzysz oczy, obudzę się i zniknę. Zaspiałem niestety. Bieganie na czworakach strasznie męczy.

- Sądziłam, że człowiek może się zmienić jedynie w wilka.

- Nie ja. Ja potrafię zmienić się w cokolwiek.

Tak mnie zainteresował, że opuściłam ręce i spojrzałam na niego. Staralam się jednak patrzeć wyłącznie na jego twarz.

- Jak często? - spytałam. - Muszą być spełnione jakieś warunki?

- Tak, pełnia księżycyca - wyjaśnił. - To znaczy, wtedy zmieniam się bez wysiłku. Innymi razy muszę chcieć... Wtedy jest trudniej i przygotowania trwają dłużej. Zamieniam się w zwierzę, które widziałem przed przemianą. Często mam więc na ławie książkę o psach, otwartą na zdjęciu owczarka szkockiego. Owczarki collie są duże, lecz nikogo nie przerażają.

- Więc mógłbyś zostać ptakiem?

- Tak, chociaż latanie jest bardzo trudne. Zawsze się boję, że się usmażę na linii wysokiego napięcia albo trzasnę w jakieś okno.

- Dlaczego? To znaczy... Dlaczego chciałeś, abym wiedziała?

- Zauważyłem, że nieźle przyjęłaś fakt, iż Bill jest wampirem. W sumie... chyba nawet znajdujesz przyjemność w jego inności. Pomyślałem zatem, że sprawdzę, jak sobie poradzisz z moim... problemem...

- Jednak twojego problemu - wtrąciłam, nieco odbiegając od tematu - nie można wyjaśnić wirusem! Chcę powiedzieć, że całkowicie się zmieniasz! - Milczał, patrząc na mnie bez słowa. Oczy miał teraz niebieskie, ale równie bystre i spostrzegawcze. - Umiejętność całkowitej zmiany kształtu jest zdecydowanie nadprzyrodzona. Jeśli coś takiego istnieje, może również legendy o innych stworzeniach są prawdziwe. Na przykład... - ciągnęłam powoli, ostrożnie - ...że Bill wcale nie ma wirusa. Wampirem nie jest człowiek, który ma po prostu alergię na srebro, czosnek czy światło słoneczne... To kompletna bzdura, propaganda, można by rzec. Tego typu pogłoski rozprzestrzeniają same wampiry, gdyż sądzą, że jako chorzy zostaną prędzej zaakceptowani. Tak naprawdę jednak wampiry są... są naprawdę...

Rzuciłam się do łazienki i zwymiotowałam. Na szczęście trafiłam do muszli klozetowej.

- Tak - powiedział z progu smutnym głosem Sam.

- Przepraszam, Sookie. Niestety Bill nie ma żadnego wirusa. Jest naprawdę, naprawdę martwy.

* * *

Umyłam twarz i dwukrotnie wyszczotkowałam zęby. Usiadłam na krawędzi łóżka, zbyt zmęczona na jakiegokolwiek działanie. Mój szef usiadł obok mnie. Otoczył mnie ramieniem dla pocieszenia, a ja po chwili przysunęłam się bliżej i wtuliłam policzek w zagłębienie przy jego szyi.

- Wiesz, słuchałam NPR - rzuciłam, z pozoru bez związku. - Nadawali program o kriogenice. Podobno wiele osób decyduje się zamrozić sobie tylko głowę, gdyż jest to znacznie tańsze od zamrożenia całego ciała.

- Hmm...?

- Zgadnij, jaką piosenkę zegrali na koniec?

- Jaką, Sookie?

- *Położ głowę na moim ramieniu.*

Mój szef prychnął wesoło, po czym zaczął się skręcać ze śmiechu.

- Słuchaj, Sam - oświadczyłam, gdy ucichł. - Słyszałam, co powiedziałeś, muszę jednak omówić tę kwestię z Billem. Kocham go i jestem wobec niego lojalna. A nie ma go tutaj, by przedstawił mi swój punkt widzenia.

- Och, nie próbuję zabiegać o twoje względy, korzystając z nieobecności Billa. Chociaż byłoby wspaniale. - Uśmiechnął się swoim rzadkim, pięknym uśmiechem. Wydawał się w moim towarzystwie znacznie bardziej odprężony - teraz, kiedy znałam jego sekret.

- O co ci w takim razie chodzi?

- Chronię cię do czasu zatrzymania mordercy.

- I dlatego obudziłeś się nagi w moim łóżku? Dla mojej ochrony?

Wyraźnie go zawstydziałam.

- Cóż, powinienem wszystko lepiej zaplanować. Ale naprawdę sądziłem, że potrzebujesz kogoś w domu. Arlene powiedziała mi, że Bill wyjechał. Wiedziałem, że nie pozwolisz mi spędzić nocy tutaj, jeśli zachowam ludzką postać.

- Pewnie czujesz ulgę, wiedząc, że nocami domu pilnuje Bubba?

- Wampiry są silne i okrutne - przyznał Sam. - Domyślam się, że ten Bubba ma jakiś dług wobec Billa, w przeciwnym razie nie wyświadczyłby mu tej przysługi. Wampiry niechętnie to robią. Choć mają też swego rodzaju hierarchię.

Może trzeba było zwrócić dokładniejszą uwagę na to, co mówi Sam, pomyślałam jednak, że lepiej nie wyjaśniać mu pochodzenia Bubby.

- Jeśli istnieją takie stworzenia jak ty i Bill, domyślam się, że na świecie jest mnóstwo innych nadnaturalnych istot i zjawisk - zauważyłam, uświadamiając sobie, ile kwestii mam do rozważenia. Odkąd spotkałam Billa, nie czułam zbytniej potrzeby głębokich przemyśleń, nigdy wszakże nie zawadzi być na wszystko przygotowanym. - Będziesz musiał mi kiedyś opowiedzieć. - Wielka Stopa? Potwór z Loch Ness? Zawsze wierzyłam w potwora z Loch Ness.

- No cóż, chyba lepiej wrócę już do domu - powiedział Sam. Popatrzył na mnie pogodnie. Nadal był nagi.

- Tak, myślę, że powinieneś. Ale... o cholera... do diaska... ty... - Poszłam na górę poszukać jakiegoś ubrania. Wydawało mi się, że Jason zostawił na wszelki wypadek kilka rzeczy w szafie na piętrze.

I rzeczywiście. W pierwszej sypialni na górze znalazłam parę dżinsów i roboczą koszulę.

Na górze, pod cynowym dachem, było gorąco, ponieważ piętro ogrzewał oddzielny termostat.

Wróciłam na dół, z radością oddychając ponownie chłodnym, klimatyzowanym powietrzem.

- Proszę - powiedziałam, wręczając Samowi ubranie. - Mam nadzieję, że będą na ciebie pasować. - Spojrzał, jakby chciał ciągnąć rozmowę, teraz jednak zdawałam sobie sprawę z tego, że mam na sobie tylko cienką, nylonową koszulę nocną, a mój szef jest całkiem nagi. - Włóż te rzeczy - poleciłam stanowczym tonem. - Ubierz się w salonie.

Wyprosiłam go i zamknęłam za nim drzwi. Myślałam, że mógłby się obrazić, słysząc przekręcany klucz, nie zrobiłam więc tego. Przebrałam się, włożyłam świeżą bieliznę, dżinsową spódnicę i żółty podkoszulek, który miałam ubiegłej nocy. Nałożyłam makijaż oraz kolczyki i zaczesalam włosy w koński ogon, na gumkę dodałam żółtą ozdobę. Humor mi się poprawił, kiedy spojrzałam w lustro, lecz minutę później mój uśmiech zmienił się w marsową minę, gdyż wydało mi się, że słyszę samochód wjeżdżający na frontowe podwórko.

Wypadłam z sypialni, jakby mnie ktoś wystrzelił z armaty. Miałam cholerną nadzieję, że Sam zdążył się ubrać i ukryć. Ale on zrobił coś lepszego. Zmienił się ponownie w psa. Ubrania leżały rozrzucone na podłodze, zebrałam je więc i wepchnęłam do szafy w korytarzu.

- Dobry piesek! - powiedziałam z entuzjazmem i podrapałam zwierzę za uszami. W odpowiedzi Dean wetknął zimny czarny nos pod moją spódnicę. - Natychmiast przestań - nakazałam mu i wyrzuciłam przez okno od frontu. - To Andy Bellefleur.

Detektyw wyskoczył ze swojego dodge'a rama, przeciągał się przez długą chwilę, po czym ruszył do drzwi. Otworzyłam je. Dean stał przy moim boku.

Przypatrzyłam się policjantowi z zaciekawieniem.

- Wyglądasz, jakbyś był na nogach przez całą noc, Andy. Może zaparzę ci kawy?

Pies ruszył się niespokojnie.

- Byłoby wspaniale - odparł. - Mogę wejść?

- Pewnie. - Odsunęłam się. Dean warknął.

- Masz tu dobrego psa stróżującego. No, mały, chodź do mnie. - Bellefleur kucnął i wyciągnął rękę do owczarka szkockiego, o którym po prostu nie potrafiłam myśleć jako o Samie. Dean powąchał Andy'emu rękę, ale jej nie polizał. Trzymał się przez cały czas między mną i detektywem.

- Chodź do kuchni - powiedziałam. Andy podniósł się i ruszył za mną. Kawa parzyła się. Włożyłam też chleb do tosterka. Kolejne kilka minut przygotowywałam śmietankę, cukier, łyżeczki i kubki, potem jednak musiałam wrócić do detektywa. Twarz miał wymizerowaną, wyglądał na dziesięć lat starszego. Czulałam, że nie wpadł po prostu z wizytą towarzyską.

- Sookie, byłaś tu ubiegłej nocy? Nie pracowałaś?

- Nie było mnie w domu. To znaczy byłam... z wyjątkiem krótkiej podróży do „Merlotte'a”.

- Bill cię odwiedził choćby na chwilę?

- Nie, Bill jest w Nowym Orleanie. Zatrzymał się w nowym hotelu w French Quarter, tym wyłącznie dla wampirów.

- Jesteś pewna, że właśnie tam przebywa?

- Tak.- Tym niemniej rysy mi stwardniały. Przewidywałam złą wiadomość.

- Byłam na nogach całą noc - wyjaśnił Andy.

- Tak?

- Właśnie jadę z kolejnego miejsca zbrodni.

- Tak. - Od razu weszłam do jego umysłu. - Amy Burley? - Gapiłam mu się w oczy, próbując się upewnić. - Amy, która pracowała w barze Good Times? - Nazwisko ze szczytu wczorajszego stosu potencjalnych barmanek, nazwisko, które zasugerowałam Samowi! Spojrzałam na psa. Leżał na podłodze z pyskiem między łapami. Wyglądał na tak smutnego i ogłuszonego, jak ja się czulałam. Nawet zaskowyczał żałośnie.

Błękitne oczy Andy'ego wwierciły się w moje.

- Skąd wiesz?

- Daj spokój z bzdurami, Andy, wiesz, że potrafię czytać w myślach. Czuję się strasznie. Biedna Amy. Czy zginęła tak jak inne?

- Tak - odpowiedział. - Identycznie. Lecz ślady ugryzień były świeższe.

Przypomniała mi się noc, gdy Bill i ja jechaliśmy do Shreveport, wezwani przez Erica. Czy Bill skorzystał wtedy z krwi Amy? Nie potrafiłam policzyć, ile dni temu miał miejsce ten wyjazd; tak wiele dziwnych i strasznych rzeczy zdarzyło się w ostatnich kilku tygodniach.

Usiadłam ciężko na taborecie w kuchni i przez kilka minut potrząsałam nieobecnie głową, zdziwiona obrotem, jaki przybrało moje życie.

W życiu Amy Burley nic się już nie zmieni. Otrząsnęłam się z szoku i apatii, podniosłam się i

naląłem kawy.

- Billa nie było tutaj od przedwczorajszej nocy - oznajmiłam.

- A ty byłaś tu prawie przez całą noc?

- Tak. Mój pies może zaświadczyć. - Uśmiechnęłam się do Deana, który zapiszczał. Gdy piłam kawę, podszedł i położył mi głowę na kolanach. Pogłodziłam go po uszach.

- Miałaś wieści od brata?

- Nie, ale miałam zabawny telefon. Ktoś mi powiedział, że Jason jest w „Merlotcie”. - Gdy słowa opuściły moje usta, zrozumiałam, że dzwonić musiał Sam, kusząc mnie, bym przyjechała do baru, dzięki czemu mógł się wprosić do auta i przyjechać ze mną do mojego domu. Dean ziewnął, rozwierając szeroko paszczę. Zobaczyłam chyba wszystkie jego białe, ostre zęby.

Żałowałam, że nie zatrzymałam tej informacji dla siebie.

Teraz musiałam więc wyjaśnić wszystko Andy'emu, który nagle podskoczył na kuchennym taborecie. Najwyraźniej wcześniej nieco przysypiał. Dostrzegłam, że jego kraciasta koszula jest pognieciona i poplamiona kawą, spodnie khaki powyciągane od długiego noszenia. Detektyw tęsknił do łóżka w sposób, w jaki koń tęskni do swego boksu.

- Powinieneś trochę odpocząć - oświadczyłam łagodnie. Było w nim coś smutnego i coś onieśmielającego.

- Chodzi o te morderstwa - odparł. Z wyczerpania drżał mu głos. - O te biedne kobiety. Były w pewnym sensie bardzo do siebie podobne.

- Niewykształcone pracownice barów, które lubiły od czasu do czasu przespać się z wampirem? - Kiwnął głową. Znowu opadały mu powieki. - Inaczej mówiąc, kobiety takie jak ja.

Otworzył oczy. Dopiero teraz zrozumiał swój błąd.

- Sookie...

- Rozumiem, Andy - zapewniłam go. - Pod pewnymi względami wszystkie jesteśmy do siebie podobne, a jeśli uznasz, że zamiast mojej babci morderca chciał zaatakować mnie, wtedy można mnie nazwać jedyną osobą, która przeżyła. - Zastanowiłam się, kto pozostał zabójcy. Czy spośród żywych dziewcząt tylko ja jedna pasuję do jego kryteriów? Była to najbardziej przerażająca myśl, jaka przemknęła mi przez głowę tego dnia. Andy roztropnie pokiwał głową nad kubkiem z kawą. - Może pójdziesz do drugiej sypialni i się tam położysz? - zasugerowałam cicho. - Musisz się trochę przespać. W takim stanie nie możesz prowadzić. Nie byłoby to mądre.

- Uprzejmie z twojej strony - odparł detektyw sennym głosem. Wydawał się nieco zaskoczony, jakby nie spodziewał się po mnie dobroci. - Niestety muszę dotrzeć do domu i nastawić sobie budzik. Mogę przespać najwyżej trzy godziny.

- Obiecuję, że cię obudzę - zapewniłam go. Nie chciałam, by Andy spał w moim domu, ale naprawdę się bałam, że w drodze może zasnąć i mieć wypadek. Stara pani Bellefleur nigdy by mi

nie wybaczyła. Prawdopodobnie Portia także. - Chodź, zdrzemniesz się przez chwilę. - Zaprowadziłam go do mojej starej sypialni. Pojedyncze łóżko było starannie pościelone. - Po prostu się połóż, a ja nastawię budzik. - Zrobiłam to na jego oczach. - No, prześpij się. Mam pewną sprawę do załatwienia, potem wrócę. - Andy nie stawiał oporu. Jeszcze zanim zamknęłam drzwi, usiadł ciężko na łóżku.

Pies powlókł się za mną z powrotem.

- Idź się w końcu ubrać! - poleciłam mu natychmiast zupełnie innym tonem.

Andy wystawił głowę z drzwi sypialni.

- Sookie, z kim rozmawiasz?

- Z psem - odparłam natychmiast. - Codziennie zakładam mu obrozę.

- Dlaczego w ogóle ją zdejmujesz?

- Brzęczy w nocy i nie pozwala spać. Odpoczywaj, Andy.

- Dobrze, już dobrze.

Wyglądał na usatysfakcjonowanego wytłumaczeniem. Zamknął drzwi.

Wyjęłam z szafy ubranie Jasona, położyłam je na kanapie przed psem i usiadłam, odwracając się plecami. Od razu jednak zrozumiałam, że widzę go w lustrze nad obramowaniem kominka.

Wokół owczarka zamgliło się powietrze. Odniosłam wrażenie, że szumi i wibruje od energii.

Później w tej koncentracji energii ciało psa zaczęło się zmieniać, a gdy mgła opadła, na podłodze znów klęczał Sam, goły jak go Pan Bóg stworzył. Och, ależ miał pośladki! Musiałam się zmusić do zamknięcia oczu, pocieszając się wielokrotnie, że przecież nie zdradzam Billa. Dodałam stanowczo w myślach, że Bill również ma zgrabny tyłek.

- Jestem gotów - oświadczył Sam tak blisko za mną, że aż odskoczyłam. Wstałam szybko, obróciłam się i znalazłam jego twarz nawet nie piętnaście centymetrów od swojej. - Sookie - powiedział z nadzieją w głosie. Jego ręka wylądowała na moim ramieniu, które pocierał i pieścił. Poczułam gniew, ponieważ jakąś częścią siebie także pragnęłam go pieścić.

- Posłuchaj no, kolego, mogłeś powiedzieć mi o sobie w każdej chwili podczas ostatnich kilku lat. Znamy się ile... cztery lata? Może nawet dłużej! A jednak, Samie, mimo iż widuję cię prawie codziennie, czekasz, aż zainteresuje się mną Bill i dopiero wtedy... - Nie umiałam wymyślić zakończenia tego zdania, toteż wyrzuciłam tylko w powietrze ręce.

Mój szef wycofał się. Na szczęście.

- Nie wiedziałem, czego pragnę, póki nie odkryłem, że mogę to stracić - odparł spokojnie.

Nie znalazłam riposty.

- Czas wracać do domu - powiedziałam mu jedynie. - I lepiej odeślijmy cię tam tak, by nikt cię nie zobaczył. Mówię poważnie.

Rzykowałam. Jeśli ktoś tak złośliwy jak Rene zobaczy Sama w moim samochodzie wcześniej rano,

na pewno wyciągnie niewłaściwe wnioski. I bez wątpienia przekaze je Billowi.

Wyjechalismy. Mój szef garbił się na tylnym siedzeniu. Ostrożnie zaparkowałam za „Merlotte'em”. Stał tam pikap: czarny z niebieskawo-zielonymi i różowymi płomieniami po bokach. Auto Jasona!

- Jasne - mruknełam.

- Co takiego? - Głos Sama wydobył się stłumiony przez niewygodną pozycję mężczyzny.

- Pozwól, że pójde i się rozejrzę - powiedziałam. Zaczynałam się niepokoić. Po co Jason stanął tutaj na parkingu dla pracowników? Wydało mi się, że widzę na siedzeniu jakiś ruch.

Otworzyłam drzwiczki i poczekałam chwilę, sprawdzając, czy odgłos zaalarmuje osobę w pikapie. Oczekiwałam potwierdzenia tego ruchu. Gdy nic się nie zdarzyło, ruszyłam przez żwir. Nigdy wcześniej w biały dzień nie byłam taka przestraszona.

Dotarłszy bliżej okna, zauważyłam w środku mojego brata. Siedział za kierownicą. Dostrzegłam, że koszulę ma poplamioną, jego podbródek spoczywa na piersi, ręce leżą bezwładnie na siedzeniu po bokach, twarz pełna jest czerwonych zadrapań. Na tablicy rozdzielczej spoczywała kaseta wideo bez nalepek.

- Sam - wrzasnełam, nienawidząc strachu w moim głosie. - Proszę, przyjdź tutaj. - Szybciej, niż mogłabym sądzić, mój szef znalazł się przy mnie. Wyciągnął rękę i otworzył drzwiczki pikapa. Ponieważ auto stało tu prawdopodobnie od kilku godzin (na masce była rosa) z zamkniętymi oknami, a było wczesne lato, ze środka uderzył nas silny zapach; składał się przynajmniej z trzech elementów: krwi, seksu i alkoholu. - Zadzwoń po ambulans! - poleciłam szybko, gdy Sam sięgnął do wnętrza, chcąc sprawdzić puls Jasona. Szef popatrzył na mnie z powątpiewaniem. - Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - spytał.

- Oczywiście! Jest nieprzytomny!

- Zaczekaj, Sookie. Zastanów się.

Może rozważyłabym wszystkie za i przeciw, lecz w tym momencie poobijanym niebieskim formem nadjechała Arlene. Sam westchnął i poszedł do przyczepy zadzwonić na pogotowie.

Jakaż byłam naiwna! Oto, jaką nagrodę dostają praworządne obywatelki.

Pojechałam z Jasonem do małego lokalnego szpitala, obojętna na policjantów oglądających bardzo uważnie ciężarówkę mojego brata, ślepa na samochód patrolowy jadący za ambulansem.

Całkowicie zaufałam lekarzowi pogotowia, który odesłał mnie do domu z zapewnieniem, że zadzwoni natychmiast, gdy Jason odzyska przytomność. Doktor oznajmił też, przypatrując mi się z ciekawością, że mój brat najwyraźniej odsypia skutki zbyt dużej ilości alkoholu bądź narkotyków.

Jason jednak nigdy przedtem aż tyle nie pił, a narkotyków w ogóle nie brał. Wystarczy, że nasza kuzynka Hadley nisko upadła i żyła na ulicy. Jej los zrobił na nas obojgu wielkie wrażenie.

Powiedziałam to wszystko doktorowi, ten zaś mnie wysłuchał, a następnie przegonił.

Nie wiedząc, co myśleć, wróciłam do domu. Andy'ego Bellefleur nie było. Obudził go jego pager. Detektyw zostawił mi kartkę z tą informacją, nie pisząc nic więcej. Później się dowiedziałam, że przebywał w szpitalu w tym samym czasie, co ja. Przez wzgląd na mnie poczekał, aż wyjdę, i dopiero wtedy przykuł Jasona kajdankami do łóżka.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sam zjawił się z nowinami około jedenastej.

- Sookie, aresztują Jasona, gdy tylko dojdzie do siebie, co zapewne zdarzy się bardzo szybko. - Szef nie powiedział mi, skąd to wie, ja zaś nie zapytałam.

Patrzyłam na niego bez słowa, po twarzy spływały mi łzy. Innego dnia może pomyślałabym, jak brzydko wyglądam zapłakana, dziś jednak w ogóle nie troszczyłam się o swój wygląd. Byłam zdenerwowana, bałam się o Jasona, smuciłam się z powodu Amy Burley, przepełniał mnie gniew, że policja popełnia takie głupie pomyłki, w dodatku straszliwie tęskniłam za moim Billem.

- Policjanci uważają, że Amy Burley dzielnie się broniła. Twierdzą, że Jason zabił ją, a potem się upił.

- Dzięki za ostrzeżenie, Samie. - Mój głos nawet mnie samej wydawał się osobiście nieobecny. - Lepiej jedź teraz do pracy.

Uznał, że chcę zostać sama i dał mi spokój, a ja zadzwoniłam do informacji i zdobyłam numer hotelu „Krew” w nowoorleańskiej dzielnicy French Quarter. Wystukałam go. Czułam, że robię coś złego, chociaż nie potrafiłam uzasadnić swojej oceny.

- „Kreeeeew”... we French Quarter - obwieścił dramatycznie głęboki głos. - Twoja trumna z dała od domu.

„Jezuuu!”

- Dzień dobry. Mówi Sookie Stackhouse. Dzwonię z Bon Temps - powiedziałam grzecznie.

- Muszę zostawić wiadomość dla Billa Comptona. Jest u was gościem.

- Kły czy człowiek?

- Eee... kły.

- Proszę poczekać minutkę. - Głęboki głos wrócił na linię po chwili. - Jaka to wiadomość, proszę pani?

Zawahałam się.

- Proszę przekazać panu Comptonowi, że... mój brat został aresztowany i doceniłabym, gdyby Bill mógł przybyć do domu natychmiast po załatwieniu swoich spraw.

- Zapisałem. - Dźwięk bazgrania. - A pani nazwisko? Można prosić o powtórzenie?

- Stackhouse. Sookie Stackhouse.

- W porządku, droga pani. Dopilnuję, by pan Compton otrzymał tę wiadomość.

- Dzięki.

Żadne inne działania nie przyszły mi do głowy - do czasu, aż zrozumiałam, że powinnam

zatelefonować do Sida Matta Lancastera. Informacja o aresztowaniu Jasona mocno zszokowała adwokata, a przynajmniej sugerował to ton jego głosu. Zapewnił mnie, że pośpieszy do szpitala po południu, od razu po opuszczeniu sądu. Później miał mi dać znać.

Pojechałam do szpitala. Poprosiłam, żeby pozwolili mi posiedzieć z Jasonem do chwili, aż mój brat odzyska przytomność. Nie zgodzili się. Pomyślałam, że może już odzyskał przytomność i nikt mi o tym nie powiedział. Zobaczyłam w końcu korytarza Andy'ego Bellefleur, on jednak na mój widok odwrócił się i odszedł.

Przeklęty tchórz!

Wróciłam do domu, ponieważ nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić. Zdałam sobie sprawę, że nie jest to dla mnie dzień pracy. Byłam z tego zadowolona, choć tak naprawdę fakt ten niewiele mnie obchodził. Przemknęło mi przez myśl, że nie radzę sobie z całą sprawą tak dobrze, jak powinnam. Znacznie bardziej opanowana byłam po śmierci babci.

Tamta sytuacja była jednakże absolutnie jasna. Musieliśmy wyprawić babci pogrzeb, jej mordercę należało schwytać i zatrzymać, my zaś mieliśmy po prostu żyć dalej. Jeśli policja poważnie sądziła, że Jason zabił naszą babcię (oraz inne kobiety)... Oznaczałoby to, że świat jest tak paskudny i niebezpieczny, iż nie miałam ochoty w nim żyć.

Siedząc i patrząc przed siebie w to straszliwie długie popołudnie, uprzytomniłam sobie, że do aresztowania Jasona doprowadziła mnie naiwność. Moja własna naiwność. Gdybym po prostu zabrała brata do przyczepy Sama, obmyła go z krwi, ukryła film do czasu, aż sprawdzę, co zawiera... gdybym nie zadzwoniła po karetkę... Tak sugerował zapewne mój szef, patrząc na mnie z powątpiewaniem. Tyle że przyjazd Arlene odebrał mi możliwość...

Pomyślałam, że kiedy ludzie się dowiedzą o Jasonie, mój telefon się rozdzwoni.

Nikt wszakże nie zatelefonował.

Pewnie nie wiedzieli, co powiedzieć.

Sid Matt Lancaster przyjechał około szesnastej trzydzieści.

- Zatrzymali go za morderstwo pierwszego stopnia - obwieścił bez zbędnych wstępów.

Zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, odkryłam, że Sid przygląda mi się z przenikliwą miną na łagodnej twarzy. Tradycyjne szkła w czarnych oprawkach powiększały jego ciemnobrązowe oczy, a wyraziste szczęki i ostry nos upodabniały prawnika do psa - posokowca.

- A co mówi Jason? - spytałam.

- Twierdzi, że był z Amy ubiegłej nocy. - Westchnęłam. - Mówi, że poszli do łóżka i że sypiał z nią wcześniej - ciągnął Sid. - Podobno nie widział jej przez dłuższy czas, bo podczas ostatniego spotkania Amy była zazdrosna o inne kobiety, z którymi twój brat się widywał. Naprawdę rozgniewana... Zdumiał się więc, że zagadnęła go ubiegłej nocy w Good Times. Zdaniem Jasona Amy zachowywała się przez całą noc dziwacznie, jakby postępowała zgodnie z jakimś programem,

którego twój brat nie znał. Przypomina sobie, że uprawiali seks, potem leżeli w łóżku i pili drinka... Dalej nic nie pamięta... aż do przebudzenia w szpitalu.

- Ktoś go upił i zrobił - oświadczyłam stanowczo, choć natychmiast skojarzyły mi się podobne teksty z filmów, które oglądałam w telewizji.

- Oczywiście, że tak. - Sid Matt posłał mi poważne i przepelnione pewnością spojrzenie, jakby był ubiegłej nocy w domu Amy Burley i wszystko widział.

Psiakrew, może i był!

- Niech pan posłucha, Sidzie Matt. - Pochyliłam się do przodu, musiał więc spojrzeć mi w oczy. - Nawet gdybym mogła jakimś sposobem uwierzyć, że Jason zabił Amy, a także Dawn i Maudette, nikt mnie nie przekona, że podniósł choćby mały palec na naszą babcie.

- To dobrze. - Sid Matt zastanowił się nad moimi słowami. Widziałam, że całym sobą zgadza się ze mną. - Panno Sookie, załóżmy na moment, iż Jason miał jakiś związek ze zgonami młodych dziewcząt. Wówczas... co do pani babci... policja może pomyśleć, że zabił ją pani przyjaciel, Bill Compton, ponieważ była przeciwna waszemu związkowi.

Usiłowałam udawać, że zastanawiam się nad tym idiotyzmem.

- No cóż, Sidzie Matt, moja babcia bardzo lubiła Billa i była zadowolona, że się z nim spotykam. Zachował uprzejmą minę, ale w jego oczach dostrzegałam skrajną niewiarę.

On na pewno nie byłby zadowolony, gdyby jego córka widywała się z wampirem. Nie dopuszczał nawet myśli, że jakiś odpowiedzialny rodzic zareaguje na taką nowinę inaczej niż strachem. I nie potrafił sobie wyobrazić, jak ma przekonać sąd, iż moja babcia cieszyła się z mojego związku z facetem, który - nie dość że nieżywy - był ode mnie starszy o ponad sto lat.

Wszystkie te stwierdzenia wyczytałam w umyśle Sida Matta.

- Poznał pan kiedyś Billa? - spytałam.

Zaskoczyłam go.

- Nie - przyznał. - Wie pani, panno Sookie, nie jestem zwolennikiem wampirów. Zdaje mi się, że... mówiąc obrazowo... nie należy wiercić otworów w ścianie dzielącej nas od tak zwanych zakażonych wirusem. Skoro Bóg postawił między nami tę ścianę, nie powinniśmy jej ruszać, ja w każdym razie będę twardo stał po naszej stronie muru.

- Problem w tym, Sidzie Matt, że mnie osobiście Bóg stworzył jako łączniczkę między stronami tego muru. - Po latach ukrywania mojego „daru” zaczęłam o nim mówić każdemu, jeśli tylko podejrzewałam, że mogę w ten sposób pomóc Jasonowi.

- A zatem - Sid Matt pchnął okulary na grzbiet ostrego nosa i dzielnie stawiał mi czoło - jestem pewien, że dobry Bóg obarczył panią problemem, o którym słyszałem... z jakiegoś ważnego powodu. Musi się pani nauczyć używać tego daru dla Jego chwały.

Nikt nigdy nie wyłożył moich problemów w taki sposób. Uznałam, że w wolnej chwili powinnam

się zastanowić nad tym osobliwym stwierdzeniem.

- Przeze mnie odeszliśmy niestety nieco od tematu, a wiem, że pański czas jest cenny. - Zebrałam myśli. - Sądzę, że Jason mógłby wyjść za kaucją. Istnieją tylko poszlaki łączące go z jednym zabójstwem - zabójstwem Amy. Mam rację?

- Pani brat przyznał się do spotkania z ofiarą tuż przed jej śmiercią, kaseca wideo zaś... co jeden z policjantów zasugerował mi z naciskiem... ukazuje stosunek Jasona z zamordowaną dziewczyną. Zgodnie z widocznymi na kasecie datą i godziną film nakręcono w dniu śmierci, może nawet kilka minut przed zabójstwem.

Ach te szczególne, sypialniane preferencje mojego cholernego brata!

- Jason zazwyczaj nie pije dużo. Gdy go znalazłam w pikapie, cały śmierdział alkoholem. Podejrzewam, że ktoś go nim oblał. Zapewne testy to potwierdzą. Może Amy podała mu jakiś narkotyk w drinku, który dla niego przyrządziła.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Ponieważ, jak wiele kobiet, miała na punkcie mojego brata prawdziwego fioła. I, jak wiele innych, ogromnie go pragnęła. Jason potrafił poderwać niemal każdą kobietę, która mu się spodobała. Nie, to eufemizm... - Sid Matt spojrzał na mnie z uwagą, prawdopodobnie zdumiony, że znam takie słowo. - Mówiąc wprost, mógł zaciągnąć do łóżka prawie każdą, której zechciał. Większość facetów na pewno mu zazdrościła, a on... - Zmęczenie opadło na mnie niczym ciężka mgła. - A on siedzi teraz z tego powodu w więzieniu.

- Podejrzewa pani zemstę innego mężczyzny? Ktoś po prostu zrobił go w to morderstwo?

- Tak, tak właśnie sądzą. - Pochyliłam się do przodu, usiłując przekonać sceptycznego prawnika siłą własnej wiary. - Jakiś facet, który mu zazdrościł. Ktoś, kto bacznie mu się przyglądał, zabił kobietę, gdy Jason od niej wyszedł. Mężczyzna ten musiał wiedzieć, że Jason uprawiał z tymi dziewczynami seks. I wiedział, że mój brat lubi kręcić filmy.

- To rzeczywiście mógł być niemal każdy - powiedział adwokat zgodnie z prawdą.

- Otóż to - przyznałam ze smutkiem. - Nawet jeśli Jason nie rozpowiadał o swoich podbojach, wystarczyło zobaczyć, z kim opuszcza bar w porze zamykania. Wystarczyła zwyczajna spostrzegawczość... Może ów mężczyzna podczas wizyty w domu mojego brata spytał go o kasety... - Jason był nieco niemoralny, nie sądziłam jednak, by pokazał komukolwiek filmy. Mógł wszakże powiedzieć zabójcy, że lubi je kręcić. - A ten facet, kimkolwiek był, wiedząc, że Amy kocha się w moim bracie, zawarł z nią jakiś układ. Na przykład powiedział jej, że zrobią Jasonowi kawał albo coś w tym rodzaju.

- Pani brata nigdy przedtem nie aresztowano, panno Sookie - zauważył Sid Matt.

- Nigdy. - Chociaż, z tego co słyszałam od Jasona, kilka razy niewiele brakowało.

- A więc nienotowany, uczciwy członek społeczności, stała praca. Może istnieje szansa, żeby mu

załatwić wyjście za kaucją. Ale jeśli ucieknie, straciecie wszystko.

Ani przez moment nie przyszło mi do głowy, że Jason mógłby uciec. Nie znałam się na zasadach związanych z kaucją i nie wiedziałam, co będę musiała zrobić, lecz za wszelką cenę chciałam uwolnić Jasona z więzienia. Uważałam, że jeśli pozostanie w areszcie, jego sprawa na pewno trafi do sądu... Po prostu jako więzień wyglądał mi na bardziej winnego.

- Proszę się dowiedzieć i powiadomić mnie, co mam zrobić - podsumowałam. - Czy tymczasem mogę pójść go odwiedzić?

- Wolałby, żeby pani nie przychodziła - odparł Sid Matt.

Poczułam się straszliwie zraniona.

- Dlaczego? - spytałam, naprawdę mocno starając się nie rozpłakać.

- Wstydzi się - wyjaśnił prawnik.

Myśl, że Jasona dręczy wstyd, szczerze mnie zafascynowała.

- Czyli że zadzwoni pan do mnie, kiedy będę mogła rzeczywiście coś zrobić? - zakończyłam, nagle znużona tym niesatysfakcjonującym spotkaniem.

Sid Matt kiwnął głową. Zauważyłam, że przy tym geście nieznacznie drżały mu szczęki. Najwyraźniej przeze mnie poczuł się nieswojo. Na pewno cieszył się, że ma już za sobą rozmowę ze mną.

Odjechał swoim pikapem. Zanim zniknął mi z oczu włożył na głowę kowbojski kapelusz.

Po zapadnięciu całkowitych ciemności wyszłam sprawdzić, jak się miewa Bubba. Siedział pod dębem błotnym. Obok niego stały butelki krwi - po jednej stronie opróżnione, po drugiej pełne.

Trzymałam w dłoni latarkę i chociaż wiedziałam, gdzie Bubba się znajduje, przeżyłam szok, gdy go dostrzegłam w snopie światła. Potrząsnęłam głową. Coś naprawdę szło źle podczas jego „przemiany”, nie miałam co do wątpliwości. Byłam naprawdę zadowolona, że nie potrafię „odczytać” jego myśli. Oczy miał wściekle jak cholera.

- Hej, cukiereczku - zagaił. Jego ciężki południowy akcent skojarzył mi się z gęstym syropem. - Jak się miewasz? Przyszłaś mi dotrzymać towarzystwa?

- Chciałam tylko sprawdzić, czy jest ci wygodnie - odrzekłam.

- No cóż, mógłbym wymienić miejsca, w których byłoby mi wygodniej, ale ponieważ jesteś dziewczyną Billa, nie zamierzam ci o nich opowiadać.

- To dobrze - stwierdziłam stanowczo.

- Jakies koty tu w okolicy? Zaczyna mnie potężnie męczyć ten butelkowany płyn.

- Żadnych kotów. Jestem pewna, że Bill wkrótce wróci, a wtedy będziesz mógł pójść, dokąd zechcesz.

Ruszyłam z powrotem ku domowi. Nie czułam się wystarczająco swobodnie w obecności Bubby, by przedłużać rozmowę... jeśli tę wymianę zdań można było nazwać rozmową. Zastanowiłam się,

jakie myśli trapią Bubbę podczas długich nocy czuwania. Ciekawiło mnie, czy pamiętał swoją ludzką przeszłość.

- Co z tym psem? - zawołał za mną.

- Wrócił do swojego domu - odkrzyknęłam przez ramię.

- Marnie - mruknął wampir do siebie tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Przygotowałam się do snu. Oglądałam telewizję. Zjadłam trochę lodów, do których dodałam posiekaną czekoladkę Heath Bar. Żadne z moich zazwyczaj ulubionych zajęć nie dawały mi dzisiejszego wieczoru pociechy. Jason przebywał w więzieniu, mój chłopak w Nowym Orleanie, babcia nie żyła i ktoś zamordował mi kota. Czułam się osamotniona i strasznie się nad sobą użalałam.

Czasami trzeba sobie pofolgować.

Mój wampir nie oddzwonił.

Fakt ten dolał oliwy do ognia mojej niedoli. Bill prawdopodobnie znalazł sobie w Nowym Orleanie jakąś uczynną dziwkę albo jedną z miłośniczek kłów, kręcących się wokół hotelu „Krew” we French Quarter każdej nocy w nadziei na randkę z wampirem.

Gdybym była pijaczką, upiłabym się. Gdybym miała inny charakter, zadzwoniłabym do rozkosznego JB du Rone i poszłabym z nim do łóżka. Ale nie jestem taka, więc tylko jadłam lody i oglądałam w telewizji stare filmy. Niesamowitym zbiegiem okoliczności nadawali *Błękitne Hawaje*.

W końcu o północy się położyłam.

Zbudził mnie wrzask za oknem mojej sypialni. Natychmiast usiadłam wyprostowana na łóżku.

Słyszałam odgłosy walenia i łomotu, a w końcu czyjś głos. Byłam pewna, że to Bubba krzyczy: „Wracaj tu, frajerze!”.

Kiedy przez kilka minut panowała cisza, założyłam szlafrok i poszłam do frontowych drzwi. Na podwórku, oświetlonym przez latarnię, nikogo nie zauważyłam. Później dostrzegłam w przelocie jakiś ruch po lewej stronie, a gdy wysunęłam głowę z drzwi, zobaczyłam Bubbę, który włókł się z powrotem do swojej kryjówki.

- Co się stało? - zawołałam cicho.

Zgarbiony wampir odwrócił się na ganku.

- Jestem, kurde, pewien, że jakiś sukinsyn... wybac mi... kręci się wokół domu - odparł. Jego brązowe oczy pałały, bardziej przypominał więc swoje poprzednie wcielenie. - Usłyszałem go już na kilka minut przed jego zjawieniem się tutaj i pomyślałem, że go złapię. Ale ten przez las pobiegł do drogi, gdzie miał zaparkowanego pikapa.

- Przyjrzałeś się facetowi?

- Nie na tyle, by go opisać - odparł ze wstydem Bubba. - Gnojek na pewno odjechał autem, ale nie powiem ci nawet, jakiego koloru było. Jakieś ciemne.

- Uratowałeś mnie - zauważyłam z nadzieją, że dosłyszysz w moim głosie prawdziwą wdzięczność, którą odczuwałam. Ogarnęła mnie fala wielkiej miłości dla Billa, i który zapewnił mi taką ochronę. Sam Bubba zaś prezentował się teraz w moich oczach znacznie lepiej niż wcześniej. - Dzięki, Bubba.

- Och, to nie było nic takiego - stwierdził łaskawie, wyprostowując się; odrzucił głowę w tył i przywołał ten marzycielski uśmiech na twarz... O rany, to naprawdę był on! Już otworzyłam usta, by wypowiedzieć jego imię lub nazwisko, przypomniałam sobie jednak ostrzeżenie Billa i zrezygnowałam.

* * *

Nazajutrz Jason wyszedł za kaucją. Zażądano od nas fortuny. Podpisałam papiery, które podsunął mi Sid Matt, chociaż na zastaw składał się głównie majątek Jasona: jego dom, pikap i łódź rybacka. Gdyby mój brat został kiedykolwiek wcześniej aresztowany - choćby za nieprawidłowe przejście przez ulicę - prawdopodobnie nie otrzymałby teraz zgody na wyjście za kaucją.

Stałam na schodach sądu i w późnoporannym gorącu pociłam się w moim okropnym, poważnym, granatowym kostiumie. Pot spływał mi po twarzy i skapywał z warg w ten paskudny sposób, który sprawia, że natychmiast masz ochotę znaleźć się pod prysznicem. W końcu Jason zatrzymał się przede mną. Nie byłam pewna, czy zechce rozmawiać. Jego twarz wydawała się o kilka lat starsza. Na swoich barkach niósł prawdziwy ciężar - kłopot, który nie zniknie ani się nie ulotni, jak na przykład smutek.

- Nie mogę z tobą rozmawiać o sprawie - powiedział tak cicho, że ledwie mogłam go usłyszeć. - Ale wiesz, że to nie ja. Nigdy nie byłem gwałtowny... poza może jedną czy dwiema walkami na parkingu o jakąś babkę.

Dotknęłam jego ramienia, lecz gdy nie zareagował, opuściłam rękę.

- Nigdy nie uważałam, że to zrobiłeś. I nigdy nie będę cię podejrzewać. Przepraszam, że wczoraj zachowałam się tak głupio i zadzwoniłam na pogotowie. Gdybym zrozumiała, że pokrywa cię krew kogoś innego, zatańczyłabym cię do przyczepy Sama i umyła, a kasetę spaliła. Po prostu się bałam, że to twoja krew... - Poczulałam, że w oczach zbierają mi się łzy. Pora nie była jednak najlepsza na płacz, toteż napinając mięśnie twarzy, ostro walczyłam z napływającymi łzami. W mózgu Jasona panował bałagan niczym w umysłowym chlewie. Wrzała tam niezdrowa breja złożona z żalu, wstydu za publiczne rozgłoszenie własnych seksualnych nawyków, poczucia winy, że mój brat nie czuje się jeszcze gorzej z powodu śmierci Amy oraz przerażenia, że ktoś w mieście może pomyśleć, iż Jason zabił własną babcię zamiast siostry.

- Przejdziemy przez to - zapewniłam go bezradnie.

- Tak, przejdziemy - przyznał, próbując nadać swojemu głosowi stanowczy i pewny ton. Byłam jednak pewna, że minie trochę czasu... dużo czasu, zanim tupet Jasona, ten wielki tupet, który czynił go mężczyzną o tak nieodpartym wdzięku, wróci do jego postawy, rysów twarzy i mowy.

Może nigdy nie wróci.

Tam, w sądzie, rozstaliśmy się. Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia.

Przesiedziałam w barze cały dzień, patrząc na wchodzących ludzi i czytając im w myślach. Żaden z mężczyzn nie pomyślał, że zabił cztery kobiety i jak dotąd nie poniósł za te zbrodnie kary. W czasie lunchu weszli Hoyt i Rene, lecz na mój widok pospiesznie opuścili lokal. Przypuszczam, że z mojego powodu poczuli się skrepowani.

W końcu Sam kazał mi zniknąć. Powiedział, że wyglądam tak strasznie, iż odstrasza klientów, z których mogłabym wydobyć przydatne informacje.

Powlokłam się więc na zewnątrz, w oślepiające słońce, które powoli zaczynało zachodzić. Myślałam o Bubbie, Billu i wszystkich innych stworzeniach budzących się z głębokiego snu, by pochodzić po powierzchni ziemi.

Zatrzymałam się w Grabbit Kwik z zamiarem kupienia mleka do porannych płatków. Nowy sprzedawca był przyszczatym chłopakiem z ogromnym jabłkiem Adama. Gapił się na mnie niecierpliwie, jakby chciał uwiecznić w swojej głowie moją odbitkę, zdjęcie siostry mordercy.

Odkryłam, że ledwie może się doczekać, aż opuścę sklep, gdyż pragnął bezzwłocznie zadzwonić do swojej dziewczyny. Żałował, że nie dostrzega na mojej szyi śladów ugryzień.

Zastanawiał się też, w jaki sposób mógłby mnie wypytać o techniki seksualne wampirów.

Tego rodzaju śmieci musiałam wysłuchiwać dzień w dzień. Bez względu na to, jak intensywnie koncentrowałam się na czymś innym, obojętnie, jak wysoko postawiłam wokół siebie mentalny mur i jak szeroki przybrałam uśmiech, część umysłowego chłamu trafiała do mnie bez trudu.

Dotarłam do domu tuż przed zapadnięciem zmroku. Odstawiłam mleko, zdjęłam kostium, włożyłam parę szortów i czarny podkoszulek z napisem „Garth Brooks” i spróbowałam wymyślić sobie jakieś zajęcie na wieczór. Nie mogłam czytać, bo nie potrafiłam się wystarczająco skupić. Zresztą, musiałabym pójść do biblioteki wymienić książki, co zmieniłoby się w tych okolicznościach w prawdziwą wyprawę. Żaden program w telewizji mi nie odpowiadał, przynajmniej tego wieczoru. Przemknęło mi przez głowę, że mogłabym znów obejrzeć *Braveheart - Waleczne serce*, gdyż Mel Gibson w kilcie zawsze poprawia mi nastrój. Film jednak wydał mi się zbyt krwawy na mój dzisiejszy stan umysłu. Nie potrafiłabym ponownie znieść sceny, w której podrzynają dziewczynie gardło, chociaż dokładnie wiedziałam, kiedy trzeba zakryć oczy.

Weszłam do łazienki, by zmyć rozmazany od potu makijaż, gdy spoza dźwięku płynącej wody dosłyszałam z zewnątrz chyba odgłosy wycia.

Zakreśliłam kurki i stałam przez chwilę nieruchomo, cała zmieniona w słuch.

„I co...?”

Woda z mokrej twarzy kapała mi na koszulkę.

Kompletnie żadnego dźwięku. Ani jednego.

Przekradłam się do drzwi frontowych, ponieważ znajdowały się najbliżej leśnego punktu obserwacyjnego Bubby. Uchyliłam drzwi. Wrzasnęłam:

- Bubba?

Żadnej odpowiedzi.

Spróbowałam znowu.

Odnosiłam wrażenie, że nawet szarańcze i ropuchy wstrzymały oddechy. Noc była cicha, jak makiem zasiał. Coś grasowało - tam, w ciemnościach.

Usiłowałam zebrać myśli, lecz moje serce waliło tak mocno, że przeszkadzało mi w tej czynności. Zadzwoić na policję, po pierwsze.

Natychmiast odkryłam, że tę możliwość mogę skreślić. W słuchawce panowała cisza.

Cóż, mogłam czekać w swoim domu na kłopoty, które na mnie spadną albo mogłam wyjść do lasu. Ta druga ewentualność przerażała mnie. Przygryzłam dolną wargę i przez kilka minut chodziłam po domu, wyłączając lampy i próbując ustalić plan działania. Dom dostarczał pewnej ochrony: był wyposażony w zamki, ściany, różne zakątki i kryjówki. Wiedziałam jednak, że jeśli jakaś naprawdę zdeterminowana osoba zdoła wejść, wtedy znajdę się w pułapce.

W porządku. Jak mogę się wydostać na zewnątrz przez nikogo nie zauważona? Na początek wyłączyłam zewnętrzne światła. Wybrałam tylne drzwi, ponieważ wychodziły na las. Las znałam dość dobrze, więc sądziłam, że zdołam się w nim ukryć do samego rana. Może pobiegnę do domu Billa... Pewnie jego telefon działał, a ja miałam klucz.

Mogłam też spróbować dostać się do mojego samochodu i uruchomić go. Wtedy wszakże na dobre kilka sekund utknęłabym w jednym maleńkim pomieszczeniu.

Nie, postanowiłam wybrać las.

Do jednej kieszeni włożyłam klucz od domu Comptonów i scyzoryk dziadka, który babcia trzymała w szufladzie stolika, w salonie, gdzie przydawał się do otwierania przesyłek. W drugą kieszeń wsunęłam małą latarkę. W szafie na ubrania przy frontowych drzwiach babcia przechowywała starą strzelbę, która należała do mojego taty, kiedy był młody. Babcia używała jej głównie przeciwko wężom; no cóż, nawet mnie namówiła, żebym do nich strzelała. Nienawidziłam tej przeklętej broni, nienawidziłam nawet myśli o użyciu jej... lecz teraz najwyraźniej nadeszła na nią pora.

Nie było jej!

Ledwie mogłam zawierzyć własnym zmysłom. Obmacalam całą szafę.

Zabójca był w moim domu! Niczego wszakże nie rozbił...

Czyli chodziło o osobę, którą sama zaprosiłam do środka. Kto był tutaj? Spróbowałam wymienić w myślach wszystkich mężczyzn. Równocześnie szłam do tylnych drzwi. Wcześniej zawiązałam tenisówki, nie chciałam się bowiem potknąć na sznurowadle. Włosy, by nie spadały mi na twarzy, zaczesalam (używając niemal wyłącznie jednej ręki) w niedbały koński ogon, który umocniłam gumką. Przez cały czas jednak myślałam o skradzionej strzelbie.

Kto przebywał w moim domu? Bill, Jason, Arlene, Rene, dzieci, Andy Bellefleur, Sam, Sid Matt. Byłam pewna, że nikogo z nich nie zostawiłam zupełnie samego dłużej niż przez minutę czy dwie, ale może czas ten wystarczyłby na wyrzucenie strzelby za okno, skąd można ją było zabrać później.

Potem przypominałam sobie dzień pogrzebu. Wówczas prawie każdy z moich znajomych wchodził i wychodził z domu w trakcie stypy, a ja nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy widziałam strzelbę od tamtego czasu. Choć z drugiej trudno byłoby zabójcy spacerować po zatłoczonym domu ze strzelbą w dłoni. „Nie” - pomyślałam. „Gdyby broń zniknęła wtedy, prawdopodobnie zauważyłabym jej nieobecność do dnia dzisiejszego”. W gruncie rzeczy, byłam prawie pewna, że rzuciłby mi się w oczy jej brak.

W tym momencie musiałam porzucić tego typu rozważania i skupić się na wyjściu z domu i przechytrzeniu napastnika.

Otworzyłam tylne drzwi, ukucnęłam i wyszłam prawie na kolanach, delikatnie puszczając drzwi, które przymknęły się za mną. Zamiast korzystać ze schodów, zsunęłam jedną nogę wprost z ganku na ziemię, potem to samo zrobiłam drugą nogą. Na dole znowu przykucnęłam. Czułam się jak podczas gry w chowanego z Jasonem. Jako dzieci często bawiliśmy się w ten sposób w lesie.

Modliłam się, by się nie okazało, iż to znów jest zabawa w chowanego z Jasonem.

Dobiegłam najpierw do donicy pełnej kwiatów, które posadziła babcia, następnie dopadłam mojego drugiego celu - jej samochodu. Wsunęłam się do auta i spojrzałam w niebo. Księżyc był w nowiu, noc bezchmurna, a zatem rozgwieżdżona, powietrze - ciężkie od wilgoci i nadal gorące. W kilka minut ręce miałam mokre od potu.

Kolejny etap wyznaczyłam sobie od samochodu do mimozy.

Tym razem nie udało mi się dotrzeć tam w zupełnej ciszy. Potknęłam się o pniak i mocno rąbnęłam w ziemię. Starając się powstrzymać krzyk, przygryzłam wewnątrz wargi. Ból szarpnął moją nogą i biodrem, a o nierówne krawędzie pniaka dość mocno podrapałam sobie udo. Dlaczego któregoś dnia porządnie nie przypiłowałam tego pniaka? Babcia prosiła o to Jasona, on jednak nigdy nie znalazł czasu.

Usłyszałam, a może bardziej wyczułam czyjś ruch. Porzuciłam ostrożność w diabły, podskoczyłam i rzuciłam się ku drzewom. Po prawej stronie ktoś przebijał się przez brzeg lasu, wyraźnie kierując się do mnie. Ja wszakże wiedziałam, dokąd zmierzam i w skoku, który mnie zadziwił, dopadłam

niskiej gałęzi drzewa, na które w dzieciństwie lubiliśmy się wspinać. Wciągnęłam się na nie. Pomyślałam, że jeśli dożyję jutra, będą mnie bolały naciągnięte mięśnie, ucieczka była jednak tego warta. Balansowałam na gałęzi, próbując uspokoić oddech, choć miałam ochotę dyszeć i jęczeć jak śpiący pies.

Żałowałam zresztą, że nie śnię tego koszmaru. Niestety wszystko bez wątplenia działo się na jawie. Ja, Sookie Stackhouse, kelnerka o telepatycznych zdolnościach, siedziałam na gałęzi w lesie w środku nocy, uzbrojona jedyńki w scyzoryk.

Poczułam gdzieś pod sobą ruch. Jakiś mężczyzna biegł przez las. Z jednego przegubu zwisał mu długi sznur. O Jezusie! Chociaż księżyc znajdował się prawie w pełni, głowa napastnika uparcie pozostała w cieniu drzewa, toteż nie wiedziałam, z kim mam do czynienia. Mężczyzna, nie widząc mnie, przebiegł pod moim drzewem.

Gdy znalazł się poza zasięgiem mojego wzroku, wreszcie odetchnęłam, po czym zeszłam z drzewa najciszej, jak umiałam. Zaczęłam torować sobie drogę przez las ku drodze. Musiałabym iść dobre kilka minut, ale jeśli zdołam się dostać do szosy, może zatrzymam tam jakiś samochód. Później uświadomiłam sobie, jak rzadko jest ta droga używana. Może lepiej przebiec cmentarz, kierując się ku domowi Billa? Wyobraziłam sobie ucieczkę przed mordercą nocnym cmentarzem i straszliwie zadrżałam.

Powiedziałam sobie, że strach na nic mi się w tym momencie nie przyda. Musiałam się skoncentrować na mojej obecnej sytuacji. Uważnie stawiałam stopy, poruszając się stosunkowo wolno, wiedząc, że swoim upadkiem narobiłabym okropnego hałasu i zabójca dopadłby mnie w minutę.

Jakieś dziesięć metrów na południowy wschód od drzewa, na którym przysiadłam, znalazłam martwego kota. Gardło zwierzęcia miało postać ziejącej rany. W srebrzystym świetle księżyca nie potrafiłam nawet powiedzieć, jakiego koloru była sierść, rozumiałam jednak, że ciemne plamy wokół małego trupa oznaczają zapewne krew stworzenia. Przeszłam cicho jeszcze półtora metra i znalazłam Bubbę. Był nieprzytomny lub martwy... hmm... w przypadku wampira trudno było te dwa stany rozgraniczyć. Ponieważ jednak nie miał kołka w sercu, a na jego karku nadal dostrzegałam głowę, mogłam żywić nadzieję, że Bubba stracił tylko przytomność.

Doszłam do wniosku, że pewnie ktoś mu podał nafaszerowanego narkotykami kota. Ktoś, kto wiedział, że wampir mnie chroni i słyszał o skłonnościach Bubby do picia kociej krwi.

Usłyszałam za sobą trzask. Napastnik nadepnął gałązkę. Przesunęłam się w cień najbliższego dużego drzewa. Byłam wściekła, wściekła i przestraszona. Zastanawiałam się też, czy umrę tej nocy.

Cóż... Może nie miałam strzelby, ale miałam „wewnętrzne narzędzie”. Zamknęłam oczy i otworzyłam umysł.

Otoczył mnie ciemny mentalny gąszcz. Czerwień i czerń. Nienawiść.

Wycofałam się. Ale wróciłam, gdyż wiedziałam, że tylko własny dar zapewnia mi w tej chwili ochronę. Przystałam się bronić przed napływem myśli zabójcy.

W moją głowę wpłynęły obrazy, od których ogarnęły mnie mdłości i przerażenie. Dawn prosi kochanka, by ją bił, potem widzi, że mężczyzna bierze w ręce jedną z jej pończoch, rozciągają w palcach, przygotowując się do zaciśnięcia jej wokół szyi właścicielki. Zaledwie przeblysk Maudette, migający obraz jej nagiej i błagającej o litość. Jakaś kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałam, odwrócona do mnie gołymi plecami pokrytymi sińcami i śladami po uderzeniach. Wreszcie moja babcia... moja babcia... w znajomej mi, naszej kuchni, rozgniewana, walczy o życie...

Sparaliżował mnie własny wstrząs na widok tych przerażających wizji. Czyje myśli widziałam?! Nagle zobaczyłam dzieci Arlene. Bawiły się na podłodze mojego salonu. Widziałam siebie, chociaż nie byłam taka, jaką widuję siebie w lustrze. Miałam na szyi ogromne otwory po ugryzieniach i byłam wyuzdana. Moją twarz szpecił chytry, lubieżny uśmiezek i poklepywałam sobie wewnątrz uda sugestywnym gestem.

Tak, znalazłam się w umyśle Rene Leniera! Tak mnie postrzegał Rene.

Był szalony.

Teraz wiedziałam, dlaczego nigdy nie udało mi się wyraźnie odczytać jego myśli. Trzymał je w sekretnej niszy, doskonale ukrywanym miejscu swojego umysłu, starannie oddzielonym od świadomej jaźni.

Teraz dostrzegał zarys za drzewem i zadawał sobie pytanie, czy jest to kształt kobiety.

Widział mnie!

Popędziłam na zachód, ku cmentarzowi. Nie słuchałam dłużej jego myśli, gdyż całkowicie się skupiałam na biegu, na odpychaniu przeszkód w postaci gałęzi drzew, krzewów, przeskakiwaniu leżących konarów oraz niewielkiego wąwozu, w którym zbierała się deszczówka. Miałam silne nogi, gnałam więc szybko, wymachując rękoma. Mój oddech brzmiał jak dźwięk dud.

Wybiegłam z lasu i znalazłam się na cmentarzu. Najstarsza część cmentarzyska leżała dalej na północ, bliżej domu Comptonów; tam znajdowały się najlepsze kryjówki. Pędziłam, przeskakując nagrobki - nowoczesne, płaskie, niewiele wyrastające ponad ziemię, prostokątne płyty pamięci. Przeskoczyłam także grób babci, pokryty świeżą, nieubita jeszcze ziemią. Nie zdążyliśmy położyć kamienia...

Zabójca babci biegł za mną. Obróciłam się - głupia - i spojrzałam, starając się ustalić, jak blisko za mną znajduje się mężczyzna. W świetle księżycy zauważyłam rozczochraną głowę Rene, który wyraźnie mnie doganiał.

Pędziłam w dół, do łagodnej niecki, którą tworzył cmentarz, potem przyspieszyłam do sprintu,

gnając pod górę. Szukałam wzrokiem wystarczająco wysokiego nagrobka albo posągu, za którym mogłabym się skryć przed Rene i po chwili schowałam się za wysoką, granitową kolumną zwieńczoną krzyżem. Pozostałam tam nieruchoma, wręcz przyklejona do zimnego twardego kamienia. Przycisnęłam rękę do ust, by zagłuszyć ewentualny szloch, a równocześnie zaczerpnąć oddechu w płuca. Gdy się nieco uspokoiłam, zaczęłam się wsłuchiwać w umysł Rene. Jego myśli okazały się jednak na tyle mało spójne, że dotarły do mnie tylko emocje: głównie wściekłość. Nagle wyłuskałam jedną wyraźną myśl.

- Twoja siostra, Rene? - wrzasnęłam. - Twoja siostra Cindy nadal żyje?

- Ta suka! - odkrzyknął

W tej samej sekundzie wiedziałam, że jako pierwszą Rene zabił własną siostrę, tę, która lubiła wampiry, do której podobno (według Arlene) wciąż od czasu do czasu jeździł. Rene zamordował swoją siostrę Cindy, barmankę... udusił ją sznurkami jej różowo-białego fartuszka, który miała na sobie jako pracownica szpitalnego bufetu. A po śmierci ją zgwałcił! Jeśli mógł wtedy myśleć, uważał pewnie, że Cindy upadła tak nisko, iż nie będzie miała nic przeciwko stosunkowi z własnym bratem. W jego opinii osoba, która uprawia seks z wampirami, zasłużyła sobie na śmierć. Ze wstydu Rene ukrył jej ciało. Inne kobiety nie były z nim związane krwią, bez wahania więc zostawiał ich ciała w miejscu zbrodni.

Zostałam wessana w chore wnętrze Rene niczym gałązka wciągnięta w wir wodny. Aż się od tego wszystkiego zatoczyłam. Gdy „wróciłam do własnej głowy”, odkryłam, że Rene mnie dopadł. Uderzył mnie w twarz w całej siły, spodziewając się, że upadnę. Cios rozbił mi nos. Bolało tak paskudnie, że o mało nie zemdlalam, na szczęście nie załamalam się. Zamachnęłam się i oddałam mu, lecz z powodu braku doświadczenia moje uderzenie nie odniosło oczekiwanych skutków. Trafiłam mężczyznę w żebra, on zaś odchrząknął i w następnej chwili mi się odwzajemnił. Jego pięść roztrzaskała mi obojczyk. Ale nie upadłam.

Nie wiedział, jaka jestem silna. W świetle księżyca dostrzegłam szok na jego twarzy, gdy walczyłam niczym lwica i dziękowałam za wampirzą krew, którą wypiałam. Myślałam o mojej dzielnej babci i waliłam w napastnika, szarpałam go za uszy, usiłując trzasnąć jego głowę w granitową kolumnę. Rene wyrzucił ręce w górę i złapał moje przedramiona. Próbował mnie od siebie odciągnąć i zmusić do poluznienia uścisku. W końcu mu się udało, choć, z jego spojrzenia wywnioskowałam, że jest zaskoczony i czujniejszy. Spróbowałam go kopnąć, uprzedził jednak mój ruch i zrobił unik. Gdy straciłam równowagę, pchnął mnie. Uderzyłam w ziemię ze straszliwym odgłosem.

Wtedy Rene usiadł na mnie okrakiem. Zauważył, że w ferworze walki upuścił sznur. Teraz trzymał moją szyję jedną ręką, drugą zaś usiłował wymacać sznur. Prawą dłoń miałam przyszpiloną, ale lewa była wolna, więc go nią trzasnęłam, a później dosłownie wczepiłam się w niego. Ignorował

mnie, zmuszony szukać więzów, gdyż była to część jego rytuału. Ja natomiast namacałam ręką znajomy kształt.

Rene, nadal w ubraniu roboczym, miał przy pasie nóż. Jednym szarpnięciem odpięłam pochewkę i wyciągnęłam z niej ostrze. Mój napastnik myślał akurat: „Powiniennem był go zdjąć...”, kiedy zatopiłam nóż w miękkim ciele jego talii i pociągnęłam w górę. A potem go wyszarpnęłam.

Zabójca wrzasnął.

Zatoczył się i skręcił tułów w bok, próbując obiema rękoma zatamować tryskającą z rany krew.

Zerwałam się i wstałam, usiłując znaleźć się w miarę daleko od człowieka, który okazał się jeszcze gorszym potworem niż wampiry.

- Ooo... Jezuuusie, kobieeeto! - wrzasnął Rene. - Co ty mi zrobiłaś?! Boże, jak mnie boli! - Głośny, prawdziwy krzyk. Teraz morderca naprawdę się bał, przestraszyło go odkrycie, jak kończą się jego gierki, jak kończy się jego zemsta. - Podobne tobie dziewuchy zasługują na śmierć - warknął. - Czuję cię w mojej głowie, wariatko!

- Które z nas jest wariatem? - syknęłam. - Zdychaj, gnojku.

Nie wiedziałam, że mam w sobie tyle gniewu. Kuciałam przy nagrobku, nadal z okrwawionym nożem zaciśniętym kurczowo w rękę i czekałam na kolejny atak Rene.

Mężczyzna chwiał się i zataczał, ja natomiast obserwowałam go z kamienną twarzą. Zamknęłam przed nim swój umysł, odcięłam się od jego uczuć, gdyż pełzła za nim śmierć. Stałam, gotowa pchnąć Rene nożem po raz drugi, kiedy nagle upadł na ziemię. Upewniłam się, że się nie ruszy i poszłam do domu Comptonów. Nie biegłam jednak. Wmawiałam sobie, że nie mogę, lecz teraz nie jestem pewna. Ciągle widziałam moją walczącą o życie we własnym domu babcię - taki jej obraz na zawsze zachował w pamięci Rene.

Wyjęłam z kieszeni klucz Billa, prawie zdziwiona, że ciągle go mam.

Przekręciłam go jakoś w zamku, słaniając się, dotarłam do dużego salonu, wymacałam telefon.

Moje palce dotknęły guzików, domyśliłam się, który jest dzwoniątką. Wcisnęłam numer policji na tyle mocno, by usłyszeć brzęknięcie, po czym - zupełnie nieoczekiwanie - straciłam przytomność.

* * *

Wiedziałam, że jestem w szpitalu: otaczał mnie zapach czystej, szpitalnej pościeli. Następnie uświadomiłam sobie, że wszystko mnie boli.

Ktoś był też ze mną w pokoju. Nie bez wysiłku otworzyłam oczy.

Andy Bellefleur. Kwadratową twarz miał chyba jeszcze bardziej zmęczoną, niż gdy go widziałam ostatnim razem.

- Słyszysz mnie? - spytał.

Kiwnęłam głową. Choć ruch był nieznaczny, spowodował fale bólu.

- Dopadliśmy go - oświadczył, kiedy jednak zaczął mi podawać szczegóły, znowu zapadłam w sen. Obudziłam się ponownie w świetle dziennym i tym razem czułam się znacznie różniejsza.

I tym razem ktoś znajdował się w pokoju.

- Kto tu jest? - spytałam. Mój głos zabrzmiał jak bolesny zgrzyt. Z krzesła w kącie podniósł się Kevin. Zwinął czasopismo z krzyżówkami i wetknął je do kieszeni munduru. - Gdzie jest Kenya? - szepnęłam.

Uśmiechnął się do mnie niespodziewanie.

- Siedziała przy tobie przez kilka godzin - wyjaśnił. - Wkrótce wróci. Wysłałem ją na lunch. - Jego szczupła twarz i ciało ułożyły się w jeden chudy symbol aprobaty. Jesteś twardą dziewczyną - dodał.

- Nie czuję się twarda - wydukałam.

- Bo jesteś ranna - powiedział mi, jakbym tego nie wiedziała.

- Rene.

- Odkryliśmy go na cmentarzu - zapewnił mnie. - Całkiem nieźle sobie z nim poradziłaś. A jednak pozostawał przytomny. Przyznał się, że próbował cię zabić.

- To dobrze.

- Szczerze żałował, drań jeden, że nie dokończył roboty. Nie mogę uwierzyć, że powiedział coś takiego, ale gdy do niego dotarliśmy, wyraźnie był przerażony i czuł się zraniony nie tylko na ciele. Oświadczył, że wszystko stało się z twojej winy, bo nie leżałaś, umierając... tak jak inne. Stwierdził, że prawdopodobnie chodzi o twoje geny, ponieważ twoja babcia... - W tym momencie Kevin przerwał, świadom, że wchodzi na niepewny grunt.

- Również walczyła - szepnęłam.

Weszła masywna, niewzruszona Kenya. W rękę trzymała styropianowy kubek z parującą kawą.

- Obudziła się - poinformował partnerkę Kevin.

- To dobrze. - Kenya nie wydawała się tak uradowana jak on. - Mówi, co się zdarzyło? Może powinniśmy zadzwonić po Andy'ego.

- Tak, tak nam polecił. Tyle że położył się dopiero cztery godziny temu.

- Ale kazał zadzwonić!

Kevin wzruszył ramionami i podszedł do szafki przy łóżku, gdzie stał telefon. Podczas jego rozmowy zaczęłam drzemać, później jak przez mgłę słyszałam, że policjant cicho gawędzi z partnerką. Opowiadał o swoich psach myśliwskich, a Kenya, przypuszczam, słuchała.

Wszedł Andy, a ja natychmiast wyczułam jego myśli, wzorec jego mózgu. W końcu ten solidny mężczyzna usiadł przy moim łóżku. Otworzyłam oczy, kiedy pochylił i przyjrzał mi się.

Wymieniliśmy długie spojrzenie.

Kątem oka dostrzegłam dwie pary butów od munduru policyjnego. Funkcjonariusze wyszli na korytarz.

- Facet nadal żyje - oznajmił wtedy Andy. - I nie przestaje gadać. - Zrobiłam najkrótszy ruch głową, na jaki mnie było stać. Miałam nadzieję, że sugeruje on aprobatę. - Twierdzi, że wszystko zaczęło się od jego siostry, która spotykała się z wampirem. Podobno traciła tyle krwi, że Rene pomyślał, iż sama się stanie wampirzycą, chyba że on ją powstrzyma. Dał jej ultimatum... pewnego wieczoru w jej mieszkaniu. Odparła, że nie zrezygnuje z kochanka. W trakcie sprzeczki zawiązała sobie fartuszek, gotowa wyjść do pracy. Zerwał z niej ten fartuch, udusił ją... i zrobił jej coś jeszcze. Detektyw wyglądał na mocno zde gustowanego.

- Wiem - szepnęłam.

- Wydaje mi się - podjął Andy - że Rene jakoś dał sobie prawo popełnienia tak okropnego czynu. Najprawdopodobniej wmówił sobie, że każda osoba w... sytuacji jego siostry zasłużyła na śmierć. W dodatku, morderstwa dokonane w okolicach Bon Temps bardzo przypominają dwie inne zbrodnie, których dokonano w Shreveport i które do dziś dnia pozostają nierozwiązane. Spodziewamy się, iż Rene przyzna się do nich w swojej opowieści. Oczywiście nie mamy pewności, czy je popełnił... - Czułam, że zaciskam wargi, wypełniona zdumieniem i litością dla tych wszystkich biednych kobiet. - Możesz mi opowiedzieć swoją historię? - spytał cicho Andy. - Mów powoli, nie spiesz się i nie podnoś głosu powyżej szeptu. Masz paskudnie posiniaczoną szyję. Sama się tego domyśliłam, dziękuję bardzo.

Andy spytał, czy może nagrać moją wypowiedź. Gdy udzieliłam zgody, włączył mały dyktafon i położył go na poduszce blisko moich ust. Wymamrotałam opowieść o wieczornych zdarzeniach, nie pomijając żadnego szczegółu.

- Pan Compton nadal przebywa poza miastem? - spytał mnie na zakończenie.

- Jest w Nowym Orleanie - szepnęłam, ledwie zdolna mówić.

- Poszukamy w domu Rene strzelby, skoro wiemy, że jest twoja. Będziemy mieli dodatkowy dowód obciążający.

Do sali weszła piękna, młoda kobieta w bieli, przyjrzała mi się uważnie i oświadczyła detektywowi, że dalsze pytania musi zadać innym razem.

Policjant niezdarnie skinął mi głową, poklepał mnie po ręce i odszedł. W ostatniej chwili posłał lekarce przepelnione podziwem spojrzenie. Kobieta rzeczywiście była zachwycająca, niestety nosiła obrączkę. Więc Andy Bellefleur znów się spóźnił.

Lekarka zaś uważała, że detektyw jest zbyt poważny i ponury.

Och, nie chciałam słuchać jej myśli!

Nie miałam jednak dość energii, by zablokować ich napływ.

- Jak się pani czuje, panno Stackhouse? - spytała młoda lekarka trochę zbyt głośno. Była szczupłą

brunetką o dużych, brązowych oczach i pełnych ustach.

- Piekielnie - szemrałam.

- Mogę to sobie wyobrazić - przyznała. Przyglądając mi się, co rusz kiwała głową. Moim zdaniem nie mogła sobie wyobrazić mojego samopoczucia. Założyłabym się, że nigdy wielokrotny morderca nie pobił jej na cmentarzysku.

- Straciła pani również babcię, nieprawdaż? - zapytała ze współczuciem. Leciutko kiwnęłam głową.

- Mój mąż zmarł mniej więcej sześć miesięcy temu - ciągnęła. - Wiem, co to smutek. Odwaga jest trudna, prawda? - „No, no, no”. Zrobiłam pytającą minę. - Miał raka - wyjaśniła. Usiłowałam przekazać jej moje kondolencje, nie sprawiając sobie bólu zbędnym ruchem. Było to prawie niemożliwe. - A więc - oświadczyła, prostując się i wracając do swego energicznego zachowania - na pewno będzie pani żyć, panno Stackhouse. Choć ma pani złamany obojczyk, dwa złamane żebra i nos. - „Pasterzu Judei! Nic dziwnego, że tak źle się czuję” - pomyślałam. - Pani twarz i szyja są dotkliwie posiniaczone - ciągnęła lekarka. - Odczuwa pani też zapewne ranę gardła. - Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądam. Dobrze, że nie miałam pod ręką lusterka. - I ma pani wiele stosunkowo drobnych stłuczeń i przecięć na nogach i rękach. - Uśmiechnęła się. - Pani brzuch jest nietknięty, podobnie stopy! - „Ho, ho, ho! Bardzo zabawne”. - Przepisałam pani lekarstwo przeciwbólowe, jeśli więc zacznie się pani czuć gorzej, proszę zadzwonić po pielęgniarkę. Jakiś gość wsunął głowę w drzwi.

Lekarka obróciła się, blokując mi widok, i spytała:

- Tak?

- Pokój Sookie?

- Tak, właśnie skończyłam ją badać. Proszę wejść. - Lekarka (nazwiskiem Sonntag, jak przeczytałam na plakietce) popatrzyła na mnie pytająco, czekając na moje pozwolenie, ja zaś zdołałam wydusić jedynie:

- Jasne.

JB du Rone niemal podpłynął do krawędzi mojego łóżka. Wyglądał ślicznie, niczym z okładki romansu. Jego płowe włosy błyszczały pod świetlówkami, oczy miał dokładnie w tym samym kolorze, a podkoszulek bez rękawów podkreślał muskulaturę, która wydawała się wyrzeźbiona... eee... dłutem. JB patrzył na mnie z góry, w niego zaś wzrok wbijała doktor Sonntag.

- Hej, Sookie, dobrze się czujesz? - spytał.

Delikatnie położył palec na moim policzku, po czym pocałował nieposiniaczone miejsce na czole.

- Dzięki - szepnęłam, - Nic mi nie będzie. Poznaj moją lekarzkę.

Młodzieniec zwrócił duże oczy na doktor Sonntag, która praktycznie potknęła się o własne stopy, by mu się przedstawić.

- Lekarze nie byli tak ładni, gdy dostawałam zastrzyki - zagaił szczerze i po prostu JB.

- Od czasu dzieciństwa nie chodzi pan do lekarza? - odpowiedziała pytaniem zdumiona doktor Sonntag.

- Nigdy nie zachorowałem. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Jestem silny jak wół.

„I masz mózg wołu” - dodałam w myślach, choć pewnie rozumu pięknej doktorki wystarczyłoby dla obojga.

Kobiecie najwyraźniej nie przyszedł do głowy żaden powód do zwłoki. Odchodząc, rzuciła nam przez ramię smutne spojrzenie.

JB nachylił się nade mną i spytał żarliwie:

- Mogę ci coś przynieść, Sookie? Nabsy albo coś?

Na myśl o próbie zjedzenia krakersa łyzy stanęły mi w oczach.

- Nie, dzięki - sapnęłam. - A lekarka jest wdową.

W rozmowie z JB można nagle zmienić temat, a on na pewno nie będzie się doszukiwał przyczyn tej zmiany.

- Ho, ho, ho - wydyszał. Wyraźnie był pod wrażeniem. - Inteligentna i wolna. - Uniosłam znacząco brwi. - Myślisz, że powinienem się z nią umówić? - Spojrzał tak intensywnie zamyślony, jak to tylko było możliwe w jego przypadku. - Może to dobry pomysł. - Uśmiechnął się do mnie. - Skoro ty nie chcesz się ze mną umówić, Sookie. Ty zawsze jesteś dla mnie numerem jeden. Tylko kiwniesz palcem, a ja w te pędy przylecę.

Co za słodki facet. Ani przez minutę nie wierzyłam w jego oddanie, nie miałam jednak najmniejszych wątpliwości, że potrafi poprawić samopoczucie każdej kobiecie, nawet takiej, która - jak ja w tej chwili - doskonale wiedziała, że wygląda naprawdę koszmarnie. Czułam się zresztą także dość paskudnie.

Gdzie są te pigułki przeciwbólowe?!

Usiłowałam uśmiechnąć się do JB.

- Cierpisz - zauważył. - Ściągnę tu pielęgniarkę. - Och, to dobrze. Im mocniej próbowałam wyciągnąć, rękę ku małemu przyciskowi, tym bardziej on wydawał się ode mnie oddalać. JB znów mnie pocałował, po czym ruszył do drzwi. - Wytropię tę twoją doktorkę, Sookie - rzucił mi na odchodne. - Lepiej zadam jej kilka pytań w kwestii twojego stanu.

Kiedy pielęgniarka wstrzyknęła coś w moją kroplówkę, chciałam po prostu leżeć i nie czuć bólu. Niestety, drzwi znów się otworzyły.

Wszedł mój brat. Przez długi czas stał przy łóżku i gapił się na moją twarz.

- Zamieniłem kilka słów z twoją lekarką, zanim wyszła do bufetu z JB. Opowiedziała mi o wszystkich twoich bolączkach. - Odszedł od łóżka, przeszedł się po sali, wrócił i znowu przyjrzał mi się z uwagą. - Wyglądasz strasznie.

- Dziękuję - szepnęłam.

- No tak, masz zranione gardło. Zapomniałem. - Chciał mnie poklepać po ramieniu, lecz zrezygnował. - Słuchaj, siostrzyczko, muszę ci podziękować, ale dołuje mnie fakt, że zastąpiłaś mnie w walce. - Gdybym mogła, kopnęłabym go. „Zastąpiłam go, cholera jasna!” - Jestem ci sporo winien, siostrzyczko. Strasznie byłem głupi, uważając Rene za dobrego przyjaciela.

Zdradzony. Jason czuł się zdradzony!

W tym momencie weszła Arlene, maksymalnie pogarszając sytuację.

Była w okropnym stanie. Rude włosy miała rozczochrane, nie nosiła makijażu, ubranie wybrała na chybił trafił. Nigdy jej nie widziałam bez starannie zakreconych włosów i ostrego, wyrazistego makijażu.

Popatrzyła na mnie tak, że... rany, cieszyłabym się, gdybym mogła wstać i uciec... Przez sekundę jej twarz była twarda jak granit, ale kiedy Arlene bacznie mi się przyjrzała, jej rysy zaczęły łagodnieć.

- Byłam na ciebie taka wściekła, nie wierzyłam w to wszystko, ale teraz gdy na ciebie patrzę i widzę, co ci zrobił... Och, Sookie, zdołasz mi kiedykolwiek wybaczyć? - Jezu, jakże pragnęłam, by się stąd wyniosła. Usiłowałam dać mojemu bratu znak i najwidoczniej mi się udało, ponieważ Jason otoczył Arlene ramieniem i wyprowadził. Zanim dotarła do drzwi, rozszlochała się. - Nie wiedziałam... - bełkotała. Ledwie ją rozumiałam. - Po prostu nie wiedziałam!

- Ani ja, cholera - dodał mój brat ciężko.

Po próbie przełknięcia jakiejś przepysznej zielonej galaretki zdrzemnąłam się.

Sporym przeżyciem tego popołudnia było dla mnie pójście do łazienki. Zrobiłam to mniej więcej samodzielnie.

Posiedziałam również na krześle z dziesięć minut, po których byłam bardziej niż gotowa wrócić do łóżka. Potem zerknęłam w lusterko ukryte w stoliczku na kółkach i strasznie tego pożałowałam. Miałam lekką temperaturę, na tyle podwyższoną, że moim ciałem targały dreszcze, a skóra była wrażliwa na dotyk. Na sinoniebieskiej twarzy puszył się podwójnej wielkości, spuchnięty nos. Prawe oko miałam podpuchnięte i niemal całkowicie zamknięte. Zadrzałam i nawet ten nieznaczny ruch sprawił mi ból. Moje nogi... o cholera, nawet nie chciałam sprawdzać. Położyłam się bardzo ostrożnie i zapragnęłam, by ten dzień wreszcie się skończył. Prawdopodobnie za jakieś cztery dni będę się czuła wspaniale. Praca! Kiedy mogłabym wrócić do pracy?

Z zadumy wyrwało mnie ciche stukanie do drzwi. Kolejny przeklęty gość! Cóż, tym razem w drzwiach stanął ktoś, kogo nie znałam. Starsza pani o błękitnosiwych włosach i w okularach w czerwonych oprawkach. Wprowadziła wózek. Nosiła żółty kitel i należała do szpitalnych wolontariuszek, które od tego właśnie stroju nazywano Słonecznymi Paniami.

Na wózku leżały i stały kwiaty przeznaczone dla pacjentów z naszego skrzydła.

- Przynoszę ci ładunek najlepszych życzeń! - oświadczyła radośnie staruszka. Odpowiedziałam uśmiechem, ale skutek musiał być okropny, ponieważ kobieta wyraźnie straciła rezon. - Te są dla

ciebie - powiedziała, podnosząc roślinę w doniczce ozdobionej czerwoną wstążką. - I karteczka, kochanie. Hmm, poszukajmy, tak, te także są dla ciebie... - Zdjęła z wózka wazon z wiązką ciętych kwiatów, wśród których rozróżniłam różowe róże, różowe goździki i białą gipsówkę. Starsza pani również od nich oderwała karteczkę. Przejrzała wózek, po czym zawołała: - No, no, no! Dziewczyno, ależ ty masz szczęście! Jest tu dla ciebie więcej kwiatów!

Głównym punktem trzeciego roślinnego hołdu okazał się dziwaczny czerwony kwiat, jakiego nigdy przedtem nie widziałam; otaczały go inne, bardziej znajome. Na ten osobliwy okaz popatrzyłam z powątpiewaniem. Słoneczna Pani starannie odpinała kartkę.

Uśmiechając się, wyszła z sali, ja zaś otworzyłam małe koperty. Zauważyłam wesoło, że łatwiej mi się ruszać, kiedy jestem w lepszym nastroju.

Roślina w doniczce była od Sama i „wszystkich twoich współpracownic z »Merlotte’a«” głosiła karteczka skreślona pismem mojego szefa. Dotknęłam połyskujących liści i zastanowiłam się, gdzie postawię roślinkę, gdy wrócę z nią do domu. Cięte kwiaty przysłali Sid Matt Lancaster i Elva Deane Lancaster. O rany! A wiązanka z czerwonym dziwadłem (kwiat prezentował się niemal nieprzyzwoicie, przypominał kobiecą intymną płéć)? Z pewną ciekawością rozłożyłam karteczkę. Nosiła tylko podpis: „Eric”.

Informacja ta dołała oliwy do ognia. Byłam wściekła. Jak, do diaska, ten cholerny wampir usłyszał o moim pobycie w szpitalu? I dlaczego nie miałam wiadomości od Billa?

Po zjedzeniu kolacji w postaci pysznej, czerwonej galaretki przez kilka godzin oglądałam telewizję, ponieważ - nawet gdybym mogła czytać - i tak nie miałam żadnych czasopism ani książek. Z każdą godziną moje sińce stawały się coraz bardziej urocze, a ja czułam się śmiertelnie zmęczona - mimo iż tylko raz poszłam do łazienki i dwa razy obeszałam pokój. W końcu wyłączyłam telewizor i przekręciłam się na bok. Zasnęłam. Do mojego snu przesączył się ból całego ciała, przyprowadzając mnie o koszmary. Biegałam w tych snach, gnałam przez cmentarz, bałam się o życie, spadałam na kamienie, do otwartych grobów, spotykając wszystkich leżących tam nieżyjących ludzi: mojego ojca i matkę, moją babcię, Maudette Pickens, Dawn Green, nawet pewnego przyjaciela z dzieciństwa, który zginął zastrzelony przypadkiem na polowaniu. Szukałam jednego szczególnego nagrobka. Czułam, że jeśli go znajdę, będę wolna, a wszystkie te osoby spokojnie wrócą do swoich grobów i zostawią mnie w spokoju. Biegałam od jednego nagrobka do drugiego, kładłam na każdym rękę, ciągle żywiąc nadzieję, że dotykam właściwego kamienia. Nagle zajęczałam.

- Kochana, jesteś bezpieczna - odezwał się znajomy, chłodny głos.

- Bill - szepnęłam we śnie.

Obróciłam się i stanęłam przed nagrobkiem, którego jeszcze nie dotknęłam. Położyłam na nim palce. Natychmiast wytropiły litery, składające się na napis „William Erasmus Compton”.

Odniosłam wrażenie, że ktoś oblał mnie zimną wodą, otworzyłam szeroko oczy, wciągnęłam powietrze i z gardła wyrwał mi się potężny krzyk bólu. Zachłysnęłam się dodatkowym haustem powietrza i rozkaszałam boleśnie. Od tego wszystkiego aż się obudziłam.

Czyjaś ręka przesunęła się pod moim policzkiem; dotyk zimnych palców cudownie ochłodził gorącą skórę. Staralam się nie pojękiwać, tym niemniej zza zaciśniętych zębów wymknął mi się cichy pisk.

- Zwróć się ku światłu, kochana - powiedział Bill głosem lekkim i pogodnym.

Spałam tyłem do łazienki, gdzie pielęgniarka zostawiła włączone światło. Teraz posłusznie przekręciłam się na plecy i podniosłam wzrok na mojego wampira.

Bill syknął.

- Zabiję go - warknął z prostym przekonaniem, od którego aż mnie zmroziło.

Atmosfera w sali zrobiła się tak napięta, że przydałaby się spora porcja gazu uspokajającego.

- Cześć, Bill - wykrakałam. - Ja także cieszę się, że cię widzę. Gdzie się tak długo podziewałeś? No i dziękuję, że oddzwoniłeś.

Słyszac te słowa, mój wampir znieruchomiał. Zamrugął. Czułam, że usiłuje się uspokoić.

- Widzisz, Sookie - zaczął - nie oddzwoniłem, ponieważ chciałem powiedzieć ci osobiście, co się zdarzyło. - Jego twarz była kompletnie pozbawiona wyrazu. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że Bill wygląda na dumnego z siebie.

Zamilkł i tylko badawczo mi się przyglądał, oceniając wzrokiem mój stan.

- Nie jest ze mną tak źle - wychrypiałam uprzejmie i wyciągnęłam do niego rękę. Pocałował ją, pieszcząc przez chwilę. Moje ciało zareagowało na niego lekkim podnieceniem. Wiercie mi, nie wiedziałam, że w mojej obecnej sytuacji w ogóle jestem zdolna do takiej reakcji.

- Opowiedz mi, co ci zrobił - polecił.

- Dobrze, ale przysuń się do mnie. Mogę tylko szeptać, bo boli mnie gardło.

Przyciągnął krzesło do łóżka, opuścił poręcz i oparł podbródek na złożonych dłoniach. Jego twarz znalazła się zaledwie dziesięć centymetrów od mojej.

- Masz złamany nos - zauważył.

Potoczyłam oczyma.

- Cieszę się, że to dostrzegłeś - szepnęłam. - Przekażę mojej lekarce, gdy przyjdzie.

Zmrużył oczy.

- Nie staraj się odwracać mojej uwagi.

- Okej. Mam złamany nos, dwa żebra i obojczyk.

Bill postanowił obejrzeć mnie sobie dokładnie, odsunął więc kołdrę. Ogarnął mnie straszliwy wstyd. Miałam na sobie okropną, szpitalną koszulę, w sobie zaś wielką dawkę środków

uspokajających, nie kąpałam się od jakiegoś czasu, moja cera przybrała szereg różnych odcieni, a

włosy były rozczochrane...

- Chcę cię zabrać do domu - oświadczył, gdy już przesunął rękoma po całym moim ciele i drobiazgowo przebadał każde zadrapanie i przecięcie. Wampirzy znachor.

Dałam znak ręką, by się pochylił i przysunął ucho do moich warg.

- Nie - wydyszałam. Wskazałam na kroplówkę. Przypatrzył się jej z niejakim podejrzeniem, choć oczywiście musiał wiedzieć, co ma przed sobą.

- Mogę to wyjąć - powiedział. Gwałtownie potrząsnęłam głową. - Nie chcesz, żebym się tobą zajmował?

Prychnęłam ze złością, co cholernie zabolalo.

Zrobiłam ręką znak pisania. Bill przeszukał szuflady, znajdując jakiś notes. Dziwnym trafem mój wampir miał pióro.

„Wypuszczą mnie ze szpitala jutro, o ile nie podniesie mi się gorączka” - napisałam.

- Kto cię odwiezie do domu? - spytał.

Znowu stał przy łóżku i patrzył na mnie z góry z surową dezaprobatą, niczym nauczyciel, którego najlepszy uczeń okazał się nagle śmierdzącym leniem.

„Każę im zadzwonić po Jasona albo do Charlsie Tooten” - napisałam. W innej sytuacji automatycznie wybrałabym Arlene.

- Będę tam o zmroku - odparł. Popatrzyłam w jego bladą twarz, w klarowne białka oczu, niemal lśniące w ciemnym pokoju. - Ulecę cię - zaoferował się. - Pozwól, że dam ci trochę mojej krwi.

- Przypomniałam sobie swoje pojaśniałe włosy i własną podwójną siłę. Potrząsnęłam głową, - Dlaczego nie? - spytał, jakby podsuwał łyk wody spragnionej kobiecie, a ta mu odmówiła.

Przemknęło mi przez myśl, że może zraniłam jego uczucia.

Wzięłam jego rękę, podniosłam do ust i lekko pocałowałam. Potem przyłożyłam ją sobie do zdrowszego policzka.

„Ludzie widzą, że się wtedy zmieniam” - napisałam po chwili. „Sama też zauważam te zmiany”.

Na moment skłonił głowę, po czym popatrzył na mnie ze smutkiem.

„Wiesz, co się stało?” - napisałam.

- Bubba opowiedział mi większą część zdarzeń - odrzekł. Na wspomnienie głupkowatego wampira zrobił przerażającą minę. - Resztę streścił mi Sam. Byłem też na posterunku i przeczytałem raporty policyjne.

„Andy pozwolił ci je przejrzeć?” - nabazgrałam.

- Cóż, wiedział, że tam jestem - odparł niedbale Bill.

Próbowałam sobie wyobrazić tę nocną wizytę i myśl o niej przyprawiła mnie o gęsią skórę.

Posłałam mojemu wampirowi dezaprobujące spojrzenie.

„Mów, co się zdarzyło w Nowym Orleanie” - napisałam.

Znów ogarniała mnie senność.

- Musiałbym ci opowiedzieć co nieco o nas - odparł z wahaniem.

- No, no, no, tajemne, wampirze sprawy! - wykrakałam.

Tym razem Bill posłał mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Jesteśmy całkiem dobrze zorganizowani - wyjaśnił. - Staralem się wymyślić coś, co zapewniłoby nam absolutne bezpieczeństwo i zniwelowało do zera zagrożenie ze strony Erica. - Odruchowo zerknęłam na wiązankę z dziwnym czerwonym kwiatem. - Wiem, że gdybym był osobą urzędową... tak jak Eric... trudniej byłoby mu ingerować w moje prywatne życie. - Popatrzyłam na niego zachęcająco. W każdym razie próbowałam tak spojrzeć. - Z tego też względu wziąłem udział w regionalnym zebraniu i chociaż nigdy szczególnie nie zajmowała mnie nasza polityka, kandydowałam na pewien urząd. W dodatku... dzięki wsparciu potężnego lobby... wygrałem! Nie mógł mnie chyba bardziej zaskoczyć. Mój Bill został działaczem związkowym? Zastanowiłam się również nad określeniem „wsparcie potężnego lobby”. Czy to znaczyło, że pozabijał wszystkich rywali? A może kupił wyborcom po butelce krwi A Rh minus?

„Na czym będzie polegać twoja praca?” - napisałam powoli, wyobrażając sobie mojego wampira siedzącego na zebraniu. Spróbowałam spojrzeć na niego z dumą, gdyż najwyraźniej tego oczekiwał. - Jestem oficerem śledczym Piątej Strefy - odparł. - Wyjaśnię ci, co to oznacza, gdy wrócisz do domu. Nie chcę cię teraz męczyć.

Kiwnęłam głową, posyłając mu promienny uśmiech. Miałam szczerą nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy pytać mnie, od kogo są te wszystkie kwiaty. Zastanowiłam się, czy powinnam wysłać Ericowi notkę z podziękowaniem. Zadałam też sobie pytanie, dlaczego myślę teraz o takich sprawach. Pewnie rozpraszało mnie lekarstwo przeciwbólowe.

Dałam znak Billowi, by przysunął się bliżej i po chwili jego twarz znalazła się na łóżku, tuż obok mojej.

- Nie zabijaj Rene - szepnęłam. - Patrzył na mnie zimno, zimniej, coraz zimniej. - Może już wykonałam całą robotę - ciągnęłam. - Facet leży na oddziale intensywnej terapii. Ale nawet jeśli przeżyje... cóż, dość tych morderstw. Rene odpowie za nie przed sądem. Nie ściągaj już na siebie żadnych podejrzeń. Pragnę spokoju... dla nas obojga. - Coraz trudniej było mi mówić. Wzięłam rękę Billa w obie swoje i znowu przyłożyłam ją sobie do mniej stłuczonego policzka. Nagle strasznie zatęskniłam za ciałem mojego wampira - tak bardzo, że poczułam dwa tęsknotę w postaci litej bryły tkwiącej w mojej piersi - i wyciągnęłam do niego ręce. Bill usiadł na krawędzi łóżka, pochylił się ku mnie i ostrożnie, bardzo ostrożnie objął mnie. Ciągnął mnie ku sobie powoli, centymetr po centymetrze, prawdopodobnie dając mi szansę powiedzenia mu, jeśli poczuję ból.

- Nie zabiję go - szepnął mi w końcu w samo ucho.

- Kochanie, tęskniłam za tobą - odparłam bardzo cicho, znając jego wyczulony słuch. Usłyszałam dzikie westchnienie. Na moment zacisnął ręce na moich plecach, potem zaczął je delikatnie gładzić.

- Ciekaw jestem - powiedział - jak szybko zdołasz wrócić do zdrowia bez mojej pomocy.

- Och, postaram się jak najszybciej - szepnęłam. - założę się, że zaskoczę moją lekarkę.

Korytarzem nadbiegł owczarek szkocki, zajrzał w otwarte drzwi do mojej sali, szczerknął, po czym pokłusował dalej. Zdumiony Bill obrócił się i wyjrzał na korytarz. No tak, mieliśmy dziś pełnię księżycy, widziałam to przez okno. Dostrzegłam tam coś jeszcze. Czyjaś blada twarz wyłoniła się z mroku i przesunęła za szybą, przesłaniając mi na chwilę księżyc. Ładna twarz, okolona długimi złotymi włosami. Lecąc, wampir Eric uśmiechał się do mnie i stopniowo zniknął mi z pola widzenia.

- Wkrótce wrócimy do normalności - powiedział Bill. Pomógł mi się położyć i poszedł wyłączyć światło w pokoju. Jarzył się w ciemnościach.

- Właśnie - odparłam szeptem. - Tak, wróćmy do normalności.